

# Pazur Łagodziciela

Gene Wolfe



calibre 0.9.27

**GENE WOLFE**

**Pazur Łagodziciela**

**(Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik)**

*Lecz siła nadal płynie z twoich cierni,*

*z otchłani zaś muzyki dźwięki.*

*Twój cień dotykiem róży muska moje serce,*

*a noce są jak wina kielich.*

**ROZDZIAŁ I**

# Wioska Saltus

Piękna twarz Morwenny, okolona włosami równie czarnymi jak moja szata, unosiła się w powietrzu, oświetlona promieniem światła. Z przeciętej ciosem miecza szyi krew kapiała na kamienie, a usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Dostrzegłem w nich (zupełnie jakbym był Prastwórcą spoglądającym na Świat Czasu przez szczelinę w Wieczności) ubogie domostwo, jej męża Stachysa miotającego się w agonii na łóżku oraz małego Chada, oplakującego w stawie rozpaloną gorączką twarz.

Eusebia, oskarżycielka Morwenny, zawyła jak wiedźma. Chciałem podejść do krat, aby nakazać jej zęby się uciszyła, lecz natychmiast zgubiłem drogę w ciemności. Kiedy wreszcie dostrzegłem jakieś światło, okazało się, iż jest to zielona droga ciągnąca się hen, daleko, od Bramy Żalu. Z policzka Dorcas trysnęła krew, a ja, mimo wrzasku gawiedzi, wyraźnie słyszałem, jak rozbryzguje się na ziemi. Mur jest tak ogromną budowlą, że dzieli świat równie nieodwracalnie, jak wążutka linia między okładkami oddziela od siebie dwie książki. Przed nami pojawił się las, który rósł chyba nieprzerwanie od zarania dziejów Urth; drzewa, wysokie jak urwiste brzegi oceanu, tonęły w soczystej zieleni. Prowadziła między mmi droga porośnięta świeżą trawą, na której leżały ciała kobiet i mężczyzn. Płonąca kariołka kalala czyste powietrze gęstym dymem.

Pięciu jeźdźców siedziało na wierzchowcach, których kościste ciała były zakute w lazurowe pancerze. Mężczyźni mieli hełmy, błękitne peleryny oraz lance o ostrzach z niebieskich płomieni.

Ich twarze były do siebie bardziej podobne niż twarze braci. Rzeka wędrowców rozbijała się o nich jak o skały - niektórzy skręcali w lewo, inni zaś w prawo. Tłum wyrwał mi Dorcas z objęć, więc obnażyłem Terminust Est, aby powalić tych, którzy nas rozdzielali, kiedy nagle zorientowałem się, że chcę uderzyć mistrza Malrubiusa, stojącego spokojnie pośród największego zamieszania z moim psem Triskele u nogi. Ujrzawszy go natychmiast pojąłem, że to tylko sen lecz jednocześnie zrozumiałem, iż wszystkie wcześniejsze wizje, w których go oglądałem, wcale nie były snami.

Odrzuciłem koc. W uszach rozbrzmiewało mi dźwięczenie dobiegające z Wieży Dzwonów.

Już czas, aby wstać z łóżka, pobiec do kuchni wciągając po drodze ubranie, zamieszać w garnku postawionym na ogniu przez brata kucharza i ukraść z rusztu kielbasę - wonną, przypieczoną, popękaną kielbasę. Czas umyć się, podać śniadanie czeladnikom i przygotować się do egzaminu przed obliczem mistrza Palaemona.

Obudziłem się w uczniowskiej bursie, ale wszystko w mej było nie takie, jak powinno pusta ściana zamiast okrągłego okienka, duże prostokątne okno zamiast ściany... Zniknęły też szeregi twardych, wąskich pryczy, a sufit znajdował się zdecydowanie zbyt nisko.

Dopiero teraz obudziłem się naprawdę. Przez okno sączyły się do wnętrza wiejskie zapachy, przypominałyby nieco aromat kwiatów i drzew, przynoszony podmuchami wiatru z nekropolii do Cytadeli, gdyby nie to, że wdarł się wien gorący smród bijący ze stajni. W jakiejś niezbyt odległej kampanilii ponownie zadźwięczały dzwony, wzywając tych nielicznych, którzy jeszcze zachowali wiarę w sercu, aby błagali o nadejście Nowego Słońca, mimo że było jeszcze bardzo wcześnie i

stare słońce nie zdążyło ściągnąć z twarzy Urth całun nocny. Jeśli nie liczyć bicia dzwonów, wioska była pogrążona w całkowitej ciszy.

Już poprzedniej nocy Jonas zdążył się przekonać, że w dzbanie na wodę znajduje się wino.

Wyplukałem nim usta i dzięki jego ściągającemu działaniu poczułem się lepiej, niż gdybym uczynił to wodą, niemniej jednak przydałoby mi się jej trochę aby obmyć twarz i przygładzić włosy. Kładąc się spać, podłożyłem sobie pod głowę zwinięty płaszcz z Pazurem w środku, teraz rozpostarłem go, po czym, przypomniawszy sobie, jak Agia próbowała wsunąć rękę do sakwy przy moim pasie, schowałem Pazur do buta.

Jonas jeszcze spał Do tej pory wydawało mi się, że ludzie pogrążeni we śnie wyglądają na młodszych, niż są w istocie, ale Jonas sprawiał wrażenie znacznie starszego... a może raczej starożytnego? Twarze takie jak jego, o prostym nosie i wysokim czole, widywałem często na pochodzących sprzed wielu stuleci ilustracjach. Dogasiłem tłący się w kominku ogień i wyszedłem, starając się me obudzić mego towarzysza.

Kiedy zakończyłem poranną toaletę na wewnętrznym dziedzińcu gospody, ulica, przy której stał budynek, rozbrzmiewała już donośnymi plaśnięciami, z jakim bydło stawiało nogi w kałużach pozostawionych przez nocny deszcz, oraz suchym postukiwaniem zderzających się, zakrzywionych jak szable, rogów. Każde zwierzę było wyższe od człowieka, miało czarną lub łaciatą sierść, dziko wybałuszone oczy oraz gęstą grzywę opadającą z przodu niemal do połowy pyska. Ojciec Morwenny był poganiaczem. Możliwe, że to właśnie jego stado przechodziło obok gospody, choć wydawało mi się to mało prawdopodobne. Zaczekałem, aż minie mnie ostatnie zwierzę, po czym uważnie przyjrzałem się jadącym za nimi ludziom.

Było ich trzech. Pokryci od stop do głów pyłem wyglądali całkiem zwyczajnie. Mieli długie ościenie, zakończone żelaznymi grotami, a towarzyszyły im duże, czujne psy.

Wróciwszy do gospody zamówiłem śniadanie. Wkrótce przyniesiono mi świeżo upieczony chleb, równie świeże masło, marynowane kacze jaja oraz gorącą czekoladę. (Wówczas tego nie wiedziałem, ale obecność czekolady świadczyła o tym iż znalazłem się wśród ludzi pielęgnujących wiele zwyczajów z Dalekiej Północy). Podobny do bezwłosego skrzata gospodarz, który poprzedniego wieczora z pewnością widział mnie rozmawiającego z alka-dem, uwijał się wokół stolika wycierając co chwila nos w rękaw i dopytując się o jakość każdej potrawy. Choć wszystkie były naprawdę dobre, zapewniał mnie, że kolacja na pewno będzie lepsza i przeklinał kucharza, czyli własną żonę. Zwracał się do mnie „sieur” - nie dlatego, że myślał, jak to czasem zdarzało się niektórym ludziom w Nessus, iż jestem przebrany szlachcicem, lecz dlatego, że kat, jako działająca sprawnie i nieomylnie ręka sprawiedliwości, cieszył się tutaj wielkim poważaniem. Jak większość chłopów, nie był w stanie sięgnąć wyobraźnią wyżej niż tylko jeden szczebel nad swoją głowę.

- Czy łóżko jest wygodne? Nie brakuje kołder? Możemy przynieść więcej. Miałem pełne usta, więc tylko skinąłem głową

- W takim razie przyniesiemy. Czy trzy wystarczą? Jest panom wygodnie razem?

Chciałem już powiedzieć, że wolałbym otrzymać osobny pokój (nie uważałem Jonasa za złodzieja, lecz obawiałem się, że Pazur może okazać się zbyt wielką pokusą nawet dla najuczciwszego człowieka, a poza tym nie byłem przyzwyczajony do sypania z kimś w jednym łóżku), kiedy przyszło mi do głowy, że mój współlokator może nie mieć dość pieniędzy, by zapłacić za jednoosobowy pokój.

- Będiesz tam, sieur, kiedy rozwałą ścianę? Mógłby to zrobić każdy murarz, ale słyszano Barnocha, jak porusza się w środku, więc pewnie nie opadł zupełnie z sił. Może udało mu się znaleźć jakąś broń, a nawet jeśli nie, to kto wie, czy nie spróbowałby odgryźć murarzowi palców.

- To nie należy do moich obowiązków. Pójdę popatrzeć, jeśli czas mi na to pozwoli.

- Wszyscy tam będą. - Mężczyzna zatarł ręce tak szybko i bezszelestnie, jakby były naoliwione. - Alkad zarządził wielki festyn. Nasz alkad ma niezłą głowę do interesów. Weźmy na przykład zwykłego człowieka: gdyby zobaczył cię, panie, w mojej gospodzie, nic nie przyszłoby mu do głowy. No, może najwyżej tyle, żeby wynająć cię do zgładzenia Morwenny. Ale nasz alkad jest zupełnie inny! Patrzy daleko w przód i potrafi wykorzystać wszystkie możliwości.

Można by pomyśleć, że tylko mrugnął, i cały ten festyn wyskoczył z jego głowy, razem z kolorowymi namiotami, wstążeczkami, mięsem z rusztu i watą na patyku. A dzisiaj? Dzisiaj otworzymy zamurowany dom i wyciągniemy z niego Bamocha jak borsuka z nory. To rozgrzeje ludzi i sprawi, że ściągną zewsząd do wioski. Potem popatrzymy, jak radzisz sobie z Morwenną i tamtym przyjemniaczkiem, a jutro zabierzesz się za Barnocha. Zwykle zaczynasz od przypiekania gorącym żelazem, prawda? Powiadam ci, panie, wszyscy będą chcieli to zobaczyć.

Pojutrze załatwisz go, a my szybko zwiniemy namioty. Nie ma sensu trzymać ludzi w jednym miejscu zbyt długo po tym, jak wydadzą wszystkie pieniądze, bo zaczynają żebrać, bić się między sobą, i tak dalej. Wszystko musi być dobrze zaplanowane i sprawnie przeprowadzone.

Każdemu życzę takiego alkada jak nasz.

Po śniadaniu wyszedłem z gospody, aby się przyjrzeć, jak materializują się genialne pomysły alkada. Wieśniacy przybywali do wioski z naręczami owoców, belami płótna domowego wyrobu oraz zwierzętami, które mieli nadzieję sprzedać. Dostrzegłem wśród nich kilku autochtonów niosących wyprawione skóry dzikich bestii oraz nanizane na sznurki małe, czarne i zielone ptaszki. Żałowałem, że nie mam płaszcza, który kupiłem od brata Agii, gdyż mój fuligin przyciągał zdziwione spojrzenia. Zamierzałem już wrócić do gospody, kiedy do moich uszu dotarł odgłos licznych, miarowych kroków. Pamiętałem ten dźwięk jeszcze z Cytadeli, gdzie często przypatrywałem się ćwiczeniom stacjonujących tam żołnierzy, ale teraz usłyszałem go po raz pierwszy od chwili, kiedy ją opuściłem.

Bydło, które obserwowałem o świcie, podążało w kierunku rzeki, gdzie miało być załadowane na barki, aby pozostała część podróży do rzeźni w Nessus odbyć drogą wodną.

Żołnierze nadchodzili z przeciwnej strony, od rzeki - nie wiem, czy dlatego, że ich dowódcy uznali, iż marsz nieco ich zahartuje, czy może łodzie, które ich przywiozły, były pilnie potrzebne gdzie indziej, czy też dlatego, że miejsce ostatecznego przeznaczenia oddziały leżało z dala od Gyoll.

Usłyszałem głośną komendę „Do śpiewu!”, a w chwilę potem oddział wkroczył w tłum.

Rozległ się świst różg i krzyki nieszczęśników, którzy mieli pecha znaleźć się w ich zasięgu.

Każdy żołnierz był uzbrojony w procę o uchwycie długości dwóch łokci i niósł skórzaną, kolorową sakwę z pociskami zapalającymi. Niewielu wyglądało na starszych ode mnie, większość zaś z pewnością była młodsza, lecz ich błyszczące złoceniami łuskowe zbroje, bogato zdobione pasy oraz ukryte w pochwach sztylety o długich ostrzach świadczyły o tym, że należeli do elitarnej formacji. Ich pieśń, w przeciwieństwie do większości wojskowych pieśni, nie opowiadała o bitwach ani o kobietach; była to prawdziwa pieśń procarzy i miała takie oto słowa: *Gdy bytem mały, matka rzekła mi:*

*Otrzyj już łzy i do łóżka idź.*

*Ja wiem, że podróży mnóstwo w życiu czeka cię,*

*Bo pod spadającą gwiazdą urodziłeś się.*

*Po wielu latach ojciec szepnął mi,*

*Gładząc me włosy swoją ręką starczą:*

*Nie płacz nad blizną, co ciało twoje znaczy,*

*Boś się urodził pod gwiazdą spadającą.*

*Czarownik kiedyś na drodze stanął mej,*

*Popatrzył na mnie i słowa takie rzekł:*

*Przed tobą krew, zgliszcza, pożogi i przypadki złe, O ty, co pod spadającą gwiazdą urodziłeś się.*

*Pasterz zaś stowa wypowiedział te:*

*My, owce, iść musimy tam, gdzie nasz pan chce,*

*Do Bramy Świtu, aniołów Ogrójca,*

*Dokąd nas wiedzie gwiazda spadająca.*

I tak dalej, zwrotka za zwrotką Niektóre - przynajmniej dla mnie - byty tajemnicze, inne zabawne, sporo też trafiało się takich, których autor miał na względzie jedynie rymy, jednostajne i powtarzające się w nieskończoność

- Wspaniały widok, prawda? - Obok mnie pojawiła się łysa głowa gospodarza. - To południowcy. Zauważ, panie, jak wielu ma żółte włosy i piegowatą skórę, Przywykli do chłodów i o tej porze roku powinni być w górach, ale ten śpiew sprawia, że człowiek sam chętnie by się do nich przyłączył. Jak

sądzisz, ilu ich jest?

Właśnie pojawiły się zamykające pochod juczne muły, poganiane ukłuciami mieczy

- Dwa, może dwa i pół tysiąca.

- Dziękuję, sieur. Lubię to wiedzieć. Nie uwierzysz, jak wielu już widziałem podążających tą drogą w tę samą stronę co oni i jak niewielu powracających. Cóż taka właśnie jest wojna. Zawsze powtarzam sobie, że oni wciąż tam są - gdziekolwiek zaprowadziły ich rozkazy, jakie otrzymali od dowódców - ale obaj wiemy, panie, że wielu zostało na zawsze gdzieś po drodze. Mimo to, słysząc ich śpiew, miałoby się ochotę pójść z nimi.

Zapytałem go, czy ma jakieś wieści o wojnie

- O tak, sieur. Zbieram je już od lat, choć nie wydaje mi się, żeby toczony tam bitwy miały większe znaczenie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Przez cały czas wojna zdaje się toczyć w tej samej odległości od nas. Jeszcze do niedawna przypuszczałem, że nasz Autarcha wyznaczy jakieś miejsce gdzie odbędzie się wielka bitwa, a po jej zakończeniu wszystkie wojska wrócą do domu. Moja żona, choć taka głupia, w ogóle nie wierzy w żadną wojnę.

Tłum, niczym wzburzona fala, zamknął się za ostatnim mułem i gęstniał z każdą chwilą.

Zaferowani przekupnie rozstawiali pośpiesznie kramy i stoiska, co powodowało, że na wąskiej ulicy ścisk stawał się coraz większy. Wszędzie pojawiały się wysokie jak drzewa tyki obwieszane kolorowymi maskami.

- W takim razie dokąd, zdaniem twojej żony, idą ci żołnierze? - zapytałem karczmarza.

- Szukać Vodalusa. Zupełnie jakby Autarcha, którego dłonie opływają złotem i którego nieprzyjaciele całują po stopach, wysłał całą armię, żeby pojmać jednego bandytę.

Nie usłyszałem ani słowa prócz imienia Vodalus.

\* \* \*

Oddałbym wszystko, co posiadam, aby stać się jednym z was, którzy co dnia skarżycie się na słabnącą pamięć. Moja nie słabnie. Wszystkie wspomnienia pozostają w niej na zawsze, równie świeże jak pierwsze wrażenie, kiedy więc je przywołam, poddaję się bez reszty ich urokowi.

Wydaje mi się, że odwróciłem się wtedy od karczmarza i wtopiłem się w tłum, ale nie widziałem ani jego, ani tłoczących się wokół mnie wieśniaków i sprzedawców. Znowu poczułem pod stopami wydeptane ścieżki nekropolii i ujrzałem przez zasłonę z napływającej z rzeki mgły smukłą sylwetkę Vodalusa, który podał pistolet swojej kochance, sam zaś wyciągnął miecz.

Dopiero teraz (jakże przykro jest czasem stać się mężczyzną!) uderzył mnie bezsens tego gestu.

On, który - jak głosiła szeptana plotka - po stokroć walczył za nasze stare obyczaje i za starożytną

wspaniałą cywilizację, którą utraciliśmy, z własnej woli pozbył się wspaniałej broni, stanowiącej spadek po tejże cywilizacji!

Jeżeli moje wspomnienia o przeszłości pozostają nietknięte, to dzieje się tak być może dlatego, że przeszłość istnieje wyłącznie we wspomnieniach. Vodalus, mimo że podobnie jak ja pragnął ją wskrzesić, był jednak istotą z teraźniejszości. Naszym niewybaczalnym grzechem jest to że możemy być tylko tym, kim jesteśmy.

Bez wątpienia gdybym był jednym z was, których wspomnienia bledną, torując sobie tamtego ranka drogę przez tłum, wyparłbym się Vodalusa, a tym samym w pewien sposób umknąłbym temu szczególnemu rodzajowi śmierci, jaki trzyma mnie w objęciach nawet w chwili, kiedy piszę te słowa. A może wcale bym nie umknął? Na pewno nie. Tak czy inaczej, stare wspomnienia okazały się zbyt silne. Zostałem schwytyany w pułapkę uwielbienia dla czegoś, co kiedyś wielbiłem, tak jak mucha zatopiona w bursztynie pozostaje na zawsze w niewoli od dawna nie istniejącej sosny.

## **ROZDZIAŁ II**

### **Człowiek w ciemności**

Dom zbrodniarza niczym nie różnił się od innych domów stojących w wiosce. Został

zbudowany z grubo ciosanego kamienia, był parterowy i miał prawie płaski, kamienny dach, sprawiający wrażenie dość solidnego. Drzwi oraz jedyne okno widoczne od ulicy zostały niestarannie zamurowane. Przed domem zgromadziło się już około stu podekscytowanych uczestników festynu, dyskutowali między sobą, od czasu do czasu wskazując na budynek, ale panowała w nim całkowita cisza, a z komina nie wydobywała się nawet najcieńsza smuga dymu.

- Czy tutaj zawsze tak się postępuje? - zapytałem Jonasa.

- To tradycja. Słyszałeś takie powiedzenie „Legenda, kłamstwo i podobieństwo wspólnymi sitami czynią tradycję”?

- Wydaje mi się, że łatwo byłoby się stamtąd wydostać. Nocą mógłby wybić dziurę w oknie, albo nawet w ścianie, lub wykopać podziemne przejście. Poza tym, jeśli spodziewał się czegoś takiego - a miał wszelkie powody się spodziewać, skoro od dawna szpiegował na rzecz Vodalusa

- mógł zawczasu przygotować narzędzia oraz zapas jedzenia i picia.

Jonas potrząsnął głową

- Przed zamurowaniem okien i drzwi dokładnie przeszukują cały dom. Zabierają nie tylko to, co przedstawia jakąkolwiek wartość, ale także narzędzia, żywność i wodę.

- Tak właśnie czynimy, chlubiąc się, że mamy dość oleju w głowie - rozległ się obok nas donośny głos. Był to alkad, który niepostrzeżenie podszedł od tyłu, przeciskając się przez tłum.

Życzyliśmy mu dobrego dnia, a on odwzajemnił się tym samym. Był niewysokim, mocno



zbudowanym mężczyzną, którego szczerą twarz specyficy oczy o trochę zbyt przebiegłym spojrzeniu. - Rozpoznałem cię, mistrzu Severianie, pomimo tych kolorowych szat. Nowe? Na takie przynajmniej wyglądają. Jeśli nie spełnią twoich oczekiwań, natychmiast powiedz mi o tym. Staramy się, zęby w naszej wiosce prowadzono tylko uczciwy handel. Jeżeli ten, kto ci je sprzedał, nie wykona koniecznych poprawek, sprawimy mu kąpiel w rzece, możesz być tego pewien. Trzeba to robić przynajmniej dwa razy do roku, żeby utrzymać ludzi w ryzach.

Umilkł i cofnął się o krok, po czym zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, kiwając z uznaniem głową, jakby mój wygląd wywarł na nim niezwykle korzystne wrażenie.

- Leżą jak ulał. Masz piękną sylwetkę i przystojną twarz, może tylko odrobinę zbyt bladą, ale o to już zatroszczy się nasza pomocna pogoda. Tak, leżą jak ulał i chyba będą się dobrze nosić.

Jeśli ktoś zapyta cię, skąd je masz, możesz wspomnieć, że kupiłeś je podczas festynu w Saltu. To nigdy nie zaszkodzi.

Obiecałem mu, że tak uczynię, mimo że znacznie bardziej niż o swój wygląd czy jakość ubrania, które kupiłem od jakiegoś straganiarza, troszczyłem się o bezpieczeństwo Terminust Est, pozostawionego przeze mnie w pokoju w oberży.

- Przypuszczam, że przyszedłeś tu ze swoim pomocnikiem, aby zobaczyć, jak będziemy wydobywać z chaty tego niegodziwca? Zabierzemy się do niego, jak tylko Mesmin i Sebald przyniosą taran. Ładnie się nazywa, ale obawiam się, że to tylko zwykły, ociosany pień drzewa, w dodatku niezbyt wielki, gdyż w przeciwnym razie wioska poniosłaby za duże koszty, opłacając ludzi, którzy by go obsługiwali. Mimo to powinien spełnić swoje zadanie. Słyszeliście może o przypadku, który wydarzył się tutaj osiemnaście lat temu?

Jonas i Ja pokręciliśmy głowami.

Alkad wyprostował się i wypiął pierś, jak zawsze czynią politycy, kiedy nadarza im się okazja do wypowiedzenia więcej niż kilku zdań.

- Pamiętam to dobrze, choć byłem wówczas zaledwie podrostkiem. Chodziło o kobietę.

Zapomniałem już, jak miała na imię, ale wszyscy nazywaliśmy ją matką Pyrexią. Zamurowano ją, tak jak tego tutaj, gdyż oboje uczynili właściwie to samo i niemal w taki sam sposób. Wtedy Jednak lato dobiegało już końca, zaczynała się pora zbierania jabłek. Utkwiło mi to w pamięci, gdyż zgromadzeni ludzie popijali jabłecznik, a ja zjadałem wielki, soczysty owoc.

Rok później, kiedy zboże złociło się na polach, ktoś zapragnął kupić dom. Jak wiecie, dobytek skazanego przechodzi na własność wsi. W ten sposób finansujemy całe przedsięwzięcie: ci, którzy biorą w nim udział, zatrzymują wszystko, co wyda im się przydatne, natomiast wieś otrzymuje ziemię i zabudowania.

Aby nie rozwodzić się zbyt długo, powiem tylko, że szybko uporaliśmy się z rozbiciem drzwi, aby uprzątnąć kości kobiety i przekazać dom nowemu właścicielowi.

Alkad odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Jego śmiech wywarł na mnie upiorne wrażenie

- może dlatego, że był zbyt cichy, aby przebić się przez gwar tłumu, i przez to wydawał się całkowicie bezgłośny.

- Czyżby nie umarła? - zapytałem.

- Zależy, co przez to rozumiesz. Ja powiem tylko tyle kobieta zamknięta przez długi czas w zupełnej ciemności może przeistoczyć się w coś bardzo dziwnego, przypominającego trochę stworzenia, jakie gnieźdzą się w gnijących pniach drzew. Większość nas, mieszkańców Saltus, jest górnikami, i nie straszne są nam różne okropności, jakie czasem znajdujemy pod ziemią, ale i tak wszyscy wzięliśmy nogi za pas, by powrócić nieco później z pochodniami. To, co zostało z tej kobiety, bało się zarówno światła, jak i ognia.

Jonas dotknął mego ramienia i wskazał na zamieszanie, które nagle wybuchło w tłumie.

Grupa mężczyzn o zaaferowanych minach przepychała się ulicą wśród gawiedzi. Żaden z nich nie miał hełmu ani zbroi, ale kilku niosło halabardy, pozostali zaś byli uzbrojeni w okute kije.

Przypominali mi ochotników, którzy dawno temu zatrzymali mnie, Drotte'a, Roche'a i Eatę przy bramie nekropolii. Za mmi kroczyli czterej ludzie dźwigający ociosany pień drzewa, o którym wspomniał Alkad. Miał około dwóch piędzi średnicy i sześciu łokci długości Powitało ich głośne westchnienie tłumu. W chwilę potem wrzawa przybrała jeszcze na sile, dały się słyszeć także radosne pokrzykiwania. Alkad opuścił nas, aby objąć dowództwo.

Korzystając z zamieszania, jakie wywołał, poleciwszy ludziom z kijami oczyścić przestrzeń przed zamurowanymi drzwiami chałupy, Jonas i ja przepchnęliśmy się nieco bliżej, w miejsce, z którego mieliśmy lepszy widok.

Przypuszczałem, że mężczyźni taszczący pień przystąpią do dzieła natychmiast, jak tylko dotrą pod drzwi, ale okazało się, że nie doceniłem Alkada, który w ostatniej chwili stanął na progu domu, zamachał kapeluszem, aby uciszyć rozgadanych ludzi, po czym rzekł:

- Mili goście i szanowni mieszkańcy Saltu! Nim zdążycie po trzykroć wziąć oddech, zobaczycie, jak rozbijamy tę oto kamienną zaporę i wyciągamy na światło dzienne złoczyńcę Barnocha, wszystko jedno, martwego czy żywego, choć przypuszczamy, że raczej będzie żywy, jako że nie przebywał w zamknięciu zbyt długo. Wiecie, co uczynił potajemnie współpracował z siepaczami Vodalusa, donosząc im o miejscu pobytu tych, którzy później stawali się ich ofiarami! Zapewne wszyscy teraz myślicie - i słusznie! - że takie postępowanie nie zasługuje na wybaczenie. Tak jest, powiadam! Tak jest, powiadam! Z powodu tego Barnocha setki, a może nawet tysiące niewinnych ludzi leży teraz w bezimiennych grobach. Setki, a może nawet tysiące zaznały znacznie gorszego losu.

Jednak proszę was, żebyście zastanowili się nad jednym, zanim runie kamienna ściana.

Vodalus utracił szpiega, więc z pewnością zacznie szukać sobie innego. Którejś nocy, być może już niedługo, u kogoś z was zjawi się nieznajomy człowiek. Zapewne uraczy was gładką przemową

- Taką jak ty teraz! - zawołał ktoś, wzbudzając powszechną wesołość.

- Znacznie lepszą, bo ja jestem tylko prostym górnikiem, jak wielu z was wie. Dużo bardziej zgrabną i przekonującą. Kto wie, czy nie zaproponuje wam też pieniędzy. Jednak zanim skiniecie mu głową, chcę, żebyście przypomnieli sobie, jak wyglądał dom Barnocha, cichy, martwy, z zamurowanymi drzwiami i oknami. Wyobraźcie sobie wtedy wasz dom, dokładnie taki sam, tyle tylko, że to wy będziecie zamknięci w jego wnętrzu.

A potem przypomnijcie sobie, co zrobiliśmy z mm wtedy, kiedy go stamtąd wyciągnęliśmy.

Zapewniam was - mówiąc te słowa zwracam się szczególnie do was szlachetni przybysze - że to, co teraz ujrzycie, stanowi jedynie zapowiedz tego, co będziecie mogli obejrzeć podczas naszego festynu. Aby go uświetnić, zaprosiliśmy jednego z najznakomitszych profesjonalistów z Nessus!

Ujrzycie co najmniej dwie egzekucje dokonane tradycyjną metodą przez ścięcie głowy. Jedną ze skazanych jest kobieta, więc użyjemy krzesła! Jest to coś, czego nigdy nie mieli okazji podziwiać nawet ci, którzy chełpią się swym światowym obyciem i starannym wykształceniem. Zobaczycie na własne oczy, jak ten człowiek - tu alkad wskazał dramatycznym gestem zamurowane drzwi chałupy - trafi w ręce śmierci prowadzony przez najwyższej klasy przewodnika. Całkiem możliwe, że zrobił w ścianie małą dziurkę, co czasem czynią skazani, i teraz może mnie słyszeć.

- Podniósł głos niemal do krzyku. - Barnoch, jeżeli mnie słyszysz, to radzę ci, poderżnij sobie gardło! Jeśli tego nie zrobisz, już wkrótce będziesz żałował, żeś nie umarł z głodu!

Zapadła całkowita cisza. Wszystko aż przewracało się we mnie na myśli o tym, że już wkrótce będę musiał wprawiać się w arkanach mojej sztuki na zwolenniku Vodalusa. Alkad odczekał jeszcze chwilę, po czym uniósł wysoko prawą rękę i opuścił ją gwałtownie.

- W porządku, chłopcy! Do roboty!

Cztery mężczyźni z taranem policzyli chórem do trzech, po czym ruszyli pędem w kierunku zamurowanych drzwi. W chwili kiedy dwaj pierwsi musieli pokonać stopień, stracili nieco na szybkości, ale i tak ociosany pień uderzył w kamienie z donośnym łoskotem. Był to jednak jedyny rezultat, jaki udało im się osiągnąć.

- W porządku, chłopcy - powtórzył alkad. - Spróbujcie jeszcze raz. Pokażcie wszystkim, jakie silne chłopcy rodzą się w Saltu!

Tym razem dwójka trzymająca taran z przodu pokonała stopień znacznie sprawniej.

Odniosłem wrażenie, że pod wpływem uderzenia kamienie zadrżały, a ze spoin posypał się biały pył. Jakiś krępy, brodaty mężczyzna przyłączył się do zasapanej czwórki. Trzecie uderzenie taranu nie było wcale głośniejsze, ale towarzyszył mu donośny trzask, przypominający odgłos, jaki wydają łamane kości.

- Jeszcze raz - powiedział alkad.

Miał rację. Kamień, w który trafił taran, wpadł do środka, pozostawiając dziurę wielkości ludzkiej głowy. Atakująca piątka zrezygnowała z rozbiegu, wybijali kolejne kamienie kołyszając taranem w przód i w tył, aż wreszcie otwór powiększył się na tyle, że mógł się w nim zmieścić dorosły człowiek.

Ktoś przyniósł pochodnie. Mały chłopiec pobiegł do sąsiedniego domostwa, aby zapalić je od kuchennego ognia. Płonące pochodnie trafiły do rąk ludzi uzbrojonych w halabardy i okute kije, lecz nie oni weszli jako pierwsi, tylko alkad, który - dając dowód większej odwagi, niż byłbym gotów przypuszczać, oceniając go po przebiegłym spojrzeniu - wydobył zza pasa krotką pałkę i zagłębił się w ziejącą czernią wyrwę w murze. Zaraz potem we wnętrzu chaty zniknęli mężczyźni z pochodniami, za nimi zaś zaczął cisnąć się tłum. Ponieważ wraz z Jonasem zajmowałem miejsce w pierwszym szeregu gapiów, niemal od razu znaleźliśmy się w środku.

Cuchnęło tam znacznie bardziej, niż się spodziewałem. Wszędzie walały się połamane meble, jakby Barnoch przed nadejściem murarzy pozamykał szafy, skrzynie i kredensy, oni zaś rozbili je wszystkie, by dostać się do jego dobytku. Na kulawym stole dostrzegłem resztki wypalonej do cna świecy. Tłoczący się z tyłu ludzie pchali mnie naprzód, ja zaś ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że staram się im oprzeć.

W głębi domu wybuchła wrzawa, zatupotały szybkie kroki, rozległ się krzyk, a zaraz potem dziki nieludzki wrzask.

- Mają go! - wykrzyknął ktoś za moimi plecami. Wiadomość szybko dotarła do tych przed chatą.

Z ciemności wyłonił się otyły mężczyzna, wyglądający na małorolnego chłopca. W jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej zaś okuty kij.

- Z drogi! - zawołał - Cofnąć się! Już go prowadzą!

Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć... Być może jakąś zarosłą brudem istotę o zlepionych włosach. Zobaczyłem natomiast ducha. Barnoch musiał być kiedyś bardzo wysoki, zachował

resztki wzrostu, tyle tylko, że zgiął się niemal wpół i szalenie wychudł, a skórę miał tak bladą, iż wydawał się lekko fosforyzować w ciemności, jak to czasem czyni gnijące drewno. Był zupełnie łysy i pozbawiony zarostu. Jeszcze tego samego popołudnia dowiedziałem się od pilnujących go strażników, że wyrwał sobie wszystkie włosy. Jednak najgorsze ze wszystkiego były oczy wytrzeszczone, chyba ślepe i równie czarne jak otchłań jego rozdziawionych ust. Odwróciłem się, by na mego nie patrzeć, ale kiedy odezwał się, wiedziałem na pewno, że to on.

- Będę wolny - powiedział. - Vodalus mnie ocali!

Jakże żałowałem wtedy że ja także zaznałem życia w niewoli, gdyż jego głos przywiódł mi na pamięć owe straszliwe dni, które spędziłem w lochach pod Wieżą Matachina. I ja marzyłem o tym, by Vodalus mnie ocalił, oraz o rewolcie, która zmiecie precz cały zwierzęcy zaduch i degenerację, przywracając blask kulturze i cywilizacji dawnej Urth.

Jednak ocalenie zawdzięczałem nie Vodalusowi i jego armii cieni, lecz wstawiennictwu mistrza Palaemona - a także Drotte'owi, Roche'owi oraz jeszcze kilku przyjaciółom, którzy przekonali pozostałych braci, że zgładzenie mnie może okazać się zbyt niebezpieczne, postawienie zaś przed trybunatem ściągnie na konfraternię wieczną niesławę.

Barnoch nie mógł liczyć na nic takiego. Ja, który powinienem być jego towarzyszem, miałem napiętnować go rozpalonym żelazem, łamać kotem, a wreszcie odrąbać mu głowę.

Usiłowałem wmówić sobie, że, być może, działał jedynie z chęci zysku, lecz w tej samej chwili coś metalowego - prawdopodobnie ostrze halabardy - uderzyło w kamień, a ja usłyszałem brzęk otrzymanej od Vodalusa monety, którą ukryłem pod posadzką zrujnowanego grobowca.

Czasem, kiedy nasze myśli zajęte są bez reszty wspomnieniami, oczy - bez udziału woli -

potrafią wyłowić spośród szczegółów jakiś przedmiot, prezentując go z ostrością niemożliwą do osiągnięcia nawet przy udziale największego skupienia. Tak właśnie stało się ze mną. Wśród mrowia twarzy za drzwiami chaty dostrzegłem jedną, zwróconą ku górze i oświetloną przez słońce. Była to twarz Agni.

## **Rozdział III**

### **Zielony człowiek**

Niezwykła chwila zdawała się trwać całą wieczność, jakbyśmy my dwoje, a także wszyscy, którzy nas otaczali, znajdowali się na jakimś obrazie Twarz Agii, moje szeroko otwarte oczy.

Tak właśnie trwaliśmy wśród kolorowego tłumu wieśniaków. Potem poruszyłem się, a ona zniknęła. Popędziłbym za nią, gdybym mógł, ale minęło co najmniej sto uderzeń serca, zanim zdołałem przepchać się przez tłum i dotrzeć do miejsca, w którym ją ujrzałem.

Lecz jej tam już nie było, a wokół mnie, niczym wzburzona woda wokół łodzi, kłębiły się ludzkie ciała. Kiedy Bamoch znalazł się w pełnym blasku dnia, zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

Klepnąłem w ramię jednego z górników i wykrzychałem mu do ucha pytanie, ale okazało się, że nie zwrócił uwagi na stojącą obok niego młodą kobietę i nie miał zielonego pojęcia, dokąd mogła pójść. Przez jakiś czas przypatrywałem się uważnie podekscytowanej gromadzie podążającej za więźniem, a kiedy nabrałem pewności że Agii tam me ma, zacząłem przeszukiwać teren jarmarku, zaglądając do namiotów i kramów, wypytyjąc o nią kobiety, które przyjechały na festyn, aby sprzedać wonny kardamonowy chleb, oraz ich mężów, zachwalających mięso niedawno ubitych zwierząt.

\* \* \*

Kiedy teraz opisuję te wydarzenia, powoli przędać nić cynobrowego atramentu w Domu Absolutu, wszystko wydaje się takie spokojne i uporządkowane. Nic bardziej mylącego. Byłem zziębnięty i spocony, wykrzykiwałem pytania, po czym pędziłem dalej, nawet nie czekając na odpowiedź. Twarz Agii unosiła się przede mną jak senne widziadło szerokie, płaskie policzki, łagodnie zaokrąglony

podbródek, lekko piegowata, opalona skora i skośne, roześmiane oczy o kpiącym spojrzeniu. Nie miałem pojęcia, po co się tu zjawiała. Wiedziałem tylko tyle, że jest, i że jej widok obudził we mnie bolesne wspomnienie jej krzyku.

- Widzieliście kobietę, tego wzrostu, z kasztanowymi włosami? - powtarzałem w kółko niczym ów człowiek na Polu Śmierci, który wykrzykiwał „Cadroe z Siedemnastu Kamieni”, aż wreszcie jego słowa stały się równie pozbawione znaczenia jak śpiew cykad.

- Tak. One wszystkie wyglądają tak samo.

- Nie wiesz jak się nazywa?

- Kobietę? Oczywiście, że mogę sprowadzić ci kobietę.

- Gdzie ją zgubiłeś?

- Nie obawiaj się, na pewno ją znajdziesz. Festyn nie jest tak duży, żeby ktokolwiek mógł się na dobre zgubić. Nie umówiliście się na spotkanie w jakimś miejscu? Proszę, napij się trochę herbaty. Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

Zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

- Nie musisz płacić, i tak mam duży ruch. No, chyba że koniecznie chcesz. Tylko jedno aes.

Proszę.

Stara kobieta wrzuciła moją monetę do kieszeni fartucha - sądząc po odgłosie, musiała mieć tam mnóstwo identycznych - po czym nalała wrzącą herbatę do wypalonego kubka z gliny i podała mi go wraz z rurką z jakiegoś srebrnego metalu. Odsunąłem rurkę na bok.

- Jest czysta. Myję ją po każdym kliencie.

- Nie jestem przyzwyczajony.

- W takim razie uważaj, bo kubek jest bardzo gorący. Szukałeś przy sądzie? Jest tam mnóstwo ludzi

- Tam, gdzie trzymają bydło? Tak.

Herbata przypominała smakiem herba mate, miała silny aromat i była odrobinę cierpka.

- Czy ona wie, że jej szukasz?

- Chyba nie. Wątpię, czy mnie rozpoznała, nawet jeżeli mnie zauważyła. Ja... Jestem ubrany inaczej niż zwykle.

Stara kobieta parsknęła z rozbawieniem i schowała pod chustkę kosmyk kręconych, siwych włosów.

- Na jarmarku w Saltu? To chyba oczywiste! Wszyscy zakładają tu to, co mają najlepszego, i każda rozsądna dziewczyna o tym wie. A może jest nad rzeką, tam gdzie przykuto łańcuchami więźnia?

Pokręciłem głową

- Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

- Ty jednak nie straciłeś nadziei. Wiem o tym, bo zamiast patrzeć na mnie, przyglądasz się przechodzącym ludziom. I bardzo dobrze. Na pewno ją znajdziesz, choć ostatnio dzieją się tu dziwne rzeczy. Czy wiesz, że schwytano zielonego człowieka. Trzymają go tam, w namiocie.

Podobno zieloni ludzie wszystko wiedzą, problem tylko w tym żeby skłonić ich do mówienia.

Poza tym, ta historia z katedrą... O tym chyba słyszałeś?

- O katedrze?

- Powiadają że to nie była prawdziwa katedra, taka, jakie są w mieście - ty też przecież pochodzisz z miasta, poznałam to po sposobie, w jaki pijesz herbatę - ale tutaj, w Saltus, nigdy nie widzieliśmy innej. Była bardzo piękna, miała wiszące lampy i okna z kolorowego jedwabiu.

Ja tam w nic nie wierzę, bo skoro Prastwórca w ogóle się o mnie nie troszczy, to czemu ja miałabym się troszczyć o mego? Mimo to wielka szkoda, że to zrobiły, oczywiście jeśli naprawdę zrobiły to, o co się je oskarża. Podpały ją, wiesz?

- Czy mówisz o katedrze Peleryn?

Stara kobieta skinęła poważnie głową

- Widzisz? Popełniłeś ten sam błąd, co wszyscy. To nie była katedra Peleryn, tylko katedra Pazura, a więc nie miały prawa jej spalić.

- Wznieciły na nowo ogień... - mruknąłem.

- Proszę? - Stara kobieta nadstawiła ucha. - Nie usłyszałam, co powiedziałeś.

- Powiedziałem, że wznieciły ogień. Przypuszczalnie podpały słomę na podłodze.

- Ja też tak słyszałam. A potem stały i przyglądały się, jak płonie. Rzekomo uleciała ku Bezkresnym Łąkom Nowego Słońca.

Po drugiej stronie alejki jakiś człowiek zaczął walić co sił w bęben.

- Niektórzy widzieli na własne oczy, jak wznosi się w powietrze - powiedziałem, kiedy przerwał na chwilę.

- Wzniosła się a jakże. Kiedy mąż mojej wnuczki dowiedział się o tym, przez pół dnia nie mógł dojść

do siebie. Potem zrobił z papieru coś w rodzaju kapelusza i przytrzymał go nad ogniem, a kiedy kapelusz poleciał do góry, ten głupiec doszedł do wniosku, że nie ma nic cudownego w tym, że z katedrą stało się to samo. Nie przyszło mu do głowy, że wszystko mogło zostać urządzone w ten sposób właśnie po to, żeby katedra Pazura poszybowała w niebo. Ten dureń me potrafi dostrzec Jego Ręki.

- Widział ją? - zapytałem. - Chodzi mi o katedrę.

Kobieta opacznie zrozumiała moje pytanie

- Tak, co najmniej dziesięć razy. Odwiedzał ją zawsze, kiedy tędy przejeżdżał.

Naszą rozmowę przerwał głos człowieka z bębniem, podobny trochę do głosu doktora Talosa, tyle tylko, że bardziej chrapliwy i pozbawiony złośliwej inteligencji.

- Wie wszystko! Zna wszystkich! Zielony jak agrest! Zobaczcie sami!

Bum! Bum! Bum!

- Myślisz, że zielony człowiek może wiedzieć, gdzie jest Agia?

Kobieta uśmiechnęła się.

- A więc tak ma na imię? Teraz będę mogła dać ci znać, jeśli ktoś wspomni o niej przy mnie.

Kto wie? Masz pieniądze, czemu więc nie sprawdzisz?

Właśnie, czemu nie? - pomyślałem.

- Przywieziony prosto z dżungli Północy! W ogóle nie je! Zielony jak liście i trawa! Bum!

Bum!

- Przeszłość i przyszłość to dla niego jedno!

Kiedy mężczyzna zobaczył, że zbliżam się do jego namiotu, zaprzestał nawoływać.

- Tylko jedno aes, żeby go zobaczyć, dwa, żeby zadać pytanie, a trzy, jeśli chcesz zostać z nim sam na sam.

- Jak długo? - zapytałem, podając mu trzy miedziane aes.

Spojrzał na nie z krzywym uśmiechem.

- Jak długo zechcesz.

Wszedłem do środka.



Z pewnością przypuszczał, że nie zechcę spędzić tam zbyt wiele czasu, oczekiwałem więc jakiegoś odrażającego smrodu lub czegoś równie nieprzyjemnego, poczułem jednak tylko lekki zapach suchego siana. Na środku namiotu, w pocętkowanej drobinkami kurzu plamie światła wpadającego przez otwór w górze, siedział skuty łańcuchem człowiek o skórze barwy bladego szmaragdu. Miał na sobie spódniczkę z przywiedłych liści, a obok niego stało gliniane naczynie wypełnione po brzegi czystą wodą.

Przez chwilę stałem, przypatrując mu się w milczeniu, a on siedział bez ruchu ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- To nie jest farba - powiedziałem wreszcie - ani żaden roślinny barwnik. W dodatku masz równie mało włosów jak mężczyzna, którego wywleczono z zamurowanego domu.

Spojrzał na mnie, po czym znowu opuścił wzrok. Nawet białka jego oczu miały lekko zielonkawy odcień.

- Jeżeli naprawdę jesteś rośliną, to zamiast włosów na twojej głowie powinna rosnąć trawa.

Miałem nadzieję, że w ten sposób zwabię go w pułapkę.

- Wcale nie.

Miał łagodny głos, prawie kobiecy, tyle tylko, że bardzo niski.

- A więc jesteś rośliną? Mówiącym warzywem?

- Nie pochodzisz stąd.

- Kilka dni temu przybyłem z Nessus.

- Masz pewne wykształcenie.

Pomyślałem o mistrzu Palaemonie, mistrzu Malrubiusie, o mojej nieszczęsnej Thecli, i wzruszyłem ramionami.

- Umiem czytać i pisać.

- A mimo to nic o mnie nie wiesz. Nie jestem mówiącym warzywem, o czym powinieneś już sam się przekonać, patrząc na mnie. Nawet gdyby z jakiegoś powodu rośliny miały pójść tą drogą ewolucji, która prowadzi do powstania inteligencji, to z pewnością nie mogłyby skopiować ludzkiej postaci.

- To samo można powiedzieć o kamieniach, a przecież istnieje coś takiego jak posągi. Choć był ogromnie przygnębiony (miał twarz bardziej smutną nawet od twarzy mego przyjaciela Jonasa), kąciki jego ust uniosły się lekko.

- Dobrze powiedziane. Nie masz żadnego naukowego przygotowania, ale dysponujesz większą wiedzą, niż przypuszczasz.

- Wręcz przeciwnie wszystko, czego mnie uczono miało naukowy charakter, natomiast nie było w żaden sposób związane z takimi jak te, fantastycznymi spekulacjami. Kim więc jesteś?

- Wielkim wizjonerem, a zarazem wielkim kłamcą, jak każdy człowiek, który wpadnie w pułapkę.

- Jeśli powiesz mi, kim naprawdę jesteś, spróbuję ci pomóc.

Przyjrzał mi się uważnie, a ja odniosłem wrażenie, że to jakiś wysoki krzak otworzył nagle oczy, ukazując ludzką twarz.

- Wierzę ci - powiedział. - Jak to jest, że spośród setek istot, które przewijają się przez ten namiot, właśnie ty wiesz, co to jest współczucie?

- Nie wiem nic o współczuciu, za to wpojono mi szacunek dla sprawiedliwości, a tak się składa, że dobrze znam alkada tej wioski. Nawet zielony człowiek nie przestaje być człowiekiem.

Jeśli jest niewolnikiem, jego pan musi wyjaśnić, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie.

- Zapewne głupio czynię, pokładając w tobie zaufanie, ale jestem wolnym człowiekiem, który przybył z przyszłości, aby badać wasze czasy.

- To niemożliwe.

- Zielony kolor, który wywołuje tak wielkie zdziwienie twoich ziomeków, pochodzi od tego, co wy nazywacie rzęsą wodną. Zmieniliśmy ją tak że teraz może żyć w naszej krwi, i dzięki temu wreszcie osiągnęliśmy pokój w trwającej od zawsze wojnie ludzkości ze słońcem. Małe roślinki rosną w nas i umierają, a nasze ciała odżywiają się nimi, w związku z czym nie potrzebują innego pokarmu. Skończyły się klęski głodu, skończyła się też ciężka praca polegająca na zdobywaniu żywności.

- Ale musicie mieć słońce.

- Owszem - odparł zielony człowiek. - Tutaj jest go za mało. W moich czasach dni są o wiele jaśniejsze.

Ta prosta uwaga wprawiła mnie w wielki stan podniecenia. Nie czułem się tak od chwili, kiedy na terenie Zburzonego Dworu w Cytadeli po raz pierwszy ujrzałem pozbawioną dachu kaplicę naszego bractwa.

- A więc Nowe Słońce nadejdzie, zgodnie z przepowiedniami - powiedziałem - a wraz z nim nowe życie dla naszej Urth... Oczywiście jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

Zielony człowiek odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Znacznie później miałem usłyszeć odgłos, jaki wydaje alzabo przemierzające pokryte śniegiem góryste tereny; jego śmiech jest okropny, ale śmiech zielonego człowieka był jeszcze straszliwszy. Odsunąłem się od niego.

- Ty nie jesteś człowiekiem - stwierdziłem. - Może kiedyś nim byłeś, ale teraz już nie.

Roześmiał się ponownie

- I pomyśleć, że pokładałem w tobie jakieś nadzieje? Cóż za nieszczęśnik ze mnie. Już mi się wydawało, iż pogodziłem się z myślą o tym, że przyjdzie mi umrzeć tutaj, wśród ludzi, którzy są dla mnie tylko chodzącym pyłem, tymczasem wystarczył jeden promyk światła, aby na nowo obudzić we mnie chęć życia. Jestem prawdziwym człowiekiem przyjaciela. To ty nim nie jesteś, ale cóż z tego, skoro to ja będę tym, który umrze za kilka miesięcy.

Wiedziałem, co ma na myśli, gdyż często widziałem w nekropolii gnane wiatrem, zamrożone resztki kwiatów uderzające w ściany grobowców.

- Rozumiem cię. Zbliżają się ciepłe dni, ale kiedy miną, ty będziesz musiał odejść wraz z nimi. Masz jednak jeszcze dość czasu, aby rozsiać swoje ziarna.

- Nie wierzysz mi - stwierdził ze smutkiem -- Nie możesz zrozumieć, że jestem takim samym człowiekiem jak ty, a mimo to mi współczujesz. Kto wie, może masz rację? Może rzeczywiście zaświeciło nam nowe słońce, a ponieważ tak się stało, przestaliśmy zwracać na nie uwagę? Jeśli kiedykolwiek uda mi się powrócić w moje czasy, opowiem tam wszystkim o tobie.

- Jeżeli naprawdę przybywasz z przyszłości, to dlaczego po prostu tam nie wrócisz?

- Ponieważ jestem skuty łańcuchami, jak sam widzisz.

Wyprostował nogę, abym mógł przyjrzeć się opinającej ją w kostce obręczy. Zielonkawe ciało spuchło wyraźnie, tak jak to się dzieje z pniami drzew, jeśli nałoży się na nie żelazne pierścienie.

Kotara zasłaniająca wejście uchyliła się i do namiotu wsadził głowę mężczyzna z bębniem.

- Jeszcze tu jesteś? Na zewnątrz czekają inni.

Spojrzał znacząco na zielonego człowieka, po czym zniknął.

- To znaczy, że mam skłonić cię do odejścia, bo w przeciwnym razie zasłoni otwór, przez który wpadają promienie słońca. Wyganim stąd ludzi przepowiadając im przyszłość, tak jak teraz uczynię tobie. Jesteś jeszcze młody i silny ale zanim ta planeta okrąży słońce dziesięć razy, staniesz się słabszy i już nigdy me odzyskasz swojej obecnej siły. Jeśli spłodzisz synów, kiedyś staną się twoimi nieprzyjaciółmi. Jeśli ...

- Wystarczył - przerwałem mu. - To, o czym mi mówisz, staje się udziałem wszystkich ludzi.

Odejdę, jeżeli odpowiesz mi na jedno pytanie. Szukam kobiety o imieniu Agia. Gdzie mogę ją znaleźć?

Przez chwilę między jego powiekami widziałem tylko zazielenione białka. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a potem zielony człowiek wstał i wyciągnął przed siebie ręce z palcami rozczapierzonymi jak gałązki.

- Nad ziemią... - powiedział cicho.

Drżenie ustąpiło, a on usiadł ciężko, wyraźnie zmęczony i bledszy niż przedtem.

- A więc jednak jesteś oszustem - powiedziałem, odwracając się w stronę wyjścia. - Byłem głupcem, że choć przez chwilę uwierzyłem.

- Nieprawda - szepnął - Posłuchaj mnie podczas podróży w te czasy przebyłem całą waszą przyszłość, zabierając ze sobą jej cząstki, które teraz z największym trudem staram się odczytać.

Powiedziałem ci prawdę, a jeśli ty rzeczywiście jesteś przyjacielem tutejszego alkada, to powiem ci jeszcze coś, co będziesz mógł mu powtórzyć, a czego domyśliłem się słuchając pytań tych, którzy tu przychodzą. Uzbrojeni ludzie będą chcieli uwolnić człowieka zwanego Barnochem.

Wyjąłem z sakwy osełkę, przełamałem ją na ogniwie łańcucha, i wręczyłem mu połowę.

Przez chwilę zdawał się me wiedzieć, co to jest, ale potem na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Zielony człowiek rozkwitł z radości, jakby już mógł rozkoszować się ciepłym blaskiem słońca w swoich czasach.

## **ROZDZIAŁ IV**

# Bukiet

Wyszedłszy z namiotu spojrzałem na słońce. Zachodni horyzont pożarł już co najmniej połowę nieba, za niecałą wachtę powinienem stawie się w wyznaczonym miejscu, aby odprawić ceremonię. Agia zniknęła, ja zaś zaprzepaściłem wszelkie szansę na jej odnalezienie, miotając się jak w gorączce po całym jarmarku. Mimo to przepowiednia zielonego człowieka przyniosła mi pociechę. Rozumiałem ją w ten sposób, że spotkam Agię, zanim jedno z nas umrze, a ponieważ przyszła, aby oglądać wyprowadzenie Barnocha, można było się spodziewać, że zjawi się także na egzekucji Morwenny i złodzieja bydła.

Wracając do gospody miałem głowę zaprzątniętą właśnie takimi rozważaniami, ale kiedy dotarłem do pokoju, który dzieliłem z Jonaszem, ustąpiły one miejsca wspomnieniom o Thecli i moim wyniesieniu do godności czeladnika. Prawdopodobnie pojawiły się dlatego, iż za chwilę miałem rzucić nowy kolorowy strój, aby przywdziać katowski fuligin. Choć mój płaszcz wisiał

jeszcze na kołku w pokoju, i choć Terminust Est leżał ukryty bezpiecznie pod materacem, te dwa przedmioty oddziaływały na mnie nawet na odległość, wywołując określone myśli i skojarzenia.

Kiedy jeszcze dotrzymywałem towarzystwa Thecli, często bawiło mnie jak łatwo mogę przewidzieć kierunek, jaki przybierze nasza rozmowa, a szczególnie jej początek, w zależności od tego, co przyniosę wchodząc do celi. Jeśli była to na przykład jakaś smakowita potrawa, którą wykradłem z kuchni, Thecla natychmiast zaczynała opowiadać o posiłkach w Domu Absolutu.

Widok mięsa niemal zawsze wywoływał wspomnienia o obiedzie pod gołym niebem, podawanym przy akompaniamencie ryków i trąbienia zwierzyny schwytej podczas łowów, a także dyskusji o zaletach wyźłów, sokołów i leopardów specjalnie tresowanych do polowań. Jeśli przyniosłem słodczyce, Thecla zazwyczaj raczyła mnie opowieścią o rozkosznie intymnej, ubarwionej tysiącem płoteczek kolacji wydanej przez jedną z kasztelanek na cześć przyjaciółek.

Z kolei owoce przywodziły jej na myśl uczyty, jakie odbywały się w ogrodach Domu Absolutu jarzących się blaskiem tysiąca pochodni, kiedy biesiadnikom umilali czas żonglerzy, akrobaci, tancerze oraz pokazy sztucznych ogni.

Jadła czasem siedząc, a czasem stojąc. Przechadzała się też od ściany do ściany w swojej ciasnej celi, trzymając talerz w lewej ręce, gestykulując zaś prawą.

- ...i powiadam ci, Severianie, był to wspaniały widok, kiedy nagle na ciemnym niebie wystrzeliwały zielone i czerwone płomienie, a nad naszymi głowami rozlegał się huk gromu!

Biedactwo me mogło mi pokazać, jak wysoko strzelały fajerwerki, gdyż wystarczyło, że tylko trochę uniosła rękę a natrafiła na sufit, do którego prawie sięgała głową.

- Widzę jednak, że cię nudzę. Jeszcze chwilę temu, kiedy przyniosłeś mi te brzoskwinie, byłeś taki szczęśliwy, a teraz nawet się me uśmiechasz. Musisz jednak zrozumieć, że mnie te wspomnienia sprawiają wielką radość, gdyż pozwalają myśleć o tym, jak bardzo będę rada móc to wszystko znowu zobaczyć.

Rzecz jasna wcale mnie nie nudziła. Po prostu ogarniał mnie smutek, kiedy widziałem tę młodą i piękną kobietę zamkniętą w ciasnej celi.

\* \* \*

Kiedy wszedłem do pokoju, Jonas właśnie wydobywał spod materaca Terminust Est.

Nalałem sobie kubek wina.

- Jak się czujesz? - zapytał mój towarzysz.

- A ty? Dla ciebie to pierwszy raz.

Jonas wzruszył ramionami.

- Jestem tylko pomocnikiem. Naprawdę już to kiedyś robiłeś? Wyglądasz tak młodo.

- Tak, już to robiłem, ale nigdy kobiecie.

- Myślisz, że jest niewinna?

Właśnie byłem zdjęty ściąganiem koszuli. Kiedy JUŻ ją zdjąłem, uwalniając ramiona, i wytarłem sobie nią twarz, potrząsnąłem głową.

- Z pewnością nie. Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Przykuli ją łańcuchami nad samym brzegiem rzeki, gdzie komary są najbardziej dokuczliwe. Zresztą, już ci o tym mówiłem.

Jonas wyciągnął rękę po kubek. Kiedy zacisnął na nim swoje metalowe palce, rozległ się dzwięczący odgłos.

- Mówiłeś, że jest piękna i że ma czarne włosy jak...

- Thecla. Ale jej włosy są proste, podczas gdy włosy Thecli były kręcone.

- Jak Thecla, którą kochałeś chyba tak mocno, jak ja Kocham twoją przyjaciółkę Jolantę.

Przyznaję, że miałeś znacznie więcej czasu ode mnie na to by się zakochać. Powiedziałeś też, iż jej mąż i dziecko umarli na jakąś chorobę, prawdopodobnie od zatrutej wody. Podobno mąż był cokolwiek starszy od niej.

- Mniej więcej w twoim wieku. Jak sądzę.

- I że inna kobieta, która także go pragnęła, teraz zadaje jej tortury.

- Jedynie słowami. - W naszej konfraterni koszule noszą wyłącznie uczniowie. Wciągnąłem spodnie i narzuciłem na nagie ramiona fuligin, który jest czarniejszy od najgłębszej czerni. -

Zdarzało się już nieraz, że klienci, których władze pozostawiły na noc bez opieki, ginęli

ukamienowani. Niektórym wybijano zęby i łamano kości, a kobiety gwałcono.

- Powiadasz, że jest piękna, więc może ludzie myślą, że jest też niewinna. Może nawet litują się nad nią.

Podniosłem Terminust Est i obnażyłem go, pozwalając pochwie z miękko wyprawionej skory upaść na podłogę.

- Niewinność ma najwięcej wrogów, ponieważ budzi lęk.

Wyszliśmy razem

Kiedy zjawiłem się w tej gospodzie, musiałem torować sobie drogę wśród ciżby. Teraz ludzie skwapliwie usuwali mi się z drogi. Miałem maskę na twarzy, na ramieniu zaś niosłem obnażony Terminust Est. Na ulicy gwar natychmiast przycichł, a kiedy dotarliśmy do placu, na którym odbywał się festyn, towarzyszyły nam już tylko szept, przywodzące na myśl szelest uschniętych liści.

Obie egzekucje miały się odbyć w centralnym punkcie placu, gdzie zebrał się już gęsty tłum.

Przy szafocie stał odziany na czerwono mnich, ściskając w dłoniach mały brewiarz, obok zaś czekało dwoje więźniów, otoczonych przez tych samych ludzi, którzy wydobyli Barnocha z jego chaty. Alkad miał na sobie żółta togę, symbol swojego urzędu, oraz złoty łańcuch.

Zgodnie ze starożytną tradycją nie wolno nam korzystać ze schodów (choć kiedyś widziałem mistrza Gurloesa, jak wspinał się po nich na szafot wzniesiony przed Wieżą Dzwonów, w dodatku podpierając się mieczem). Przypuszczam, iż spośród obecnych tylko ja jeden wiedziałem o tym zwyczaju, mimo to postanowiłem go dochować, a nagrodą był dla mnie ryk tłumu, kiedy jednym susem wskoczyłem na pomost z rozwianym płaszczem trzepoczącym u ramion.

- Prastwórco, wiemy wszyscy, że ci, którzy tu za chwilę umrą, w twoich oczach nie są wcale gorsi od nas - odczytał mnich ze swojej książeczki. - Ich ręce, jako i nasze, zbroczone są krwią Obejrzałem uważnie pień. Te, które przygotowuje się bez naszego dozoru zazwyczaj do niczego się nie nadają. „Szeroki jak stoi, twardy jak muł i wklęsły jak dół”. Dwie pierwsze cechy wymienione w krążącym wśród nas przysłowiu były obecne w całej okazałości, ale święta Katarzyna okazała mi przynajmniej tyle łaski, że pień był lekko wypukły, i choć musiałem liczyć się z tym, że bezsensownie twarde drewno z pewnością stępi męską stronę Terminust Est, to znajdowałem się w o tyle dobrej sytuacji, że drugi skazany był odmiernej płci, więc nie tyle nawet mogłem, co musiałem potraktować go drugą stroną ostrza.

- ...za twym przyzwoleniem mogą w ostatniej godzinie żywota oczyścić swe dusze, aby zyskać twoją łaskę. My, którzy kiedyś staniemy z nim twarzą w twarz, choć dziś przelejemy ich krew...

Stanąłem w szerokim rozkroku i oparłem się na mieczu, jakbym całkowicie panował nad sytuacją, choć prawda przedstawiała się w ten sposób, że nawet nie wiedziałem, które z nich wyciągnęło krótszą wstążkę.

- O ty, bohaterze, który zniszczysz czarnego robaka pożerającego słońce! O ty, którego oddech

pokona otchłanny Ereb, a także Abaię i Scyllę, kryjących się pod wzburzonymi falami! O

ty, który żyjesz w najmniejszym nasionku w najbardziej odległym lesie...

Morwenna zaczęła wchodzić po schodkach za alkadem. Tuż za nią szedł strażnik, popychając ją od czasu do czasu metalowym prętem. Ktoś z tłumu wykrzyknął głośno obsceniczną propozycję.

- ...miej litość nad nami, którzy nie znamy litości. Okaz litość nam, którzy jej nie okazemy.

Na tym mnich zakończył, rozpoczął natomiast alkad.

- W najbardziej ohydny i odrażający sposób...

Mówił wysokim piskliwym głosem, zupełnie innym od tego, jakim posługiwał się na co dzień i jakim zwrócił się do tłumu przed domem Barnocha. Słuchając go jednym uchem (przez cały czas poszukiwałem w tłumie twarzy Agii) doszedłem do wniosku, że po prostu się boi.

Będzie musiał przyglądać się z bliska temu, co stanie się z obojgiem skazanych. Uśmiechnąłem się, korzystając z tego, że moja twarz była ukryta pod maską.

- ...szacunku dla twojej płci. Jednak zostaniesz napiętnowana na obu policzkach, twoje nogi zostaną połamane a głowa odcięta od ciała.

(Miałem nadzieję, że nie zapomnieli przygotować rusztu z płonącymi węglami).

- Tak więc, korzystając z władzy, jaka spoczywa w mych niegodnych rękach dzięki łaskawości Autarchy, którego myśli są muzyką dla uszu jego poddanych, ogłaszam...

ogłaszam...

Zapomniał zwyczajowego tekstu.

- Ogłaszam, że oto nadeszła twoja ostatnia chwila! - podpowiedziałem mu szeptem.

- Ogłaszam, że oto nadeszła twoja ostatnia chwila, Morwenno.

- Jeśli masz jakieś prośby do Łagodziciela, przedstaw mu je teraz w sercu.

- Jeśli masz prośby do Łagodziciela przedstaw mu je teraz...

- A jeśli pragniesz nam coś powiedzieć, to uczyn to teraz, bo potem nikt już nie usłyszy twego głosu.

Alkad chyba odzyskał już pewność siebie, gdyż powtórzył bez najmniejszego zająknięcia:

- A jeśli pragniesz nam coś powiedzieć, to uczyn to teraz, bo potem nikt już nie usłyszy twego głosu.

- Wiem, że większość z was uważa mnie za winną - powiedziała Morwenna cicho, lecz wyraźnie. - To nieprawda. Nigdy nie popełniłabym tych okropnych uczynków, o jakie mnie oskarżacie



Tłum zafalował i zbliżył się, aby ją lepiej słyszeć.

- Wielu z was może zaświadczyć, że kochałam Stachysa i że kochałam dziecko, które mi dał.

W Jasnym blasku dnia moją uwagę zwróciła kolorowa, fioletowo-czarna plama. Był to bukiet żalobnych róż, jakimi zazwyczaj przyozdabia się karawan. Kobieta, która go trzymała, nazywała się Eusebia; poznałem ją poprzedniego wieczoru kiedy nad brzegiem rzeki dręczyła skutą łańcuchami Morwennę. Teraz odetchnęła głęboko kilka razy, wciągając w płuca aromat róż, po czym zaczęła torować sobie kolczastymi łodygami drogę wśród tłumu, aż wreszcie stanęła u podstawy szafotu.

- Te kwiaty są dla ciebie, Morwenno. Umrzyj, zanim zwiędną.

Uderzyłem w deski tępym koncern miecza, nakazując ciszę.

- Ten dobry człowiek, który odczytał modlitwę i który rozmawiał ze mną, zanim mnie tu przyprowadzono, prosił, abym przebaczyła wam, jeśli dostąpię łaski przed wami. Nigdy nie miałam okazji spełnić prośby zawartej w modlitwie, ale teraz ją spełniam. Przebaczam wam.

Eusebia znowu chciała coś powiedzieć, lecz uciszyłem ją spojrzeniem. Stojący obok niej mężczyzna uśmiechnął się do mnie szeroko, prezentując nieliczne zęby, i pomachał ręką, ze zdumieniem rozpoznałem w nim Hethora.

- Czy jesteś gotów? - zapytała mnie Morwenna. - Bo ja i jestem.

Jonas właśnie przyniósł metalowy kosz pełen rozżarzonych węgli. Spomiędzy nich sterczał

uchwyt narzędzia, którego zapewne miałem użyć do napiętnowania skazanej, ale nigdzie nie było krzesła. Posłałem alkadowi znaczące spojrzenie.

Równie dobrze mógłbym gapić się na pień.

- Czy mamy jakieś krzesło, Wasza Czcigodność? - zapytałem wreszcie.

- Posłałem po nie dwóch ludzi. I po powrozy

- Kiedy?

W tłumie dały się już słyszeć gniewne pomruki.

- Kilka chwil temu.

Nie dalej jak poprzedniego wieczoru zapewniał mnie, że wszystko będzie przygotowane, ale przypominanie mu teraz o tym nie miało najmniejszego sensu. Przekonałem się już wielokrotnie, że nie ma nikogo, kto łatwiej może przy takiej okazji wpaść w panikę, jak przeciętny wiejski urzędnik. Doświadcza on bowiem bolesnego rozdarcia między pragnieniem przebywania w centrum uwagi, a świadomością, że brakuje mu zarówno zdolności jak i doświadczenia, niezbędnych do prawidłowego

przeprowadzenia ceremonii. Nawet najbardziej tchórzliwy klient, kiedy wejdzie na szafot z pełną świadomością, że oto za chwilę wyłupią mu oczy lub połamią kości w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia zachowa się lepiej od niego. Nawet nieśmiały mnich, nieprzywykły do spojrzeń setek ludzi, jest w takiej sytuacji bardziej godny zaufania.

- Dalej, kończcie z tym! - zawołał ktoś z tłumu.

Spojrzałem na Morwennę. Ze swoją wychudzoną twarzą, jasną cerą, melancholijnym uśmiechem i wielkimi, ciemnymi oczami, łatwo mogła wywołać współczucie wśród gawiedzi.

- Możemy posadzić ją na pniu - powiedziałem do alkada, a następnie dodałem, nie mogąc odmówić sobie tej drobnej satysfakcji: - Wydaje się do tego wręcz stworzony.

- Ale nie ma jej czym związać.

Pozwoliłem już sobie na jedną uwagę za dużo, więc ugryzłem się w język, aby nie poinformować go, co myślę o tych, którzy przed egzekucją muszą wiązać klienta jak prosię.

Położyłem Terminust Est na pniu, posadziłem Morwennę, podniosłem ramiona w tradycyjnym pozdrowieniu, wziąłem żelazo w prawą rękę po czym, chwyciwszy przeguby kobiety lewą, wypaliłem znak na obu policzkach. Jej krzyk sprawił, że na placu zapadła całkowita cisza, jednak kiedy podniosłem wysoko jeszcze białe od gorąca żelazo, z setek gardeł

wydobył się radosny ryk.

Alkad wyprostował się, jakby nagle wstąpiły w mego nowe siły.

- Pokaz im ją - powiedział.

Miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć, ale teraz pomogłem Morwennie wstać z pnia, wziąłem ją za rękę i powoli obszedłem z nią szafot, jakbyśmy brali udział w jakimś tańcu. Hethor me posiadał się z radości, starałem się nie zwracać na niego uwagi, lecz i tak doskonale słyszałem, jak chełpi się przed wszystkimi znajomością ze mną.

- Masz! - zawołała Eusebia, wyciągając bukiet w stronę Morwenny - Wkrótce ci się przydadzą!

Okrążywszy szafot zatrzymałem się i spojrzałem wyczekująco na alkada. Potrzebowałem

dłuższej chwili, aby domyślić się, czego od niego chcę, ale zachował na tyle przytomności umysłu, żeby dać mi znak abym przystąpił do dalszych czynności.

- Czy jeszcze długo? - zapytała szeptem Morwenna.

- Już prawie po wszystkim - odparłem. Znowu posadziłem ją na pniu i wziąłem miecz do ręki. - Zamknij oczy. Pomysł o tym, że prawie wszyscy, którzy kiedyś przyszli na świat, już nie żyją, nawet Łagodzień, który kiedyś wróci jako Nowe Słońce.

Posłusznie opuściła powieki, dzięki czemu nie zobaczyła, jak podnoszę Terminust Est. Blask stali sprawił że tłum znowu ucichł. Wziąłem zamach i uderzyłem płazem w uda kobiety, donośne klaśnięcie spowodowane zetknięciem metalu z miękkim ciałem rozległo się niemal jednocześnie z suchym trzaskiem łamanych kości. Morwenna straciła przytomność ale zanim zdążyła osunąć się na deski, cofnąłem się o krok i zdjąłem jej głowę z karku gładkim, poziomym cięciem, o wiele trudniejszym od pionowego.

Szczerze mówiąc, dopiero kiedy zobaczyłem strzelającą w górę fontannę krwi i usłyszałem głuchy łomot z jakim głowa spadła na szafot uświadomiłem sobie, że już jest po wszystkim.

Byłem równie zdenerwowany jak alkad choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Starożytna tradycja pozwala nam w chwilach takich jak ta zrezygnować z części zwyczajowej powagi. Miałem ochotę śmiać się i podskakiwać, alkad klepał mnie po ramieniu i gadał coś bez ładu i składu, ale ja w ogóle go nie słyszałem. Podniosłem miecz, chwyciłem głowę za włosy, uniosłem ją wysoko i obszedłem szafot dookoła. Jednak tym razem nie poprzestałem na jednym okrążeniu, lecz wykonałem ich dwa, trzy a potem cztery. Powiał lekki wiatr, zbryzgując szkarłatną krwią moją maskę, ramię i nagą pierś. Wiwatujący ludzie wykrzykiwali żarty, jakie zawsze słyszy się przy takich okazjach:

- Czy obetniesz też włosy mojej żony, jeśli cię ładnie poproszę?
- Dostaniesz za to pół pęta kiełbasy, ale będziesz musiał sam ja sobie pokroić!
- Dasz mi jej kapelusz?

Śmiałem się do tłumu i udawałem, że chcę rzucić im odciętą głowę, kiedy nagle ktoś złapał

mnie za kostkę. Spojrzawszy w dół ujrzałem Eusebię. Znajdowała się w stanie, jaki wielokrotnie mogłem zaobserwować u naszych klientów w Wieży Matachina: jej oczy błyszczały podnieceniem, a twarz wykrzywiało pragnienie zwrócenia na siebie uwagi przez co wyglądała jednocześnie młodziej i starzej niż do tej pory. Nie bardzo mogłem zrozumieć, co do mnie wykrzykuje, więc nachyliłem się, aby ją lepiej słyszeć.

- Niewinna! Ona była niewinna!

Nie był to odpowiedni moment na to, aby wyjaśniać jej, że nie ja sądziłem Morwennę, więc tylko skinąłem głową.

- Zabrała mi Stachysa, a teraz nie żyje! Rozumiesz? Była niewinna, a teraz ja jestem szczęśliwa!

Ponownie skinąłem głową i obszedłem jeszcze raz szafot.

- To ja ją zabiłam, nie ty! - wrzasnęła Eusebia.

- Jak sobie życzysz! - odkrzyknąłem.

- Niewinna! Znałam ją, zawsze była taka ostrożna! Na pewno przygotowała sobie jakąś truciznę. Umarłaby, zanim byś się do niej zabrał!

Hethor chwycił ją za ramię i wskazał na mnie.

- To mój pan! Mój własny, najwłaśniejszy!

- A więc zbrodnię popełnił ktoś inny albo może obaj rzeczywiście umarli z powodu choroby...

- Tylko sam Demiurg może wymierzać ostateczną sprawiedliwość! - zawołałem. Tłum nadal hałasował, choć już nie tak bardzo, jak zaraz po egzekucji.

- Zabrała mi Stachysa, a teraz nie żyje! Wspaniale! - I jeszcze głośniej: - Och jakże cudownie!

Wykrzyknąwszy te słowa, Eusebia zanurzyła twarz w bukietach, jakby pragnąc napędnąć płuca po brzegi słodkim aromatem róż, ja zaś wrzuciłem głowę Morwenny do przeznaczonego na to kosza, po czym wytarłem ostrze miecza strzępem szkarłatnej tkaniny, który podał mi Jonas.

Kiedy ponownie spojrzałem na Eusebię, leżała bez życia na ziemi, otoczona kręgiem gapiów.

Wówczas nie poświęciłem temu wydarzeniu większej uwagi, przypuszczając że zapewne serce kobiety nie wytrzymało nadmiaru uniesień. Jednak później tego samego dnia alkad polecił

miejscowemu felczerowi dokładnie zbadać bukiet, okazało się, że kwiaty były nasączone silną trucizną niewiadomego pochodzenia. Przypuszczam, iż Morwenna wchodząc na szafot ścisnęła w dłoni fiolkę z trucizną i zdołała spryskać nią bukiet, kiedy po napiętnowaniu rozpalonym żelazem oprowadzałem ją dookoła pomostu.

\* \* \*

Pozwólcie, że teraz przerwę na chwilę mą opowieść i zwrócę się bezpośrednio do was, mimo że kto wie, czy nie dzieli nas przepaść niewyobrażalnych eonów. Choć wydarzenia, które do tej pory opisałem - od zamkniętej bramy nekropolii do festynu w Saltus - obejmują większą część mego dorosłego życia te zaś, które niebawem przedstawię, rozegrały się w ciągu zaledwie kilku miesięcy, to odnoszę wrażenie, jakbym nie dotarł jeszcze nawet do połowy historii. Ponieważ nie chcę, aby wypełniła ona bibliotekę jeszcze większą od tej, w której poznałem starego Ultana, będę pomijał wiele wydarzeń. Wspominałem o egzekucji Agilusa, brata Agii, ponieważ ma ona wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju wydarzeń, oraz o zgładzeniu Morwenny, ponieważ śmierci tej kobiety towarzyszyły ze wszech miar niezwykle okoliczności, nie będę natomiast opowiadał o innych egzekucjach, chyba że z takich lub innych powodów któraś z nich miałaby okazać się dla was interesująca. Tak więc, jeśli lubujecie się w opisach cierpień i śmierci, nie znajdziecie w mojej opowieści tego, co sprawia wam rozkosz. Powiem tylko że złodzieja bydła spotkało z mojej ręki to, co miało go spotkać, czytając relację z mojej dalszej wędrówki, musicie pamiętać że wykonywałem zawód, którego mnie nauczono, wszędzie tam, gdzie mogłem odnieść z tego jakąś korzyść, choć w samej relacji pomijam te sprawy milczeniem.



# Granica

Tego wieczoru Jonas i ja jedliśmy kolację w pokoju. Przekonałem się na własnej skórze, że bardzo przyjemnie jest być popularnym i powszechnie znanym, ale na dłuższą metę jest to bardzo męczące i człowiekowi szybko nudzi się odpowiadanie w kółko na te same prymitywne pytania i grzeczne odrzucanie pijackich zaproszeń.

Między mną i alkadem doszło do drobnego nieporozumienia w kwestii zapłaty, jaką miałem otrzymać za pracę. Ja zrozumiałem naszą umowę w ten sposób, że oprócz zaliczki którą dostałem dwa dni temu, otrzymam także pełną stawkę za każdego klienta zaraz po jego śmierci, podczas gdy zdaniem alkada miałem dostać wynagrodzenie za wszystkich trzech razem, kiedy skończę z ostatnim. Na coś takiego nigdy bym się nie zgodził, a szczególnie po tym, co usłyszałem od zielonego człowieka (przez wzgląd na lojalność wobec Vodalusa nikomu nie zdradziłem otrzymanej od niego informacji). Jednak kiedy zagroziłem, że nie zjawię się na placu nazajutrz po południu, alkad natychmiast przystał na moje warunki i rozstaliśmy się w zgodzie.

Teraz siedziałem z Jonaszem nad półmiskiem dymiącego mięsiwa i butelką wina, zamknąwszy uprzednio drzwi na skobel i pouczywszy karczmarza że ma nikomu nie mówić iż przebywam pod jego dachem. Byłbym zupełnie spokojny gdyby nie to, że wino w moim kubku przywiodło mi na myśl bolesne wspomnienia o znacznie szlachetniejszym trunku jaki Jonas znalazł w dzbanie minionego wieczoru zaraz po tym, jak potajemnie wy dobyłem z ukrycia Pazur, aby mu się przyjrzeć.

Jonas chyba obserwował mnie, kiedy tak wpatrywałem się w powierzchnię bladoczerwonego płynu, gdyż także nalał sobie wina i powiedział:

- Pamiętaj, że nie jesteś odpowiedzialny za wyroki. Gdybyś tu nie przybył, oni i tak musieliby ponieść karę, a kto wie, czy nie zaznali by większych cierpień, gdyby trafili w mniej sprawne ręce.

Zapytałem go, o czym właściwie mówi.

- Widzę, że rozmyślasz nad tym, co zdarzyło się dzisiaj.

- Moim zdaniem wszystko poszło jak należy.

- Wiesz, co powiedziała ośmiornica po wyjściu z łóżka syreny? „Nie neguję twoich umiejętności, wręcz przeciwnie, ale sprawiasz wrażenie, jakby trochę brakowało ci poczucia humoru”.

- Po egzekucji zawsze jesteśmy nieco przygnębieni - w każdym razie tak powiadał mistrz Palaemon, a ja przekonałem się na własnej skórze, że miał rację. Nazywał to często psychologiczną reakcją wywołaną przez bodźce mechaniczne, co wówczas uważałem za oksymoron, ale teraz nie jestem już tego taki pewny. Widziałeś wszystko, czy może byłeś zbyt zajęty?

- Prawie przez cały czas stałem na stopniach szafotu.

- A więc miałeś dobry widok i z pewnością zauważyłeś, jak wszystko gładko poszło, kiedy postanowiliśmy nie czekać na krzesło. Moje umiejętności wywołały aplauz i podziw, co jednak nie

zmienia faktu, że jestem teraz bardzo zmęczony. Mistrz Palaemon opowiadał często o czymś, co nazywał melancholią tłumy i melancholią sądu. Podobno niektórzy z nas są podatni na jedną z nich, inni wcale, a jeszcze inni na obie. Cóż, wygląda na to, że ja cierpię na melancholię tłumy.

Nie przypuszczam, żebym w Thraksie miał kiedykolwiek okazję przekonać się, czy jestem podatny także na melancholię sądu.

- A na czym ona właściwie polega? - zapytał Jonas, podnosząc kubek do ust.

- Załóżmy, że jakiś kat - na przykład mistrz naszej konfraterni, przebywający na stałe w Cytadeli - spotyka się często z ludźmi należącymi do najwspanialszych arystokratycznych rodów.

Jeżeli wśród więźniów zjawi się niespodziewanie człowiek takiego właśnie pochodzenia, którego w dodatku podejrzewa się o skrywanie informacji niezwyklej wagi, to należy się spodziewać, że do pracy nad nim zostanie skierowany właśnie ów mistrz, o którym już wspomniałem.

Rozmawiając z więźniem, zadając mu setki pytań, widując się z nim kilka razy dziennie, zaczyna wreszcie podświadomie troszczyć się o jego zdrowie i wygodę, tym bardziej że czuje, iż dzięki niemu on sam znajduje się w centrum uwagi.

- Więc kiedy się to kończy, czuje rozczarowanie. Tak, chyba potrafię to sobie wyobrazić.

- Czy nigdy nie byłeś świadkiem publicznej egzekucji, podczas której kata zawiodły umiejętności?

- Nie. Może zjesz jeszcze trochę mięsa?

- Ani ja, ale wielokrotnie o nich słyszałem, i dlatego tak bardzo się niepokoiłem. Czasem klientowi udawało się zerwać pęta i umknąć w tłum, czasem trzeba było kilku ciosów mieczem, aby oddzielić głowę od ciała, kiedy indziej znowu kat tracił wiarę w swoje siły i nie był w stanie doprowadzić ceremonii do końca... Wskakując na szafot nie mogłem wiedzieć, czy za chwilę nie przydarzy mi się jedna z tych rzeczy. Gdyby tak się stało, to byłby dla mnie koniec.

- „Mów sobie, co chcesz, ale to okropny sposób zarabiania na życie”, powiedział ciernisty krzak do dzierzby.

- Doprawdy, nie wiem, co... - Umilkłem nagle, gdyż zauważyłem jakieś poruszenie w drugiej części pokoju. W pierwszej chwili pomyślałem, że to szczur, i wstrząsnąłem się z obrzydzenia, ponieważ odczuwam do tych stworzeń ogromną niechęć - prawdopodobnie dlatego, że często atakowały i dotkliwie kąsały klientów w lochach pod naszą wieżą.

- O co chodzi?

- Coś białego. - Wstałem z krzesła i obszedłem stół dookoła. - Kartka. Ktoś wsunął pod drzwi list do jednego z nas.

- Zapewne kolejna kobieta, która chciałaby się z tobą przespać - mruknął Jonas, ale ja już podniosłem kartkę z podłogi. Była pokryta delikatnym kobiecym pismem. Zbliżyłem ją do świecy,

aby zapoznać się z treścią listu.

*Najdroższy Severianie!*

*Od jednego z życzliwych mi ludzi dowiedziałam się, że przebywasz obecnie w wiosce Saltus, niedaleko stąd. W pierwszej chwili pomyślałam, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, ale potem doszłam do wniosku, że muszę skorzystać z okazji i przekonać się, czy mi wybaczysz.*

*Przysięgam, że nie z własnej woli sprowadziłam na Ciebie cierpienia, przez które bez wątpienia przeszedłeś. Od początku chciałam, żebyś o wszystkim wiedział, ale pozostali nie zgodzili się na to, uważając, że w sprawę mogą być wprowadzeni jedynie ci, których wiedza i udział są absolutnie niezbędne (czyli wyłącznie oni). Upierałam się, ale dali mi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nie będę im całkowicie posłuszna, to odstąpią od swoich zamiarów i pozwolą mi umrzeć. Wiedziałam, że jesteś gotów oddać za mnie życie, więc odważyłam się mieć nadzieję, iż nie zawahasz się także dla mnie cierpieć. Wybacz mi, Severianie.*

*Teraz jestem już daleko i cieszę się prawie całkowitą wolnością - mogę być panią samej siebie pod warunkiem, że będę przestrzegała prostych i bardzo ludzkich wskazówek, jakich udzielił mi dobry ojciec Inire. Opowiem Ci wszystko w nadziei, że kiedy to przeczytasz i poznasz całą prawdę, przebaczysz mi.*

*Wiesz już o moim aresztowaniu, pamiętasz też z pewnością, jak bardzo mistrz Gurloes dbał o moje wygody i jak często odwiedzał mnie w mojej celi lub kazał prowadzić na górę, gdzie przesłuchiwał mnie wraz z innymi mistrzami. Czynił to dlatego, ponieważ mój patron, dobry ojciec Inire, polecił mu mieć mnie pod szczególną opieką.*

*Kiedy wreszcie stało się jasne, że Autarcha nie zamierza mnie uwolnić, ojciec Inire postanowił uczynić to na własną rękę. Nie wiem, jakie groźby zostały skierowane pod adresem mistrza Gurloesa ani jakie poczyniono obietnice, ale okazały się one wystarczające, gdyż na kilka dni przed moją śmiercią - a raczej przed tym, co Ty miałeś uważać za moją śmierć. Najdroższy Severianie - wyjaśnił mi, jak zostało zaaranżowane całe przedsięwzięcie. Rzecz jasna, nie wystarczyło mnie po prostu uwolnić; musiało to nastąpić w taki sposób, aby nikomu nie przyszło do głowy wszczynać jakichkolwiek poszukiwań. Powinnam więc umrzeć, choć instrukcje, jakie otrzymał mistrz Gurloes, kategorycznie, nakazywały mu zachować mnie przy życiu.*

*Teraz z pewnością sam będziesz mógł odtworzyć ścieżkę, którą posuwaliśmy się w gąszczu przeszkód. Postanowiono, że zostanę poddana działaniu urządzenia nie pozostawiającego żadnych śladów na ciele, a mistrz Gurloes wcześniej dokona w nim pewnych przeróbek, dzięki którym nie będę czuła bólu. Później, udając wielkie cierpienie, miałam poprosić Cię, byś pomógł*

*mi je skrócić. Wszystko odbyło się zgodnie z planem: dałeś mi nóż, a ja zrobiłam nim płytkie nacięcie na ramieniu, i wycisnęłam nieco krwi na podłogę tuż przy drzwiach, a następnie rozsmarowałam ją sobie na szyi i położyłam się na łóżku, gdzie mnie znalazłeś, pozornie bez życia.*

*Czy dobrze udawałam? Leżałam bez ruchu, z zamkniętymi oczami, ale doskonale wyczuwałam Twój ogromny ból. Bałam się, że zauważysz łzy, które cisnęły mi się do oczu. Kiedy wreszcie*



*usłyszałam Twoje oddalające się kroki, wstałam, opatrzyłam sobie ramię i umyłam twarz oraz szyję. Wkrótce potem zjawił się mistrz Gurloes, by wyprowadzić mnie z lochów.*

*Wybacz mi.*

*Teraz znowu będę mogła Cię ujrzeć, a jeżeli ojciec Inire uzyska dla mnie przebaczenie - co mi solennie przyrzekł - wówczas będziemy mogli już na zawsze pozostać razem. Musisz jednak przybyć do mnie jak najprędzej, gdyż oczekuję na przyjazd jego wysłannika. Kiedy się zjawi, polecę z nim do Domu Absolutu, by rzucić się do stóp Autarchy, którego imię jest kojącym balsamem na rany jego poddanych.*

*Zachowaj całą rzecz w tajemnicy i skieruj się na północny wschód od Saltus. Kiedy napotkasz strumień płynący w kierunku Gyoll, idź pod jego prąd tak długo, aż dotrzesz do wylotu kopalnianego szybu, z którego wypływa.*

*Teraz zdradzę Ci wielką tajemnicę, pod warunkiem jednak, że zachowasz ją dla siebie: ta kopalnia stanowi tajny skarbiec Autarchy. Zgromadził w niej wielkie ilości złotych monet, sztab oraz szlachetnych kamieni na wypadek, gdyby kiedyś został zrzucony z Tronu Feniksa. Strzegą jej służby ojca Inire, ale Ty nie musisz się ich lękać, gdyż są mi posłuszni, a ja poleciłam im, by przepuścili Cię nie czyniąc żadnych przeszkód. Znalazłszy się w kopalni idź dalej wzdłuż strumienia tak długo, aż wreszcie ujrzysz wielki głaz, pod którym znajduje się jego źródło. Tutaj piszę teraz ten list, i tutaj będę na Ciebie czekać w nadziei, że zdołasz wybaczyć mi to, co uczyniłam.*

*Twoja Thecla*

Nie jestem w stanie opisać ogromnej radości, jaka mnie ogarnęła. Natychmiast zacząłem czytać list po raz drugi, a Jonas, który najpierw zerwał się z krzesła - widocznie obserwując moją twarz doszedł do wniosku, że za chwilę zemdleję - teraz cofnął się o krok, jakby nagle zobaczył

przed sobą szaleńca. Kiedy wreszcie złożyłem list i schowałem go do sakwy, nie zasypał mnie pytaniami (udowadniając po raz kolejny, że naprawdę jest moim przyjacielem), lecz spojrzał na mnie z wyrazem twarzy mającym oznaczać, że w każdej chwili mogę liczyć na jego pomoc.

- Potrzebuję twojego wierzchowca - powiedziałem. - Mogę go wziąć?

- Bardzo proszę, ale...

Ja jednak już otwierałem drzwi.

- Nie możesz jechać ze mną. Jeśli wszystko potoczy się pomyślnie, dopilnuję, aby do ciebie wrócił.

Popędziłem w dół po schodach i wypadłem na podwórze, a w uszach dźwięczał mi głos Thecli przemawiającej do mnie słowami listu. Kiedy dotarłem do stajni, byłem już naprawdę szalony. Rozejrzałem się w poszukiwaniu klaczy Jonasa, jednak zamiast niej, ujrzałem ogromnego rumaka, któremu ledwo sięgałem głową do grzbietu. Nie miałem pojęcia, kto mógłby przybyć na takim

wierzchowcu do tej spokojnej wioski i, szczerze mówiąc, wcale się nad tym nie zastanawiałem. Bez namysłu wskoczyłem na niego, obnażyłem Terminust Est i jednym ruchem przeciąłem wodze, którymi był przywiązany do palika.

Nigdy nie widziałem równie wspaniałego rumaka. Wystarczył jeden sus, byśmy znaleźli się na podwórku, a po drugim byliśmy już na ulicy. Przez mgnienie oka lękałem się, że może zaczepić nogą o którąś z linek napinających płócienne ścianki straganów i namiotów, ale moje obawy okazały się bezpodstawne, gdyż poruszał się zgrabnie jak tancerz. Ulica wiodła na wschód, ku rzece. Jak tylko minęliśmy ostatnie zabudowania, skierowałem go w lewo. Przesadził

jakiś mur z taką samą łatwością, z jaką chłopiec przeskakuje leżący na ziemi patyk, i pogalopował przez rozległe pastwisko, na którym stało bydło skąpane w zielonym świetle księżyca.

Nawet teraz jestem marnym jeźdźcem, wtedy zaś byłem jeszcze gorszym. Myślę, że pomimo głębokiego siodła runąłbym na ziemię, zanim jeszcze pokonaliśmy pierwsze pół mili, gdyby nie to, że mój rumak, choć pędził z ogromną szybkością, jednocześnie sunął gładko jak łódź po spokojnej wodzie. Przypuszczam, iż wyglądaliśmy jak wielki, rozmazany cień: on, czarny jak smoła, i ja, w moim fuliginowym płaszczu. Zwolnił nieco dopiero wtedy, kiedy z donośnym chlupotem wpadliśmy w koryto strumienia, o którym Thecla wspominała w swoim liście.

Wzdłuż strumienia nie biegła żadna ścieżka, musiał więc brnąć przez wodę, co chyba niezbyt mu odpowiadało, gdyż co chwila potrzasał głową i gniewnie parskął. Niebawem zagłębiliśmy się w gęsty las, bardzo podobny do tego, przez jaki wędrowaliśmy z Jonasem, kiedy przy Bramie Żalu ogarnięty paniką tłum oddzielił nas od doktora Talosa i reszty trupy, i wkrótce zaczęliśmy piąć się w górę, pokonując spienione kaskady i głębokie skalne baseny pełne krystalicznie czystej, zimnej wody.

Kiedy minęła mniej więcej jedna wachta, brzegi stały się wyższe i bardziej poszarpane, drzewa zaś mniejsze i pokręcone. W strumieniu trafiało się coraz więcej głazów o równych, obrobionych ręką człowieka krawędziach, co świadczyło o tym, że znaleźliśmy się na terenach górniczych i że pod nami prawdopodobnie ciągną się wyżłobione w skale tunele tworzące sieć ulic wielkiego, podziemnego miasta. Musieliśmy pokonywać coraz większą stromiznę. Mimo ogromnej siły i sprawności mój rumak kilkakrotnie poślizgnął się na kamieniach, więc w pewnej chwili zsiadłem z niego i dalej poprowadziłem za wodze. Posuwając się w ten sposób minęliśmy kilka czarnych wylotów tuneli, z których wnętrza dobiegał jedynie szum płynącej wody. Poza tym wypełniała je nie zmacona cisza.

Wreszcie weszliśmy w coś w rodzaju bardzo wąskiego, głębokiego wąwozu. W odległości około łańcucha przed nami dostrzegłem zamykającą go pionową ścianę, w niej zaś ciemny otwór, przypominający rozdziawione usta przerażonego olbrzyma, z których, niczym strużka śliny, wypływał nasz strumień. Udało mi się znaleźć kawałek suchego gruntu na tyle duży, żeby zmieścił się na nim mój wierzchowiec; zaprowadziłem go tam i przywiązałem resztki wodzy do pnia skarłowaciałego drzewka.

Kiedyś bez wątpienia do wejścia do kopalni prowadził drewniany mostek, lecz teraz nie pozostało po nim nawet wspomnienie. Choć w zielonym blasku księżyca wydawało się, że pionowa ściana jest nie do pokonania, to po dokładniejszych oględzinach dostrzegłem w niej wykute zagłębienia, które

mogły dać jakieś oparcie rękom i stopom. Postanowiłem z nich skorzystać i rozpocząłem wspinaczkę po skalnym urwisku, tuż obok spienionej kaskady.

Kiedy dotarłem do wylotu tunelu, odniosłem wrażenie, że za moimi plecami rozległ się jakiś odgłos. Znieruchomiałem i ostrożnie odwróciłem głowę. Łoskot spadającej wody powinien zagłuszyć każdy dźwięk mniej donośny od sygnału myśliwskiego rogu lub huku eksplozji, ale mimo to nadal wydawało mi się, iż coś niezwykłego dotarło do moich uszu.

W wąwozie panował całkowity spokój. Oczekałem jeszcze kilka i oddechów, po czym doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie j usłyszałem przytłumiony przez szum wody stukot podków mojego wierzchowca, dającego w ten sposób wyraz swojemu zniecierpliwieniu. Nie zwlekając dłużej podciągnąłem się na ramionach i skryłem w nieprzeniknionym mroku wypełniającym wejście do kopalni. Później okazało się, że ocaliło mi to życie.

Każdy rozsądny człowiek na moim miejscu zabrałby ze sobą lampę i duży zapas świec, mnie jednak na wiadomość o tym, że Thecla żyje, ogarnęło tak wielkie podniecenie, iż wyruszyłem bez żadnego przygotowania. Musiałem więc iść naprzód w ciemności. Po dziesięciu krokach resztki rozproszonego blasku księżyca, wpadającego przez wykute w skale wejście, zniknęły za moimi plecami. Brnąłem po kolana w wodzie, niosąc Terminust Est przewieszony przez lewe ramię. Nie obawiałem się o to, że jego ostrze zanurzy się w strumieniu, gdyż tunel był tak niski, że musiałem posuwać się zgięty niemal wpół. Szedłem w ten sposób bardzo długo, przez cały czas lękając się, że zmyliłem drogę, że Thecla czeka na mnie gdzie indziej, i że czeka na próżno.

## **ROZDZIAŁ VI**

### **Błękitne światło**

Tak bardzo przyzwyczailem się do szumu lodowatej wody, że gdybyście mnie zapytali, to powiedziałbym, że szedłem w zupełnej ciszy. Jednak w rzeczywistości wcale tak nie było, a kiedy nagle ciasny tunel rozszerzył się do rozmiarów obszernej komory, to, pomimo ciemności, dowiedziałem się o tym niemal natychmiast, ponieważ zmianie uległa barwa muzyki strumienia.

Postąpiłem jeszcze kilka kroków naprzód, po czym wyprostowałem się ostrożnie, ale moja głowa nie napotkała skalnego sklepienia. Wyciągnąłem w górę rękę - bez rezultatu. Chwyciłem Terminust Est za onyksową rękojeść i podniosłem go najwyżej, jak mogłem - to samo.

A potem zrobiłem coś, co wy, czytający teraz moją relację, z pewnością uznacie za głupotę.

Musicie jednak pamiętać, iż zapewniono mnie, że pilnujące kopalni straże zostały zawiadomione o moim przybyciu i miały nie czynić mi żadnych przeszkód.

Wykrzyknąłem głośno imię Thecli.

- Thecla... Thecla... Thecla... - odpowiedziało mi echo, po czym znowu zapadła cisza.

Przypomniałem sobie, że powinienem dotrzeć aż do miejsca, w którym strumień wypływa spod skały.

Przypuszczalnie tutaj, pod ziemią, miał co najmniej równie urozmaicony przebieg jak na powierzchni. Ruszyłem ostrożnie naprzód, najpierw badając uważnie teren wysuniętą stopą.

Nie zdążyłem jeszcze zrobić nawet pięciu kroków, kiedy poprzez szept wartko płynącej wody usłyszałem jakiś daleki, ale wyraźny odgłos, a zaraz potem ujrzałem światło.

Nie było to szmaragdowe odbicie baśniowych lasów Księżyca, szkarłatny płomień pochodni, złoty blask świecy ani nawet oślepiający snop białego, jaskrawego światła, jaki widywałem czasem nocą, kiedy ślizgacze Autarchy przemykały nad Cytadelą. Przypominało to raczej rozjarzoną mgłę, chwilami pozbawioną barwy, a chwilami jakby żółtozieloną. Nie byłem w stanie określić, jaka odległość dzieli mnie od tego zjawiska ani czy ma ono jakiś kształt. Przez pewien czas migotało przede mną, a kiedy ruszyłem w jego stronę, brnąc z chlupotem w strumieniu, obok pojawiło się drugie, niemal identyczne.

Bardzo trudno jest mi skoncentrować się na wydarzeniach, jakie nastąpiły zaraz potem. Z

pewnością w podświadomości każdego z nas tkwią najbardziej przerażające chwile jego życia, podobnie jak na najniższych poziomach lochów naszej wieży mieszkali ci klienci, których umysły zostały już dawno zniszczone bądź też przeistoczyły się w coś zupełnie niehumanoidalnego.

Podobnie jak ci nieszczęśnicy, nasze ponure wspomnienia wyją przeraźliwie i łomoczą łańcuchami o ściany, lecz niezwykle rzadko są wyprowadzane na światło dzienne.

Przeżycia, jakie stały się moim udziałem we wnętrzu góry, pozostały ze mną tak jak one, i podobnie jak tamte wspomnienia staram się trzymać je w najgłębszych lochach pamięci, lecz mimo to od czasu do czasu przypominają mi o swoim istnieniu. (Nie tak dawno temu, kiedy

„Samru” unosiła się na wodzie blisko ujścia Gyoll, spojrzałem nocą za burtę; wiosła za każdym zanurzeniem pozostawiały na powierzchni rzeki fosforyzujące, bezkształtne ślady, a mnie przez chwilę wydawało się, że są to te podziemne ognie, którym wreszcie udało się mnie dopaść. Co prawda teraz wykonują moje rozkazy, lecz niewielka to dla mnie pociecha).

Jak już powiedziałem, obok pierwszego światła pojawiło się drugie, a wkrótce potem także trzecie i czwarte. Po pewnym czasie było ich już tak wiele, że nie mogłem ich zliczyć, jednak, ponieważ nie wiedziałem, czym naprawdę są, znajdowałem w ich obecności otuchę, wyobrażając sobie, że każdy ze świetlnych punktów to pochodnia lub lampa nie znanego mi rodzaju, trzymana przez jednego ze strażników, o których Thecla wspominała w liście. Po kilku kolejnych krokach zorientowałem się, że światła układają się we wzór przedstawiający strzałę bądź też grot włóczni skierowany w moim kierunku. Usłyszałem też coś w rodzaju stłumionego ryku, bardzo podobnego do tego, jaki dobiegał z Niedźwiedziej Wieży w porze karmienia zwierząt.

Przypuszczam, że nawet wtedy udałoby mi się uciec, gdybym natychmiast zawrócił.

Ja jednak tego nie uczyniłem. Ryk przybrał na sile, dzięki czemu mogłem się zorientować, że wbrew pozorom nie przypomina ani odgłosów wydawanych przez dzikie zwierzęta, ani pomruku wzburzonego tłumu. Przekonałem się także, iż plamy światła wcale nie są takie bezkształtne, jak

wydawało mi się z oddali, lecz mają postać nieregularnych, pięcioramiennych gwiazd.

Dopiero wtedy zatrzymałem się, ale było już za późno.

Niepewny, pełgający blask rozsiewany przez tajemnicze kształty stał się wystarczająco jasny, bym mógł zacząć dostrzegać otaczające mnie przedmioty w postaci niepokojących cieni.

Po prawej i po lewej stronie miałem ogromne skalne bloki, których regularne krawędzie świadczyły o tym, że zostały ociosane przez człowieka. Odniosłem wrażenie, że znalazłem się w podziemnym mieście, zmiążdżonym ciężarem wznoszącej się nad nim góry, z którego mieszkańcy Saltus wydobywali pogrzebane bogactwa. Między blokami w równych odstępach stały przysadziste kolumny, przywodzące na myśl stosy opałowego drewna, w których każdy pniak, choć posiadający własną postać, zdaje się służyć jedynie temu, aby wraz z innymi utworzyć większą całość. Lśniły one lekko odbitym blaskiem poruszających się gwiazd, czyniąc go nie tylko mniej groźnym, ale zarazem piękniejszym.

Przez chwilę zastanawiałem się, czym one mogą być, a potem przeniósłem spojrzenie na pięcioramienne gwiazdy i po raz pierwszy naprawdę je zobaczyłem. Czy kiedykolwiek zdarzyło się wam podążać nocą w kierunku tego, co uważaliście za oświetlone okno samotnej chaty, a po dotarciu na miejsce przekonaliście się, że stoicie u podnóża ogromnej fortecy? Albo czy poślizgnęliście się kiedyś podczas wspinaczki, a odzyskawszy równowagę i spojrzawszy w dół

zobaczyliście przepaść stukrotnie głębszą, niż się spodziewaliście? Jeśli tak, to możecie mieć niejaki wyobrażenie o tym, co czułem. Gwiazdy nie były plamami światła, lecz ludźmi, których uczynił małymi ogrom miejsca, w jakim się znajdowali, gdyż skalna pieczara była większa, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. Ludzie ci - w gruncie rzeczy mało podobni do ludzi, bo zdecydowanie zbyt szerocy w ramionach i dziwnie przygarbieni - pędzili w moją stronę. Ryk, który usłyszałem wcześniej, wydobywał się z ich gardeł.

Zawróciłem, a kiedy przekonałem się, że nie jestem w stanie biec w sięgającej do kolan wodzie, wspiąłem się na brzeg, na którym wznosiły się wielkie skalne bloki. Zajął mi to jednak tyle czasu, że kiedy wreszcie się tam znalazłem, świecące stwory okrążyły mnie ze wszystkich stron, odcinając drogę ucieczki.

Były okropne, choć nie jestem pewien, czy uda mi się dostatecznie plastycznie oddać ich wygląd. Ze swoimi włochatymi, zgarbionymi ciałami, długimi ramionami, krótkimi nogami i także krótkimi karkami przypominały małpy. Ich zakrzywione, ostre zęby, wystające na długość palca pomiędzy grubych warg, przypominały kły smilodona. Jednak ani ich wygląd, ani nawet fluorescencyjne światło, jakim jarzyły się ich futra, nie stały się główną przyczyną mojego przerażenia. Najgorsze były ich twarze, a właściwie ogromne oczy o bladych tęczówkach.

Spoglądając w nie zrozumiałem, że te istoty są w takim samym stopniu ludźmi, jak ja. Niczym starcy uwięzieni w umierających ciałach lub kobiety skazane na przebywanie w cielesnych powłokach, których powaby sprawiają, że są obiektem zakusów ze strony tysięcy mężczyzn, tak ci ludzie byli zamknięci w ciałach odrażających małp, i doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Widziałem to po ich oczach, a było to tym gorsze, że tylko one nie jarzyły się tym niesamowitym blaskiem.

Nabrałem w płuca powietrza, by po raz kolejny wezwać Theclę, lecz w tej samej chwili pojąłem, co się stało, zamknąłem usta i obnażyłem Terminust Est.

Jeden z napastników, większy - a przynajmniej odważniejszy - od pozostałych, ruszył na mnie. W muskularnej ręce trzymał krótką maczugę wykonaną z ludzkiej kości udowej. Kiedy znalazł się prawie w zasięgu miecza, zaczął mi nią grozić, uderzając w lewą dłoń okutą w metal głowicą.

Za moimi plecami rozległ się głośny chlupot; odwróciłem się w samą porę, aby ujrzeć innego małpiszona, brnącego przez wodę w moją stronę. Uskoczył przed ciosem, lecz mimo to udało mi się sięgnąć końcem miecza jego piersi i rozplatać ją na pół.

Upadł, a jego ciało spłynęło z prądem. Wszystko to trwało nic dłużej niż jeden oddech, ale i tak zdążyłem zauważyć, że wszedł do wody z wyraźnym obrzydzeniem i że ograniczała swobodę jego ruchów dokładnie tak samo, jak moich. Starając się mieć na oku jednocześnie wszystkich napastników cofnąłem się do strumienia, po czym ruszyłem powoli w kierunku, z którego przyszedłem. Wiedziałem, że gdyby udało mi się dotrzeć do ciasnego tunelu, to byłbym bezpieczny, ale zdawałem sobie także doskonale sprawę, że atakujący nie pozwolą mi na to.

Ich szeregi gęstniały coraz bardziej, aż wreszcie otaczało mnie co najmniej kilkaset małpoludów. W masie dawali tak dużo światła, iż bez trudu dostrzegłem, że wielkie struktury, które wziąłem za budynki, istotnie nimi były. Wzniesiono je z doskonale dopasowanych kamien-nych bloków, teraz pokrytych grubą warstwą odchodów nietoperzy.

Każda z nieregularnych kolumn składała się z wielu, wylewanych jedna na drugą, warstw metalu - sądząc po kolorze, było to srebro. Kolumny znajdowały się w skupiskach po kilkadziesiąt sztuk, a takich skupisk musiało być w tym podziemnym mieście kilkaset.

Wszystko to dostrzegłem w czasie, jakiego trzeba na wykonanie pół tuzina powolnych, starannie odmierzonych kroków. Kiedy chciałem wykonać siódmy krok, nastąpił atak ze wszystkich stron. Nie miałem czasu na zadawanie czystych ciosów w kark, więc tylko zataczałem mieczem szerokie kręgi, a świst rozcinanego powietrza był tak donośny, że dolatywał

aż do wysokiego sklepienia pieczary, odbijał się od niego i wracał zwielokrotnionym echem, dzięki czemu słyszałem go nawet poprzez ryki i wrzaski napastników.

W chwilach takich jak ta przedziwne rzeczy dzieją się z poczuciem czasu. Pamiętam gromadny atak i moje rozpaczliwe ciosy, lecz teraz wydaje mi się, że wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Dwóch, pięciu, wreszcie dziesięciu małpoludów padło bez życia, aż wreszcie w upiornym blasku ich ciał woda pod moimi nogami wydawała się smoliście czarna, lecz mimo to impet ataku nie osłabł. Nagle poczułem się tak, jakby w ramię trafiła mnie pięść olbrzyma; Terminust Est wyslizgnął mi się z ręki, a napierające zewsząd ciała zwały mnie z nóg i wepchnęły pod wodę. Jeden z napastników wpił się kłami w moje ramię, ale uczynił to bez specjalnego przekonania, jakby bał się, że Pociągnę go za sobą pod wodę i utopię. Korzystając z jego niezdecydowania wbiłem wyprostowane palce w jego

szerokie nozdrza i gwałtownym szarpnięciem złamałem mu kark, mimo że był znacznie twardszy niż u człowieka.

Gdyby wówczas udało mi się wstrzymać oddech na tak długo, bym zdążył dotrzeć pod wodą do tunelu, z pewnością udałoby mi się uciec. Małpoludy straciły mnie z oczu, ja zaś spokojnie dałem się unieść prądowi. Niestety, poczułem, że jeszcze chwila, a pękną mi płuca, więc wystawiłem twarz nad powierzchnię wody, a one natychmiast rzuciły się na mnie całą gromadą.

Dla każdego człowieka nadchodzi kiedyś chwila, w której powinien umrzeć. Dla mnie taka chwila nadeszła właśnie wtedy. Dni, jakie udało mi się przeżyć od tamtej pory, traktuję jako czysty zysk lub dar, na który niczym sobie nie zasłużyłem. Zostałem pozbawiony broni i straciłem władzę w prawym ramieniu. Małpoludy poczuły się bardzo pewne siebie, i chyba to właśnie ocaliło mi życie, gdyż wszystkie naraz rzuciły się, aby mnie zabić, wchodząc sobie nawzajem w drogę. Kopnąłem jednego w twarz, drugi natychmiast złapał mnie za nogę, kątem oka dostrzegłem jakiś błysk, odruchowo wyciągnąłem rękę i zacisnąłem palce. Trzymałem w dłoni Pazur Łagodziciela.

Klejnot rozjarzył się niesamowitym błękitnym światłem, jakbym wessał w siebie trupioblady poblask włochatych ciał i nasycił go j kolorem życia. Na jedno uderzenie serca małpoludy zamarły w całkowitym bezruchu, jakby wsłuchując się w uderzenie ogromnego gongu, a ja uniosłem klejnot wysoko nad głowę. Nie potrafię teraz j powiedzieć, dlaczego przypuszczałem, że jego widok wywoła dziką panikę.

Stało się coś zupełnie innego. Małpoludy ani nie uciekły, ani nie wznowiły ataku, lecz cofnęły się o jakieś trzy kroki, a następnie padły na kolana, zgięły się głęboko i dotknęły czołami podłogi jaskini. Zapadła cisza równie nieprzenikniona jak w chwili, kiedy wkroczyłem do pieczary, wypełniona jednostajnym szumem płynącej wody. Tym razem jednak wszystko widziałem: omszałe srebrne kolumny, przy których stałem, i kraniec wielkiej groty, skąd nadeszli napastnicy.

Zacząłem się powoli cofać. Odrażające stworzenia podniosły głowy, a ja wtedy przekonałem się, że mają zupełnie ludzkie twarze. Jednocześnie zrozumiałem, iż wystające kły, wielkie oczy i płaskie uszy są wynikiem niezliczonych eonów spędzonych w niemal całkowitej ciemności.

Mędrcy twierdzą, że my także kiedyś byliśmy szczęśliwymi małpami żyjącymi w lasach tak dawno temu pochłoniętych przez pustynie, że nawet nie ocalały żadne ich nazwy. Kiedy umysły wiekowych ludzi otula mgła starości, zaczynają zachowywać się jak dzieci. Czy nie może tak być, że w chwili, kiedy stare słońce ostatecznie zgaśnie, pozostawiając nas w ponurej ciemności, cała ludzkość (niczym stary człowiek) stanie się znowu tym, czym niegdyś była? Przez mgnienie oka ujrzałem naszą przyszłość - a przynajmniej jedną z możliwych przyszłości - i poczułem więcej współczucia dla tych, którzy triumfowali w wielkich bitwach, niż dla tych, którzy bezowocnie wlewali swoją krew w szeroko rozwartą paszczę zbliżającej się nocy.

Jak już powiedziałem, zacząłem się powoli cofać. Uczyniłem już kilka kroków, a wciąż nikt nie próbował mnie zatrzymać. Nagle przypomniałem sobie o Terminust Est; nawet gdybym ratował życie uciekając z samego środka najbardziej zaciętej walki, nigdy bym sobie nie darował

jego utraty. Teraz, kiedy nikt mnie nie atakował, coś takiego wręcz nie mieściło mi się w głowie.

Zatrzymałem się, po czym ruszyłem ostrożnie naprzód, rozglądając się w nadziei, że lada chwila ujrzę w błękitnym świetle Pazura znajomy błysk szlachetnej stali.

Twarze tych dziwnych, podobnych do zwierząt ludzi natychmiast pojaśniały. Domyśliłem się, iż mają nadzieję, że zostanę z nimi, a wraz ze mną błękitny blask Pazura. Teraz, kiedy piszę te słowa, taka perspektywa może wydać się okropna, ale wtedy wcale mi się taka nie wydawała.

Na otaczających mnie, okropnych twarzach widziałem jedynie podziw i uwielbienie; dlatego właśnie myślę (tak jak pomyślałem wówczas), iż choć pod pewnymi względami ci mieszkańcy podziemnych miast są gorsi od nas, to pod wieloma innymi mogą być znacznie lepsi, gdyż oprócz przekleństwa okropnej powierzchowności ich udziałem stała się także całkowita niewinność.

Przeszukiwałem uważnie koryto strumienia, ale niczego nie znalazłem, mimo że Pazur świecił coraz jaśniej i jaśniej, aż wreszcie cień skalnego zębu sterczącego z sufitu pieczary stał

się smoliście czarny i nabrał wyraźnych, ostrych konturów. Zdesperowany, zwróciłem się do przycupniętych na brzegach strumienia małpoludów.

- Mój miecz... Gdzie jest mój miecz? Czy zabrał go któryś z was?

Właściwie nie spodziewałem się, że zostanę zrozumiany, ale jednak tak właśnie się stało.

Mieszkańcy podziemi zaczęli coś mamrotać między sobą i dawać mi gestami do zrozumienia, że nie będą już walczyć. Niektórzy wyciągali w moją stronę maczugi i włócznie wykonane z naostrzonych kości, jakby chcieli, żebym im je zabrał.

Wkrótce potem, oprócz szmeru wody i mamrotania małpoludów, w jaskini dał się słyszeć jeszcze jeden dźwięk. Moi niedawni wrogowie natychmiast umilkli. Gdyby jakiś olbrzym ludożerca spożywał posiłek w najgłębszych otchłaniach Urth, to jego potężne zęby wydawałyby właśnie taki odgłos. Łóżysko strumienia, w którym nadal stałem, zakołysało mi się pod nogami, a woda, do tej pory krystalicznie czysta, nagle zmętniała, jakby nagle nasączono ją dymem. Gdzieś głęboko rozległo się ciężkie stąpanie; równie ciężko mogły stąpać tylko wieże Cytadeli w dzień Sądu, kiedy podobno wszystkie miasta i Urth ożyją, by wyjść na spotkanie Nowego Słońca.

Odgłos powtórzył się.

Ludzie-małpy poderwali się z miejsc i zgięci w pół przebiegli w odległy koniec pieczary.

Poruszali się cicho i zwinnie jak nietoperze, a kiedy oddalili się, Pazur natychmiast przygasł. Tak jak się obawiałem, świecił bardziej dla nich, niż dla mnie.

Kiedy rozległ się trzeci krok, światło zupełnie zgasło, ale w ostatniej chwili dostrzegłem Terminust Est leżący na dnie strumienia w najgłębszej wodzie. W całkowitej ciemności schyliłem się, schowałem Pazur Łagodziciela do buta i wziąłem miecz do ręki. Przy okazji przekonałem się, że odzyskałem władzę w ramieniu, które wydawało się równie sprawne i silne, jak przed walką.

Na odgłos czwartego stąpania odwróciłem się i uciekłem z wyciągniętym przed siebie mieczem,



aby nie wpaść na jakąś ukrytą w mroku przeszkodę. Teraz chyba już wiem, co to za stworzenie poruszyło się wtedy w trzewiach kontynentu, ale wtedy tego nie wiedziałem, podobnie jak tego, co właściwie je obudziło - wrzaski małpoludów, blask Pazura czy może jakaś inna przyczyna. Zdawałem sobie tylko sprawę, że zbliża się ku nam coś, przed czym ludzie-małpy - choć tak liczni i tak przerażający - rozpierzchli się niczym iskry przy pierwszym podmuchu wiatru.

## ROZDZIAŁ VII

### Zabójcy

Kiedy teraz wspominam drugie przejście przez tunel, wydaje mi się, że zajęło mi ono więcej niż całą wachtę. Moje nerwy chyba nigdy nie znajdowały się w całkowitym porządku, poddawane bezustannym torturom nielitościwej pamięci, ale wtedy były szczególnie napięte, tak że zrobienie trzech kroków kosztowało mnie tyle, co niejednego całe życie. Rzecz jasna, bałem się. Co prawda, odkąd byłem chłopcem, nikt nigdy nie nazwał mnie tchórzem, a wiele osób nawet podziwiała mnie za odwagę - bądź co bądź, wykonywałem bez drgnięcia powieki moje katowskie obowiązki, walczyłem zarówno w pojedynkach, jak i na wojnie, wspinałem się na urwiste skały, a kilka razy o mało nie utonąłem - ale wydaje mi się, iż różnica między tymi, których określa się mianem odważnych, a tymi, których uważa się za tchórzy, sprowadza się do tego, że pierwsi okazują strach dopiero po pokonaniu niebezpieczeństwa, drudzy zaś przed.

Nikt nie odczuwa lęku podczas nagłego, poważnego zagrożenia, gdyż umysł jest wówczas zajęty znajdowaniem dróg wyjścia i obmyśleniem sposobu jego zwalczania lub uniknięcia.

Tchórz jest tchórzem tylko dlatego, że zabrał ze sobą strach przed czymś zupełnie innym. Ci, którzy nie zdążyli tak postąpić, mogą zadziwić nas swoją nadzwyczajną odwagą.

Mistrz Gurloes, którego jako chłopiec uważałem za najbardziej nieustraszonego człowieka na świecie, ponad wszelką wątpliwość był tchórzem. W okresie, kiedy funkcję kapitana uczniów pełnił Drotte, Roche i ja na zmianę obsługiwaliśmy obu naszych mistrzów. Pewnego wieczoru mistrz Gurloes wrócił do swojego pokoju, kazał nalać sobie kubek wina i zaczął zwierzać się przede mną.

- Severianie, znasz klientkę Ię? To bardzo ładna dziewczyna, córka zamożnego człowieka.

Jako uczeń nie miałem zbyt wielu kontaktów z klientami, więc pokręciłem przecząco głową.

- Ma zostać pozbawiona czci.

- Tak, mistrzu - odparłem, nie mając najmniejszego pojęcia, do czego zmierza.

- To największa hańba, jaka może spotkać kobietę. Mężczyznę zresztą też. Być pozbawionym czci przez kata.

Położył dłoń na piersi i spojrzał mi w oczy. Jak na tak potężnie zbudowanego człowieka miał zdumiewająco małą głowę; gdyby nosił koszulę albo surdut - czego, rzecz jasna, nigdy nie czynił

- Łatwo można by powziąć podejrzenie, iż powypychał czymś ramiona.

- Tak, mistrzu.

- Nie zaproponujesz mi, że zrobisz to za mnie? Taki młody chłopak, pełen wigoru. Tylko nie mów mi, że jeszcze nie możesz.

Dopiero wtedy zrozumiałem, co ma na myśli, i powiedziałem mu, że będąc uczniem nie zdawałem sobie sprawy, iż takie zastępstwo jest możliwe, ale jeśli wyda mi rozkaz, to z pewnością go wypełnię.

- No myślę. Naprawdę jest niezła. Ale wysoka, a ja nie lubię wysokich. Możesz być pewien, że wśród przodków ma nieprawego potomka jakiegoś arystokraty. Krew mówi sama za siebie, jak to powiadają, choć tylko my wiemy, co to naprawdę oznacza. Więc jak, masz ochotę?

Wyciągnął ku mnie kubek, a ja nalałem do pełna.

- Jeżeli taka jest twoja wola, mistrzu...

W rzeczywistości zapaliłem się do tego pomysłu. Jeszcze nigdy nie miałem kobiety.

- Tobie nie wolno, a ja mam obowiązek. Poza tym muszę przecież podpisać odpowiednie dokumenty. Jestem mistrzem tego bractwa od dwudziestu lat i jeszcze nigdy nie sfałszowałem żadnych i dokumentów. Pewnie sądzisz, że nie dam rady?

Taka myśl nawet nie przeszła mi przez głowę, podobnie jak ani przez chwilę nie podejrzewałem, że do czegoś takiego byłby zdolny mistrz Palaemon, którego siwe włosy, zgarbione plecy i słaby wzrok czyniły w oczach uczniów znacznie starszym, niż był w istocie.

- No to popatrz - powiedział mistrz Gurloes i dźwignął się z krzesła.

Należał do tych, którzy potrafią jasno się wysławiać i prosto chodzić nawet wtedy, kiedy są zupełnie pijani. Podeszedł pewnym krokiem do kredensu i wyjął z niego niebieski porcelanowy słój. Przez chwilę wydawało mi się, że naczynie wymknie mu się z rąk, ale nic takiego się nie stało.

- Jest to rzadko spotykany i bardzo potężny środek - powiedział, zdejmując pokrywę. W

środku ujrzałem ciemnobrązowy proszek. - Nigdy nie zawodzi. Kiedyś i ty będziesz musiał z niego skorzystać, więc lepiej, żebyś już teraz dowiedział się o jego istnieniu. Zażyj tylko tyle, ile zmieści ci się pod paznokciem dużego palca, rozumiesz? Jeśli weźmiesz za dużo, przez kilka dni nie będziesz mógł pokazać się ludziom na oczy.

- Zapamiętam, mistrzu.

- Ma się rozumieć, to trucizna. Wszystkie te specyfiki to trucizny, a ta jest wśród nich najsilniejsza. Troszkę więcej niż tyle... i już po tobie. Drugi raz wolno ci to zażyć dopiero w następnej fazie księżyca, rozumiesz?

- Może pozwól bratu Corbinianowi, żeby odważył ci odpowiednią porcję, mistrzu.

Brat Corbinian był naszym aptekarzem. Obawiałem się, że lada chwila mistrz Gurloes połknie całą łyżkę groźnego proszku.

- Mnie? Ja tego nie potrzebuję.

Skrzywiwszy się z odrazą zamknął słoik i odstawił go na półkę w kredensie.

- To wspaniale, mistrzu.

Niespodziewanie mrugnął do mnie.

- Poza tym, mam jeszcze to...

Z przytroczonej do pasa sakwy wyjął żelaznego fallusa. Miał około półtorej piędzi długości i był zaopatrzony w szeroki skórzany rzemień.

Zapewne nie będziecie chcieli mi uwierzyć, ale w pierwszej chwili nie bardzo mogłem się zorientować, do czego miałby służyć ten przedmiot, pomimo cokolwiek przesadnego realizmu, z jakim oddano wszystkie szczegóły. Przemknęła mi niepokojąca myśl, że nadmiar wina sprawił, iż mistrz Gurloes zaczął zachowywać się jak mały chłopiec, który przypuszcza, że nie ma żadnej różnicy między Jego drewnianą zabawką a prawdziwym rumakiem. Zachciało mi się śmiać.

- „Pozbawienie czci”, tak to nazywają. Jak widzisz, nie jesteśmy jednak zupełnie bezradni i możemy ratować się w potrzebie.

Powiedziawszy to uderzył żelaznym fallusem w otwartą lewą dłoń (dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to samo robili ze swoimi maczugami ludzie-małpy), a ja wreszcie zrozumiałem, co ma na myśli, i poczułem, jak ogarnia mnie trudna do opisanego odraza.

Jednak obecnie doznałbym zupełnie innych uczuć. Nie współczułem klientce, ba, nawet w ogóle o niej nie myślałem; w grę wchodziła raczej niechęć do mistrza Gurloesa, który - pomimo swojej siły i postury - musiał odwoływać się do pomocy brązowego proszku albo, co jeszcze gorsze, żelaznego fallusa, który wyglądał tak, jakby odcięto go jakiejś rzeźbie. (Prawdopodobnie tak właśnie się stało). Potem jednak kilkakrotnie byłem świadkiem sytuacji, kiedy musiał

natychmiast przystąpić do działania w obawie, że wyrok nie zostanie wykonany, ponieważ klientka nie dożyje tej chwili. Robił to bez proszku, bez żelaznego fallusa i bez najmniejszej trudności.

A więc mistrz Gurloes był tchórzem. Nie jest jednak wykluczone, że to tchórzostwo było czymś lepszym niż odwaga, jaką ja prezentowałbym na jego miejscu, gdyż odwaga wcale nie zawsze musi być cnotą. Walcząc z małpoludami byłem odważny (przynajmniej według standardów, jakimi się posługujemy, oceniając postawy ludzi w takich jak ta sytuacjach), ale moja odwaga stanowiła jedynie wypadkową połączonego działania ryzykanctwa, zaskoczenia i desperacji. Kiedy wracałem tunelem na powierzchnię, nie mając już żadnych powodów do obaw, bałem się jak nigdy dotąd i kilka razy z pośpiechu o mało nie roztrzaskałem sobie czaszki o niskie sklepienie. Nie zwolniłem

jednak kroku dopóty, dopóki nie ujrzałem przed sobą wylotu tunelu, rozjaśnionego błogosławionym światłem księżyca. Dopiero wtedy zatrzymałem się, a uznawszy, że już nic mi nie grozi, najlepiej jak mogłem wytarłem miecz w połę płaszcza i schowałem go do pochwy.

Następnie przewiesiłem go przez ramię i zacząłem schodzić w dół tą samą drogą, którą dotarłem do wejścia do tunelu, opuszczając się na rękach i wyszukując po omacku nogami wykute w skale wgłębienia. Przebyłem najwyżej jedną trzecią ściany, kiedy w skałę tuż obok mojej głowy uderzyły dwie strzały. Jedna z nich trafiła w jakąś szczelinę, gdyż pozostała na miejscu, jarząc się białym ogniem. Pamiętam, jak bardzo byłem zdumiony, a jednocześnie, jak bardzo modliłem się w duchu, aby napastnicy nie mieli kusz, w których po zwolnieniu cięciwy następuje natychmiastowe załadowanie kolejnego pocisku.

Kiedy zaraz potem trzecia strzała uderzyła jeszcze bliżej niż dwie poprzednie, zrozumiałem, że moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Odepchnąłem się od ściany i runąłem w dół, gdyż podejrzewałem, że kolejny strzał mógłby trafić w cel.

Powinienem był się domyślić, że w miejscu, w którym spadający wysoką kaskadą strumień rozbryzgiwał się na skalnej półce, będzie znajdował się głęboki, wyżłobiony przez wodę basen.

Ponownie zażyłem przymusowej kąpieli, ale ponieważ już i tak byłem mokry, nie sprawiło mi to żadnej różnicy, a nawet spełniło pozytywną rolę, gdyż woda ugasiła rozżarzone odpryski skał, które utkwily w mojej twarzy i rękach i piekły boleśnie.

Nie miałem najmniejszych szans, by pozostać pod wodą, gdyż silny prąd natychmiast porwał

mnie jak patyk i wypchnął na powierzchnię. Tak się szczęśliwie złożyło, że uczynił to z dala od skalnej ściany, dzięki czemu, kiedy wygramoliłem się na brzeg, znalazłem się za plecami napastników, którzy wpatrywali się w miejsce u podnóża skały. Było ich troje: dwóch mężczyzn i kobieta.

- Jestem tutaj, Agio! - zawołałem, po raz ostatni tej nocy obnażając Terminust Est.

Już wcześniej domyśliłem się, że to wszystko jej sprawka, ale kiedy odwróciła się na dźwięk mojego głosu (uczyniła to znacznie szybciej niż towarzyszący jej mężczyźni) i dostrzegłem jej twarz oświetloną blaskiem księżyca, doznałem potwornego wstrząsu, gdyż widok tej straszliwej, a jednocześnie pięknej twarzy oznaczał ponad wszelką wątpliwość, że Thecla naprawdę nie żyje.

Mężczyzna stojący najbliżej mnie okazał się kompletnym głupcem, ponieważ nie nacisnął od razu na spust, lecz najpierw przyłożył kuszę do ramienia. Uchyliłem się, jednym ciosem miecza zwałem go z nóg, Jednocześnie słysząc, jak pocisk wystrzelony przez jego towarzysza przemyka mi nad głową niczym meteor.

Kiedy się wyprostowałem, drugi mężczyzna odrzucił już kuszę właśnie wyciągał kordelas.

Agia i tym razem okazała się szybsza od niego, gdyż zadała cios sztyletem o wąskim ostrzu, zanim on zdążył wyjąć broń z pochwy. Celowała w szyję, ale zdołałem wykonać unik przy pierwszym

pchnięciu i sparować drugie, choć Terminust Est nie najlepiej nadawał się do szermierki. Potem zaatakowałem, zmuszając ją, by się cofnęła.

- Zajdź go od tyłu! - krzyknęła do mężczyzny. Nie odpowiedział, tylko otworzył szeroko usta i machnął rozpaczliwie kordelasem. Zanim się zorientowałem, że nie celuje we mnie, między nami przemknęła jakaś rozsiewająca blask postać, a zaraz potem usłyszałem paskudny odgłos, jaki wydaje rozłupywana czaszka. Agia odwróciła się zwinnie niczym kot i z pewnością wbiłaby zatrute ostrze w ciało człowieka-małpy, ale ja jednym uderzeniem miecza wytrąciłem jej sztylet z dłoni, chwyciłem ją mocno za włosy i gwałtownym szarpnięciem zwałem z nóg, uniemożliwiając ucieczkę.

Małpolud gmerał przy ciele zabitego. Nie wiem, czy szukał łupu, czy po prostu był zdziwiony jego wyglądem. Oparłem stopę na karku Agii, a wtedy człowiek-małpa wyprostował się, odwrócił do mnie, padł na kolana i wyciągnął ku mnie ramiona, a właściwie ramię, gdyż z drugiego pozostał mu jedynie kikut. Bez trudu rozpoznałem równe, czyste cięcie mojego miecza.

Małpolud wymamrotał coś, czego nie rozumiałem.

- Tak, ja to zrobiłem - powiedziałem. - Bardzo mi przykro. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Przemówił ponownie, wpatrując się we mnie z tym samym, błagalnym wyrazem twarzy. Z

kikuta sączyła się jeszcze krew, choć zamieszkujący podziemia ludzie potrafią chyba sami odcinać jej dopływ, gdyż normalny człowiek bez interwencji chirurga już dawno wykrwawiłby się na śmierć.

- Ja uciąłem ci rękę - przemówiłem ponownie - ale zrobiłem to podczas walki, zanim zobaczyliście Pazur Łagodziciela.

Dopiero wtedy domyśliłem się, że zapewne ów nieszczęśnika podążał za mną w nadziei na powtórne ujrzenie klejnotu, pokonując lęk przed tym, co poruszyło się w głębi góry, obudzone wznieconym przez nas zgiełkiem. Sięgnąłem do buta i wydobyłem Pazur. Kiedy Agia zobaczyła, jak blisko była upragnionego klejnotu, jej oczy zapłonęły chciwością, małpolud zaś zbliżył się jeszcze o krok i wyciągnął przed siebie żaloszny kikut.

Przez chwilę staliśmy bez ruchu, przedstawiając z pewnością niezwykły widok dla kogoś, kto ujrzałby nas w zielonkawej poświacie księżyca.

- Severianie! - zawołał ktoś z góry. Rozpoznałem głos Jonasa. Czar prysł. Pośpiesznie zacisnąłem dłoń, w której trzymałem Pazur, człowiek-małpa zniknął w głębokim cieniu między skałami, Agia zaś zaczęła głośno przeklinać i wić się pod moją nogą.

Uciszyłem ją klepnięciem miecza, ale zdjąłem stopę z jej karku dopiero wtedy, kiedy Jonas stanął obok mnie.

- Pomyślałem sobie, że możesz potrzebować pomocy - rzekł. - Widzę jednak, że się myliłem

- dodał, spoglądając na ciała mężczyzn, którzy towarzyszyli Agii.

- To nie była prawdziwa walka - odparłem.

Agia usiadła na kamieniu, rozcierając kark i ramiona.

- Było ich czterech, i na pewno byśmy cię dostali, gdyby nie to, że woda zaczęła wynosić spod ziemi ciała tych świecących potworów. Dwaj stchórzyli i uciekli.

Jonas podrapał się po głowie metalową ręką.

- A więc wzrok mnie nie mylił, choć byłem już prawie pewien, że mam jakieś omamy.

Zapytałem go, co widział.

- Jakąs istotę w świecącym futrze składającą ci hołd. Zdaje się, że trzymałeś przed nim kubek z płonąca brandy albo może kadzidło... Co to jest?

Nachylił się i podniósł coś ze skał na brzegu strumienia, gdzie przed chwilą klęczał człowiek-małpa.

- Maczuga.

- Tak, widzę. - Przy rękojeści znajdowała się pętla ze ścięgien jakiegoś zwierzęcia. Jonas założył ją na przegub. - Kim są ci ludzie, którzy próbowali cię zabić?

- Zrobilibyśmy to, gdyby nie jego płaszcz - odezwała się Agia. - Zobaczyliśmy go, jak wychodził z dziury, ale potem okrył go płaszcz i mój człowiek widział tylko jego ramiona.

Wyjaśniłem najkrócej, jak było można, w jaki sposób poznałem Agię i jej brata, oraz opowiedziałem o śmierci Agilusa.

- A więc przyszła tutaj, żeby do niego dołączyć. - Jonas przeniósł spojrzenie z kobiety na zbroczone krwią ostrze Terminust Est, po czym wzruszył ramionami. - Zostawiłem klacz na górze. Chyba wrócę i sprawdzę, czy nie dzieje się nic złego. Dzięki temu będę mógł później powiedzieć, że nic nie widziałem. Czy to właśnie ta kobieta przysłała ci list?

- Powinienem być od razu się tego domyślić. Kiedyś opowiedziałem jej o Thecli. Ty nic nie wiesz o Thecli, ale ona wiedziała, i dlatego mogła napisać ten list. Wyjawiłem jej wszystko w Ogradach Botanicznych. W liście było sporo błędów oraz słów, których Thecla nigdy by nie powiedziała, ale czytając go nie zwróciłem na to uwagi. - Cofnąłem się o krok i wepchnąłem Pazur głęboko do buta. - Chyba rzeczywiście powinieneś zająć się swoim zwierzęciem. Mój rumak uciekł, więc będziemy jechać na zmianę.

Jonas skinął w milczeniu głową i zaczął wspinać się po skale.

- Czekalaś na mnie, prawda? - zapytałem Agię. - I ja, i mój wierzchowiec usłyszeliśmy jakiś dźwięk. Dlaczego mnie wtedy nie zabiłaś?

- Byliśmy tam, na górze. - Wskazała szczyty skał. - Chciałam, żeby zastrzelili cię już wtedy, kiedy brnąłeś przez strumień, ale oni byli głupi i uparci, jak wszyscy mężczyźni, i powiedzieli, że nie chcą marnować strzał, bo i tak zginiesz z rąk istot zamieszkujących podziemia. Stoczyłam kamień, największy, jaki mogłam poruszyć, ale było już za późno.

- To oni powiedzieli ci o kopalni?

Agia wzruszyła ramionami, a światło księżyca zamieniło jej odkryty kark w coś dużo bardziej cennego i urokliwego od zwykłego ciała.

- Zaraz mnie zabijesz, więc jakie to ma znaczenie? Miejscowi opowiadają różne historie o tym miejscu. Podobno te włochate potwory podczas burzy wychodzą na powierzchnię, kradną zwierzęta, a czasem nawet włamują się do domów i porywają dzieci. Istnieje też legenda, według której strzegą skarbu ukrytego głęboko pod ziemią, więc wspomniałam o niej w liście.

Pomyślałam sobie, że nawet jeśli nie przyszedłbyś do Thecli, to ta wiadomość skłoni cię do przybycia. Czy mogę odwrócić się tyłem, Severianie? Jeśli nie sprawi ci różnicy, to wołałabym nie widzieć, jak uderzasz.

Kiedy to powiedziała, poczułem się tak, jakby ktoś zdjął mi z barków ogromny ciężar. Nie byłem pewien, czy zdołam zadać cios, patrząc jej w twarz.

Uniosłem miecz, który teraz miał spełnić tę samą rolę, co żelazny fallus mistrza Gurloesa.

Wydawało mi się, że chciałem zadać Agii jeszcze jedno pytanie, ale nie mogłem sobie przypomnieć jakie.

- Uderzaj - powiedziała. - Jestem gotowa.

Stałem w rozkroku i wyczułem palcami wyrzeźbioną w osłonie głowę kobiety. Z tej właśnie strony znajdowało się żeńskie ostrze.

- Uderzaj! - powtórzyła Agia.

Ale mnie już nie było w wąwozie.

## **ROZDZIAŁ VIII**

# Armia Vodalusa

Wracaliśmy do gospody w milczeniu i tak powoli, że zanim dotarliśmy do miasta, nad wschodnim horyzontem niebo zaczęło już szarzeć.

- Nie zabiłem jej - powiedziałem, kiedy Jonas zabrał się do rozsiodływania klaczy.

Skinął głową, unikając mojego spojrzenia.

- Patrzyłeś? Powiedziałeś, że nie będziesz.

- Usłyszałem jej głos, kiedy ty stałeś tuż obok mnie. Myślisz, że spróbuje jeszcze raz?

Zaczekałem, aż odniesie siodło do składziku.

- Tak - powiedziałem, kiedy wrócił. - Jestem tego pewien. Nie kazałem jej obiecać, że mnie poniecha, jeśli o to ci chodzi. Zresztą i tak by nie dotrzymała obietnicy.

- Na twoim miejscu zabiłbym ją.

- Tak - odparłem. - Powinienem był to zrobić.

Wyszliśmy razem ze stajni. Zrobiło się już tak jasno, że widzieliśmy studnię na środku podwórza i szerokie drzwi oberży.

- Wcale nie twierdzę, że byłoby to słuszne, tylko że tak właśnie bym uczynił. Wyobraziłbym sobie, że leżę w jakimś brudnym łóżku, zadźgany we śnie, i machnąłbym tym żelastwem. Nie, to nawet na pewno nie byłoby słuszne.

Jonas machnął maczugą pozostawioną na brzegu strumienia przez człowieka-małpę, naśladując niezdarnie ruch, jaki wykonuje kat, kiedy pozbawia ofiarę życia. Na główkę maczugi padło światło, a my zatrzymaliśmy się jak wryci.

Była wykonana z czystego złota.

\* \* \*

Żaden z nas nie miał ochoty skorzystać z atrakcji, jakie czekały na tych, którzy wesoło bawili się na festynie przez całą noc. Wróciliśmy do naszego pokoju i zaczęliśmy sposobić się do snu. Jonas chciał podzielić się ze mną złotem, ale odmówiłem, ponieważ do tej pory to ja miałem pieniądze, które otrzymywałem za swoją pracę i płaciłem za nas obu. Cieszyłem się, że nie będzie już musiał uważać się za mojego dłużnika. Zrobiło mi się wstyd, kiedy zobaczyłem, jak wielkim darzy mnie zaufaniem, ja natomiast ukrywam przed nim Pazur Łagodziciela. Przez chwilę chciałem mu powiedzieć o jego istnieniu, ale ostatecznie zrezygnowałem z tego zamiaru i zdjąłem przesiąknięty wodą but w taki sposób, żeby klejnot pozostał w środku.



Obudziłem się około południa, a upewniwszy się, że Pazur jest na miejscu, obudziłem Jonasa.

- Na jarmark na pewno przyjechali jacyś jubilerzy, którzy może kupią to ode mnie -

powiedział. - W każdym razie, mogę się z nimi potargować. Pójdiesz ze mną?

- Najpierw powinniśmy coś zjeść, a potem muszę zameldować się przy szafocie.

- Z powrotem do roboty?

- Tak.

Mój płaszcz był rozdarty, a buty wciąż wilgotne.

- Daj go do zszycia którejś ze służących. Może nie będzie jak nowy, ale na pewno będzie wyglądał lepiej niż teraz. - Jonas otworzył drzwi. - Chodź, skoro jesteś głodny. Dlaczego masz taką zatroskaną minę?

Kiedy już zasiedliśmy do smacznego posiłku, a żona właściciela naprawiała mój płaszcz w sąsiednim pomieszczeniu, zdałem Jonasowi relację z tego, co zdarzyło się pod ziemią.

- Jesteś dziwnym człowiekiem - odparł.

- Ty jesteś dziwniejszy ode mnie. Przypuszczam, że jesteś tu obcy, choć starasz się to ukryć przed ludźmi.

Uśmiechnął się.

- Miałbym być kakogenem?

- Po prostu cudzoziemcem.

Jonas najpierw pokręcił przecząco głową, a potem niespodziewanie nią skinął.

- Chyba masz rację. Ale ty z kolei dysponujesz talizmanem, dzięki któremu masz władzę nad potworami, i odkryłeś wielkie zapasy srebra, a mówisz o tym tak, jakbyś opowiadał o pogodzie.

Ugryzłem kęs chleba.

- Zgadzam się z tobą, że to dziwne, ale ta dziwność bierze się z samego Pazura, nie ze mnie.

Jeżeli zaś chodzi o to, w jaki sposób o tym mówię... Cóż, gdybym ukradł twoje złoto, mógłbym je sprzedać i wydać pieniądze, na co zechcę, ale nie wydaje mi się, żeby tak samo było z kimś, kto ukradłby Pazur. Nie wiem, dlaczego tak uważam, ale tak właśnie jest. Zwróć uwagę, że to Agia go ukradła. Co się tyczy srebra...

- I włożyła ci go do kieszeni?

- Do sakwy, którą miałem przytroczoną do pasa. Sądziła, że jej brat i tak mnie zabije, a oni wtedy zażądają wydania mojego ciała, żeby zdobyć Terminust Est i płaszcz. Wszystko z góry zaplanowali. Odzyskałaby także klejnot, a gdyby ktoś wcześniej go znalazł, na nią nie padłby nawet cień podejrzenia. Pamiętam dokładnie...

- Co takiego?

- Peleryny. Zatrzymały nas, kiedy próbowaliśmy uciec z katedry. Jonas, czy uważasz, że istnieją ludzie, którzy potrafią czytać w myślach?

- Oczywiście.

- Nie wszyscy są tego tacy pewni. Mistrz Gurloes także w to wierzył, natomiast mistrz Palaemon nawet nie chciał o tym słyszeć. Przypuszczam jednak, że główna kapłanka Peleryn opanowała tę sztukę, przynajmniej do pewnego stopnia. Wiedziała, że to Agia coś im zabrała, nie ja, i dlatego kazała ją przeszukać. Potem Peleryny zniszczyły swoją katedrę. Myślę, że właśnie z powodu utraty Pazura. Bądź co bądź, była to właśnie katedra Pazura.

Jonas przytaknął z powagą.

- Ale nie o to chciałem cię zapytać. Chodzi mi o te kroki. Wszyscy słyszeli o Erebie, Abaii oraz innych istotach mieszkających w morzu, które pewnego dnia pojawią się na lądzie. Wydaje mi się jednak, że ty wiesz na ten temat więcej od nas.

Twarz Jonasa, do tej pory szczerą i otwartą, zamieniła się, w nieprzeniknioną maskę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ponieważ byłeś żeglarzem, a także ze względu na historię, jaką opowiedziałeś, kiedy przechodziliśmy przez bramę. Z pewnością widziałeś moją brązową książkę, którą czytałem w pokoju. Opowiada o wszystkich sekretach świata lub przynajmniej o tym, co sądzili o nich przeróżni magowie. Nie przebrnąłem jeszcze przez nią całą ani nawet przez połowę - mimo że razem z Theclą czytaliśmy co kilka dni jeden ustęp, a potem o nim dyskutowaliśmy - ale i tak zauważyłem, iż wszystkie zawarte w niej wyjaśnienia są bardzo proste, a niektóre wręcz dziecinne.

- Jak moja opowieść.

Skinąłem głową.

- Twoja opowieść mogłaby pochodzić właśnie z tej książki. Niosąc ją Thecli przypuszczałem, że jest przeznaczona dla dzieci albo dla dorosłych lubujących się w dziecinnych historiach, ale kiedy Theclą zaczęła mówić o myślach zawartych w książce, zrozumiałem, że musiały zostać wyrażone właśnie w taki sposób, gdyż w przeciwnym razie nikt nigdy by ich nie wyraził. Gdyby autor chciał opisać nowy sposób produkowania wina albo najlepsze pozycje miłosne, mógłby posługiwać się skomplikowanym, a jednocześnie precyzyjnym językiem. W tej książce jednak powiedział o rzeczach, o których naprawdę musiał powiedzieć: „Na początku był

tylko heksameron" albo: „Nie jest sztuką ujrzeć martwy obraz, lecz martwość tego, co przedstawia". To coś, co usłyszałem w głębi góry... Czy było jedną z nich?

- Ja tego nie widziałem - odparł Jonas, wstając z miejsca. - Teraz pójdę na plac sprzedać maczugę, ale wcześniej powiem ci to, co prędzej lub później każda żona powie mężowi: „Zanim zadasz więcej pytań, zastanów się, czy na pewno chcesz poznać odpowiedzi".

- Ja mam jeszcze tylko jedno pytanie. Obiecuję, że już więcej nie będę cię dręczył. Kiedy szliśmy przez bramę, powiedziałeś, że stworzenia, które tam widzieliśmy, to żołnierze Autarchy i dałeś do zrozumienia, iż mają za zadanie stawić opór Abaii oraz innym potworom. Czy ludzie-małpy także są takimi żołnierzami? A jeżeli tak, to co mogą zrobić, będąc zaledwie ludzkich rozmiarów, przeciwko nieprzyjacielowi wielkości góry? I dlaczego dawni autarchowie nie wybrali ludzi do swojej armii?

Jonas tymczasem zawinął maczugę w jakąś szmatę i teraz stał przy stole, przekładając ją z ręki do ręki.

- To trzy pytania, nie jedno, a pewną odpowiedź znam tylko na drugie z nich. Odpowiadając na dwa pozostałe muszę zdać się na domysły, ale ostrzegam cię, że pamiętam o twojej obietnicy: już nigdy więcej nie będziemy rozmawiać na te tematy. Zacznę od ostatniego pytania. Dawni autarchowie, którzy ani nie byli autarchami w naszym rozumieniu tego słowa, ani nie używali tego tytułu, początkowo tworzyli swoje armie z ludzi. Potem jednak okazało się, że oddziały składające się z ucłowieczonych zwierząt są wierniejsze od tych, w których służyli ludzie. Nic dziwnego, skoro ludność, która nienawidziła swoich władców, istoty te darzyła jeszcze większą nienawiścią. Dlatego żołnierze ci gotowi byli znosić niewygody i cierpienia, o jakich żaden człowiek nawet nie chciałby słyszeć. Prawdopodobnie właśnie dlatego zlecono im obronę Muru, ale nie można wykluczyć, że istnieje inne wytłumaczenie tego faktu.

Jonas umilkł na chwilę i podszedł do okna, lecz nie spojrzął na ulicę, tylko w górę, na niebo.

- Nie mam pojęcia, czy ludzie-małpy należą właśnie do tego gatunku stworzeń. Ten, którego widziałem, wydał mi się bardzo podobny do człowieka, jeśli nie liczyć jego futra, więc jestem gotów zgodzić się z tobą, iż mogą to być ludzie, którzy zmienili się z powodu wielowiekowego zamieszkiwania w podziemnych korytarzach oraz częstych kontaktów z pozostałościami pogrzebanego tam miasta. Nasza Urth jest już bardzo stara, a pod jej powierzchnią bez wątpienia kryją się rozliczne skarby. Złoto i srebro nie ulegają zmianom, lecz ich strażnicy mogą ulegać metamorfozom znacznie bardziej tajemniczym od tych, które przemieniają winogrona w wino i piasek w perły.

- Ale przecież my, żyjący na powierzchni, co noc stajemy twarzą w twarz z ciemnością i często mamy do czynienia ze skarbami wydobywanymi z podziemi, dlaczego więc nie dotknęły nas żadne zmiany?

Jonas nie odpowiedział, a ja przypomniałem sobie o obietnicy, jaką mu złożyłem. Mimo to kiedy odwrócił się od okna i spojrzął na mnie, w jego oczach dostrzegłem coś, co powiedziało mi, że jestem głupcem i że jednak się zmieniliśmy. Po chwili znowu wyjrzał przez okno.

- W porządku, nie musisz nic mówić - powiedziałem. - Ale co z pozostałymi pytaniami, na które

zobowiązałeś się udzielić odpowiedzi? W jaki sposób żołnierze mogą stawić opór morskim potworom?

- Miałeś rację mówiąc, że Ereb i Abaia dorównują rozmiarami córom. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie twoja wiedza. Większość ludzi nie potrafi sobie wyobrazić niczego tak ogromnego i uważa, że te potwory są nie większe od dużych domów albo, powiedzmy, okrętów.

Jednak ich prawdziwe rozmiary są tak wielkie, że żyjąc na tej planecie nigdy nie będą mogły opuścić oceanu, gdyż poza wodą padłyby, zmiażdżone własnym ciężarem. Nie należy więc wyobrażać sobie, że zjawią się przed Murem i zaczną walić w niego pięściami albo ciskać głazy.

Ich siła polega na tym, że posługując się jedynie myślami potrafią zdobyć posłuszeństwo licznych niewolników i rzucić ich do walki przeciwko wszystkiemu, co przeciwstawia się tworzonemu przez nich prawu.

Powiedziawszy te słowa Jonas otworzył drzwi i wyszedł na kipiącą życiem ulicę, ja zaś zostałem z łokciami opartymi na stole, gdyż przypomniałem sobie sen, jaki mi się przyśnił, kiedy dzieliłem łożo z Baldandersem. „Ziemia nie mogła nas utrzymać” - powiedziały ogromne kobiety.

\* \* \*

Dotarłem do takiego punktu mej opowieści, w którym muszę wreszcie napisać o czymś, czego do tej pory starałem się unikać. Wy, którzy teraz czytacie moją relację, z pewnością zauważyliście, iż nie czyniłem specjalnych wysiłków w celu szczegółowego przedstawienia zdarzeń, które miały miejsce wiele lat temu ani dokładnego przytaczania słów, którymi zwracali się do mnie różni ludzie, ani też tych, jakimi im odpowiadałem. Zapewne uznaliście, że zdecydowałem się na taką konwencję w celu nadania mojej opowieści żywszego tempa. Prawda jednak przedstawia się w ten sposób, iż należę do osób dotkniętych przekleństwem pamięci absolutnej. Co prawda nie zapamiętujemy dokładnie wszystkiego, co widzieliśmy. Nie jestem na przykład w stanie przypomnieć sobie kolejności, w jakiej stały książki na półkach w bibliotece mistrza Ultana, ale i tak pamiętam więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie życzyć - na przykład usytuowanie przedmiotów na stole, obok którego przeszedłem, kiedy byłem dzieckiem, oraz to, czy już przywoływałem z pokładów pamięci jakieś wydarzenie, a jeżeli tak, to czy tamto wspomnienie różniło się w jakiś sposób od tego, które pojawiło się w tej chwili.

Właśnie moja zdolność zapamiętywania uczyniła mnie pupilem mistrza Palaemona; pośrednio jest także odpowiedzialna za powstanie tej opowieści, ponieważ gdybym nie był jego ulubieńcem, z pewnością nie wysłałby mnie do Thraxu ze swoim mieczem.

Niektórzy twierdzą, że dobra pamięć osłabia zdolność prawidłowego oceniania tego, co się wokół nas dzieje. Nie potrafię stwierdzić, czy ten pogląd jest słuszny, ale wiem na pewno, iż wiąże się z nią niebezpieczeństwo odmiennego rodzaju, z którym wielokrotnie miałem okazję się zetknąć. Otóż kiedy sięgam w przeszłość, tak jak robię to teraz i jak uczyniłem wtedy, pragnąc odtworzyć mój sen, widzę ją tak dokładnie, jakby była teraźniejszością, równie realną jak wszystko, co otacza mnie w tej chwili. Wystarczy, żebym zamknął oczy, a już mogę wejść do celi zajmowanej przez Theclę, jak uczyniłem pewnego zimowego wieczoru. Moje palce zaraz dotkną skraju jej sukni, nozdrza wypełnią

się zapachem jej perfum przypominającym aromat lilii ogrzanych przy kominku, rozchyłę delikatny materiał jej sukni i obejmę doskonale białe ciało, czując jej piersi przy mojej twarzy...

\* \* \*

Widzicie? Bardzo łatwo jest tracić całe godziny, a nawet dni, na takie wspomnienia. Czasem zapadam w nie tak głęboko, że potem czuję się jak odurzony jakimś silnym narkotykiem albo pijany. Tak było i wtedy. Wciąż jeszcze rozbrzmiewał mi w uszach odgłos kroków, jaki usłyszałem w jaskini małpoludów, a ponieważ nade wszystko pragnąłem wyjaśnić jego tajemnicę, wróciłem do mojego snu, pewien, że wiem, kto go na mnie zesłał, i pełen nadziei, że dowiem się z niego więcej, niż zamierzał ujawnić jego autor.

Znów siedziałem na grzbiecie potwora o skórzastych skrzydłach. Pod nami przelatywały dostojne pelikany i rozwrzeszczane, zwinne mewy.

Ponownie runąłem z wysokości ku nieskończonemu morzu, koziółkując bezradnie w wypełnionej powietrzem pustce. Jednak tuż przed nieuchronnym upadkiem jakaś tajemnicza siła zawiesiła mnie na chwilę nad falami, dzięki czemu zdołałem wygiąć ciało, skierować się głową w dół i ustawić nogi w pionie. Dopiero wtedy wbiłem się w wodę jak nóż, by zaraz potem ujrzeć pod sobą głowę z wężami zamiast włosów, wielogłową bestię, a wreszcie piaskowy ogród.

Olbrzymki uniosły na moje powitanie ramiona wielkości drzew, zakończone palcami o amarantowych szponach, a ja, który jeszcze niedawno byłem zupełnie ślepy, nagle pojąłem, dlaczego Abaia zesłał na mnie ten sen i postanowił wezwać mnie do udziału w największej, ostatniej już wojnie, jaka miała rozegrać się na Urth.

Wspomnienia okazały się silniejsze od mojej woli. Choć doskonale widziałem, że zarówno gigantyczne odaliski, jak i ich ogród, stanowią zaledwie wspomnienie dawnego snu, to jednak nie byłem w stanie oprzeć się fascynacji. Czyjeś ręce chwyciły mnie jak lalkę i podniosły z krzesła w gospodzie w Saltus, ale ja jeszcze przez co najmniej sto uderzeń serca znajdowałem się w głębinach morza, wśród zielonowłosych nałożnic Abaii.

- Śpi.

- Ale ma otwarte oczy.

- Przynieść miecz? - zapytał trzeci głos.

- Przynieś. Może nam się przydać.

Olbrzymki zniknęły. Dwaj mężczyźni odziani w skóry dzikich zwierząt i ubrania z szorstkiej wełny trzymali mnie w żelaznym uścisku, podczas gdy trzeci, o pokrytej bliznami twarzy, przyłożył mi do gardła ostry koniec sztyletu. Człowiek po mojej lewej stronie sięgnął wolną ręką po Terminust Est; był to ten sam czarnobrody ochotnik, który pomagał rozbić zamurowane drzwi domu Barnocha.

- Ktoś nadchodzi.

Mężczyzna z bliznami na twarzy odsunął się. Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, a potem zaskoczony okrzyk Jonasa, kiedy napastnicy wciągnęli go do środka.

- To twój pan, zgadza się? W takim razie nie ruszaj się, przyjacielu, ani nie próbuj wzywać pomocy, bo zabijemy was obu.

## ROZDZIAŁ IX

### Suzeren Liści

Postawili nas twarzami do ściany i związali ręce. Następnie narzucili nam płaszcze na ramiona, przez co postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że idziemy z założonymi do tyłu rękami, i wyprowadzili na podwórze, gdzie przestępował z nogi na nogę ogromny baluchither.

Na grzbiecie miał platformę wykonaną z rogów i metalu. Mężczyzna trzymający mnie za lewe ramię uderzył bestię ościeniem w zgięcie kolana, zmuszając w ten sposób do przyklęknienia, po czym on i jego towarzysze pomogli nam zająć miejsca w palankinie.

Kiedy zbliżaliśmy się z Jonaszem do Saltus nasza droga wiodła wśród wzgórz usypanych ze skał i kamieni wydobytych spod ziemi przez górników. Kiedy pędziłem na złamanie karku, zwabiony listem Agii, także musiałem pokonać ich pasmo, choć zaraz potem zagłębiłem się w las, który z tej strony zaczynał się dość blisko wsi. Teraz jednak jechaliśmy na przełaj przez rozległe hałdy. Oprócz usuniętego z wyrobisk materiału skalnego górnicy wyrzucali tu wszelkie wygrzebane spod ziemi relikty dawno minionej przeszłości, które mogłyby okryć niesławą zarówno ich profesję, jak i rodzinną wioskę. Wszystko to piętrzyło się na wysokość dziesięciokrotnie przekraczającą tę, na jaką wznosił się szeroki grzbiet baluchithera: nieskromne posągi, teraz okaleczone i zdewastowane, ludzkie kości, na których gdzieniegdzie pozostały jeszcze resztki wyschniętej skóry i kosmyki włosów, a także setki, jeśli nie tysiące szczątków tych, którzy, w oczekiwaniu indywidualnego zmartwychwstania, powierzyli swoje ciała kryształowym sarkofagom. Sarkofagi zostały rozbite, ciała zmarłych zaś wały się w groteskowym bezładzie, co sprawiało, że przypominali gromadę opojów, którzy, wracając do domu po całonocnym pijaństwie, zasnęli przy drodze. Ich odzież albo gniła, albo już dawno zdążyła się rozpaść, a oczy wpatrywały się w niebo nie widzącymi spojrzeniami.

Początkowo Jonas i ja próbowaliśmy zagadywać naszych strażników, lecz oni uciszyli nas razami. Teraz, kiedy baluchither oddalił się już dość znacznie od wioski, uspokoili się wyraźnie, więc ponownie zapytałem ich, dokąd nas wiozą.

- W dzicz, która jest domem wolnych mężczyzn i pięknych kobiet - odparł ten o twarzy poranej bliznami.

Zapytałem wówczas, czy wykonują rozkazy Agii, ale on roześmiał się i potrząsnął głową.

- Moim panem jest Vodalus, Władca Lasu.

- Vodalus!

- Tak jest - potwierdził. - A więc go znasz? - Trącił łokciem czarnobrodego mężczyznę, siedzącego wraz z nami na grzbiecie baluchithera. - Na pewno potraktuje cię bardzo łagodnie za to, żeś tak chętnie zgodził się pozabawić głowy jednego z jego sług.

- Owszem, znam go.

Miałem zamiar opowiedzieć mu o moim spotkaniu z jego panem, którego ocalałem przed pewną śmiercią w roku, kiedy zostałem kapitanem uczniów. Pomyślałem jednak, że być może Vodalus zapomniał już o tym wydarzeniu, więc powiedziałem tylko, że gdybym wiedział

wcześniej, że Barnocha jest sługą Vodalusa, to z pewnością nie podjąłbym się jego zgładzenia.

Rzecz jasna skłamałem, gdyż doskonale o tym wiedziałem, a na swoje usprawiedliwienie miałem tylko tyle, że działając szybko i pewnie oszczędziłem skazańcowi niepotrzebnych cierpień.

Jednak kłamstwo nie przyniosło mi wiele pożytku, gdyż wszyscy trzej zarechotali ponuro.

- Minionej nocy wyjechałem z Saltus, kierując się na pomocny wschód - powiedziałem, kiedy ucichli. - Czy teraz też jedziemy w tamtą stronę?

- A więc dlatego nasz mistrz wrócił z pustymi rękami, kiedy wczoraj chciał cię odnaleźć?

Mężczyzna z bliznami na twarzy uśmiechnął się z satysfakcją. Na pewno był bardzo zadowolony, że wykonał zadanie, któremu nie sprostał sam Vodalus.

- Jedziemy na północ, co widać po słońcu - szepnął Jonas.

- Owszem - potwierdził dowódca, najwidoczniej obdarzony bardzo dobrym słuchem. - Ale już niedaleko.

Potem, chyba dla zabicia czasu, opisał mi tortury, jakie jego pan miał przygotowane dla jeńców; większość była zdumiewająco prymitywna i nadawała się raczej do tworzenia teatralnych efektów niż zadawania prawdziwych cierpień.

Na palankin padł cień drzew, zupełnie jakby jakaś niewidzialna ręka zaciągnęła nad nami szczelną zasłonę. Migoczące fragmenty kryształowych sarkofagów pozostały za nami wraz z martwymi spojrzeniami pustych oczodołów, my zaś zagłębiliśmy się w zielony chłód wysokiego lasu. Wśród tych potężnych pni nawet baluchither, mimo że trzykrotnie większy od człowieka, wydawał się mały i niepozorny, my zaś, którzy siedzieliśmy na jego grzbiecie, mogliśmy być karłami z jakiejś bajki, zmierzającymi do nie przewyższającej rozmiarami mrowiska fortecy miniaturowego króla.

Uświadomiłem sobie, że otaczające mnie drzewa osiągnęły te rozmiary na długo przed moim przyjściem na świat i że wyglądały tak jak teraz, kiedy jako dziecko bawiłem się wśród cyprysów i pograżonych w wiecznej ciszy grobowców, oraz że pozostaną takie do ostatnich dni Urth, pijąc łączywie światło umierającego słońca, podczas gdy ja już dawno będę równie martwy jak ci, którzy spoczywali w sąsiadującej z Cytadelą nekropolii. Pojąłem, jak niewielkie w gruncie rzeczy znaczenie ma to, czy zginę, czy też uda mi się przeżyć, choć ja sam przywiązywałem do swego życia

tak wielką wagę. Rozmyślając o tych sprawach wprowadziłem się w dziwny nastrój: byłem gotów walczyć ze wszystkich sił o przetrwanie, choć zarazem nie przykładam specjalnej wagi do tego, czy moja walka zakończy się sukcesem. Wydaje mi się, że właśnie dlatego udało mi się przeżyć; nastrój ów okazał się tak dobrym przyjacielem, że od tej pory starałem się nie rozstawać z nim ani na chwilę, co mi się nawet w znacznym stopniu udało.

\* \* \*

- Severianie, nic ci nie jest?

Spojrzałem na Jonasa ze zdziwieniem.

- Nic. Czyżbym wyglądał na niezdrowego?

- Przez chwilę.

- Zastanawiałem się tylko, dlaczego to miejsce wydaje mi się znajome i próbowałem je zrozumieć. Wydaje mi się, że przypomina mi letnie dni, jakie spędzałem w Cytadeli. Te drzewa prawie dorównują wielkością tamtejszym wieżom, z których wiele było obrośniętych pnączami, przez co w spokojne letnie dni promienie słońca prześlizgujące się po ich powierzchni nabierały takiego właśnie szmaragdowego blasku. Poza tym tutaj jest równie cicho, a w dodatku...

- Tak?

- Zapewne często pływałeś łodziami?

- Od czasu do czasu.

- Ja zawsze o tym marzyłem, ale udało mi się tego dopiąć dopiero wtedy, kiedy wraz z Agią płynąłem na wyspę, na której znajdują się Ogrody Botaniczne, a później gdy pokonywaliśmy Ptasie Jezioro. Łódź porusza się tak spokojnie jak to zwierzę i równie bezszelestnie, jeśli nie liczyć pluśnięcia, które rozlega się od czasu do czasu, kiedy wiosło zanurza się w wodzie.

Wydaje mi się teraz, że płynę przez zalaną powodzią Cytadelę.

Jonas zrobił tak poważną minę, że wybuchnąłem śmiechem i wstałem, aby wychylić się za krawędź palankinu i powiedzieć coś o poszyciu lasu, który przemierzaliśmy, i udowodnić mojemu przyjacielowi, że jestem przy zdrowych zmysłach i że po prostu popuściłem na chwilę wodze fantazji. Jednak gdy tylko podniosłem się z twardego siedzenia, mężczyzna o pooranej bliznami twarzy zerwał się na nogi, wycelował koniec sztyletu w moje gardło i kazał mi natychmiast usiąść. Potrząsnąłem głową, aby go rozzłościć.

Wykonał groźny ruch bronią.

- Siadaj albo poderżnę ci gardło!

- Rezygnując z pochwał, jakie bez wątpienia otrzymasz, kiedy sprowadzisz mnie żywego do obozu?



Wątpię. Ciekawe, co powiedziała by Vodalus, gdyby doniesiono mu, że schwytaleś mnie, a potem zabiłeś w przyływie złego humoru.

Tę właśnie chwilę wybrał los, aby uśmiechnąć się do nas. Człowiek trzymający Terminust Est spróbował wyciągnąć go z pochwy, a nie będąc przyzwyczajony do władania tak długim mieczem poczynił sobie tak, jakby szarpał się z jakimś kijem, który utkwiał w gałęziach.

Wystarczył jeden, nie tak płynny jak wszystkie, krok baluchithera, aby człowiek ten stracił

równowagę i zatoczył się na mężczyznę o twarzy pokrytej bliznami. Ostrze zraniło ich obu, ten z bliznami cofnął się odruchowo. Jonas zaś kopnął go pod kolano i wypchnął poza krawędź

palankinu.

Tymczasem czarnobrody wypuścił z ręki Terminust Est i wpatrywał się z przerażeniem w ranę, która, choć bardzo długa, z pewnością nie była ani głęboka, ani poważna. Znałem swoją broń równie dobrze jak własną rękę, wystarczyła mi więc tylko krótka chwila, aby przykucnąć, złapać za rękojeść, przytrzymać ją stopami, ustawić pionowo ostrze i przeciąć więzy krępujące mi ręce. Mężczyzna z czarną brodą otrząsnął się z zaskoczenia, wyciągnął sztylet i z pewnością zabiłby mnie na miejscu, gdyby Jonas nie kopnął go w krocze. Zgiął się wpół, a ja natychmiast stanąłem nad nim z podniesionym mieczem.

Po ciosie wyprostował się raptownie - dzieje się tak zawsze, kiedy skazaniec nie klęczy, lecz stoi. Wszystko odbyło się tak szybko, że chyba dopiero fontanna krwi, jaka trysnęła z pozbawionego głowy karku, zaalarmowała poganiacza usadowionego tuż za głową zwierzęcia.

Odwrócił się w naszą stronę, a ja dosięgnąłem go czystym poziomym uderzeniem, trzymając miecz w jednej ręce.

Zaraz potem, jak głowa poganiacza spadła na ziemię, baluchither wszedł między dwa ogromne drzewa rosnące tak blisko siebie, że musiał przecisnąć się między nimi jak mysz, która uparła się, by przejść przez wąską szczelinę w murze. Tuż za nimi zaczynała się rozległa polana, porośnięta trawą i paprociami, tu i ówdzie ubarwiona soczyście złotymi słonecznymi plamami.

Tutaj właśnie, pod baldachimem z kwitnącej winorośli, Vodalus kazał wznieść swój tron. W

chwili, kiedy weszliśmy na polanę, siedział na nim z kasztelanką Theą u boku, karząc i nagradzając swoich poddanych.

Jonas nie miał o niczym pojęcia, gdyż leżał na podłodze palankinu, zajęty rozcinaniem więzów, ja natomiast stałem wyprostowany na grzbiecie baluchithera, z obnażonym mieczem, zboczonym krwią aż po rękojeść. Co najmniej sto twarzy zwróciło się w naszą stronę, w tym także twarz arystokraty zasiadającego na tronie oraz przypominająca kształtem serce twarz jego towarzyszki. Wyraz ich oczu powiedział mi, co ujrzeli: ogromne zwierzę o zachlapanych krwią bokach kierowane przez pozbawionego głowy trupa i mnie, z zakrwawionym mieczem w dłoni, w rozwianym fuliginowym płaszczu na ramionach.

Gdybym wtedy zeskoczył z grzbietu zwierzęcia i próbował uciec lub starał się zmusić baluchithera do przyspieszenia kroku, z pewnością bym zginął. Ja jednak, posłuszny nastrojowi, który ogarnął mnie na widok tysięcy od dawna martwych ciał walających się wśród odwiecznych drzew i odpadów przeszłości, nie wykonałem najmniejszego ruchu, baluchither zaś, nie słysząc żadnych poleceń, kroczył powoli wśród rozstępującego się przed nim tłumu, aż wreszcie zatrzymał się tuż przed podium, na którym ustawiono tron i baldachim. Martwy poganiacz runął

na deski u stóp Vodalusa, ja zaś wychyliłem się daleko poza konstrukcję palankinu i uderzyłem płazem w zgięcie kolana najpierw prawej, a potem lewej nogi baluchithera, zmuszając zwierzę do uklęknięcia.

Przez twarz Vodalusa przemknął blady uśmiech, który mógł świadczyć o wielu rzeczach, ale chyba przede wszystkim o rozbawieniu.

- Posłałem ludzi, żeby schwytali kata - powiedział. - Wygląda na to, że im się udało.

Zasalutowałem mu mieczem tak, jak mieliśmy obowiązek czynić, kiedy jakiś arystokrata obserwował egzekucję na Wielkim Dziedzińcu.

- Sieur, twoi ludzie schwytali antykata. Gdyby nie on, twoja głowa potoczyłaby się kiedyś po świeżo skopanej ziemi.

Przyjrzał mi się uważniej, koncentrując uwagę nie na mieczu i płaszczu, lecz na mojej twarzy.

- Tak, to ty byłeś tym młodzieńcem - powiedział wreszcie. - Czyżby minęło już tak wiele czasu?

- Wystarczająco wiele, sieur.

- Porozmawiamy o tym na osobności, gdyż teraz muszę zająć się sprawami publicznymi.

Stań tutaj - dodał, wskazując miejsce po lewej stronie podium.

Wraz z Jonaszem zszedłem z baluchithera, a dwaj giermkowie odprowadzili zwierzę na bok.

Potem mniej więcej przez jedną wachtę przysłuchiwaliliśmy się, jak Vodalus wydaje rozkazy, objaśnia swoje plany, nagradza i karze. Wszystkie wzniesione przez ludzi budowle, pyszniące się mnogością kolumn, łuków i podcieni, stanowią jedynie wykonaną w bezdusznym kamieniu imitację pni i gałęzi drzew rosnących w lesie, ale ja, stojąc przy tronie Vodalusa, odniosłem wrażenie, że nie ma między nimi żadnej różnicy - może z wyjątkiem tej, że kamienne gmachy są szare lub białe, drzewa zaś brązowe i zielone. Wtedy też chyba zrozumiałem, dlaczego nieprzeliczone zastępy żołnierzy Autarchy oraz oddziały tworzone przez arystokratów nie były w stanie pojmać Vodalusa: zajmował najpotężniejszą twierdzę Urth, wielokroć rozleglejszą od naszej Cytadeli, do której ją porównałem.

Wreszcie polecił, aby wszyscy wrócili na swoje miejsca, po czym zszedł z podium i nachylił się nade mną, tak jak ja mógłbym nachylić się nad dzieckiem.

- Kiedyś oddałeś mi przysługę - powiedział. - Przez wzgląd na to daruję ci życie, choć możliwe, iż będziesz musiał przez jakiś czas zostać naszym gościem. Czy teraz, kiedy już wiesz, że nic ci nie grozi, zdecydujesz się mi służyć?

Nawet przysięga, jaką złożyłem Autarsze w dniu mego wyniesienia, nie miała dość mocy, aby zatrzeć wspomnienie tego mglistego wieczoru, od którego zacząłem moją opowieść. W

porównaniu z przysługami, jakie wyświadczamy innym - tworzą one między nami duchowe więzi - przysięgi są jak wątle nici godności. Jeżeli raz ocalimy komuś życie, już na zawsze znajdziemy się w jego władzy. Często słyszałem pogląd, że nie istnieje coś takiego jak wdzięczność. Nieprawda; ci, którzy go głoszą, po prostu szukali jej w niewłaściwym miejscu.

Ten, kto czyni komuś wielką przysługę, przez mgnienie oka zrównuje się z Prastwórcą, a z wdzięczności za ten zaszczyt będzie już do końca swych dni służył temu, dzięki komu stało się to możliwe.

Powiedziałem o tym Vodalusowi.

- Znakomicie! - wykrzyknął, i poklepał mnie po ramieniu. - Chodźmy. Niedaleko stąd przygotowano posiłek. Jeśli ty i twój przyjaciel zasiądziecie do niego wspólnie ze mną, wyjaśnię wam, co należy zrobić.

- Sieur, już raz sprowadziłem hańbę na moje bractwo. Proszę cię tylko o to, abyś nie kazał mi uczynić tego powtórnie.

- Wszystko, co zrobisz, pozostanie w tajemnicy - odparł Vodalus.

To zapewnienie w zupełności mi wystarczyło.

## **ROZDZIAŁ X**

# Thea

Wraz z kilkunastoma osobami zagłębiliśmy się w las, by po mniej więcej półmilowym spacerze dotrzeć do stołu ustawionego między drzewami. Posadzono mnie po lewej stronie Vodalusa i podczas gdy inni jedli, ja tylko udawałem, że się posilam, pożerając wzrokiem jego oraz jego panią, o której tak często myślałem leżąc na pryczy w Wieży Matachina.

Kiedy ocalałem mu życie, psychicznie byłem jeszcze chłopcem, a chłopcom wszyscy dorośli wydają się wysocy, z wyjątkiem tych, których los pokarał naprawdę nikczemnym wzrostem.

Teraz przekonałem się, że Vodalus jest równie wysoki jak Thecla, a może nawet wyższy, i że przyrodnia siostra Thecli Thea co najmniej dorównuje jej wzrostem. Miałem więc dowód świadczący o tym, że naprawdę należą do arystokracji, a nie tylko próbują stworzyć takie wrażenie, jak miała się rzecz w przypadku sieur Racha.

Najpierw zakochałem się właśnie w Thei, czcząc ją za to, że należała do człowieka, któremu ocalałem życie. Theclę kochałem początkowo tylko dlatego, że była podobna do Thei. Teraz (tak jak z odejściem jesieni pojawia się zima, a potem wiosna i lato, i koniec roku staje się jednocześnie jego początkiem) znowu kochałem Theę - ale tym razem dlatego, że przypominała Theclę.

- Widzę, że jesteś wielbicielem kobiet - powiedział Vodalus. Pośpiesznie odwróciłem spojrzenie.

- Wybacz mi, sieur. Nieczęsto miałem okazję przebywać w dobrym towarzystwie.

- Podziwiam twój podziw, więc nie muszę ci niczego wybaczać. Jednak mam nadzieję, że nie przyglądałeś się tej smukłej szyi z myślą o tym, aby ją przeciąć?

- Skądże znowu, sieur.

- Cieszę się, że to słyszę. - Wziął do ręki półmisek z jajami drożdów, wybrał jedno i położył mi je na talerzu. Był to znak wielkiej łaski. - Mimo to przyznam, że jestem nieco zaskoczony.

Wyobrażałem sobie, że człowiek wykonujący twój zawód spogląda na nas, nieszczęsnych ludzi, jak rzeźnik na bydło.

- Trudno mi o tym mówić, sieur, gdyż nigdy nie byłem rzeźnikiem.

Vodalus wybuchnął śmiechem.

- Trafienie! Już prawie żałuję, że zdecydowałeś się mi służyć. Gdybyś pozostał moim więźniem, aby zapłacić, tak jak planowałem, za śmierć nieszczęsnego Barnocha, moglibyśmy prowadzić długie i zajmujące rozmowy. A tak, cóż... Rano już cię tu nie będzie. Jednak wydaje mi się, że mam dla ciebie zadanie, które dobrze będzie współgrać z twoimi naturalnymi skłonnościami.

- Jeżeli ty zlecisz mi to zadanie, sieur, nie będę miał wyboru.

- Doprawdy, marnujesz się na szafocie. - Uśmiechnął się. - Niebawem znajdziemy dla ciebie lepsze zajęcie, ale jeżeli pragniesz mi dobrze służyć, to musisz najpierw zorientować się, jakie pozycje zajmują figury na planszy oraz poznać cel samej gry. Powiedzmy, że grają biali i czarni, przy czym czarni to my - zarówno ze względu na barwę twego stroju, jak i na to, by łatwiej przyszło ci zidentyfikować się ze stroną, po której stoisz. Zapewne wielokrotnie słyszałeś o nas jako o zbrodniarzach i zdrajcach, ale czy obito ci się kiedyś o uszy, co naprawdę pragniemy osiągnąć?

- Zaszachować Autarchę, sieur?

- Byłoby bardzo dobrze, gdyby nam się udało, ale to zaledwie jeden krok, nie zaś ostateczny cel. Przybywasz z Cytadeli, wielkiej fortecy stanowiącej pozostałość dawno minionych dni - jak widzisz, wiem co nieco o twoich wędrówkach - a więc z pewnością zdajesz sobie sprawę, czym jest przeszłość. Czy nigdy nie wydało ci się dziwne, że przed wiekami ludzkość była nie tylko znacznie bogatsza, ale i szczęśliwsza niż teraz?

- Wszyscy wiedzą, że dawniej życie było weselsze i dostatniejsze - odparłem.

- I takie znowu będzie. Synowie Urth ponownie będą żeglować wśród gwiazd, przeskakując z galaktyki do galaktyki, sprawując władzę nad wszystkimi córami słońca.

Kasztelanka Thea, choć nie dała tego po sobie poznać, z pewnością przysłuchiwała się naszej rozmowie, gdyż teraz spojrzała mi w oczy i powiedziała słodkim głosem, przypominającym gruchanie gołębic:

- Czy wiesz, kacie, w jaki sposób doszło do zmiany nazwy naszej planety? Dawno temu ludzie dotarli na czerwoną Verthandi, która nazywała się wtedy Wojna, a ponieważ uważali, że ta nazwa może zniechęcić innych, którzy powinni pójść w ich ślady, zmienili jej nazwę na Present.

Był to żart, gdyż w ich języku słowo to oznaczało zarówno „teraźniejszość”, jak i „upominek”.

W każdym razie tak powiedział mi i mojej siostrze jeden z naszych nauczycieli, choć ja nie potrafię sobie wyobrazić języka, w którym panowałoby takie pomieszanie.

Vodulus słuchał jej z taką miną, jakby nie mógł się doczekać, kiedy skończy, ale dobre manieri nie pozwalały mu przerwać.

- Potem inni, którzy z sobie tylko znanych powodów pragnęli przyciągnąć ludzi na najbliższą słońcu, zdatną do zamieszkania planetę, nadali jej nazwę Skuld, czyli Świat Przyszłości, naszą Urth zaś ochrzczono Światem Przeszłości.

- Obawiam się, że nie masz racji - przerwał jej Vodulus. - Wiem z wiarygodnych źródeł, że nasza planeta nosi swoją obecną nazwę od zamierzchłych czasów, ale twoja opowieść jest tak urocza, że naprawdę wolałbym, abyś to ty miała rację. - Thea uśmiechnęła się, a Vodulus mówił

dalej, kierując swe słowa bezpośrednio do mnie. - Choć historia przytoczona przez moją uroczą kasztelankę nie wyjaśnia, dlaczego Urth nazywa się właśnie tak, a nie inaczej, to jednak wynika z niej jasno, iż w tamtej epoce ludzie przenosili się na swoich statkach z planety na planetę,

podporządkowywali je sobie i wznosili na nich miasta. To były wielkie dni naszej rasy, kiedy ojcowie ojców naszych ojców dążyli do zdobycia władzy nad wszechświatem.

Umilkł, a ponieważ wydawało mi się, że oczekuje ode mnie jakiejś uwagi, powiedziałem:

- Sieur, od tamtej pory nasza wiedza znacznie się skurczyła.

- Trafiłeś w sedno sprawy, oprawco, ale pomimo swojej niezwyklej przenikliwości, dokonałeś błędnej interpretacji. To nie nasza wiedza się skurczyła, tylko możliwości. Badania trwają bez przerwy, lecz mimo że ludzie wiedzą już, czego im trzeba do osiągnięcia doskonało-

ści, to jednak zasoby świata, który zamieszkują, uległy niemal całkowitemu wyczerpaniu.

Żyjemy, niepewni jutra, na ruinach tego, co było przed nami. Kiedy niektórzy śmigają w swoich ślizgaczach po niebie, pokonując w ciągu jednego dnia nawet dziesięć tysięcy mil, inni pełzają po powierzchni Urth, nie mogąc pokonać odległości od jednego horyzontu do drugiego, zanim ten zachodni nie wzniesie się tak wysoko, by pożreć gasnące słońce. Przed chwilą wspomniałeś o zaszachowaniu tego kwilącego głupca, jakim jest Autarcha... Wyobraź sobie nie jednego, lecz dwóch autarchów, reprezentujących dwie strony dążące do ostatecznego zwycięstwa. Biały pragnie zachować rzeczy takimi, jakimi są, czarny zaś stara się ponownie wprowadzić ludzkość na drogę wiodącą ku panowaniu nad światem. Czysty przypadek sprawił, że nazwałem go czarnym, ale nie od *rzeczy* będzie przypomnieć, iż właśnie nocą możemy najlepiej obserwować gwiazdy. W czerwonym blasku dnia są prawie niewidoczne. Powiedz mi teraz, kacie, któremu z tych dwóch władców pragniesz służyć?

Wiatr zakołysał gałęziami drzew, a ja odniosłem wrażenie, że wszyscy biesiadnicy umilkli, wsłuchując się w słowa Vodalusa i czekając na moją odpowiedź.

- Czarnemu, ma się rozumieć.

- Dobrze! Jednak jako człowiek rozsądny z pewnością zdajesz sobie sprawę, iż droga do odzyskania dawnej świetności nie będzie łatwa. Ci, którzy boją się zmian, będą stawiać zacięty opór, musimy więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, by ich pokonać.

Przy stole znowu ożyły rozmowy.

- Sieur, jest coś, czego ci jeszcze nie wyznałem - powiedziałem tak cicho, że nie mógł mnie usłyszeć nikt poza Vodalusem. - Nie chcę skrywać tego dłużej, gdyż mógłbyś pomyśleć, że pragnę cię zdradzić.

Miał znacznie więcej doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów, bo zdążył zająć się jedzeniem, udając, że nie przywiązuje do moich słów większej wagi.

- Doprawdy? Dalej, mów śmiało.

- Mam coś, co ludzie nazywają Pazurem Łagodziciela.

Znieruchomiał jak posąg, z zębami wbitymi w pieczoną gęsią nogę, po czym spojrział na mnie nie odwracając głowy.

- Pragniesz go zobaczyć, sieur? Jest bardzo piękny, a ja mam go przy sobie, w bucie.

- Nie... - szepnął. - To znaczy, chyba tak, ale nie tutaj. Chociaż, może lepiej nie...

- W takim razie, komu powinienem go przekazać?

Dopiero teraz Vodalus oderwał kęs mięsa, przeżuł go i połknął.

- Słyszałem od przyjaciół w Nessus, że Pazur zniknął. A więc ty go masz... Dobrze go pilnuj, dopóki nie uda ci się go pozbyć. Nie próbuj go sprzedać, bo zostanie natychmiast rozpoznany.

Najlepiej ukryj go gdzieś, a jeśli zajdzie taka potrzeba, wrzuć do najgłębszej jaskini.

- Wydaje mi się, sieur, że jest bardzo cenny...

- Ma nieoszacowaną wartość, co oznacza, że jest bezwartościowy. Oprawco, obaj jesteście rozsądnymi ludźmi. - Pomimo tego, co mówił, w jego głosie bez trudu dosłyszałem drżenie. -

Plotka głosi, że to święty klejnot, zdolny czynić przeróżne cuda. Gdyby znalazł się w moim posiadaniu, wielu mogłoby mnie oskarżyć o profanację i uznać za wroga teologii, a nasi panowie okrzyknęliby mnie zdrajcą. Musisz mi powiedzieć...

W tej chwili do stołu podbiegł z zaaferowaną miną jakiś człowiek, którego do tej pory nie widziałem. Vodalus wstał i odszedł z nim na stronę. Pomyślałem, że wyglądają jak przystojny nauczyciel i uczeń, gdyż mężczyzna sięgał Vodalusowi zaledwie do ramienia.

Zająłem się jedzeniem, przypuszczając, że mój rozmówca zaraz wróci do stołu, ale on po wysłuchaniu relacji posłańca odszedł z nim, niknąc za grubymi pniami drzew. Wkrótce inni także zaczęli wstawać od stołu, aż wreszcie pozostali przy nim tylko piękna Thea, Jonas, ja i jeszcze jeden człowiek.

- Masz się do nas przyłączyć, a przecież jeszcze nie znasz naszych zwyczajów - odezwała się Thea. - Czy potrzebujesz pieniędzy?

Zawahałem się, ale Jonas odpowiedział za mnie:

- To coś, co zawsze jest mile widziane, jak nieszczęście, które spotkało starszego brata.

- W takim razie od dzisiaj będziecie uwzględniani przy podziale łupów. Po powrocie otrzymacie należną wam część. Tymczasem każdy z was dostanie pełną sakiewkę na wydatki w czasie podróży.

- A więc wyjeżdżamy? - zapytałem.

- Czyżby wam tego nie powiedziano? Podczas kolacji Vodalus udzielił wam szczegółowych

wskazówek.

Przypuszczałem, że posiłek, który właśnie spożywaliśmy, będzie już ostatnim tego dnia.

Thea chyba wyczytała to z mojej twarzy, gdyż dodała:

- Kolacja rozpocznie się, kiedy księżyc stanie wysoko na niebie. Ktoś po was wtedy przyjdzie. - A potem zacytowała fragment wiersza:

*Biesiaduj o świcie, by oczy otworzyć,*

*Jedź też w południe, zęby nabrać sił,*

*Siądź do stołu wieczorem, by miło pogwarzyć,*

*I ucztuj w środku nocy, żeby mądrym być...*

- Teraz Chuniald, mój służący, zaprowadzi was w miejsce, gdzie będziecie mogli odpocząć przed podróżą.

Mężczyzna, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, podniósł się z miejsca.

- Chodźcie ze mną - powiedział.

- W spokojniejszej chwili chętnie zamieniłbym z tobą kilka słów, kasztelanko - zwróciłem się do Thei. - Mam pewne wiadomości dotyczące twojej szkolnej przyjaciółki.

Nie było wątpliwości, iż zrozumiała, że chodzi o poważną sprawę. Zaraz potem ruszyliśmy za Chunialdem, by po przebyciu co najmniej mili dotrzeć nad porośnięty miękką trawą brzeg strumienia.

- Zostańcie tutaj - powiedział służący Thei. - Spróbujcie się przespać. Przyjdą po was dopiero po zmroku.

- A co by było, gdybyśmy zechcieli odejść? - zapytałem.

- W tym lesie jest wielu takich, którzy znają wolę naszego pana - odparł, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął między drzewami.

Opowiedziałem Jonasowi o wydarzeniach, jakie rozegrały się przy rozkopanej mogile.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcesz przyłączyć się do tego Vodalusa - oznajmił, kiedy skończyłem. - Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że nie jestem jego przyjacielem, tylko twoim, i zależy mi na tym, aby odnaleźć kobietę, którą nazywasz Jolentą. Z tego, co widzę, twoim pragnieniem jest służyć Vodalusowi, dotrzeć do Thraxu i tam rozpocząć na wygnaniu nowe życie, próbując zmasać plamę, jaką uczyniłeś na honorze swojej konfraterni - choć, szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, jak coś takiego można w ogóle splamić - odszukać kobietę o imieniu Dorcas, zawrzeć pokój z inną kobietą o



imienu Agia oraz zwrócić coś, o czym obaj wiemy, zakonowi Peleryn.

Pod koniec swojej przemowy uśmiechał się już szeroko, a ja odpowiedziałem mu głośnym śmiechem.

- Chociaż przypominasz pustułkę, która najpierw przez dwadzieścia lat siedziała nieruchomo na drążku, potem zaś postanowiła polecieć we wszystkie strony świata naraz, to mam nadzieję, że uda ci się zrealizować twoje plany. Ufam jednak, iż zdajesz sobie sprawę z możliwości - bardzo mało prawdopodobnej, niemniej jednak istniejącej - iż jeden lub dwa z nich wejdą w drogę pięciu lub sześciu pozostałym?

- To prawda - przyznałem. - Pragnę osiągnąć wszystko jednocześnie, a chociaż ty odnosisz się do tego z powątpiewaniem, to spróbuję wykrzesać z siebie tyle sił i energii, żeby moje usiłowania zakończyły się powodzeniem. Przyznaję jednak, że sprawy nie układają się tak dobrze, jak by mogły. Goniąc za kilkoma rzeczami naraz znalazłem się zaledwie tu, w cieniu tych drzew, w dodatku jako bezdomny wędrowiec. Ty zaś, mając jeden, dokładnie wytyczony cel... sam oceń, gdzie jesteś.

Na takich rozmowach minęło nam późne popołudnie. Nad naszymi głowami szczebiotały ptaki, ja zaś cieszyłem się, że mam takiego przyjaciela jak Jonas: lojalnego, rozsądnego, pełnego taktu, mądrości, humoru i roztropności. Wówczas jeszcze nie znałem jego historii, ale wyczułem, iż nie bardzo kwapi się, aby wyjawic swoją przeszłość, próbowałem więc uzyskać jakieś informacje w inny sposób, niż zadając bezpośrednie pytania. Dowiedziałem się (a przynajmniej tak mi się wydawało), że jego ojciec był rzemieślnikiem, że oboje rodzice wychowywali go w sposób, który nazwał „zwyczajnym”, oraz że urodził się w portowym miasteczku daleko na południu, ale kiedy odwiedził je ostatnio, zastał tak wiele zmian, że nie miał najmniejszej ochoty tam pozostać.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem go u podnóża Muru, na podstawie wyglądu oceniłem, że jest o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie. Teraz jednak, opierając się na tym, co od niego usłyszałem, doszedłem do wniosku, że moje szacunki były zbyt ostrożne. Jonas wydawał się znać mnóstwo faktów z przeszłości, a ja wciąż byłem naiwny i niewykształcony - pomimo wysiłków Thecli i mistrza Palaemona - święcie wierząc, iż taką wiedzę może osiągnąć jedynie człowiek w dość zaawansowanym wieku. W dodatku mojego przyjaciela charakteryzował subtelny cynizm sugerujący, że Jonas zdążył już zwiedzić spory kawał świata.

Wciąż jeszcze byliśmy pogrążeni w rozmowie, kiedy między drzewami dostrzegłem pełną wdzięku postać kasztelanki Thei. Trąciłem Jonasa łokciem i obaj umilkliśmy, przypatrując się jej uważnie. Zbliżała się do nas, ale jeszcze nas nie dostrzegła, w związku z czym poruszała się powoli i niepewnie jak wszyscy, którzy usiłują znaleźć jakieś miejsce wyłącznie na podstawie udzielonych im wskazówek. Od czasu do czasu samotny promień słońca oświetlał jej zwróconą do mnie profilem twarz; była tak bardzo podobna do Thecli, że nie mogłem oddychać, czując potworny ból w piersi. Jej chód także był identyczny jak chód Thecli; w ten sposób poruszają się dumne dzikie zwierzęta, których nigdy nie powinno zamykać się w klatkach.

- Spójrz na nią! - szepnąłem do Jonasa. - Bez wątplenia pochodzi z bardzo starożytnego rodu. Zupełnie jak driada albo wierzba, która ożyła i ruszyła na przechadzkę.

- Te starożytne rody są najmłodsze ze wszystkich - odparł. - W dawnych czasach w ogóle ich nie

było.

Nie wydaje mi się, aby mogła rozróżnić poszczególne słowa, gdyż była jeszcze zbyt daleko, ale usłyszała jego głos i spojrzała w naszą stronę. Pomachaliśmy do niej, a ona ruszyła szybko w naszym kierunku. Co prawda nie biegła, lecz dzięki swoim długim nogom zbliżała się w zdumiewającym tempie. Wstaliśmy, a kiedy rozłożyła na trawie szal i usiadła na nim, zwrócona twarzą do strumienia, ponownie zajęliśmy swoje miejsca.

- Wspomniałeś, że masz jakieś wiadomości o mojej siostrze? - zaczęła. Kiedy mówiła, wydawała się mniej niedostępna, a siedząc była prawie równa nam wzrostem.

- Byłem jej ostatnim przyjacielem - odparłem. - Mówiła, że na Vodalusa będą czynione naciski, aby poddał się, żeby ją ocalić. Czy wiedziałaś, że została uwięziona?

- Służyłeś jej? - Thea nie spuszczała ze mnie przenikliwego spojrzenia. - Owszem, powiedziano mi, że zabrano ją do tego okropnego miejsca w najgorszej części Nessus, gdzie wkrótce potem umarła.

Przypomniałem sobie, jak długo czekałem przed drzwiami celi, zanim ujrzałem wyciekającą spod nich strużkę krwi Thecli, ale mimo to skinąłem głową.

- Wiesz może, w jaki sposób doszło do jej aresztowania?

Thecla opowiedziała mi o tym ze szczegółami, więc powtórzyłem jej relację, niczego nie pomijając.

- Rozumiem... - Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w milczeniu w płynącą wodę. - Nadal tęsknię za dworskim życiem, ale kiedy słucham o tych wszystkich ludziach i o tym, jak zawinęli ją w gobelin, żeby stłumić krzyki - och, jakie to do nich podobne! - utwierdzam się w przekonaniu, że słusznie postąpiłam rezygnując z niego.

- Myślę, że ona także tęskniła - odparłem. - W każdym razie często o nim opowiadała.

Powiedziała mi jednak, że nie chciałaby tam wrócić. Opowiadała o wiejskiej posiadłości, którą pragnęła odnowić i wyposażyć w nowe meble, aby wydawać tam przyjęcia dla miejscowych notabli i urządzać wielkie polowania.

Przez twarz Thei przemknął gorzki uśmiech.

- Ja mam już dosyć polowań... Ale kiedy Vodalus zostanie autarchą, zasiądę na tronie obok niego. Znowu będę mogła przechadzać się koło Studni Orchidei, tym razem w towarzystwie pięć-

dziesięciu córek arystokratów, które będą umilać mi czas swoim śpiewem... Dosyć tego. Muszę jeszcze poczekać co najmniej kilka miesięcy, a na razie mam to, co mam. - Obrzuciła Jonasa i mnie poważnym spojrzeniem, po czym podniosła się z wdziękiem, dając znak, żebyśmy nie wstawali. - Cieszę się, że mogłam dowiedzieć się czegoś o mojej przyrodniej siostrze. Posiadłość, o której wspominałeś, należy teraz do mnie, choć na razie nie wolno mi tam się zjawić. Jestem ci wdzięczna za wieści, więc przyjmij ode mnie życzliwą radę: strzeż się kolacji, którą wkrótce będziemy razem spożywać. Odniosłam wrażenie, że nie zrozumiałeś aluzji, jakich nie szczędził

ci Vodalus. Czy mam rację?

Skinąłem głową.

- Jeżeli my, a także nasi sojusznicy i panowie w sąsiednich krajach, mamy odnieść zwycięstwo, to musimy wchłonąć wszystko, czego uda nam się dowiedzieć o przeszłości. Czy widziałeś kiedyś analeptyczne alzabo?

- Nie, kasztelanko, ale słyszałem opowieści o tym zwierzęciu. Podobno potrafi mówić, a nocą przychodzi pod drzwi domostwa w którym zmarło dziecko i prosi, żeby wpuszczono je do środka.

- Dawno temu sprowadzono je z gwiazd, podobnie jak wiele innych rzeczy dla pożytku Urth.

Stworzenie to nie dorównuje inteligencją psu, ale jest smakoszem padliny i rabusiem grobów. Po pożarciu ludzkich zwłok przez pewien czas mówi i zachowuje się zupełnie jak człowiek. Do przygotowania specjalnej potrawy wykorzystuje się gruczoł, który mieści się u podstawy jego czaszki. Rozumiesz mnie, opravco?

Kiedy odeszła, Jonas i ja starannie unikaliśmy swojego wzroku, gdyż obaj wiedzieliśmy już, na jaką ucztę zostaniemy zaproszeni tej nocy.

## **ROZDZIAŁ XI**

# Thecla

Kiedy miałem już dosyć siedzenia w milczeniu i bezmyślnego wpatrywania się w trawę, podszedłem do strumienia, ukląknąłem na miękkiej ziemi i zwróciłem cały obiad, który spożyłem w towarzystwie Vodalusa. Kiedy torsje ustały, pozostałem jeszcze przez jakiś czas pochylony nad wodą, oddychając ciężko i drżąc na całym ciele, potem zaś starannie opłukałem zimną wodą twarz i usta.

Czując, że odzyskałem przynajmniej część sił, wróciłem do Jonasa.

- Musimy iść - powiedziałem.

Spojrzał na mnie w taki sposób, jakby mi współczuł, co chyba było zgodne z prawdą.

- Wszędzie dokoła czają się ludzie Vodalusa.

- Widzę, że najnowsze wiadomości nie zaszkodziły ci tak jak mnie, ale chyba zrozumiałeś, co one oznaczają? Poza tym Chuniald mógł kłamać.

- Usłyszałem strażników przechadzających się między drzewami. Nie potrafią poruszać się zupełnie bezszelestnie. Ty masz swój miecz, Severianie, a ja sztylet, ale ludzie Vodalusa mają łuki. Zauważyłem, że większość tych, którzy siedzieli z nami przy stole, była w nie uzbrojona.

Moglibyśmy spróbować ukryć się wśród liści jak skowronki...

Zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć.

- Skowronki są często zabijane, gdyż przyrządza się z nich smakowite dania.

- Ale nikt nie poluje na nie w nocy. Za niecałą wachtę robi się zupełnie ciemno.

- Pójdiesz ze mną, jeśli mimo wszystko zjawią się po nas? - Spytałem, wyciągając do niego rękę. Jonas chwycił ją i mocno uściśnął.

- Nieszczęsny Severianie, mój przyjacielu... Opowiedziałeś mi o tym, jak spotkałeś Vodalusa, kasztelanę Theę i jeszcze jednego człowieka przy rozkopanym grobie. Czy naprawdę nie wiedziałeś, do czego jest im potrzebne to, co w nim znaleźli?

Oczywiście, że wiedziałem, ale wówczas nie przywiązywałem do tego większej wagi. Teraz przekonałem się, że nie wiem, co powiedzieć, i że właściwie nawet nie jestem w stanie o niczym myśleć, gdyż ogarnęło mnie tylko jedno, przemożne pragnienie, aby noc nadeszła jak najszybciej.

Jednak ludzie Vodalusa zjawili się po nas znacznie wcześniej. Czterech barczystych osiłków, prawdopodobnie wieśniaków, było uzbrojonych w berdysze, piąty zaś, który przypominał nieco szlachcica, miał lekki oficerski miecz. Możliwe, że wszyscy oni znajdowali się w tłumie, który obserwował nasze przybycie, gdyż najwyraźniej woleli nie ryzykować. Choć zwracali się do nas bardzo przyjaźnie, to stanęli w bezpiecznej odległości z bronią w każdej chwili gotową do użycia.

Jonas zachowywał się niezwykle dzielnie, gdyż gawędził z nimi przez całą drogę, ja natomiast nie byłem w stanie wykrztusić słowa i szedłem tak, jakby prowadzono mnie na koniec świata.

Podczas naszej wędrówki Urth ostatecznie odwróciła twarz od słońca. Przez gęste liście nie mógł przedrzeć się blask nawet najjaśniejszych gwiazd, ale nasi przewodnicy doskonale znali drogę. Wielokrotnie otwierałem już usta, aby zapytać, czy będziemy zmuszeni do uczestnictwa w uczcie, choć w głębi duszy doskonale wiedziałem, że odmowa - a nawet podejrzenie o chęć odmowy - będzie oznaczała koniec zaufania, jakim chyba obdarzył mnie Vodalus, oraz narazi mnie na utratę wolności, a kto wie czy nie życia.

W miarę jak pogrążałem się w coraz głębszej rozpacz, nasi strażnicy robili się coraz weselsi, odpowiadając na uwagi Jonasa i ciesząc się tak, jakby szli do oberży albo burdelu.

Jednak mimo że w ich głosach bez trudu dosłyszałem nutę oczekiwania, to żarty, jakimi się przerzucali, były dla mnie równie niezrozumiałe jak dla małego dziecka przekomarzenie się ulicznic.

- Znowu chcesz się utopić, jak poprzednim razem? (Pytanie zadał jeden z mężczyzn zamykających nasz mały pochód).
- Na otchłanie Erebu, zanurzę się tak głęboko, że nie zobaczycie mnie wcześniej niż następnej zimy.
- Czy któryś z was już ją widział?

To był chyba dowodzący oficer. Żołnierze byli tylko podochoceni, natomiast jego głos był przesycony pragnieniem tak wielkim, że aż trudno sobie wyobrazić, że mogło się skryć za kilkoma prostymi słowami. Przywodził na myśl zagubionego wędrowca, pytającego o drogę do domu.

- Nie, waldgrafie.

Inny głos:

- Aicmund mówi, że jest w sam raz: ani za stara, ani za młoda.
- Mam nadzieję, że to nie żadna trybada.
- Nie wiem, ale...

Przestałem przysłuchiwać się rozmowie, gdyż między drzewami dostrzegłem migotanie ognia, a po przejściu jeszcze kilku kroków ujrzałem płonące pochodnie i usłyszałem gwar wielu głosów. Ktoś kazał nam się zatrzymać, a wtedy oficer wysunął się naprzód i szeptem podał hasło.

Niedługo potem siedziałem już na leśnej ściółce, mając Jonasa po prawej, a niski fotel z rzeźbionego drewna po lewej stronie. Oficer zajął miejsce po prawej ręce Jonasa, pozostali ludzie zaś (wydawało się, że czekali tylko na nasze przyjście), usiedli kręgiem wokół dymiącej pomarańczowej lampy zawieszanej na gałęzi drzewa.

Doliczyłem się nie więcej niż jednej trzeciej tych, którzy otaczali tron Vodalusa, ale z ich strojów i broni łatwo było się domyślić, iż są to sami dobrze urodzeni oraz kilku oficerów, zapewne dowodzących ulubionymi oddziałami Vodalusa. Na każdą kobietę przypadało czterech lub pięciu mężczyzn, lecz wszystkie wyglądały równie groźnie jak oni i wydawały się z jeszcze większą niecierpliwością oczekiwać Początku uczt.

Oczekiwanie przeciągało się, aż wreszcie Vodalus wyłonił się z ciemności i szybkim krokiem przeszedł przez krąg w jego najszerszym miejscu. Zebrani poderwali się na nogi, po czym, kiedy ich pan i władca zasiadł na rzeźbionym fotelu po mojej lewej stronie, ponownie zajęli miejsca.

Zaraz potem pośrodku kręgu, pod pomarańczową lampą, stanął człowiek w liberii. W rękach trzymał tacę z dwiema butelkami, dużą i małą, oraz kryształowym pucharem. Powitał go szmer zadowolenia, na który składały się ciche pomruki, głośne oddechy i nieświadome mlaskanie wargami. Człowiek w liberii zaczął, aż te odgłosy ucichną, po czym podszedł do Vodalusa, pokonując dzielącą ich odległość pewnymi, starannie odmierzonymi krokami.

- Wyciąg z alzabo, o którym ci wspomniałam, znajduje się w mniejszej butelce - rozległ się za moimi plecami gołębi głos Thei. - Większa butelka zawiera wywar z ziół, działający kojąco na żołądek. Wypij pełen łyk tej mieszanki.

Vodalus odwrócił się i spojrzał na nią z zaskoczeniem. Thea weszła do wnętrza kręgu, przechodząc najpierw między Jonasem a mną, potem między Vodalusem a człowiekiem w liberii, by wreszcie zając miejsce po lewej stronie Vodalusa. Ten nachylił się ku niej, jakby chciał

coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili człowiek w liberii zaczął mieszać w kryształowym pucharze zawartość obu butelek, Vodalus zrezygnował więc ze swojego zamiaru.

Służący wykonywał pucharem okrężne ruchy, aby zawartość naczynia rozkołysała się jak najmocniej, sięgając jego krawędzi.

- Bardzo dobrze - pochwalił Vodalus sługę, po czym ujął puchar w obie ręce, przytknął do ust, a następnie przekazał mnie. - Jak już powiedziała ci kasztelanka, musisz wypić pełen łyk.

Jeżeli wypijesz mniej, nie zaznasz żadnych wrażeń, a jeżeli więcej, to dla ciebie będzie to bez znaczenia, ale niepotrzebnie zużyjesz zbyt dużo cennego specyfiku.

Napiłem się, tak jak mi kazał. Mikstura okazała się potwornie gorzka, zimna i cuchnąca.

Przywiodła mi na myśl pewien zimowy dzień sprzed wielu lat, kiedy polecono mi oczyścić rurę kanalizacyjną odprowadzającą poza mur odchody z kwater czeladników. Przez chwilę wydawało mi się, że znowu chwycą mnie mdłości, tak jak niedawno nad strumieniem, choć w moim żołądku nie pozostało już nic, co mógłbym zwrócić. Zakrztusiłem się, z trudem przełknąłem to, co miałem w ustach, po czym przekazałem puchar Jonasowi. Jednocześnie ze zdziwieniem stwierdziłem, że niemal nie nadażam z przełykaniem napływającej mi do ust śliny.

Jonas miał jeszcze większe trudności niż ja, ale jakoś zdołał je pokonać i podał puchar waldgrafowi,

który dowodził eskortującym nas oddziałem. Obserwowałem, jak naczynie wędruje z rąk do rąk. Jego zawartość wystarczała dla około dziesięciu osób. Kiedy było już puste, człowiek w liberii wycierał starannie krawędź, napełniał je ponownie i podawał następnemu w kolejności. Stopniowo tracił zwykle ludzkie kształty, aż wreszcie wydawał się jedynie kolorową figurką, marionetką wystruganą z kawałka drewna. Natychmiast przypomniałem sobie marionetki, które widziałem we śnie tej nocy, kiedy dzieliłem łożę z Baldandersem.

Także krąg, w którym siedzieliśmy - choć wiedziałem, że składa się z trzydziestu lub czterdziestu osób - wyglądał tak, jakby został wycięty z papieru; siedzący obok mnie Vodalus i Jonas niczym nie różnili się od normalnych ludzi, ale już waldgraf i Thea sprawiali wrażenie niemal zupełnie płaskich, jakby dwuwymiarowych.

Kiedy mężczyzna w liberii dotarł do kasztelanki, Vodalus podniósł się z miejsca i raczej popłynął, niż poszedł w kierunku pomarańczowej latarni, zupełnie jakby zaniósł go tam mocniejszy powiew wiatru. Skąpany w jej blasku wydawał się bardzo daleki, a mimo to czułem na sobie jego spojrzenie, tak jak czuje się żar buchający z żelaznego kosza wypełnionego rozpalonymi węglami, w którym rozgrzewa się narzędzia tortur.

- Przed przystąpieniem do wspólnoty musicie złożyć przysięgę - powiedział, a okoliczne drzewa skinęły poważnie koronami. - Czy przysięgacie na drugie życie, które wkrótce otrzymacie, że nigdy nie zdradzicie tych, którzy się tutaj zbrali? Czy przysięgacie służyć bez wahania Vodalusowi, nawet za cenę śmierci, gdyby zaszła taka potrzeba?

Spróbowałem kiwnąć głową, idąc w ślady drzew, ale odniosłem wrażenie, że to za mało, więc powiedziałem głośno:

- Przysięgam.

- Tak - zawtórował mi Jonas.

- I że będziecie posłuszni każdej osobie wyznaczonej przez Vodalusa, tak jak jemu samemu?

- Tak.

- Tak.

- I że ta przysięga będzie ważniejsza od innych, złożonych wcześniej albo później?

- Tak - powiedział Jonas.

- Tak - powtórzyłem za nim.

Wiatr ucichł, zupełnie jakby jakiś niespokojny duch nawiedził zgromadzenie, po czym zniknął. Vodalus ponownie zasiadł w rzeźbionym fotelu i nachylił się ku mnie. Nawet jeżeli mówił mniej wyraźnie niż do tej pory, to ja tego nie zauważyłem, ale wyraz jego oczu powiedział

mi, że znajduje się już pod silnym wpływem alzabo, może nawet równie silnym jak ja.

- Nie jestem uczonym - zaczął - ale wiem, że wniosłe cele osiąga się często za pomocą bardzo prostych środków. Narody łączą się dzięki wymianie handlowej, kość słoniową i rzadkie gatunki drewna tworzące ołtarze łączy klej z wygotowanych kości wcale nie szlachetnych zwierząt, do połączenia mężczyzny i kobiety służą najbardziej wstydlive części ich ciał... Tak właśnie połączyliśmy się ja i ty, i w taki właśnie sposób już za kilka chwil połączymy się ze zmarłym, który na pewien czas ożyje w każdym z nas dzięki specyfikowi uzyskanemu z mózgu ohydnej bestii. W taki sam sposób na gnoju wyrastają piękne kwiaty.

Skinąłem głową.

- Sztuki tej nauczyliśmy się od naszych sojuszników - tych, którzy czekają, aż człowiek odzyska dawną niewinność, aby wraz z nimi wziąć udział w podboju wszechświata. Znają ją także ci, którzy pragnęliby wykorzystać ją do niecznych celów. Mówię ci o tym, ponieważ, kiedy już dotrzesz do Domu Absolutu, prawdopodobnie ich spotkasz. Prości ludzie zwą ich kakogenami, bardziej wykształceni zaś ekstrasolarianami lub hierodulami. Musisz być bardzo ostrożny i starać się nie zwrócić ich uwagi, gdyż obserwując cię z bliska mogliby poznać, że zażywałeś wyciągu z alzabo.

- Dom Absolutu? - Dźwięk tych słów rozproszył na chwilę opary, które spowiły mój umysł.

- Tak jest. Mam tam człowieka, któremu muszę przesłać polecenia, a właśnie dowiedziałem się, że za kilka dni wystąpi tam aktorska trupa, do której niedawno należałeś. Dołączysz do nich, po czym przekażesz to, co ci teraz dam - mówiąc te słowa zaczął grzebać w fałdach tuniki -

człowiekowi, który podejdzie do ciebie i powie: „Morska flota zbliża się do lądu”. A gdyby on z kolei przekazał ci jakąś wiadomość, powtórzysz ją temu, od kogo usłyszysz następujące hasło:

„Przybywam z najgłębszych otchłani niewiedzy”.

- Panie, kręci mi się w głowie... - szepnąłem, a następnie powiedziałem coś, co było całkowitą nieprawdą: - Nie jestem w stanie zapamiętać tych słów. Szczerze mówiąc, już wyleciały mi z głowy. Czy mam rozumieć, że Dorcas i pozostali będą w Domu Absolutu?

Vodalus wcisnął mi w dłoń mały przedmiot, który bardzo przypominał kształtem nóż, choć nim nie był. Wykonano go z tego samego gatunku stali, jakim uderza się o krzemień, aby uzyskać iskrę.

- Na pewno nie zapomnisz - powiedział. - Podobnie jak nie zapomnisz złożonej mi przysięgi.

Wielu z tych, których tu widzisz, sądziło, że nigdy do mnie nie powróci.

- Ale, sieur, przecież Dom Absolutu...

Spomiędzy drzew rosnących po drugiej stronie kręgu dobiegły dźwięki fletu.

- Wkrótce będę musiał odejść, aby przyprowadzić oblubienicę, lecz ty niczego się nie lękaj.

Jakiś czas temu spotkałeś pewnego borsuka, który należy do mojej kompanii...



- Hildegryn! Sieur, już nic z tego nie rozumiem.

- Rzeczywiście, używa także tego imienia. Uznał, że pojawienie się kata tak daleko od Cytadeli - w dodatku takiego, który często o mnie wspomina - stanowi dość niezwykle wydarzenie, kazał więc cię śledzić, choć nic nie wiedział o tym, że kiedyś ocaliłeś mi życie.

Niestety, jego wysłannicy stracili cię z oczu przy Murze, i od tej pory obserwowali jedynie twoich przyjaciół w nadziei, że ponownie się do nich przyłączysz. Przypuszczałem, że jako wygnaniec dołączysz do nas i zachowasz nieszczęsnego Barnocha przy życiu wystarczająco długo, abyśmy zdążyli go ocalić. Zeszłej nocy osobiście pojechałem do Saltus, aby z tobą porozmawiać, ale nie zastałem cię, a w dodatku ktoś ukradł mi wierzchowca. W związku z tym dzisiaj musieliśmy sprowadzić cię tutaj siłą, lecz ja nadal miałem nadzieję, że uznasz słuszność naszej sprawy, i dlatego poleciłem moim ludziom, aby wzięli cię żywcem. W ten sposób straciłem trzech, a zyskałem dwóch. Mam nadzieję, że mimo wszystko zrobiłem dobry interes.

Vodulus umilkł i niezbyt pewnie dźwignął się z miejsca. Dziękowałem świętej Katarzynie, że nie muszę go naśladować, gdyż byłem pewien, że nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa. Przy dźwiękach fletu między drzewami przesunęło się coś białomglatego, co najmniej dwukrotnie wyższego od człowieka. Vodulus ruszył w tamtą stronę odprowadzany spojrzeniami wszystkich zebranych.

- Urocza, prawda? - szepnęła Thea, pochyliwszy się ku mnie nad jego fotelem. - Potrafią już czynić prawdziwe cuda.

Mglisty kształt okazał się kobietą siedzącą w srebrnej lektyce którą niosło sześciu mężczyzn.

Przez chwilę myślałem, że to Thecla gdyż w pomarańczowym świetle wyglądała zupełnie jak ona, ale potem zrozumiałem, że to tylko jej podobizna, wykonana prawdopodobnie z wosku.

- Duże niebezpieczeństwo może podobno grozić temu, kto przedtem znał osobę, z którą teraz ma się zespolić, gdyż połączone wspomnienia mogą na stałe wprowadzić zamęt w jego umyśle -

ciągnęła Thea głosem gołębicy. - Ja jednak, która ją kochałam, zdecydowałam się podjąć ryzyko, a poznawszy po twoim spojrzeniu, kiedy rozmawiałeś z Vodalusem, że ty także tego pragniesz, nie wspomniałam mu o moich obawach dotyczących twojej osoby.

Kiedy lektyka znalazła się wewnątrz kręgu, Vodulus wyciągnął rękę i dotknął ramienia siedzącej postaci. Poczulem słodki, charakterystyczny zapach, który natychmiast przywołał

wspomnienia o pieczonych w całości aguti, jakie podawano podczas wielkich uroczystości naszej konfraterni, i w tej samej chwili zrozumiałem, że kukła nie została zrobiona z wosku, lecz ze świeżo upieczonego mięsa.

Myślę, że gdyby nie alzabo, chyba postradałbym zmysły, ale ono na szczęście stało między mną a otaczającą mnie rzeczywistością niczym mgła, przez którą wszystko można zobaczyć, ale nic zrozumieć. Miałem także jeszcze jednego sojusznika: narastające we mnie przekonanie, a właściwie pewność, że gdybym teraz ugiął się i przełknął choć kawałeczek tego, co udawało Theclę, to

jednocześnie wchłonąłbym jakiś fragmencik jej osobowości, który dzięki temu pozostałby ze mną do końca moich dni.

Ugiąłem się. Przestałem uważać to, co miałem zrobić, za ohydne i przerażające. Otworzyłem się cały na przyjęcie Thecli, oczekując jej nie tylko z nadzieją, ale i pożądaniem. Kiedy rozejrzałem się dookoła, dostrzegłem to pożądanie na wszystkich twarzach.

Człowiek w liberii - myślę, że był to jeden ze starych służących Vodalusa, który zdecydował się udać wraz z nim na wygnanie - pomógł sześciu mężczyznom niosącym lektykę postawić ją na ziemi. Przez kilka oddechów widziałem jedynie ich plecy, a kiedy się rozstąpili, zamiast Thecli ujrzałem tylko wielkie porcje pieczystego ułożone na czymś, co mogło być białym obrusem...

Jadłem, czekając na to, co miało nastąpić, i jednocześnie błagałem o wybaczenie. Thecla zasługiwała na najwspanialszy grobowiec z bezcennego marmuru, lecz zamiast do niego jakaś jej część miała trafić do katowskiej izby o świeżo wyczyszczonej podłodze i narzędziach tortur zakrytych girlandami kwiatów. Noc była chłodna, ja jednak pociałem się obficie. Czekałem na nadejście mojej ukochanej, czując, jak krople potu spływają po mej odkrytej piersi i wpatrując się w ziemię, gdyż bałem się, że zanim poczuję w sobie jej obecność, ujrzę na twarzach innych.

Pojawiła się, kiedy już byłem bliski rozpacz, wypełniając mnie tak, jak dźwięki wesołej melodii wypełniają wiejską chatę. Biegłem z nią wzdłuż brzegu Acis, kiedy oboje byliśmy dziećmi. Znałem dokładnie starą willę nad ciemnym jeziorem, znałem widok roztaczający się z zarosłych brudem okien belwederu oraz tajemne miejsce w załomie korytarza między dwoma pokojami, gdzie przesiadywaliśmy całymi popołudniami, czytając przy blasku świecy. Wiedziałem wszystko o życiu na dworze Autarchy, gdzie można było spodziewać się trucizny w każdym wysadzonym brylantami kielichu. Dowiedziałem się, co oznacza uwięzienie, cierpienie, a wreszcie śmierć dla kogoś, kto wcześniej nigdy nie widział celi ani nie poczuł uderzenia bata.

Dowiedziałem się też, że znaczyłem dla niej więcej, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać, a potem zapadłem w sen i śniłem tylko o niej. Nie były to zwykłe wspomnienia, gdyż tych miałem pod dostatkiem już wcześniej. Trzymałem w swoich dłoniach jej biedne, zmarznięte dłonie, ale nie miałem już na sobie poszarpanych łachów ucznia ani fuliginowego płaszcza czeladnika. Oboje byliśmy nadzy i szczęśliwi, oboje wiedzieliśmy, że jej już nie ma, a ja nadal żyję, lecz nie próbowaliśmy się temu przeciwstawiać, tylko siedzieliśmy pochyleni wspólnie nad książką, rozmawiając, śpiewając i dyskutując o przeróżnych sprawach.

## **ROZDZIAŁ XII**

# Notule

Obudziłem się dopiero rano. Przeskok był niezmiernie bolesny: przechadzaliśmy się zgodnie po czymś, co z pewnością było rajem, który Nowe Słońce ma podobno otworzyć dla wszystkich, którzy wezwą je w ostatnich chwilach życia - i choć mądrzy ludzie twierdzą, że nie będą mieli tam wstępu ci, co przyczyniają się do śmierci współwyznawców, to wydaje mi się, że ten, który tak wiele wybacza, czasem musi wybaczać również takie grzechy - a już w chwilę potem otoczyło mnie zimne, nieprzytulne światło i świergot ptaków.

Usiadłem. Mój płaszcz był mokry od rosy, która osiadła mi także na twarzy niczym pot.

Leżący obok mnie Jonas poruszył się niespokojnie. Dziesięć kroków dalej stały dwa wierzchowce - jeden koloru białego wina, drugi czarny jak bezgwiezdna noc - gryząc niespokojnie wędzidła i uderzając kopytami w ziemię. Po uczcie i biesiadnikach nie pozostał

żaden ślad, podobnie jak po Thecli, której już nigdy nie zobaczyłem i nie mam nadziei ujrzeć po tej stronie istnienia.

Terminust Est spoczywał na trawie u mego boku, bezpieczny w dobrze nasączonej oliwą pochwie. Podniosłem go i ruszyłem w dół, ku strumieniowi, gdzie uczyniłem wszystko, co mogłem, aby się odświeżyć. Kiedy wróciłem, Jonas już nie spał, więc powiedziałem mu, gdzie może znaleźć wodę, a kiedy tam odszedł, pożegnałem się z Theclą.

Jednak jakaś jej część pozostała ze mną na zawsze, gdyż zdarza się, że ja, który wszystko pamiętam, myślę, iż nie jestem Severianem, lecz Theclą, jakby mój umysł był jak oprawiony w szkło obrazek, a ona stała przede mną i spoglądała nie tylko na mnie, ale i na swoje odbicie. Od tamtej pory, kiedy myślę o niej, nie przywołując z pamięci żadnego określonego czasu ani miejsca, widzę ją stojącą przed zwierciadłem w szacie ze śnieżnej bieli, która ledwo zakrywa jej piersi, spływając obfitymi kaskadami aż do ziemi. Widzę, jak stoi przede mną, który też jestem w tym zwierciadle, i unosi obie ręce, aby dotknąć naszych twarzy.

Potem coś się zmienia. Jakaś przemożna siła przenosi ją do komnaty, gdzie ściany, sufit i podłoga są wyłożone zwierciadłami. Bez wątplenia to, co widzę, stanowi wspomnienie odbicia, jakie w nich widziała, ale potem moja Thecla niespodziewanie czyni dwa kroki w przód i znika w ciemności, by już się nie pojawić.

\* \* \*

Kiedy Jonas wrócił znad strumienia, zdołałem jakoś opanować rozpacz i udałem, że oglądam nasze rumaki.

- Czarny jest dla ciebie, a jasny dla mnie, to oczywiste - powiedział. - Co prawda oba prezentują się znacznie lepiej od nas, jak powiedział pewien żeglarz chirurgowi, który amputował

mu nogi. Dokąd jedziemy?

- Do Domu Absolutu. - Dostrzegłem niedowierzanie na jego twarzy. - Czyżbyś nie słyszał

mojej rozmowy z Vodalusem?

- Usłyszałem nazwę, ale nie to, że mamy tam jechać. Jak już powiedziałem, jestem bardzo marnym jeźdźcem, ale jakoś udało mi się wsadzić stopę w strzemię i wdrapać się na grzbiet wierzchowca. Ten, którego dwie noce wcześniej ukradłem Vodalusowi, miał wysokie wojskowe siodło, straszliwie niewygodne, ale za to bezpieczne, gdyż bardzo trudno było z niego wypaść.

Mój nowy wierzchowiec niósł na grzbiecie jedynie coś w rodzaju płaskiej atlasowej poduszki, równie komfortowej co zdradzieckiej. Ledwo zdążyłem objąć jego boki nogami, kiedy zaczął nerwowo tańczyć.

- Jak dużo pamiętasz?

Była to chyba najmniej odpowiednia pora na zadawanie takich pytań, ale nie miałem żadnej pewności, że doczekam się lepszej.

- Chodzi ci o tę kobietę? Nic. - Jonas ominął mojego drepczącego niespokojnie rumaka, złapał za wodze swojego i wskoczył na siodło. - Nie przełknąłem ani kęsa. Vodalus nie spuszczał

cię z oka, ale na mnie nikt nie zwracał uwagi, a poza tym potrafię udawać, że jem, w rzeczywistości nic nie jedząc.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- Doskonaliłem tę umiejętność także w twojej obecności, na przykład podczas wczorajszego śniadania. Często z niej korzystam gdyż nie mam zbyt dużego apetytu. - Skierował

wierzchowca na prowadzącą przez las ścieżkę, po czym dodał. - Tak się składa, że dość dobrze znam drogę, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co właściwie tam jedziemy?

- Żeby spotkać się z Dorcas i Jolentą - odparłem. - A ja muszę wykonać pewne zadanie, które zlecił mi Vodalus.

Ponieważ prawie na pewno byliśmy obserwowani, wolałem nie mówić głośno, że nie mam najmniejszego zamiaru tego robić.

\* \* \*

W tym miejscu muszę pominąć milczeniem wydarzenia kilku następnych dni, gdyż w przeciwnym razie moja relacja ciągnęłaby się w nieskończoność. W drodze opowiedziałem Jonasowi o wszystkim, o czym mówił mi Vodalus, a także o wielu innych rzeczach.

Zatrzymywaliśmy się we wsiach i miasteczkach, przez które przejeżdżaliśmy, a ja czyniłem użytek z moich umiejętności wszędzie tam, gdzie akurat istniała taka potrzeba - nie dlatego, żeby brakowało

nam pieniędzy, gdyż mieliśmy przecież sakiewkę kasztelanki Thei, znaczną część wynagrodzenia, jakie otrzymałem w Saltus, oraz sporą sumę, jaką Jonas dostał za złotą maczugę człowieka-małpy - lecz po to, by nie budzić niepotrzebnych podejrzeń.

\* \* \*

Czwarty ranek zastał nas jadących wciąż na północ. Gyoll sunęła po prawej stronie jak leniwy, smok strzegący drogi, która na tym odcinku wiodła porośniętym trawą brzegiem rzeki.

Poprzedniego dnia widzieliśmy patrol jezdnych; żołnierze byli uzbrojeni w takie sarnę lance jak ci, którzy zabili wielu podróżnych w Bramie Skruchy.

- Musimy się pośpieszyć, jeżeli chcemy przed zmierzchem znaleźć się w pobliżu Domu Absolutu - mruknął Jonas, który od chwili, kiedy wyruszyliśmy, zachowywał się dosyć niespokojnie. - Szkoda, że Vodalus nie powiedział ci, kiedy dokładnie zaczynają się uroczystości i jak długo potrwać.

- Czy to jeszcze daleko? - zapytałem.

Wskazał mi wyspę na rzece.

.- Wydaje mi się, że pamiętam to miejsce. Dwa dni drogi stąd jacyś pielgrzymi powiedzieli mi, że Dom Absolutu jest już bardzo blisko i ostrzegli mnie przed pilnującymi go pretorianami.

Wyglądali na ludzi, którzy wiedzą, o czym mówią.

Pogonił wierzchowca, a ja uczyniłem to samo.

- Szedłeś pieszo?

- Jechałem na mojej klaczy. Coś mi się zdaje, że już nigdy nie zobaczę nieszczęsnego bydlęcia... Co prawda w swojej najlepszej formie poruszała się wolniej niż te zwierzęta w najgorszej, ale i tak podejrzewam, że nie są wystarczająco szybkie.

Miałem już powiedzieć, że nie przypuszczam, aby Vodalus wysłał nas w drogę nie mając pewności, że dotrzemy na czas do Domu Absolutu, kiedy tuż nad moją głową przeleciało coś, co w pierwszej chwili wziąłem za ogromnego nietoperza.

W przeciwieństwie do mnie, Jonas natychmiast zorientował się w niebezpieczeństwie: wykrzyknął coś, czego nie zrozumiałem, po czym smagnął mego wierzchowca swoimi wodzami.

Czarny rumak skoczył tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a wysadziłby mnie z siodła, w następnej chwili zaś galopowaliśmy już z ogromną prędkością. Pamiętam, jak przemknęliśmy między dwoma drzewami rosnącymi tak blisko siebie, że prawie otarłem się kolanami o ich korę.

Nad głową dostrzegłem coś, co przypominało przyklejoną do nieba plamę sadzy, a mgnienie oka później tajemnicze zjawisko z donośnym łopotem wpadło w płataninę gałęzi za naszymi plecami.

Nasze rumaki wybiegły z lasu i popędziły wyschniętym korytem Jakiegoś potoku. Kiedy zaczęły się wspinać na przeciwległy brzeg, owa dziwna rzecz wyłoniła się spomiędzy drzew, jeszcze bardziej poszarpana niż do tej pory.

Odniosłem wrażenie, że straciła nasz ślad, gdyż przez kilka oddechów unosiła się niepewnie w powietrzu, potem jednak zdecydowanie ruszyła w naszą stronę. Niewiele myśląc wydobyłem z pochwy Terminust Est i spałem wierzchowca, kierując go wprost na nadlatującą czarną plamę.

Gdybym miał miecz o ostrym końcu, z pewnością usiłowałbym ją na niego nadziać, co bez wątpienia zakończyłoby się moją śmiercią. Ja Jednak wzięłem szeroki zamach i uderzyłem tak, jakbym chciał przeciąć zawieszoną nad moją głową poprzeczną belkę.

Odniosłem wrażenie, że miecz przeszył jedynie powietrze, ale w chwilę później plama rozdzieliła się na dwie części, jak rozdarta szmata, a ja poczułem na twarzy podmuch gorącego powietrza, jakbym stał przed piecem, a ktoś na krótko otworzył jego drzwiczki.

Gdybym był sam, natychmiast zsiadłbym z wierzchowca, aby się jej przyjrzeć, ale Jonas krzyknął coś i ponaglił mnie gestem. Gęsty las, który towarzyszył nam od samego Saltus, został

już za nami; otaczał nas niegościnnie krajobraz, na który składały się kamieniste, poszarpane wzgórza, porośnięte gdzieś tam karłowatymi cedrami. Kępa takich właśnie drzew rosła na zboczu pobliskiego wzniesienia. Poganiając wierzchowce wpadliśmy z szaloną prędkością między poskręcane pnie i gałęzie, przyciskając tułowia i twarze do karków zwierząt, aby nie spaść na ziemię.

Wkrótce jednak zagajnik zrobił się tak gęsty, że musieliśmy zwolnić do stępa, a zaraz potem dotarliśmy do pionowej skalnej ściany i zatrzymaliśmy się. Natychmiast usłyszałem dobiegający z tyłu, szeleszczący odgłos, jakby jakiś ranny ptak przelatywał z gałęzi na gałąź, trzepocząc głośno skrzydłami. Cedry roztaczały tak silną woń, że miałem kłopoty z oddychaniem.

- Musimy stąd uciekać! - wysapał Jonas. Ostry koniec gałęzi rozorał mu policzek, z którego sączyła się krew. Rozejrzał się dookoła, po czym skręcił w prawo, w kierunku rzeki, zmuszając wierzchowca do wejścia w nieprzebytą, mogłoby się wydawać, gęstwinę.

Pozwoliłem mu torować drogę, gdyż doszedłem do wniosku, że gdyby tajemniczy napastnicy ruszyli za nami, mógłbym stawić im opór. Wkrótce ich zauważyłem: najpierw pojawiła się jedna czarna plama, a w chwilę później, w pewnej odległości za nią, druga.

Wydostaliśmy się z zagajnika i ponownie zmusiliśmy rumaki do galopu. Poszarpane skrawki nocy ruszyły w pogoń za nami, ale choć wydawało się, że lecą z dużą szybkością, poruszały się znacznie wolniej niż wtedy, kiedy stanowiły całość.

- Musimy rozpalić ogień albo zabić jakieś duże zwierzę! - wykrzyknął Jonas. - Mógłbyś rozplatać brzuch któremuś z wierzchowców, ale gdyby to nie wystarczyło, byliśmy zgubieni!

Skinąłem głową, dając mu do zrozumienia, że ja także nie popieram tego pomysłu, choć wydawało mi

się, że mój rumak i tak już wkrótce padnie z wyczerpania. Jonas ściągnął nieco wodze swojego, aby nie zostawić mnie z tyłu.

- Czy one chcą krwi? - zapytałem, przekrzykując łoskot kopyt uderzających w kamienistą ziemię.

- Nie. Ciepła.

Jonas skręcił nieco w prawo i klepnął stalową ręką w zad rumaka. Uderzenie musiało być silne, gdyż zwierzę skoczyło naprzód jak dźgnięte szpikulcem. Przesadziliśmy suche koryto jednego z okresowych dopływów rzeki, bardziej zsunęliśmy się niż zjechaliśmy ze stromego, piaszczystego zbocza, by wreszcie dotrzeć do równego, otwartego terenu, na którym nasze wierzchowce mogły pokazać, ile są naprawdę warte.

Czarne płachty trzepocząc leciały za nami dwa razy wyżej, niż sięga szczyt najwyższego drzewa, i choć musiały walczyć z przeciwnym wiatrem, to wydawało się, że są niesione jego podmuchami.

Wygląd okolicy zmienił się tak nagle, jakbyśmy byli pchłami goniącymi po czyimś ubraniu, które przekroczyły jeden ze szwów i znalazły się na skrawku zupełnie innego materiału. Zielona, wijąca się łagodnie droga prowadziła po zupełnie płaskim terenie. Skierowałem na nią mego wierzchowca, poganiając go krzykiem i uderzeniami miecza. Boki zwierzęcia spływały potem i krwią, sączącą się z niezliczonych zadrapań spowodowanych przez połamane gałęzie cedrów.

Jonas krzyknął coś za nami, ale ja puściłem jego słowa mimo uszu.

Minąwszy jeden z zakrętów ujrzałem w oddali połyskliwie migoczącą rzekę, a w chwilę potem widok, na który czekałem. Może nie powinienem o tym mówić, ale uniosłem wtedy miecz ku niebu, a właściwie ku umierającemu, pożeranemu przez robaka słońcu, i krzyknąłem ile sił w płucach:

- Jego życie za moje, o Nowe Słońce! Poprzez twój gniew, a moją nadzieję!

Obcy jeździec (a był tylko jeden), z pewnością pomyślał, że wzywam go, by stawił mi czoło, gdyż ruszył w moją stronę, a błękitny blask na szczycie jego lancy wyraźnie przybrał na sile.

Choć krańcowo wyczerpany, mój rumak natychmiast zareagował na ruch wodzami: zahamował raptownie, wznosząc w górę obłok pyłu, po czym zawrócił i błyskawicznie nabierając szybkości pognął w kierunku ścigających nas czarnych plam. Nie wiem, czy Jonas domyślił się, co zamierzam uczynić, ale bez wahania poszedł w moi ślady, nawet celowo zwolniwszy nieco tempo.

Jedna z roztrzepotanych plam, przypominających postrzępiony kawałek fuliginu, runęła ku nam. Wydaje mi się, że mierzyła w Jonasa, ale znalazła się w zasięgu mego miecza, więc rozciąłem ją na pół i znowu poczułem podmuch ciepłego powietrza. Teraz, kiedy już wiedziałem, skąd pochodzi to ciepło, wydało mi się bardziej ohydne od najokropniejszego zapachu. Walcząc ze wzbierającymi mdłościami szarpnąłem gwałtownie wodze, aby uniknąć trafienia przez lancę żołnierza. W chwilę potem ugodziła w ziemię tam, gdzie przed chwilą był mój rumak, odbiła się i utkwiała w uschniętym drzewie, które natychmiast stanęło w płomieniach.

Ściągnąłem wodze, zmuszając wierzchowca do podniesienia głowy i wydania ogłuszającego ryku.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu trzech czarnych płacht, lecz nigdzie nie mogłem ich dostrzec, więc szybko spojrzałem na Jonasa, obawiając się, że może go dopadły.

Tam również ich nie było, ale spojrzenie przyjaciela powiedziało mi, gdzie mam ich szukać.

Wszystkie trzy wirowały wokół obcego jeźdźca, który usiłował bronić się przed nimi lanca.

Pociski, jeden za drugim, przesywały powietrze, eksplodując z potwornym hukiem. Każda erupcja oślepiającego ognia sprawiała, że słońce zdawało się przygasać, ale ta sama energia, która miała je zniszczyć, zdawała się dodawać plomom sił. Już nie latały, trzepocząc krawędziami, lecz śmigały niczym jakieś promienie nocy, przenosząc się błyskawicznie z miejsca na miejsce, coraz bliżej jeźdźca, aż wreszcie wszystkie trzy wylądowały na jego twarzy.

Żołnierz zwałił się z siodła, a lanca wypadła mu z ręki i zgasła.

## **ROZDZIAŁ XIII**

### **Pazur Łagodziciela**

- Czy on nie żyje? - zapytałem.

Jonas skinął głową. Chciałem niezwłocznie ruszyć w dalszą drogę, ale on zsiadł z wierzchowca i dał mi znak, bym uczynił to samo.

- Możemy zniszczyć te istoty, by już nigdy nie zostały użyte przeciwko nam ani nikomu innemu - powiedział, kiedy podeszliśmy do zwłok jeźdźca. - Teraz są syte, więc nie powinny wyrządzić nam krzywdy. Będziemy potrzebować jakiegoś szczelnego naczynia, najlepiej z metalu lub szkła.

Poinformowałem go, że nie mam przy sobie niczego takiego.

- Ani ja.

Przyklęknął obok martwego żołnierza i zaczął przetrząsać jego kieszenie. Zapach dymu płonącego drzewa przypominał woń kadzidła, tak że przez chwilę wydawało mi się, że ponownie trafiłem do katedry Peleryn. Warstwa połamanych gałązek i zeszlórocznych liści, na której spoczywały zwłoki, zastąpiła usłaną słomą podłogę, a pnie rosnących tu i tam drzew - słupy podtrzymujące powłokę namiotu.

- Jest - powiedział Jonas i pokazał mi cynową flaszeczkę o szerokiej szyjce. Wytrząsnął z niej na ziemię suszone zioła, a następnie przewrócił trupa na plecy.

- Gdzie one są? - zapytałem. - Zostały wchłonięte przez ciało?

Jonas pokręcił w milczeniu głową, po czym zaczął, bardzo delikatnie i ostrożnie, wyciągać jedną z czarnych plam z lewego nozdrza żołnierza. Choć nieprzezroczysta, przypominała najcieńszy pergamin.



Zastanowiła mnie jego ostrożność.

- Gdybyś ją rozdarł, miałbyś po prostu dwie zamiast jednej, czy tak?

- Owszem, ale teraz jest najedzona, a w wyniku podziału straciłaby sporo energii i chciałaby ją natychmiast uzupełnić. Mnóstwo ludzi zginęło tylko dlatego, że przekonało się, iż może je pociąć na drobne kawałki. Wybrali walkę zamiast ucieczki, a kiedy opamiętali się, było już za późno, gdyż mieli przeciwko sobie nie jednego czy dwóch, ale całe mnóstwo nieubłaganych przeciwników.

Jedno oko jeźdźca było częściowo otwarte. Miałem już do czynienia z wieloma trupami, lecz nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że martwy mężczyzna nie spuszcza ze mnie wzroku - ze mnie, który zabiłem go, aby ocalić własne życie.

- Wydawało mi się, że kiedy rozciąłem pierwszą z nich, straciła sporo na szybkości - powiedziałem, aby zająć myśli czymś innym.

Jonas umieścił już w cynowej flaszce pierwszą koszmarną plamę i zajęty był wyciąganiem drugiej.

- Prędkość każdej latającej istoty zależy od powierzchni nośnej skrzydeł. Gdyby tak nie było, to ci, którzy posługują się tymi stworami, rozdzielaliby je na niezliczone strzępy.

- Wygląda na to, że już kiedyś miałeś z nimi do czynienia?

- Pewnego razu staliśmy w porcie, gdzie używa się ich do rytualnych morderstw.

Przypuszczałem, że prędzej czy później trafią i tutaj, ale dzisiaj spotkałem je po raz pierwszy. -

Odkręcił zakrętkę i włożył drugą plamę do flaszki. - Wkrótce się połączą. Wątpię, czy zwróciłeś na to uwagę, ale przedzierając się przez las trochę się podarły, by potem naprawić się w locie.

- Została jeszcze jedna.

Jonas skinął głową, po czym stalową ręką otworzył usta martwego człowieka. Zamiast zębów, języka i dziąseł ujrzałem nieprzeniknioną czerń. Żołądek podszedł mi do gardła, ale zdołałem jakoś nad nim zapanować, a w chwilę potem Jonas trzymał już w dwóch palcach trzecią istotę, ociekającą śliną zmarłego.

- Gdybym nie rozciął jednej z nich ponownie, pewnie weszłyby mu tylko do nosa?

- Owszem, ale potem, kiedy dotarłyby do płuc, rozprzestrzeniłyby się po całym ciele. Mamy szczęście, że byliśmy przy nim w chwili jego śmierci, gdyż w przeciwnym razie musiałbyś pociąć go na kawałki.

Gęsty kłęb dymu przypomniiał mi o płonącym cedrze.

- Skoro chodziło im tylko o ciepło, to czy nie powinny...

- Wolą ciepło żywego ciała, choć czasem dają się skusić zarówno płomieni. Ja jednak uważam, że w grę wchodzi coś więcej, niż zwykłe ciepło: prawdopodobnie jakaś energia charakterystyczna dla rozmnażających się komórek. - Jonas wepchnął trzecią istotę do flaszki i zamknął ją starannie. - Nazywamy je notulami, ponieważ zazwyczaj pojawiają się po zmroku, kiedy nie można ich dostrzec. Pierwszym ostrzeżeniem jest wtedy niespodziewany podmuch ciepła. Nie mam pojęcia, jak ochrztili je tubylcy.

- Gdzie leży ta wyspa, z której przybyły? - Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. -

Czy jest daleko od brzegu? Zawsze pragnąłem zobaczyć na własne oczy Uroborosa, choć przypuszczam, że to może być niebezpieczne.

- Bardzo daleko - odparł głucho Jonas. - Doprawdy, bardzo daleko... Zaczekaj chwilę.

Stanął na brzegu rzeki i z całej siły cisnął cynową flaszkę. Wpadła z pluskiem do wody niemal pośrodku koryta. Kiedy wrócił, zapytałem:

- Nie wydaje ci się, że sami moglibyśmy je wykorzystać? Ten, kto je za nami wysłał, z pewnością nie zrezygnuje ze swoich zamiarów, więc mogłyby nam się przydać.

- „Nie słuchałyby nas, a poza tym, bez nich świat od razu stanie się lepszy”, jak powiedziała żona rzeźnika, obcinając mu przyrodzenie. Ruszajmy w drogę. Zdaje się, że ktoś się zbliża.

Spojrzałem tam, gdzie wskazał, i dostrzegłem dwie postaci wędrujące na piechotę. Jonas chwycił rumaka za wodze i szykował się, by wskoczyć na siodło.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Albo odjedź jakieś dwa łańcuchy stąd i tam poczekaj na mnie.

Nie mogłem pozbyć się wspomnienia o krwawiącym kikucie człowieka-małpy i zdawało mi się, że wśród rozrzuconych rzadko drzew widzę przyćmione wotywne światełka, takie same, jak te, które płonęły w katedrze Peleryn. Sięgnąłem do buta i wyjąłem Pazur Łagodziciela.

Po raz pierwszy miałem okazję ujrzeć go w pełnym blasku dnia. Olśnił tak, jakby był

Nowym Słońcem; był już nie tylko błękitny, ale płonął wszystkimi barwami, od fioletu do cyjanu. Położyłem go na czole martwego mężczyzny i skupiłem się na chwilę, starając się ożywić go myślą.

- Chodź już! - zawołał Jonas. - Co tam robisz? Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

- On chyba jeszcze żyje! - krzyknął. - Zejdź z drogi, zanim odszuka swoją lancę!

Z daleka dobiegł mnie znajomy głos:

- Mistrzu!

Odwrociłem głowę i spojrzałem na porośniętą trawą drogę.

- Mistrzu!

Jedna ze zbliżających się postaci zamachała ręką, a zaraz potem obie zaczęły biec w moim kierunku.

- To Hethor - powiedziałem, ale Jonas już odjechał. Opuściłem wzrok na żołnierza; otworzył

oczy, a jego pierś wezbrała oddechem. Usiadł, jak tylko zdjąłem Pazur z jego czoła. Krzyknąłem w stronę Hethora i jego towarzysza, żeby zeszli z drogi, ale chyba mnie nie rozumieli.

- Kim jesteś?

- Przyjacielem.

Choć żołnierz był jeszcze bardzo słaby, spróbował podnieść się na nogi. Podałem mu rękę i pomogłem wstać z ziemi. Przez długą chwilę przyglądał się w milczeniu mnie, dwóm ludziom biegnącym w naszą stronę, rzece i drzewom. Wyraźnie zaniepokoił go widok wierzchowców, nawet jego własnego, który stał spokojnie obok, czekając na swego pana.

- Co to za miejsce?

- Stara droga w pobliżu brzegu Gyoll.

Potrząsnął głową, a potem objął ją dłońmi i mocno ścisnął. Zdyszany Hethor dopadł mnie niczym zapchlony kundel, który przybiegł na wezwanie i teraz oczekuje pochwały. Jego towarzysz, który pozostał prawie sto kroków z tyłu, miał pstrokaty strój i przymilny wyraz twarzy drobnego przekupnia.

- M-m-mistrzu, nawet nie masz p-p-pojęcia, jak ogromne mieliśmy trudności, jak wiele musieliśmy włożyć w-w-wysiłku, by iść t-t-twoim śladem poprzez skaliste góry, rozległe morza i wyschnięte p-p-pustynie tego wspaniałego świata! Czymże jestem bez ciebie ja, t-t-twój sługa, jak nie p-p-pustą muszelką, igraszką bezrozumnych p-p-przypływów i odpływów, k-k-która nie może zaznać spokoju bez ciebie... Skąd ty, mistrzu o czerwonych szponach, mógłbyś wiedzieć o wysiłkach, jakich n-n-nie oszczędziliśmy, aby do ciebie dotrzeć?

- Przypuszczam, że istotnie były znaczne, jako że kiedy ostatnio widziałem cię w Saltus, nie miałeś wierzchowca, a ja przez cały czas ostro poganiałem moje zwierzę.

- Otóż to, panie - odparł, po czym spojrzał znacząco na swego towarzysza, jakby moje słowa potwierdziły jego wcześniejsze przypuszczenia, i usiadł ciężko na ziemi.

- Nazywam się Cornet Mineas - powiedział powoli żołnierz. - Kim wy jesteście?

Hethor kilkakrotnie pochylił głowę w czymś, co chyba miało być imitacją ukłonu.

- T-t-ten oto m-m-mistrz to szlachetny Severian, sługa Autar-chy - którego uryna jest jak wino dla jego p-p-poddanych - w Zgromadzeniu P-p-poszukiwaczy Prawdy i Skruchy. Hethor jest z k-k-kolei jego niegodnym sługą, podobnie jak Beuzec. Przypuszczam, że tak samo ma się rzecz z człowiekiem,

który odjechał na wierzchowcu.

Nakazałem mu gestem milczenie.

- Wszyscy jesteśmy tylko ubogimi wędrowcami. Zobaczyliśmy cię leżącego bez przytomności i spróbowaliśmy ci pomóc. Myśleliśmy nawet, że nie żyjesz, i chyba niewiele się pomyliliśmy.

- Co to za miejsce? - zapytał ponownie Cornet.

- Droga na p-p-północ od Quiesco - poinformował go ochoczo Hethor. - Beuzec i ja płynęliśmy łodzią, m-m-mistrzu, w czarną noc ujeżdżając mętne wody Gyoll. Wysiedliśmy w-w-właśnie w Ouiesco. Przez cały czas mijali nas szczęściarze, p-p-pędzący do Domu Absolutu, ale my, choć tak powoli, podążaliśmy pod prąd za dnia i w nocy, dzięki czemu udało nam się ciebie d-d-dogonić.

- Do Domu Absolutu? - wymamrotał żołnierz.

- To chyba niedaleko stąd - powiedziałem.

- W takim razie powinienem zachować szczególną czujność.

- Jestem pewien, że już niedługo zjawi się tutaj któryś z twoich towarzyszy.

Złapałem mojego rumaka za wodze i wspiałem się na jego wysoki grzbiet.

- M-m-mistrzu, chyba nie chcesz nas znowu opuścić? Beuzec dwa razy oglądał cię, czyniącego sprawiedliwość.

Otwierałem już usta, by mu odpowiedzieć, kiedy po drugiej stronie drogi, za rosnącymi rzadko drzewami, mignęło coś białego. Moja pierwszą myślą było to, że ten, kto wysłał za nami notule, postanowił sięgnąć po inną, skuteczniejszą broń, wbiłem więc obcasy w boki rumaka.

Przez mniej więcej pół mili pędziliśmy wzdłuż wąskiego pasa ziemi oddzielającego drogę od rzeki. Kiedy wreszcie zobaczyłem Jonasa podjechałem do niego i opowiedziałem mu, co widziałem.

- Nigdy nie słyszałem o istocie, którą mi opisałeś, ale być może sprowadzono jakieś nowe, nie znane mi gatunki - odparł po dłuższym namyśle.

- Naprawdę myślisz, że coś takiego mogłoby chodzić luzem jak zwyczajna krowa?

Nie odpowiedział, tylko wskazał na ziemię kilka kroków przed nami. Zaczynała się tam żwirowa ścieżka szerokości najwyżej łokcia. Po obu jej stronach rosło więcej leśnych kwiatów, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w jednym miejscu, sam żwir zaś był tak olśniewająco biały, a poszczególne kamyki miały tak regularne kształty, że z pewnością przywieziono go tutaj z jakiejś odległej, tajemnej plaży.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zapytałem Jonasa, co może oznaczać taka ścieżka.

- Tylko jedno: że znaleźliśmy się na terenach należących do Domu Absolutu.

Niespodziewanie przypomniałem sobie to miejsce.

- Rzeczywiście! Kiedyś wybrałam się na ryby z Josephą i jeszcze kilkoma przyjaciółkami.

Szliśmy właśnie tędy, a potem koło poskręcane go dębu...

Jonas popatrzył na mnie jak na szaleńca, a ja przez chwilę poczułam się tak, jakbym nim naprawdę była. Wielokrotnie brałam udział w polowaniach, ale teraz siedziałam na wierzchołku przeznaczonym do walki. Moje zakrzywione jak szpony ręce podniosły się do oczu, gotowe je wydrapać, i zapewne by to zrobiły, gdyby jadący obok mnie człowiek w łachmanach nie uderzył w nie swoją stalową ręką.

- Nie jesteś kasztelanką Theclą, tylko Severianem, czeladnikiem w bractwie katów, który miał nieszczęście zakochać się w niej! - krzyknął mi do ucha. - Sam zobacz!

Podsunał mi przed twarz stalową dłoń, a ja ujrzałem w niej jakąś obcą, chudą, odrażającą i zdumioną twarz.

W chwilę potem przypomniałem sobie naszą wieżę, zakrzywione ściany z gładkiego, ciemnego metalu, a także wiele innych rzeczy.

- Jestem Severian - powiedziałem.

- Zgadza się. Kasztelanka Theclą nie żyje.

- Jonas...

- Tak?

- Żołnierz ożył. Sam to widziałeś. Pazur przywrócił mu życie. Położyłem mu go na czole, ale może wystarczyło, że zobaczył go swoimi martwymi oczami? Usiadł, odetchnął i odezwał się do mnie.

- A więc nie umarł.

- Przecież sam widziałeś.

- Jestem starszy od ciebie... Dużo starszy niż myślisz. Jeżeli podczas moich podróży udało mi się czegokolwiek dowiedzieć, to na pewno tego, że martwi nie ożywają, a czas nie biegnie wstecz. To, co minęło, nigdy już nie wraca.

Twarz Thecli, którą przez cały czas miałem przed oczami, zniknęła nagle, porwana podmuchem czarnego wiatru.

- Gdybym użył go wtedy, kiedy braliśmy udział w kolacji zmarłych... - szepnąłem.

- Żołnierz zapewne stracił przytomność z powodu braku powietrza, ale nie umarł. Kiedy usunąłem mu notule z nosa i gardła, zaczął znowu oddychać, i po pewnym czasie ocknął się. Co się tyczy twojej Thecli, to żadna siła we wszechświecie nie przywróciłaby jej do życia.

Prawdopodobnie wydobyli ją z grobu, kiedy jeszcze byłeś uwięziony w Cytadeli, i trzymali ją przez cały czas w jakiejś lodowej jaskini, żeby potem wypatroszyć jak kuropatwę i upiec. -

Potrząsnął mnie za ramię. - Severianie, nie bądź głupcem!

Marzyłem tylko o tym, żeby umrzeć. Gdyby w tej chwili pojawiły się notule, powitałbym je z otwartymi ramionami. Jednak zamiast nich, daleko przed nami na ścieżce, ujrzałem ten sam biały kształt, który niedawno widziałem nad rzeką. Wyrwałem się Jonasowi i popędziłem w tamtą stronę.

## **ROZDZIAŁ XIV**

### **Przedpokój**

Są takie stworzenia - a także sztuczne twory - z których istnieniem nie chcemy za nic się pogodzić, a kiedy nie mamy już innego sposobu, żeby dojść do ładu z rzeczywistością, powiadamy: „Och, to była tylko zjawą, piękna i przerażająca, ale jednak zjawą”.

Na którejś spośród wirujących planet, które niebawem przyjdzie mi poznać, żyje rasa jednocześnie podobna i niepodobna do ludzi. Nie są wcale wyżsi od nas, a ich ciała różnią się od naszych jedynie tym, że są doskonałe - tyle tylko, że wzorzec, jaki przyjęli za ideał, jest nam całkowicie obcy. Tak jak my mają oczy, nos i usta, ale posługują się nimi do wyrażania emocji, których nam nigdy nie było dane poznać, w związku z czym obserwując ich twarze, odnosimy niepokojące wrażenie, iż oto widzimy jakiś starożytny, budzący grozę alfabet uczuć, niezmiernie ważny, choć zarazem całkowicie niezrozumiały.

Taka rasa naprawdę istnieje, ale to nie jej przedstawiciela spotkałem na obrzeżach ogrodu otaczającego Dom Absolutu. Istota, którą najpierw dostrzegłem między drzewami, a w której kierunku teraz się rzuciłem, stanowiła raczej gigantyczną, ożywioną rzeźbę. Jej ciało było wykonane z białego kamienia, oczy zaś, wypukłe i gładkie jak połówki jaj, przypominały oczy posągów. Poruszała się powoli, jak ktoś pogrążony we śnie lub odurzony silnym narkotykiem, lecz bynajmniej nie chwiejnie. Wydawała się ślepa, choć zarazem sprawiała wrażenie, jakby doskonale wiedziała o wszystkim, co ją otacza.

\* \* \*

Przeczytałem to, co przed chwilą napisałem, i widzę, że zupełnie nie udało mi się oddać istoty tej postaci. Najbardziej przypominała posąg. Gdyby jakiś upadły anioł podsłuchał moją rozmowę z zielonym człowiekiem, mógłby stworzyć ją choćby po to, żeby ze mnie zakpić. W tej akurat chwili otaczała ją aura spokoju i wieczności, jaką zawsze roztacza wokół siebie sztuka zaklęta w kamieniu. Wydawało mi się, że każdy gest, każde poruszenie głową może być ostatnim lub też że mogą powtarzać się w nieskończoność, tak jak figury z wielotarczowego zegara Valerii przewijają się bezustannie krętymi korytarzami czasu.

Zaraz po tym, jak trudna do wyrażenia obcość postać wyleczyła mnie z gorącego pragnienia śmierci, opanował mnie paralizujący strach, że będzie chciała wyrządzić mi krzywdę. Nie minęło jednak więcej czasu, niż trzeba dla zaczerpnięcia oddechu, kiedy zacząłem lękać się czegoś innego: tego mianowicie, że nie zrobi mi nic złego. Bać się czegoś tak, jak ja bałem się wtedy, a potem przekonać się, że nic mi nie grozi, oznaczałoby trudne do zniesienia upokorzenie. Nie bacząc na to, jakie szkody mogłoby ponieść ostrze Terminust Est, gdybym uderzył nim w kamień, obnażyłem miecz i ściągnąłem wodze rumaka. Wydawało mi się, że powietrze zamarło w bezruchu, kiedy tak staliśmy - mój wierzchowiec z rozdętymi chrapami, ja z uniesionym mieczem. Posąg zbliżał się ku nam - doskonale piękny, przerażający, o twarzy, na której malowały się niepojęte dla mnie uczucia.

Usłyszałem krzyk Jonasa, a w chwilę potem odgłos uderzenia. Odwróciłem się i zdążyłem jeszcze zobaczyć go powalonego na ziemię, jak walczy z ludźmi w wysokich, pojawiających się, to znów znikających hełmach, ale zaraz potem coś świsnęło mi koło ucha. Drugi pocisk trafił

mnie w rękę, a w chwilę później poczułem, jak wokół mego ciała zaciska się niemożliwa do rozerwania sieć. Ktoś chwycił mnie za nogi i szarpnął mocno, ściągając z wierzchowca.

Kiedy doszedłem do siebie na tyle, aby ponownie zdać sobie sprawę z tego, co się wokół

mnie dzieje, poczułem na szyi pętlę z drutu i ujrzałem jednego z napastników zajętego przetrząsaniem mojej sakwy. Jego ręce uwijały się niczym brązowe wróble, a doskonale nieruchoma twarz zdawała się zawieszona nade mną na niewidzialnej nitce. Światło kilka razy załamało się w jego niezwyklej zbroi, aż wreszcie udało mi się ją dostrzec, tak jak po dłuższym wpatrywaniu się można dostrzec kryształowy dzban zanurzony w czystej wodzie. Została tak mocno wypolerowana, że stała się prawie niewidzialna, i tylko dziwnie zniekształcony obraz otaczających nas drzew oraz krzewów świadczył o jej istnieniu.

Nie zważając na moje protesty pretorianin zabrał mi wszystkie pieniądze, pozostawił

natomiast brązową książkę Thecli, oselkę, oliwę, flanelę oraz wszystko inne. Następnie wprawnym ruchem uwolnił mnie z więzów (o ile wzrok mnie nie mylił, ukrył je w schowku pod pachą).

Przypominały trochę bicz, który nazywaliśmy „kotem”: były połączone na jednym końcu, na drugim zaś obciążone niewielkimi ciężarkami. Teraz już wiem, że nazywa się to achico.

Mój pogromca złapał za drucianą pętlę i szarpnął mocno, zmuszając mnie do wstania.

Zdawałem sobie sprawę, że obaj stosujemy się do zasad pewnej gry, jak to się zwykle dzieje w takich przypadkach. Udawaliśmy, że ma nade mną całkowitą władzę, podczas gdy w rzeczywistości mogłem odmówić współpracy, a on wtedy miałby do wyboru jedno z dwóch rozwiązań: albo mnie udusić, albo wezwać na pomoc towarzyszy. Mogłem także złapać za drut i spróbować mu go wyszarpnąć albo uderzyć go w twarz, mogłem rzucić się do ucieczki i zostać zabitym albo ogłuszonym, ale nie istniał żaden sposób, w jaki mógłby mnie zmusić do posłuszeństwa.

W każdym razie tak wtedy myślałem i nawet uśmiechnąłem się, kiedy pretorianin schował

Terminust Est do pochwy i zaprowadził mnie tam, gdzie już stał Jonas.

- Nie zrobiliśmy nic złego - powiedział Jonas. - Zwróćcie mojemu przyjacielowi jego miecz i oddajcie nam nasze wierzchowce, a odjedziemy w pokój.

Nie otrzymał odpowiedzi. Dwaj pretorianie (a więc cztery roztrzepotane wróble) w milczeniu chwycili nasze rumaki za wędzidła i odprowadzili je na bok. Jakże podobny los spotkał

te potężne zwierzęta, prowadzone na cienkim skórzanym pasku nie wiadomo dokąd i po co.

Czasem odnoszę wrażenie, że większa część naszego życia składa się właśnie z takich kapitulacji.

Wyprowadzono nas z lasu na rozległą łąkę, która wkrótce zamieniła się w trawnik. Posąg szedł za nami, a stopniowo dołączały do niego coraz to nowe, tak że wreszcie nagromadziło się ich co najmniej tuzin. Każdy był inny, a wszystkie wielkie i piękne. Zapytałem Jonasa, kim są żołnierze i dokąd nas prowadzą, ale nie odpowiedział mi, a ja o mało nie udusiłem się z wysiłku.

O ile mogłem stwierdzić, to byli zakuci w zbroje od stóp do głów, lecz ich pancerze zostały tak doskonale wypolerowane, że wydawały się wręcz miękkie, a nawet płynne. Z bliska nie było na czym oprzeć oka, z odległości kilku kroków zaś po prostu nikły, stapiając się z tłem. Po pół

mili dotarliśmy do kępy obsypanych kwiatami śliw i od razu wysokie hełmy i szerokie naramienniki rozbłysły różem i bielą.

Zagłębiliśmy się w pozornie niewielki zagajnik, ale ścieżka, którą szliśmy, okazała się niezmiernie kręta. Kiedy wreszcie wydawało się, że lada chwila wyjdziemy spomiędzy kwitnących drzew, zatrzymaliśmy się, a Jonas i ja zostaliśmy brutalnie odepchnięci do tyłu.

Usłyszałem chrzęst żwiru, kiedy podążające za nami posągi także stanęły, ostrzeżone przez jednego z żołnierzy bezgłośnym krzykiem. Wyteżyłem wzrok, starając się dostrzec przez zasłonę z białoróżowych kwiatów powód, dla którego nastąpiła ta nagła przerwa w marszu.

Przed nami znajdowała się ścieżka znacznie szersza od tej, na której staliśmy. Właściwie nie była to już ścieżka, lecz wyłożona białymi kamieniami droga, wzdłuż której po obu stronach biegły marmurowe balustrady. Wędrowała nią przedziwna zbieranina, w większości pieszo, ale niektórzy dosiadali rozmaitych zwierząt. Jeden człowiek prowadził za sobą obszarpanego arctothera, inny podróżował na grzbiecie leniwca o sierści bardziej zielonej niż trawa. Ledwie minęła nas jedna grupa, natychmiast pojawiła się następna. Choć znajdowali się jeszcze zbyt daleko, abym mógł odróżnić twarze, to bez trudu dostrzegłem, że jeden z wędrowców jest o dobre trzy łokcie wyższy od pozostałych. W chwilę potem rozpoznałem idącego na przedzie z wypiętą piersią i podniesioną wysoko głową doktora Talosa. Moja droga Dorcas podążyła zaraz za nim, wyglądając jeszcze bardziej niż przedtem jak zabłąkane dziecko, które przybyło z jakiejś innej, lepszej rzeczywistości. Obok niej, na karłowatym dzianecie, jechała pod parasolem turkocząca woalkami i obwieszona błyskotkami Jolenta, na samym końcu zaś, cierpliwie ciągnąc wózek załadowany wszystkim, czego nie zdołał wziąć na barki, kroczył Baldanders, którego dostrzegłem z daleka jako pierwszego.

Było mi żal, że nie mogę dać im żadnego znaku, choć dzieliło nas zaledwie kilka kroków, ale dla Jonasa musiało to być prawdziwą torturą. Kiedy Jolenta mijała nas, zwróciła głowę w naszą stronę.



Dla mnie nie ulegało wówczas wątpliwości, iż wyczuła jego pożądanie, tak jak podobno mieszkające w górach nieczyste duchy wyczuwają z daleka woń palonego mięsa, które specjalnie dla nich wrzuca się w ogień. Teraz jednak przypuszczam, że zainteresowały ją jedynie obsypane kwiatami drzewa, między którymi staliśmy. Usłyszałem, jak Jonas gwałtownie nabiera powietrza w płuca, ale w chwili, kiedy otworzył usta, otrzymał potężny cios w głowę i runął na ziemię.

Kiedy teraz przywołuję z pamięci tę scenę, wyraźnie słyszę odgłos, z jakim jego metalowa ręka zetknęła się z drobnym żwirem ścieżki, i czuję upajający zapach kwitnących drzew.

Kiedy droga opustoszała, dwaj pretorianie chwycili nieszczęsnego Jonasa i podnieśli go z ziemi. Uczynili to bez żadnego wysiłku, lecz wówczas przypisywałem to jedynie ich nadzwyczajnej krzepie. Przekroczyliśmy brukowaną drogę, by zagłębić się w gęstwinę różanych krzewów wyższych od człowieka, obsypanych białymi kwiatami i pełnych ptasich gniazd.

Za nimi zaczynały się właściwe ogrody. Gdybym miał pokusić się o ich opisanie, musiałbym posłużyć się szaloną, jękliwą elokwencją Hethora. Każdy pagórek, każde drzewo i każdy kwiat wydawały się zaplanowane przez jakąś niewyobrażalną inteligencję (teraz już wiem, że chodziło o inteligencję ojca Inire), która postawiła sobie za cel stworzenie zapierającej dech w piersi wizji.

Oniemiały z zachwytu obserwator ma pewność, że znajduje się w samym centrum oszałamiającego spektaklu, ale po przebyciu stu kroków czy nawet mili nadal odnosi to samo wrażenie, każda zaś kolejna wizja zdaje się zawierać w sobie jakąś niemożliwą do przekazania prawdę z rodzaju tych, jakie są objawiane jedynie najbardziej wytrwałym spośród pustelników.

Tak piękne były te ogrody, że dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, iż nie widzę nad nimi żadnych wież, tylko ptaki i obłoki, a powyżej stare słońce i blade gwiazdy. Równie dobrze moglibyśmy kroczyć przez jakąś urokliwą głuszę. W pewnej chwili dotarliśmy na szczyt łagodnego wzniesienia, bardziej zachwycającego od najpiękniejszej błękitnej fali Uroborosa, i nagle u naszych stóp otworzyła się otchłań. Jednak zamiast czarną pustką, wypełniona była fontannami, nocnymi kwiatami oraz ludźmi poubieranymi w przepyszne stroje, przechadzającymi się między basenami z szemrzącą wodą i rozmawiającymi przyciszonymi głosami.

Jak po zwaleniu kamiennej ściany do mrocznego grobowca wpadają promienie słońca, tak wystarczyło jedno uderzenie serca, aby wchłonięte przeze mnie wspomnienia Thecli przybrały konkretną barwę i kształt, wreszcie nabierając znaczenia. Pojąłem to, co sugerowało przedstawienie doktora Talosa i co wielokrotnie dawała mi do zrozumienia Thecla, choć nigdy nie powiedziała tego wprost: cały pałac znajdował się pod ziemią, jego zaś obsadzone przeróżną roślinnością dachy i ściany tworzyły krajobraz, który od pewnego czasu podziwiałem. Stapałem po siedzibie Autarchy sądząc, że dzieli mnie od niej spora odległość.

Nie zesliśmy do tej niecki, z którą na pewno nie sąsiadowały pomieszczenia przeznaczone do przesłuchiwania więźniów ani do żadnej z kilku następnych. Wreszcie jednak dotarliśmy do miejsca zdecydowanie bardziej ponurego, choć wcale nie mniej pięknego od tamtych. Schody, po których szliśmy, zostały wykute w ciemnej skale w taki sposób, aby jak najbardziej przypominały twór natury, przez co były nieregularne, a miejscami nawet niebezpieczne. Z góry spływała woda, w wyższych partiach sztucznej groty rosły zaś gęste paprocie i bluszcze, w związku z czym tylko

niewielka część słonecznego blasku docierała w niższe rejony. Tam właśnie, tysiąc stopni w dół, ściany były porośnięte mrokolubnymi grzybami; niektóre z nich słabo fosforyzowały, inne nasyciły powietrze tajemniczymi, ciężkimi zapachami, jeszcze inne tworzyły fantastyczne fetysze o fallicznych kształtach.

Pośrodku tego mrocznego ogrodu, na wysokim rusztowaniu wisiało kilka omszałych gongów. W pierwszej chwili pomyślałem, że powieszono je po to, by odzywały się poruszane podmuchami wiatru, lecz zaraz potem uzmysłowiłem sobie, że tutaj przecież nie mogło być mowy o żadnym wietrze.

Tak mi się w każdym razie wydawało, dopóki jeden z pretorian nie otworzył potężnych, ciężkich drzwi z ciemnego drewna, prawie niewidocznych na tle skalnej ściany. Podmuchał chłodnego powietrza był tak silny, że gongi natychmiast zaczęły się kołysać, a ich brzmienia były tak przemyślnie dobrane, iż zdawało się, że wygrywają melodię skomponowaną przez jakiegoś muzyka, którego dusza przebywa tutaj na wygnaniu.

Kiedy uniosłem głowę, aby popatrzeć na gongi (pretorianie nie starali mi się w tym przeszkodzić), dostrzegłem co najmniej czterdzieści posągów zgromadzonych na krawędzi zagłębienia. Wszystkie były nieruchome i wpatrywały się w nas niczym postaci z fryzu wieńczącego sięgający nieba mur.

\* \* \*

Spodziewałem się, że zostanę umieszczony w osobnej, małej celi. Podświadomie oczekiwałem znanych obyczajów naszej konfraterni w tym zupełnie nie znanym mi miejscu i zostałem za to odpowiednio ukarany, gdyż spotkało mnie coś całkowicie odmiennego. Wkroczyliśmy nie do mrocznego korytarza, po którego obu stronach ciągnęły się wąskie drzwi prowadzące do cel, lecz do obszernego, wyłożonego i miękkim dywanem, na końcu którego znajdowały się szerokie wrota, identyczne jak te, przez które weszliśmy. Strzegli ich halabardnicy z płonącymi pochodniami. Na polecenie jednego z pretorian otworzyli je i moim oczom ukazało się wnętrze dużego, niezbyt dobrze oświetlonego, bardzo niskiego pomieszczenia niemal zupełnie pozbawionego mebli. Znajdowało się w nim kilkanaście osób, wśród których dostrzegłem także dzieci. Rodziny zajmowały małe alkwyy, oddzielone przepierzeniami ze starych łąchów.

Tam właśnie zostaliśmy wepchnięci - to znaczy, ja zostałem wepchnięty, nieszczęsnego Jonasa rzucono zaś jak worek cebuli. Usiłowałem złagodzić jego upadek i udało mi się to o tyle, że uchroniłem jego głowę od gwałtownego zetknięcia z podłogą.

Drzwi zatrzasnęły się za nami z łoskotem.

## **ROZDZIAŁ XV**

### **Błędny ogień**

Zewsząd otoczyły mnie twarze. Dwie kobiety zabrały Jonasa, obiecując, że zatroszczą się o niego, pozostali zaś zasypali mnie pytaniami. Jak się nazywam? Co to za strój, który mam na sobie? Skąd przybywam? Czy znam takiego to a takiego? Czy byłem kiedyś w tym mieście albo w tamtym? Czy

pochodzę z Domu Absolutu? A może z Nessus? Ze wschodniego brzegu Gyoll czy zachodniego? Z której dzielnicy? Czy Autarcha jeszcze żyje? A ojciec Inire? Kto jest obecnie archontem miasta? Jak toczy się wojna? Czy mam jakieś wieści o dowódcy takim to a takim?

Albo o takim to a takim żołnierzu? O takim to a takim chiliarsze? Czy potrafię śpiewać, recytować albo grać na jakimś instrumencie?

Jak łatwo sobie wyobrazić, w ogólnym rozgardiaszu nie byłem w stanie odpowiedzieć na prawie żadne z tych pytań, potem jednak stary, siwobrody mężczyzna i równie wiekowa kobieta zaczęli uciszać rozkrzyczanych ludzi. Poklepywali każdego po ramieniu, wskazywali odległy zakątek pomieszczenia i mówili wyraźnie: „Mnóstwo czasu”. Stopniowo kobiety i mężczyźni milkli, po czym odchodzili we wskazanym kierunku, aż wreszcie sytuacja zaczęła przypominać tę, jaką ujrzałem zaraz po otwarciu drzwi przez strażników.

- Jestem Lomer - powiedział stary mężczyzna i odchrząknął głośno. - A to jest Nicarete.

Przedstawiłem im siebie i Jonasa. Stara kobieta chyba dosłyszała troskę w moim głosie.

- Nie musisz się niepokoić, twój przyjaciel jest bezpieczny. Dziewczęta zajmą się nim najlepiej, jak potrafią, w nadziei, że wkrótce będzie mógł z nimi porozmawiać.

Roześmiała się, a po sposobie, w jaki odchyliła do tyłu kształtną głowę, poznałem, że kiedyś była bardzo piękna.

Teraz dla odmiany ja zasypałem ich pytaniami, ale starzec natychmiast mi przerwał.

- Chodź z nami do naszego kąta - zaproponował. - Będziemy mogli tam usiąść, a ja poczęstuję cię kubkiem wody.

Jak tylko wypowiedział to słowo, poczułem, że ogromnie chce mi się pić. Poszliśmy za szmacianą zasłonę znajdującą się najbliżej drzwi, gdzie nalał wody z glinianego naczynia do filiżanki z cienkiej porcelany. Znajdowały się tam także poduszki oraz niewielki stolik.

- Pytanie za pytaniem - przemówił ponownie. - Taka jest stara zasada. Powiedzieliśmy ci, jak się nazywamy, i ty także podałeś nam swoje imię, więc możemy zacząć od początku. Dlaczego cię zatrzymano?

Odparłem, że nie mam pojęcia, choć podejrzewam, iż jedynym pretekstem mogło być wkroczenie bez zezwolenia na tereny należące do Autarchy.

Lomer skinął głową. Miał bladą cerę, charakterystyczną dla tych, którzy nigdy nie widują słońca. Ze swoją zmierzwioną brodą i nierównymi zębami w każdym innym otoczeniu sprawiałby odpychające wrażenie, lecz tutaj wydawał się równie na miejscu jak mocno starte płyty tworzące posadzkę.

- Ja znalazłem się tutaj z powodu kasztelanki Leocadii. Byłem zarządcą dworu jej rywalki, kasztelanki Nymphy, która zabrała mnie ze sobą do Domu Absolutu, abym mógł uporządkować raporty dotyczące jej majątku. Wówczas kasztelanka Leocadia zwabiła mnie w pułapkę przy pomocy

Sanchy, która...

- Spójrz! - wykrzyknęła Nicarete. - On ją zna!

Rzeczywiście, znałem. Przed moimi oczami pojawiła się różowo-kremowa komnata o dwóch ścianach wyłożonych od góry do dołu lustrami. W marmurowych kominkach płonął ogień, który co prawda nie dawał blasku, nie mogąc konkurować z wpadającymi przez okna promieniami słońca, ale wypełniał pokój suchym ciepłem oraz zapachem drewna sandałowego. Stara kobieta otulona w kilka szali siedziała w fotelu podobnym do tronu, na inkrustowanym stoliku zaś po jej lewej stronie stała karafka z rżniętego kryształu i kilka brązowych flakoników.

- Stara kobieta o zakrzywionym nosie - powiedziałem. - Wdowa po mężczyźnie imieniem Fors.

- A więc znasz ją. - Lomer skinął powoli głową, jakby w odpowiedzi na zadane przez siebie pytanie.  
- Pierwszy od wielu lat.

- Powiedzmy, że ją pamiętam.

- Słusznie. - Ponownie skinął głową. - Podobno już nie żyje, ale za moich czasów była zdrową, młodą kobietą. Namówiła ją kasztelanka Leocadia, a potem sprawiła, że zostaliśmy odkryci. Sancha miała wówczas czternaście lat, więc nikt nie robił jej żadnych przykrości. Poza tym do niczego między nami nie doszło, gdyż dopiero zaczęła mnie rozbierać.

- Ty także musiałeś być wtedy bardzo młody - zauważyłem. Nie odpowiedział, więc uczyniła to za niego Nicarete.

- Miał dwadzieścia osiem lat.

- A ty? - zapytałem. - Dlaczego ty tutaj trafiłaś?

- Jestem ochotniczką.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

- Ktoś musi odpokutować za zło, jakie dzieje się na Urth, bo w przeciwnym razie Nowe Słońce nigdy nie nadejdzie. Ktoś musi też przypominać o istnieniu tego miejsca oraz innych, podobnych do niego. Pochodzę ze szlacheckiej rodziny, która być może jeszcze o mnie pamięta, dlatego też strażnicy muszą mieć na mnie szczególne baczenie.

- Czy mam rozumieć, że mogłabyś stąd wyjść, ale nie chcesz?

- Nie - odparła i potrząsnęła głową. Miała zupełnie siwe włosy, lecz nosiła je rozpuszczone, tak jak czynią to młode kobiety. - Wyjdę tylko wtedy, jeśli zostanie spełniony mój warunek: wszyscy ci, którzy przebywają tutaj tak długo, że zdążyli już zapomnieć, za jakie przestępstwa zostali tu wtrąceni, także zostaną wypuszczeni na wolność.

Pomyślałem o kuchennym nożu, który ukradłem dla Thecli, i o szkarłatnej struzce, która pojawiła się

pod drzwiami jej celi, po czym zapytałem:

- Czy więzień naprawdę może zapomnieć, za co został zatrzymany?

Lomar uniósł głowę.

- Protestuję! Pytanie za pytaniem, taka tu obowiązuje zasada. Bardzo stara zasada. A my przestrzegamy starych zasad. Z naszego pokolenia zostaliśmy już tylko my dwoje, Nicarete i ja, ale dopóki żyjemy, będziemy postępować zgodnie z tradycją. Pytanie za pytaniem. Masz może jakichś przyjaciół, którzy będą czynić starania, aby cię uwolnić?

Z pewnością próbowałyby to uczynić Dorcas, naturalnie gdyby wiedziała, że tu jestem. Co do doktora Talosa, to jego zachowanie było równie trudne do przewidzenia jak kształt obłoków na niebie, i dlatego nie mogłem wykluczyć, że zechciałby zainteresować się moim losem, choć właściwie nie miał ku temu żadnego powodu. W tej chwili jednak najważniejsze było to, że przybyłem do Domu Absolutu jako posłaniec Vodalusa, który miał tutaj co najmniej jednego człowieka - tego, któremu miałem przekazać wiadomość. Jadąc z Jonasem na północ dwukrotnie próbowałem pozbyć się noża otrzymanego od Vodalusa, ale nie mogłem. Wyglądało na to, że alzabo rzuciło na mnie jeszcze jedno zaklęcie. Teraz nawet byłem z tego zadowolony.

- Masz jakichś przyjaciół? Znajomych? Jeśli tak, to być może uda ci się zrobić coś także dla nas.

- Przyjaciół, owszem - odparłem. - Chyba spróbują mi pomóc, oczywiście pod warunkiem, że dowiedzą się o moim losie. Czy sądzisz, że mają szansę coś wskórać?

Rozmowa ciągnęła się jeszcze bardzo długo. Gdybym miał ją tutaj przytoczyć w całości, moja opowieść nigdy nie dobiegłaby końca. W tym wielkim pokoju więźniowie mogą jedynie rozmawiać lub grać w jakieś proste gry. Robią to dopóty, dopóki nie opuszczą ich resztki zapалу, a potem zaczynają przypominać chrząstki, które wygłodniały człowiek ssał przez cały dzień. Pod wieloma względami wiedzie im się lepiej niż tym, których trzymamy w lochach pod Wieżą Matachina - nie muszą obawiać się bólu i nie są osamotnieni. Różnica polega na tym, że nasi więźniowie nigdy nie przebywają w zamknięciu tak długo, dzięki czemu prawie zawsze są przepełnieni nadzieją, podczas gdy ci z Domu Absolutu niemal bez wyjątku są pogrążeni w rozpacz.

Po około dziesięciu wachtach sufitowe lampy zaczęły przygasać, a ja powiedziałem Lomerowi i Nicarete, że jeszcze chwila, a oczy same mi się zamkną. Zaprowadzili mnie w miejsce bardzo oddalone od drzwi, gdzie było niemal zupełnie ciemno, i wyjaśnili, że będzie należało do mnie aż do chwili, kiedy któryś ze starszych więźniów umrze i otrzymam w spadku po nim lepszy kąt.

Kiedy odchodzili, usłyszałem, jak Nicarete zapytała:

- Czy przyjdą dziś w nocy?

Lomar coś jej odpowiedział, ale nie dosłyszałem co, a byłem zanadto zmęczony, żeby się dopytywać. Poczuję, że stoję na cienkim sienniku. Usiadłem, po czym wyciągnąłem się na nim, tylko po to jednak, by niemal natychmiast się poderwać, gdyż moja ręka natrafiła na czyjeś ciało.

- Nie obawiaj się - usłyszałem głos Jonasa. - To tylko ja.

- Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej? Widziałem cię, jak przechodziłeś, ale nie mogłem oderwać się od tych dwojga starszków. Trzeba było podejść do nas.

- Nie odezwałem się, bo byłem pogrążony w myślach, a nie podszedłem do was, ponieważ najpierw nie mogłem uwolnić się od kobiet, które się mną zaopiekowały, potem zaś one nie mogły uwolnić się ode mnie. Severianie, ja muszę stąd uciec.

- Każdy tego pragnie - odparłem. - Ja też.

- Ale ja muszę. - Jego lewa, szczupła, silna ręka zacisnęła się na mojej. - Jeśli tego nie zrobię, zabiję się albo stracę zmysły. Jestem twoim przyjacielem, prawda? - Zniżył głos do najcichszego z szeptów.

- Czy twój talizman... ten błękitny klejnot... mógłby nas uwolnić? Wiem, że pretorianie go nie znaleźli, bo obserwowałem ich, kiedy cię przeszukiwali.

- Nie chcę go tutaj wyjmować, gdyż świeci w ciemności - odparłem.

- Zasłonię nas swoim siennikiem.

Kiedy to uczynił, wyjąłem Pazur z ukrycia. Żarzył się tak słabo, że bez trudu mógłbym ukryć go w dłoni.

- Czy on umiera? - zapytał Jonas.

- Nie, tak właśnie zazwyczaj wygląda. Łśni tylko wtedy, kiedy jest aktywny - tak jak wówczas, kiedy zamienił wodę w wino i ocalił mnie przed małpoludami. Nawet jeśli mógłby przyczynić się do naszego uwolnienia, to nie sądzę, żeby był do tego zdolny akurat teraz.

- Musimy spróbować przy drzwiach - powiedział Jonas drżącym głosem. - Może otworzy zamek.

- Później, kiedy wszyscy zasną. Jeśli uda mi się nas uwolnić, chciałbym pomóc także pozostałym, ale wolałbym, żeby nikt go nie zobaczył. A teraz powiedz mi, dlaczego musisz natychmiast stąd uciec.

- Kiedy rozmawiałeś z dwojgiem starych ludzi, ja zostałem wzięty na spytki przez pewną rodzinę: kilka starszek, mężczyzna około pięćdziesiątki, drugi, mniej więcej trzydziestoletni, trzy młodsze kobiety i gromada dzieci. Zanieśli mnie do swojej niszy, gdzie inni więźniowie mogliby wejść tylko za zaproszeniem, którego, ma się rozumieć, nie otrzymali. Przypuszczałem, że będą wypytywać mnie o przyjaciół na wolności, o politykę lub przebieg wojny, oni jednak najwyraźniej pożąдали jedynie rozrywki. Chcieli wiedzieć, gdzie bywałem, jak teraz wygląda rzeka i czy wielu ludzi ubiera się tak jak ja. Aha, i jedzenie... Wiele pytań dotyczyło jedzenia, w tym sporo było wręcz nedorzeczných. Czy byłem kiedyś w rzeźni? Czy zwierzęta błagają, aby darować im życie? Czy to prawda, że ludzie, którzy produkują cukier, noszą zatrute miecze i są gotowi walczyć w jego obronie? Nigdy też nie widzieli pszczoł, gdyż myśleli, że są wielkości królików.

Po pewnym czasie ja zacząłem zadawać im pytania i prędko przekonałem się, że żadne z nich, nawet najstarsza kobieta, nigdy nie było wolne. Wygląda na to, że kobiety i mężczyźni, którzy są tu

zamknięci, rozmnażają się, i choć strażnicy zabierają większość dzieci, to niektóre zostają na zawsze. Nie mają nic własnego, nawet nadziei na uwolnienie. W gruncie rzeczy nawet nie bardzo wiedzą, co to jest wolność, i choć starszy mężczyzna i jedna z dziewcząt twierdzili, że bardzo pragną opuścić to miejsce, to wydaje mi się, że prędko by do niego zatęsknili. Stare kobiety twierdzą, że są więźniarkami w siódmym pokoleniu, choć jedna z nich wspomniała mimochodem, iż jej matka mówiła to samo o sobie.

Pod wieloma względami są naprawdę zdumiewający. Miejsce, w którym przyszło im spędzić całe życie, ukształtowało ich wygląd, ale w głębi duszy mają ukrytą... - Jonas umilkł na chwilę, jakby poszukując właściwych słów, a ja poczułem fizyczny dotyk otaczającej nas zewsząd ciszy -

...pamięć pokoleniową, tak to się chyba nazywa. Opowieści z zewnątrz, przekazywane z pokolenia na pokolenie, poczynając od tych, którzy trafili tu jako pierwsi i zapoczątkowali tę społeczność więźniów. Czasem nie wiedzą nawet, co oznaczają poszczególne słowa, niemniej jednak hołubią te opowieści, gdyż są wszystkim, co im pozostało.

Umilkł ponownie, tym razem na dłużej. Schowałem do buta pełgający niepewnie płomyk Pazura, tak że znaleźliśmy się w zupełnej ciemności. Jonas oddychał głośno i z wysiłkiem.

- Zapytałem, jak nazywał się pierwszy więzień, od którego wszyscy wywodzą swój rodowód. Kimleesoong... Słyszałeś kiedyś to imię?

Zgodnie z prawdą odparłem, że nie.

- Albo podobne? Na przykład składające się z trzech wyrazów?

- Na pewno nie. Większość ludzi, których znam, ma jednowyrazowe imiona, takie jak twoje, chyba że dodano im jakiś tytuł lub przydomek, żeby odróżnić od innych Bolcanów, Altosów i temu podobnych.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że uważasz, iż mam niezwykle imię. W czasach, kiedy byłem...

chłopcem... nikogo nie zdziwiłoby takie imię jak Kim Lee Song. Słyszałeś kiedyś o moim statku, Severianie? Nazywał się „Szczęśliwy Obłok”.

- Uprawiano na nim hazard? Nie słyszałem, ale...

Kątem oka dostrzegłem zielonkawą poświatę, tak słabą, że ledwo widzialną w ciemności.

Okazało się jednak, że nie ja jeden ją zauważyłem, gdyż przez pomieszczenie przebiegł pomruk.

Usłyszałem, jak Jonas zrywa się na równe nogi. Uczyniłem to samo, ale zanim zdążyłem do końca się wyprostować, zostałem oślepiony eksplozją jaskrawobłękitnego światła. Jeszcze nigdy nie zaznałem równie potwornego bólu. Poczulem się tak, jakby ktoś zdarł mi skórę z twarzy i z pewnością runąłbym na podłogę, gdyby nie to, że bezwiednie oparłem się o ścianę.

Błękitne światło wybuchło ponownie kilka kroków dalej. Jakaś kobieta krzyknęła rozzwierająco.

Jonas klął głośno - to znaczy, z tonu głosu domyśliłem się, że przeklina, choć posługiwał się jakimś zupełnie mi nie znanym językiem. Światło znowu rozbłysło, a ja rozpoznałem w nim ten sam upiorny blask, jaki ukazał się moim oczom tego dnia, kiedy wraz z mistrzem Gurloesem i Roche'em wprowadziliśmy Theclę do komnaty tortur. Bez wątpienia Jonas wrzasnął równie głośno jak ja, ale nasze głosy utonęły w ogólnym tumultcie. Zielonkawa poświata przybierała z wolna na sile. Obserwowałem spod na wpół przymkniętych powiek, częściowo sparaliżowany bólem, a częściowo strachem, jakiego nie dane mi było zaznać dotąd w życiu jak wyłania się z niej monstrualna, świecąca twarz. Przez chwilę przyglądała mi się pustymi, wielkimi jak spodki oczami, po czym znikła.

Wszystko to było znacznie bardziej przerażające, niż zdołałbym opisać, nawet gdybym ślęczał do końca życia nad tym fragmentem mojej relacji. Bałem się ślepoty i bólu, choć, na dobrą sprawę, już byłem ślepy. W pomieszczeniu zapanowała nieprzenikniona ciemność, a żaden z nas nie mógł zapalić świecy lub chociaż skrzesać ognia. Ludzie krzyczeli, szlochali i modlili się. Ponad ten zgiełk wybił się na chwilę czysty śmiech młodej kobiety, po czym umilkł.

## **Rozdział XVI**



# Jonas

Pożądałem wtedy światła tak, jak wygłodniały człowiek mięsa. Wreszcie postanowiłem zaryzykować i wydobyłem Pazur - choć raczej powinienem powiedzieć, że to on zaryzykował, gdyż wydawało mi się, że nie sprawuję żadnej kontroli nad moją ręką, która sięgnęła do buta i wyjęła klejnot.

Ból natychmiast zelżał, pomieszczenie zaś zalały kaskady lazuruowego światła. Wrzawa wzmogła się na chwilę, gdyż więźniowie byli przekonani, że za chwilę czeka ich kolejna dawka cierpienia. Pośpiesznie schowałem Pazur do buta, a kiedy jego blask zniknął, zacząłem po omacku szukać Jonasa.

Wbrew moim przypuszczeniom nie stracił przytomności, ale wił się na podłodze w odległości ponad dwudziestu kroków od miejsca, w którym słyszałem go ostatnio. Zaniósłem go z powrotem na siennik (przy okazji przekonałem się, że jest zdumiewająco lekki), a następnie nakryłem nas obu płaszczem i przyłożyłem mu Pazur do czoła.

Wkrótce potem usiadł, a nawet chciał wstać, lecz ja nie pozwoliłem mu na to, powtarzając, że cokolwiek pojawiło się w pomieszczeniu, już zniknęło.

- Trzeba uruchomić kompresory, zanim powietrze przestanie być zdatne do oddychania.

- Wszystko w porządku, Jonas - powiedziałem uspokajającym tonem. - Już wszystko w porządku.

Gardziłem sobą za to, ale przemawiałem do niego w taki sposób, jakby był najmłodszym z uczniów. Wiele lat temu dokładnie tak samo mówił do mnie mistrz Malrubius.

Coś twardego i zimnego dotknęło mojego przegubu, po czym poruszyło się jak żywa istota.

Okazało się, że to stalowa ręka Jonasa. Po chwili zorientowałem się, że usiłuje zacisnąć ją na mojej.

- Czuję ciężenie! - mówił coraz głośniejszym głosem. - Nie, to chyba tylko przez te światła...

Odwrócił się do ściany i zaczął drapać ją metalową kończyną, jednocześnie mamrocąc coś w nosowym, monosylabycznym języku, którego nie rozumiałem.

Zdobyłem się na odwagę, ponownie wydobyłem Pazur z ukrycia i dotknąłem nim jego czoła.

Klejnot świecił równie słabo jak wówczas, kiedy oglądaliśmy go po raz pierwszy tego wieczoru, i nie pomógł Jonasowi, ale po pewnym czasie udało mi się przynajmniej uspokoić przyjaciela.

Zasnęliśmy długo po tym, jak ucichły ostatnie rozmowy.

\* \* \*

Kiedy się obudziłem, lampy płonęły już mdłym blaskiem, choć instynktownie wyczuwałem, że na zewnątrz jest jeszcze noc, a w najlepszym razie zaczyna dopiero świtać.

Jonas leżał obok mnie, pogrążony we śnie. W miejscu, w którym dosięgnął go błękitny płomień, miał rozdarty kaftan, pod spodem zaś paskudną oparzelinę. Upewniwszy się, że nikt nas nie obserwuje, wyjąłem Pazur Łagodziciela i zacząłem przesuwać nim po ranie.

Klejnot lśnił znacznie intensywniej niż poprzedniego wieczoru, i choć oparzelina nie zniknęła, to odniosłem wrażenie, że nieco się zmniejszyła, ciało zaś po obu stronach rany wyraźnie zbladło.

Podciągnąłem nieco materiał, aby dostać się do dolnej krawędzi rany, ale kiedy dotknąłem jej Pazurem, rozległ się wyraźny metaliczny dźwięk. Okazało się, że w pewnym miejscu ciało mego przyjaciela kończy się jak ucięte nożem, ustępując miejsca błyszczącej, srebrnej powierzchni.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to zbroja, lecz wkrótce przekonałem się, że byłem w błędzie. Metal zastąpił mu ciało w taki sam sposób, w jaki stalowa proteza zastąpiła jego prawą rękę. Nie wiedziałem, jak daleko sięga przemiana, a bałem się dotknąć jego nóg, aby go nie obudzić.

Ukryłem starannie Pazur i wstałem z cienkiego siennika. Ponieważ chciałem przez chwilę być sam, aby spokojnie przemyśleć kilka spraw, skierowałem się ku środkowej części pomieszczenia. Już wczoraj niska sala sprawiała dziwne wrażenie, ale teraz, poprzedzielana licznymi, skleconymi byle jak przepierzeniami i usłana ciałami śpiących ludzi, wyglądała jeszcze bardziej niezwykle. W nadziei, że odrobina ruchu umożliwi mi sprawniejsze myślenie (jak to się często zdarza), postanowiłem przejść całe pomieszczenie wzdłuż i wszerz.

Jednak kiedy przebyłem nie więcej niż czterdzieści kroków - stąpając najostrożniej jak mogłem, aby nikogo nie obudzić - dostrzegłem przedmiot zupełnie nie pasujący do odzianych w łachmany ludzi i parawanów z brudnych, starych szmat. Był to kobiecy szal z jakiegoś kosztownego, gładkiego materiału koloru brzoskwini. Nawet nie będę próbował opisać jego zapachu, który, choć nie przypominał zapachu żadnego owocu ani kwiatu rosnącego na Urth, jednak był bardzo piękny. Właśnie miałem zamiar schować szal do sakwy, kiedy usłyszałem dziecięcy głos:

- To przynosi pecha. Okropnego pecha. Nie wiesz o tym?

Rozejrzałem się dokoła, potem spojrzałem w dół i zobaczyłem małą dziewczynkę o bladej twarzy i ogromnych, czarnych oczach, które zdawały się z trudem na niej mieścić.

- Co przynosi pecha, panienko?

- Zbieranie znalezisk. Oni potem po nie przychodzą. Dlaczego jesteś ubrany na czarno?

- To fuligin, który jest ciemniejszy od czerni. Wyciągnij rękę, to ci coś pokażę. Widzisz, jak wydaje się znikać, kiedy zasłonię ją skrajem płaszcza?

Mała główka - choć i tak wydawała się za duża w porównaniu z drobniutkimi ramionami - skłoniła się poważnie.

- Ci, którzy grzebią zmarłych, ubierają się na czarno. Czy ty grzebiesz zmarłych? Kiedy grzebano nawigatora, jechały czarne powozy wszyscy mieli na sobie czarne stroje. Widziałeś kiedyś taki

pogrzeb?

Przykucnąłem, aby lepiej widzieć poważną twarzyczkę.

- Nikt nie przychodzi na pogrzeb w fuliginie, panienko, a to - z obawy, aby nie zostać wziętym za członka mojego bractwa, co w większości przypadków mogłoby oznaczać dla zmarłego nie zasłużoną niesławę. A teraz popatrz na ten szal; widzisz, jaki jest piękny? Czy to właśnie jest znaleźnisko?

Ponownie skinęła głową.

- Zostawiają je bicze, a my wypychamy je na zewnątrz przez szparę pod drzwiami, bo bicze wracają po nie.

Już nie spoglądała mi w oczy, tylko na bliźnię biegnącą przez mój prawy policzek.

Dotknąłem szramy palcami.

- To są bicze? Ci, którzy to robią? Skąd się biorą? Widziałem tylko zieloną twarz.

- Ja też. - Roześmiała się, a ja odniosłem wrażenie, jakby zadzwięczały maleńkie dzwoneczki. - Bałam się, że mnie pożre.

- Teraz nie wydajesz się bardzo przestraszona.

- Mama mówi, że te rzeczy, które widać w ciemnościach, nic nie znaczą. Zresztą, za każdym razem są zupełnie inne. Bolą tylko bicze, więc przez cały czas trzymała mnie za sobą. Twój przyjaciel już się budzi. Dlaczego masz taką zabawną minę?

(Przypomniałam sobie, jak śmiałam się wraz z trzema młodymi mężczyznami i dwiema kobietami mniej więcej w moim wieku. Guibert wręczył mi bicz o ciężkiej rękojeści, który zamiast rzemieni miał linki splecione z nitek błyszczącej miedzi, Lollian zaś zajął się przygotowaniem ognistego ptaka, uwiązanego do długiego sznurka).

- Severianie! - Pośpiesznie wróciłem do Jonasa. - Cieszę się, że tu jesteś - powiedział, kiedy usiadłem obok niego. - Bałem się, że... że odszedłeś.

- Miałbym z tym spore kłopoty. Nie pamiętasz?

- Teraz już pamiętam. Czy wiesz, jak się nazywa to miejsce, Severianie? Powiedzieli mi wczoraj. To przedpokój... Ach, widzę, że już wiedziałeś.

- Wcale nie.

- Skinąłeś głową.

- Po prostu przypomniałem sobie tę nazwę. Ja... To znaczy, Thecla kiedyś tu była. Nie uważała, że to trochę niezwykle miejsce na więzienie, bo nigdy nie widziała innego, dopóki nie trafiła do naszej

wieży, ale ja tak właśnie myślę. Wydaje mi się, że pojedyncze cele, albo chociaż nieco mniejsze pomieszczenia, są znacznie bardziej praktyczne. Nie można jednak wykluczyć, że przemawia przede mną jedynie uprzedzenie.

Jonas podciągnął się na posłaniu i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Jego błyszcząca od potu twarz wyraźnie zbladła pod opalenizną.

- Naprawdę nie domyślasz się, jak powstała ta sala? Rozejrzyj się uważnie.

Zrobiłem to, ale nie dostrzegłem nic ponad to, co widziałem do tej pory, to znaczy rozległy, niski pokój oświetlony słabym blaskiem lamp.

- Dawniej znajdowało się tutaj wiele sąsiadujących ze sobą apartamentów, ale wszystkie ściany zburzono i położono jednolitą podłogę. To, co widzisz nad głową, za moich czasów nazywało się podwieszanym sufitem. Gdybyś podniósł jeden z tych paneli, ujrzałbyś prawdziwe sklepienie.

Wstałem i spróbowałem to zrobić, ale choć dotknąłem czubkami palców jednej z kwadratowych płyt, to nie mogłem już pchnąć jej z odpowiednią siłą.

- Ja spróbuję, tylko mnie podnieś - powiedziała dziewczynka, która obserwowała nas z pewnej odległości, zapewne nie tracąc ani słowa z naszej rozmowy.

Podbiegła, a ja chwyciłem ją w pasie i z łatwością podniosłem nad głowę. Przez chwilę jej cienkie ramiona mocowały się z płytą nad naszymi głowami, aż wreszcie fragment stropu podniósł się, obsypując nas kurzem i pyłem. Nad nim dostrzegłem misterną konstrukcję z cienkich prętów, jeszcze wyżej zaś wysokie sklepienie ozdobione licznymi płaskorzeźbami oraz malowidłami przedstawiającymi obłoki i ptaki. Zaraz potem dziewczynka osłabła i kwadratowa płyta opadła na miejsce, na nas zaś posypało się jeszcze więcej pyłu.

Postawiwszy dziecko na podłodze ponownie zwróciłem się do Jonasa.

- Miałeś rację. W górze jest drugi sufit, który kiedyś na pewno należał do dużo mniejszego pokoju niż ten. Skąd o tym wiedziałeś?

- Wczoraj rozmawiałem z tymi ludźmi. - Podniósł obie ręce, tę z ciała i tę ze stali, i potarł nimi twarz. - Odeślij to dziecko, dobrze?

Kazałem dziewczynce wracać do matki, choć podejrzewałem, że przeszła na drugą stronę pomieszczenia, a następnie okrążyła nas i wróciła z drugiej strony.

- Mam wrażenie, jakbym z wolna się budził - powiedział Jonas. - Wczoraj mówiłem, że boję się, iż oszaleję. Teraz chyba staję się na powrót normalny, co jest równie złe, jeśli nie gorsze. -

Do tej pory siedział na posłaniu z wyprostowanymi nogami, teraz jednak podkulił je i oparł się o ścianę, przez co wyglądał dokładnie tak samo jak zwłoki, które jakiś czas potem ujrzałem oparte plecami o pień drzewa. - Na pokładzie statku wiele czytałem. Kiedyś natrafiłem na pewną historię.

Wątpię, czy kiedykolwiek obiała ci się o uszy, bo od tamtej pory minęło już tyle tysięcy...

- Zapewne nie.

- Jest zupełnie różna od tej, choć jednocześnie bardzo do niej podobna. Dziwaczne, mało ważne zwyczaje i zasady... choć może nie wszystkie tak mało ważne. Tajemnicze instytucje.

Poprosiłem statek, a on dał mi jeszcze jedną książkę.

Wciąż bardzo się pocił, ja zaś przypuszczałem, że bredzi w gorączce. Otarłem mu czoło kawałkiem flaneli, którego używałem do polerowania miecza.

- Dziedziczni władcy, dziedziczni podwładni, różni dziwni urzędnicy, lansjerzy o długich, siwych wąsach... - Przez chwilę na jego ustach gościł cień dobrze mi znanego uśmiechu. - Biały Rycerz ześlizguje się po pogrzebaczu z trudem utrzymując równowagę, tak jak było zapisane w notesie Króla.

W głębi pomieszczenia powstało jakieś zamieszanie. Więźniowie, którzy do tej pory jeszcze spali albo rozmawiali przyciszonymi głosami, podnieśli się i ruszyli w tamtą stronę. Jonas chyba przypuszczał, że ja także pójdę, gdyż złapał mnie za ramię lewą ręką. Była słaba jak ręka kobiety.

- W rzeczywistości wcale tak się nie zaczęło, Severianie. - Jego drżący głos nabrał nagle zdumiewającej mocy. - Król został wybrany na polu paradnym, władcy mianowali hrabiów...

Nazywano to mrocznymi stuleciami. Każdy obywatel Lombardii mógł zostać baronem.

Mała dziewczynka, którą niedawno podnosiłem do sufitu, zjawiała się obok nas nie wiadomo skąd.

- Przynieśli jedzenie! - zawołała. - Nie idziecie?

Podniosłem się z miejsca.

- Wezmę coś dla nas - powiedziałem. - Może poczujesz się lepiej.

- To weszło ludziom w krew - usłyszałem jeszcze słowa Jonasa. - Nikt nie podejrzewał, czym może się to skończyć.

Więźniowie wracali na swoje miejsca niosąc po jednym małym bochenku. Kiedy dotarłem w pobliże wejścia, tłum przerzedził się już na tyle, że zauważyłem, iż drzwi są otwarte. W

korytarzu stał posrebrzany wózek pilnowany przez człowieka w nakryciu głowy z białej, usztywnionej gazy. Więźniowie wychodzili na korytarz i okrążali wózek. Uczyniłem to samo, czując się przez chwilę jak wolny człowiek.

Niestety, złudzenie szybko przyszło, gdyż natychmiast ujrzałem dwóch halabardników strzegących dostępu do dalszej części korytarza, a za nimi dwóch następnych, pilnujących ciężkich, dębowych drzwi, przez które można było dostać się do Studni Omszałych Gongów.

Ktoś dotknął mego ramienia. Odwróciwszy się ujrzałem siwowłosą Nicarete.

- Lepiej, żebyś coś wziął - powiedziała. - Jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla swojego przyjaciela. Nigdy nie przynoszą tyle, żeby wystarczyło dla wszystkich.

Skinąłem głową, po czym wziąłem z wózka dwa lepkie bochenki.

- Jak często was karmią?

- Dwa razy dziennie. Wczoraj przyprowadzono was zaraz po drugim posiłku. Staramy się nie brać za wiele, ale i tak zawsze dla kogoś zabraknie.

- Przecież to jest ciasto! - stwierdziłem ze zdziwieniem. Palce miałem umazane lepką polewą pachnącą cytryną, gałką muskatołową i kurkumą.

Stara kobieta skinęła głową.

- Tak jest codziennie, choć za każdym razem dostajemy inny rodzaj. W tym srebrnym dzbanku jest kawa, a filiżanki znajdziesz na dolnej półce wózka. Mało kto ją pije, gdyż większość twierdzi, że nie lubi kawy.

Ciasta zniknęły już z wózka i wszyscy więźniowie, z wyjątkiem Nicarete i mnie, wrócili do niskiego pomieszczenia. Okazało się, że kawa jest bardzo mocna, gorąca i obficie posłodzona tymiankowym miodem.

- Nie wypijesz?

- Zaniosę ją Jonasowi. Czy będą mieli coś przeciwko temu, że zabiorę filiżankę?

- Wątpię - odparła Nicarete, ale jednocześnie ruchem głowy wskazała żołnierzy. Obaj postąpili groźnie w naszą stronę, więc nie zwlekając cofnęliśmy się do przedpokoju, a drzwi natychmiast zatrzasnęły się za nami.

Przypomniałem Nicarete, że poprzedniego dnia powiedziała mi i jakoby przebywała tu z własnej woli, i zapytałem, czy wie, dlaczego więźniowie są karmieni wonnymi ciastami oraz kawą.

- Ty sam dobrze wiesz, dlaczego - odparła. - Poznają to po twoim głosie.

- Wcale nie. Myślę tylko, że Jonas wie.

- Całkiem możliwe. Wszystko dlatego, że to więzienie wcale nie miało być więzieniem.

Dawno temu - zdaje się, że jeszcze przed panowaniem Ymara - autarchowie mieli zwyczaj osobiście sądzić wszystkich, którzy popełnili przestępstwo na terenie Domu Absolutu. Może myśleli, iż w ten sposób szybciej dowiedzą się o wymierzonych przeciwko nim spiskach, a może po prostu mieli nadzieję, że postępując sprawiedliwie z ludźmi ze swego najbliższego otoczenia uchronią się przed ich nienawiścią i zazdrością. Najważniejsze przypadki były rozpatrywane bardzo szybko, natomiast

ci, którzy mieli na sumieniu pomniejsze przewiny, czekali na swoją kolej właśnie tutaj...

Drzwi, zamknięte nie tak dawno temu, otworzyły się ponownie i do pomieszczenia został

wepchnięty nieduży, częściowo bezzębny człowiek w poszarpanym ubraniu. Rozciągnął się jak długi na podłodze, ale szybko zerwał się i przypadł mi do nóg. Był to Hethor.

Więźniowie otoczyli go zewsząd tak samo jak poprzedniego dnia mnie i Jonasa, zasypując go gradem pytań. Nicarete, której wkrótce przyszedł w sukurs Lomer, kazała im się rozstąpić i poprosiła Hethora, aby się przedstawił, na co on przycisnął czapkę do piersi (co przypomniało mi poranek, kiedy znalazł mnie przy Krzyżu Ctesiphona) i powiedział:

- Jam jest n-n-niewolnikiem mego p-p-pana, Hethor moje imię. Znużonym wielce znojami podróży i po dwakroć opuszczonym.

Wpatrywał się przy tym we mnie dzikimi, szeroko otwartymi oczami, przypominającymi oczy szczurów kasztelanki Lelii, które na kłaśnięcie rękami zaczynały kręcić się w kółko i kąsać własne ogony.

Jego widok wzbudził we mnie tak wielkie obrzydzenie, a jednocześnie tak bardzo niepokoiłem się o Jonasa, że odwróciłem się na pięcie i wróciłem tam, gdzie spędziliśmy minioną noc. Jeszcze przez długą chwilę miałem przed oczami obraz szarych, ogarniętych szaleństwem szczurów. Na szczęście w pewnym momencie zniknął niczym ryba Dominy, jakby przypomniawszy sobie, że stanowi jedynie pozostałość martwych wspomnień Thecli.

- Coś nie w porządku? - zapytał Jonas. Wydawał się odrobinę silniejszy.

- Dręcą mnie myśli.

- Dla kata to rzeczywiście niedogodność, ale ja zawsze jestem zadowolony z takiego towarzystwa.

Podąłem mu ciasto i postawiłem obok filiżankę.

- To prawdziwa, miejska kawa, bez pieprzu. Lubisz taką?

Skinął głową, podniósł filiżankę do ust i pociągnął mały łyk.

- A ty?

- Wypiłem swoją porcję przy wózku. Zjedz ciasto, jest bardzo dobre.

Posłusznie oderwał kawałek.

- Muszę z kimś porozmawiać, nawet gdybyś to był ty, choć z pewnością uznasz mnie za potwora, kiedy wszystkiego wysłuchasz. Ty też jesteś potworem. Wiedziałaś o tym, przyjacielu Severianie? Jesteś potworem, ponieważ obrałeś sobie za zawód to, co większość ludzi traktuje jako hobby.

- Jesteś cały polatany metalem - powiedziałem. - Nie tylko twoja ręka. Wiem o tym już od dłuższego czasu, przyjacielu potworze. A teraz zjedz ciasto i wypij kawę. Zdaje się, że następny posiłek dostaniemy nie wcześniej niż za jakieś osiem wacht.

- Rozbiliśmy się. Tutaj, na Urth, minęło tak wiele czasu, że nie było już żadnego portu, w którym moglibyśmy wylądować. Straciłem rękę i twarz. Moi towarzysze zreperowali mnie najlepiej jak potrafili, ale nie mieli części zapasowych, więc musieli skorzystać z materiału biologicznego.

Stalową ręką, którą do tej pory uważałem za coś w rodzaju haka, podniósł tę z ciała i kości w taki sposób, w jaki człowiek mógłby podnieść jakiś budzący obrzydzenie odpadek.

- Masz gorączkę. Otrzymałeś uderzenie biczem, ale wkrótce wydobrzejesz. Wówczas stąd wyjdziemy i razem poszukamy Jolenty.

Skinął głową.

- Czy pamiętasz, jak wtedy, kiedy zbliżaliśmy się do wylotu Bramy Skruchy i wybuchło całe to zamieszanie, zwróciła głowę ku słońcu, a ono zalśniło na jej policzku?

Powiedziałem, że pamiętam.

- Nigdy nikogo nie kochałem, przynajmniej od czasu, kiedy nasza załoga rozeszła się po świecie.

- Spróbuj trochę odpocząć, jeżeli nie możesz już jeść.

- Severianie! - Znowu położył mi rękę na ramieniu, ale tym razem tę ze stali. Była silna jak imadło. - Musisz do mnie mówić. Moje myśli doprowadzają mnie do szaleństwa.

Przez jakiś czas plotłem, co mi ślina na język przyniesie, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

Potem przypomniałem sobie, jak często czytałem na głos Thecli, kiedy dręczyły ją podobne dolegliwości. Wyjąłem z sakwy książkę w brązowych okładkach i otworzyłem ją na chybił trafił.

## **ROZDZIAŁ XVII**

### **Opowieść o uczniu i jego synu**

#### **Część pierwsza - Reduta magów**

Dawno temu, na brzegu leżącego odłogiem morza, wznosiło się miasto o białych wieżach.

Żyli w nim mądrzy ludzie. Miastem tym rządziło jedno prawo, a ciążyło nad nim jedno przekleństwo. Prawo brzmiało w ten sposób: Ci, którzy tu mieszkają, mają do wyboru tylko dwie drogi - albo dołączyć do grona mędrców i skryć głowę pod wielobarwnym kapturem, albo opuścić gród i szukać szczęścia w niegościnnym świecie.

Był tam jeden, który przez długie lata zdołał zgłębić niemal całą magię znaną obywatelom miasta, co



równało się prawie całej magii znanej na świecie. Coraz szybciej zbliżała się chwila, kiedy będzie musiał wybrać drogę, którą podąży przez życie. W środku lata, kiedy kwiaty o żółtych, beztruskich kielichach wychylały się nawet ze szczelin w stromych skalnych ścianach wystrzelających z morza, człowiek ów udał się do jednego z tych, którzy nosili wielobarwny kaptur dłużej, niż sięgała pamięć i od dawna był nauczycielem tego, którego czas się zbliżał, po czym odezwał się do niego w te słowa:

- W jaki sposób ja, który jeszcze nic nie wiem, mógłbym zdobyć miejsce wśród mędrców naszego miasta? Pragnę bowiem aż do końca moich dni studiować tajemne zaklęcia, nie chcę zaś wyruszać w nieprzyjazny świat, aby tam walczyć o przeżycie.

Na to starzec roześmiał się i rzekł:

- Czy pamiętasz, jak wtedy, kiedy jeszcze byłeś chłopcem, nauczyłem cię, w jaki sposób ze snów stworzyć własnego syna? Wówczas nie miałeś sobie równych w tej sztuce. Idź teraz, stwórz takiego właśnie syna, przyprowadź go do mnie, a ja pokażę go innym zakapturzonym i staniesz się jednym z nas.

- Daj mi trochę czasu - poprosił uczeń. - Pozwól mi poczekać do jesieni, a uczynię tak, jak mi powiedziałeś.

Nadeszła jesień. Jawory rosnące na ulicach miasta, chronione wysokim murem przed nadlatującymi z morza wiatrami, poczęły gubić liście o barwie złota wytwarzanego przez żyjących tam ludzi, po niebie zaś przesuwały się klucze dzikich gęsi, za którymi podążały rybołowy i orłosępy. Wówczas starzec posłał po tego, który był jego uczniem, i rzekł:

- Teraz musisz już stworzyć syna ze swoich snów, tak jak ci powiedziałem, gdyż inni mędrcy poczynają się niecierpliwić. Oprócz nas ty jesteś najstarszy w mieście, może więc i tak się zdarzyć, że jeśli natychmiast nie weźmiesz się do pracy, to zostaniesz wygnany jeszcze przed nadejściem zimy.

Uczeń jednak odparł:

- Muszę jeszcze wiele się nauczyć, aby osiągnąć to, co zamierzam. Czy nie możesz przekonać ich, aby poczekali do zimy?

Złota jesień odeszła, ustępując miejsca zimie, która zakradła się cichaczem ze swojej lodowej stolicy, gdzie słońce toczy się po krawędzi świata niczym poślaczana piłka, a niebo rozświetlają ognie płonące w przestrzeni między Urth a gwiazdami. Jej dotknięcie zamieniło fale w stalowe pomniki, miasto zaś powitało ją wywieszając lodowe proporce i strojąc dachy śnieżnymi czapami. Starzec ponownie wezwał do siebie ucznia, ale otrzymał od niego tę samą odpowiedź, co poprzednio.

Przyszła wiosna, a wraz z nią radość ogarnęła naturę, lecz miasto spowiło się w żalobną czerń, magowie zaś z odrazą myśleli o własnej mocy, która okazała się niemocą. Miastem bowiem rządziło jedno prawo, a ciążyło nad nim jedno przekleństwo, i choć prawo obowiązywało latem, jesienią i zimą, to wiosną władzę przejmowało przekleństwo. Wtedy właśnie najpiękniejsze dziewczęta w mieście, córki magów, przywdziewały zielone szaty i z włosami rozwiewanymi podmuchami ciepłego wiatru szły wąską ścieżką prowadzącą do przystani, gdzie czekał już na nie okręt o czarnych

złogach. Ze względu na ich złote włosy i zielone szaty oraz dlatego, że wyglądały jak koszone zboże, nazywano je Zbożowymi Dziewicami.

Kiedy do uszu ucznia dotarły zawodzenia i jęki i kiedy wychyliwszy się przez okno ujrzał

dziewice podążające ku przystani, odłożył na bok swoje księgi, po czym zaczął kreślić na papierze figury, jakich nikt jeszcze nie widział, i pisać w wielu językach, których nauczył go jego mistrz.

## **Część druga - Narodziny bohatera**

Pracował niemal bez przerwy dzień za dniem. Kiedy pierwsze promienie słońca zaglądały do pokoju, jego pióro było już mocno zużyte od pisania, a kiedy rogaty księżyc wspinał się na niebo, by zawisnąć między białymi wieżami, lampa na stole świeciła jeszcze jasnym blaskiem.

Początkowo wydawało mu się, że opuściły go umiejętności, których przed wielu laty nauczył go mistrz, gdyż mimo wytężonej pracy wciąż był zupełnie sam, jeśli nie liczyć ciem, które czasem wpadały przez okno, aby pokazać mu insygnia śmierci wyrysowane na ich grzbietach.

Potem jednak w jego snach zaczął pojawiać się ktoś nowy, on zaś, wiedząc, kto to jest, za każdym razem witał go z radością, choć sny były ulotne i szybko znikwały z pamięci.

Pracował ze zdwojoną energią, aż wreszcie to, co chciał osiągnąć, zaczęło gromadzić się wokół niego jak dym, który otacza szczapę drewna rzuconą w prawie wygasły ogień. Czasem (szczególnie wczesnym rankiem lub bardzo późno w nocy, lub wówczas, kiedy pozwalał sobie na krótki odpoczynek na wąskim i twardym łóżku, takim samym, jakie mieli wszyscy ci, którzy jeszcze nie zasłużyli sobie na wielobarwny kaptur) słyszał dobiegające z sąsiedniego pokoju odgłosy kroków tego, kogo chciał powołać do życia.

Wkrótce zjawiska te, początkowo bardzo rzadkie i występujące niemal wyłącznie wtedy, kiedy nad białymi wieżami miasta przetaczał się huk gromu, stały się znacznie częstsze, a towarzyszyć im zaczęły znaki świadczące nieomylnie o czyjejś obecności: nie czytana od lat książka pojawiała się nagle na podłodze obok krzesła, drzwi i okna otwierały się niespodziewanie bez żadnego widocznego powodu, stary obraz, pokryty patyną czasu i wiszący zapomniany na ścianie, ukazywał światu swoje oczyszczone, błyszczące oblicze...

Pewnego złocistego popołudnia, kiedy wiatr baraszkował niewinnie z okrytymi świeżymi liśćmi jaworami, rozległo się pukanie do drzwi pracowni.

- Wejść - powiedział uczeń, nie śmiać się odwrócić ani nawet pozwolić, aby w jego głosie znalazła odbicie choćby cząstka nadziei jaką odczuwał.

Drzwi zaczęły się uchylać, początkowo powoli i nieśmiało, lecz potem nabrały prędkości, jakby pchnął je powiew wiosennego wiatru, który dotarł tu z zalanej promieniami słońca ulicy.

W chwilę później otworzyły się zupełnie, uderzając głośno o ścianę, za plecami ucznia zaś rozległy się żwawe kroki, a zaraz potem odezwał się młodzieńczy, pełen szacunku głos:

- Ojcie, wolałbym nie przeszkadzać ci, kiedy jesteś pogrążony w pracy, ale w moim sercu od wielu już dni gości bolesny niepokój, dlatego też proszę cię, abys zechciał wybaczyć mi moją natarczywość i poradzić w strapieniu.

Dopiero wtedy uczeń odważył się odwrócić na krześle. Ujrzał przed sobą młodzieńca pełnego wigoru, słusznej postawy, o bystrym spojrzeniu, zdecydowanych ustach i odważnej twarzy. Jego czoło zdobiła niewidoczna gołym okiem korona, którą jednak potrafi dojrzeć nawet ślepiec; śmiałków wynosi ona na trony, a tchórzów czyni zuchami.

- Mój synu, nigdy nie wahaj się przychodzić do mnie, gdyż nic na świecie nie jest w stanie sprawić mi większej radości niż widok twojej twarzy. Co to za sprawa, która cię gnębi?

- Ojcie, od wielu już nocy budzą mnie w nocy rozpaczliwe krzyki kobiet, a kilkakroć widziałem we śnie coś, co przypominało zielono-złotego węża, który jak zaczarowany dźwiękami piszczałki, podążał bezwolnie w kierunku przystani. Kiedy się do niego zbliżyłem, okazało się, iż ciało węża tworzą piękne kobiety, łkające rozpaczliwie i targające swoje złote włosy tak, że przypominają pole zboża chłostane bezlitosnym wiatrem. Cóż może oznaczać ten sen?

- Synu - odparł na to uczeń - nadszedł czas, abym wyjawiał ci to, co do tej pory skrywałem przed tobą, lękając się, że uniesiony młodzieńczą zapalczywością uczynisz coś, czego wszyscy moglibyśmy później żałować. Wiedz, że nasze miasto gnębi okrutny olbrzym, który co roku zabiera nam najpiękniejsze córki, dokładnie tak, jak to widziałeś w swoim śnie.

Oczy młodzieńca rozbłyły gniewem.

- Kim jest ten olbrzym, jak wygląda i gdzie mieszka?

- Jego imienia nikt nie zna, gdyż nikomu nie udało się go o to zapytać. Jeżeli chodzi o wygląd, to jest podobny do okrętu, na którego pokładzie wznosi się zamek. W rzeczywistości jest to jego głowa, w której znajduje się pojedyncze oko. Jego ciało pozostaje zawsze pod powierzchnią wody, razem z kałamarnicami i rekinami - ramiona ma dłuższe od najpotężniejszych masztów, nogi zaś przypominają mocarne kolumny, sięgające do samego dna morza. Zamieszkuje wyspę leżącą na zachód stąd, w którą wrzyna się głęboko kręty kanał o niezliczonych odnogach. Na tej właśnie wyspie olbrzym przetrzymuje Zbożowe Dziewice, nie spuszczaając z nich spojrzenia swego jedyne go oka, aby bez przerwy sycić się ich rozpaczą.

### **Część trzecia - Spotkanie z księżniczką**

Wówczas młodzian skrzyknął innych śmiałków z miasta magów, od zakapturzonych mędrców zaś otrzymał dzielny statek i przez całe lato wraz z towarzyszami kompletował

wyposażenie, mocował działa na obu burtach, ćwiczył siebie i innych w posługiwaniu się żaglami, aż wreszcie okręt stał się posłuszny niczym dobrze ułożony rumak. Aby dać wyraz żalowi, z jakim myśleli o losie porwanych niewiast, nadali mu imię "Kraina dziewczic".

Kiedy wreszcie złote liście poczęły spadać z jaworów (podobnie jak złoto wytworzone przez magów

przedzej lub później zaczyna sypać się ludziom z rąk), a klucze szarych gęsi pojawiły się na niebie między wieżami miasta, młodzieńcy wciągnęli żagle na maszt. Po drodze ku wyspie olbrzyma spotkało ich wiele przygód, o których nie czas i miejsce teraz mówić, w końcu jednak ujrzeni przed sobą brązowe wzgórza pokryte tu i ówdzie zielenią. Kiedy na nie patrzyli, stwierdzili ze zdumieniem, że zieleni zaczyna szybko przybywać. Wówczas młody człowiek, którego uczeń stworzył ze swoich snów, nabrał pewności, że trafili we właściwe miejsce, gdyż była to zielen sukni Zbożowych Dziewic, które biegły gromadnie na brzeg, zwabione widokiem żagli.

Przygotowano do strzału wszystkie działa, na reje zaś wciągnięto żółto-czarne proporce miasta magów. Okręt zbliżał się coraz bardziej aż wreszcie załoga skierowała go równolegle do brzegu, w obawie, że lada chwila osiądą na mieliźnie. Zbożowe Dziewice podążały za nimi a było ich już tak dużo, iż pokrywały ziemię jak prawdziwe, falujące zboże. Jednak młodzieniec ze snów nie zapomniał, że właśnie tutaj powinien lada chwila spodziewać się widoku olbrzyma.

Kiedy po trwającej pół dnia żegludze minęli cypel, ich oczom ukazało się ujście głębokiego, krętego, wrzynającego się daleko w głąb wyspy kanału. Przy jego wylocie wznosiła się rotunda z białego marmuru, otoczona ogrodami. Tam właśnie młodzieniec polecił rzucić kotwicę i zszedł

na brzeg.

Ledwo postawił stopę na lądzie, kiedy zobaczył zmierzającą mu na spotkanie kobietę niezwyklej urody. Miała smagłą cerę, czarne włosy i błyszczące oczy. Dowódca wyprawy skłonił

się przed nią głęboko, po czym rzekł:

- Księżniczko lub królowo, widzę, że nie należysz do Zbożowych Dziewic, gdyż ich szaty są zielone, twoją zaś uszyto z sobolich futer. Jednak nawet gdybyś była ubrana tak jak one, natychmiast bym cię rozpoznał, gdyż w twoich oczach nie ma rozpaczy, a blask, który w nich dostrzegam, nie pochodzi z Urth.

- Słusznie mówisz - odparła księżniczka. - Jestem Noctua, córka Nocy, spłodzona przez tego, którego postanowiłeś zgładzić.

- Skoro tak, to nie możemy być przyjaciółmi, Noctuo, ale przynajmniej nie bądźmy wrogami

- powiedział młody człowiek.

Nie wiedział, dlaczego, ale będąc stworzonym ze snów czuł, jak coś go ku niej popycha, ona zaś nie mogła oderwać od niego oczu, w których lśniło światło gwiazd.

Na to księżniczka rozłożyła ręce i oznajmiła:

- Wiedz, że ojciec posiadał matkę siłą i wbrew mojej woli trzyma mnie tutaj, gdzie szybko postradałabym zmysły, gdyby nie to, że ona odwiedza mnie u schyłku każdego dnia. Jeśli nie dostrzegasz rozpaczy w moich oczach, to tylko dlatego, iż skrywam ją w sercu. Chętnie doradzę ci, w jaki sposób możesz odnaleźć mego ojca i pokonać go w walce.

Młodzi ludzie z miasta magów umilkli i zgromadzili się wokół niej, aby nie uronić ani słowa.

- Przede wszystkim musicie wiedzieć, że kanały na tej wyspie ustawicznie zmieniają swój bieg, co niezmiernie utrudnia orientację. Płynąc nimi nie możecie używać żagli, lecz musicie zdać się na maszyny, jeśli chcecie bezpiecznie dopłynąć do celu.

- Jesteśmy na to przygotowani - odparł młodzieniec ze snów. - Pół ogromnego lasu legło pokotem, aby napęłnić nasze ładownie, a te wielkie koła, które widzisz, potrafią młócić wodę z siłą olbrzyma.

Księżniczka zadrżała na to i rzekła:

- Och, nie wspominaj o olbrzymach, gdyż nie wiesz, o czym mówisz. Widziałam tu już wiele takich okrętów jak wasz, lecz wszystkie spotkał ten sam, okrutny los i teraz dna tych niezmiernych kanałów są usłane bielejącymi czaszkami. Mój ojciec pozwalał im tak długo pływać między niezliczonymi wysepkami, aż wreszcie kończyło im się paliwo, a wtedy dopadał ich pod osłoną nocy, kiedy nie mogli go zobaczyć, i wybijał wszystkich do nogi.

Wówczas w sercu młodzieńca ze snów pojawił się niepokój.

- Będziemy go szukać, tak jak przysięgliśmy, ale czy nie istnieje jakiś sposób, aby udało nam się uniknąć losu naszych poprzedników?

Księżniczka poczuła dla niego wielkie współczucie, gdyż wszyscy, którzy mają cokolwiek wspólnego ze snami, są bliscy sercom córek Nocy.

- Po to, żeby odnaleźć mego ojca, zanim spalicie ostatni kawałek drewna, musicie przeszukiwać jedynie ciemne, zmacone wody, gdyż poruszając się podnosi z dna mnóstwo mułu

- powiedziała. - Jednak pamiętajcie, aby codziennie zaczynać poszukiwania o świcie, a kończyć je w południe, gdyż w przeciwnym razie moglibyście natrafić na niego o zmroku, co źle by się dla was skończyło.

- Za tę radę chętnie oddałbym ci życie - odparł młodzieniec, a jego towarzysze jak jeden mąż wzniesli radosny okrzyk. - Teraz jestem pewien, że go pokonamy.

Poważna twarz księżniczki spochmurniała jeszcze bardziej.

- Nie możesz być tego pewien, gdyż jest on śmiertelnie groźnym przeciwnikiem w każdej morskiej bitwie. Znam jednak pewien fortel, który może wam pomóc. Powiedziałaś, że jesteście dobrze wyposażeni; czy macie także smołę na wypadek, gdyby wasz okręt zaczął przeciekać?

- Wiele baryłek.

- W takim razie podczas walki manewrujcie w taki sposób, aby znaleźć się po jego nawietrznej stronie, a kiedy bitwa rozgorzeje na dobre - z pewnością nie będziecie musieli na to długo czekać - wrzucie smołę do palenisk. Nie obiecuję, że na pewno da to wam zwycięstwo, ale z pewnością bardzo pomoże.

Młodzieńcy podziękowali jej szarmancko, a Zbożowe Dziewice, które przysłuchiwały się całej rozmowie, zakrzyknęły nie głośno, ale wesoło, tak jak czasem czynią dziewczęta.

Wkrótce potem młodzi śmiałkowie poczęli szykować się do drogi, rozpaliwszy ogień pod kotłami, aż z kominów zaczęła wydobywać się biała para, która pcha naprzód wszystkie dobre statki bez względu na to, skąd wieje wiatr. Księżniczka patrzyła na nich z brzegu, śląc im swoje błogosławieństwo.

Kiedy wielkie koła zaczęły się poruszać, początkowo tak powoli i dostojnie, że trudno było to zauważyć, wezwała młodego dowódcę, aby zbliżył się do relingu, i przemówiła w te słowa:

- Może zdarzyć się tak, że odnajdziecie mojego ojca. Może też zdarzyć się tak, że go pokonacie, choć dysponuje naprawdę ogromną siłą. Jednak nawet wówczas będziecie musieli wrócić na otwarte morze, co nie będzie łatwą sprawą, gdyż sieć kanałów przecinających tę wyspę jest niezwykle gęsta i skomplikowana. Istnieje jednak sposób, aby tego dokonać: po walce z prawej ręki mojego ojca obetnij czubek małego palca. Ujrzysz tam tysiące splątanych linii, ale nie obawiaj się niczego, gdyż będzie to mapa kanałów, którą w ten prosty sposób zawsze nosi przy sobie.

### **Część czwarta - Bitwa z olbrzymem**

Skierowali dziób okrętu, w głąb wyspy. Zgodnie z przepowiednią księżniczki kanał, którym płynęli, wkrótce rozdzielił się, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie znaleźli się wśród tysiąca odnóg i dziesięciu tysięcy wysepek. Kiedy cień głównego masztu stał się nie większy od kapelusza, młodzieniec ze snów rozkazał rzucić kotwicę i przygasić ogień. Przez całe popołudnie czekali w pogotowiu, oliwiąc działa oraz przygotowując wszystko, co może być potrzebne podczas najkrwawszej z bitew.

Wreszcie ujrzeli zbliżającą się Noc. Przeskakiwała z wysepki na wysepkę, z czarnymi nietoperzami u ramion i okrutnymi wilkami podążającymi jej śladem. Wydawało się, że mogliby łatwo dosięgnąć ją pociskiem wystrzelonym z najmniejszego z dział, ale wystarczyło się dokładniej przyjrzeć, aby stwierdzić, że to nie ona przesuwa się przed gwiazdami, lecz gwiazdy przed nią. W pewnej chwili zwróciła ku nim twarz, ale nikt nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu.

Wszyscy jednak zastanawiali się, czy istotnie olbrzym posiadał ją niegdyś wbrew jej woli, tak jak twierdziła jej córka, a nawet jeżeli tak było, to czy nadal chowała o to do niego w sercu urazę.

O pierwszym brzasku rozległ się dźwięk trąbki, a do palenisk wrzucono solidną porcję drewna. Ponieważ wiał sprzyjający wiatr, młody dowódca polecił wciągnąć na maszty wszystkie żagle, tak że kiedy wielkie koła zaczęły się wreszcie obracać, okręt pomknął przed siebie ze zdwojoną prędkością.

Pokonali w ten sposób wiele mil, nie refując żagli ani nie zmniejszając szybkości. Mijali ujścia setek mniejszych kanałów, wpatrując się uważnie w każde z nich, lecz wszędzie woda była czysta jak kryształ. Trzeba by co najmniej tuzina opowieści równie długich jak ta, aby opisać wszystkie dziwy, jakie napotkali po drodze: wielkie kobiety wyrastające z ziemi niczym kwiaty, które próbowały złożyć pocałunki na twarzach młodzieńców, obsypując ich pyłkiem ze swoich kielichów; mężczyzn

zmarłych z opilstwa, którzy leżeli przy tryskających z ziemi źródełkach wina, zbyt oszołomieni trunkiem, aby zdać sobie sprawę, że ich życie dobiegło już końca; zdumiewające stworzenia o zniekształconych kończynach, pokryte sierścią w niezwykłych kolorach, które stanowiły ostrzeżenie przed zbliżającymi się czasami, zwiastując krwawe wojny, trzęsienia ziemi i zabójstwa władców.

Wreszcie młody człowiek pełniący obowiązki pierwszego oficera zbliżył się do dowódcy i powiedział:

- Pokonaliśmy już znaczną odległość, płynąc tym kanałem, a słońce, które nawet nie zdążyło nas powitać, kiedy ruszaliśmy w drogę, zbliża się teraz do zenitu. Minęliśmy tysiąc innych kanałów, lecz w żadnym z nich nie dostrzegliśmy śladu olbrzyma. Czy nie sądzisz, że wybraliśmy niewłaściwą drogę? Może lepiej byłoby zawrócić i skierować się gdzie indziej?

- Właśnie mijamy ujście kolejnego kanału - odparł młodzieniec ze snów. - Wychył się za burtę i powiedz mi, czy jego wody są bardziej zmacone od tych, po których płyniemy.

Pierwszy oficer postąpił zgodnie z poleceniem.

- Są nawet czystsze - powiedział po jakimś czasie.

- A teraz zwróć uwagę na ten po drugiej stronie. Jak głęboko sięga twój wzrok?

Młodzian zaczekał, aż okręt znajdzie się dokładnie naprzeciwko odnogi, o której mówił jego dowódca, po czym rzekł:

- Do samego dna. Widzę wrak jakiegoś statku, spoczywający na głębokości wielu sążni.

- A czy możesz dostrzec dno tego kanału, którym właśnie płyniemy?

Młody śmiałek spojrział na wodę przy burcie okrętu i zobaczył, że jest czarna jak atrament, rozbryzgi zaś wylatujące spod obracających się kół przypominają wrony i kruki. Zrozumiał w jednej chwili, co to oznacza, więc krzyknął do innych, by stanęli przy działach, bo nie mógł

powiedzieć im, żeby je szykowali, gdyż były gotowe już od dawna.

Z przodu pojawiła się wysepka wyższa od wszystkich, obrośnięta wysokimi drzewami. W

tym miejscu kanał lekko skręcał, tak że wiatr, do tej pory wiejący prosto w rufę, teraz zmienił się na trzy czwarte z tyłu. Sternik zakręcił kołem, załoga zaś poluzowała część żagli, refując inne, a kiedy okręt minął cypel, śmiałkowie ujrzeli wąski kadłub ze wznoszącym się na śródkręciu zamkiem ze stali. Z pojedynczego otworu strzelniczego sterczała lufa największego działa, jakie w życiu widzieli.

Młodzieniec ze snów otworzył usta, aby wydać rozkaz otwarcia ognia, ale zanim zdążył

powiedzieć choć jedno słowo, przemówiło ogromne działo nieprzyjaciela. Huk był tak potworny, jakby pod ich stopami zawałiła się kamienna wieża niebotycznej wysokości.

Pocisk trafił w zamek jednego z dział na sterburcie i roztrzaskał je na kawałki, które, pospołu z odłamkami samego pocisku, przemknęły nad pokładem niczym czarne liście umykające przed gnającym bez opamiętania wiatrem, zabijając wielu spośród tych, którzy stanęli im na drodze.

Sternik, nie czekając na rozkaz, odwrócił okręt, tak że przemówiły działa na sterburcie.

Każde z nich wystrzeliło z osobna, a ich pociski albo spadły do wody po obu stronach nieprzyjaciela, albo trafiły w stalowy zamek, który zadzwieczał niczym żałobny dzwon dla tych, co przed chwilą pożegnali się z życiem, albo spadły na pokład, który także był ze stali, i odbiły się od niego z przeraźliwym chichotem.

A potem samotne działo przeciwnika przemówiło powtórnie.

I tak to trwało długie chwile, które uczestnikom tych wydarzeń wydawały się latami.

Wreszcie młodzieniec ze snów przypomniał sobie o radzie księżniczki. Jednak wiatr, choć silny, wiał niemal dokładnie od strony dziobu, a jeśli okręt miałby zmienić położenie w taki sposób, żeby dym z palonej smoły leciał w stronę wroga, musiałby przez pewien czas prowadzić ostrzał

jedynie z dział na rufie, potem zaś zwrócić się do olbrzyma sterburtą, na której brakowało już jednego działa i wielu ludzi z załogi zginęło.

Uświadomił sobie jednak, że na razie walczą dokładnie tak samo, jak zapewne przed nimi walczyły setki innych okrętów, których wraki zalegają teraz dna kanałów złojących oblicze wyspy. Wydał więc natychmiast rozkazy sternikowi, ale ten nie odpowiedział, gdyż był martwy, a stał tylko dlatego, że podtrzymywało go koło, które wciąż dzierżył w swoich rękach. Widząc to, młodzieniec ze snów sam stanął za kołem sterowym i odwrócił okręt rufą do nieprzyjaciela.

Okazało się, iż uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem jeden pocisk wystrzelony z ogromnego działa przeleciał na długość wiosła od lewej, drugi zaś obok prawej burty.

Teraz jednak nieprzyjaciel, który dotąd trwał w bezruchu, także zaczął zakręcać. Na ten widok załoga okrętu z miasta mędrców podniosła radosny okrzyk, gdyż wydawało się, że wróg szykuje się do ucieczki, lecz zaraz potem radość zniknęła z twarzy dzielnych młodzieńców, gdyż stalowy zamek obrócił się jakimś cudownym sposobem, tak że ich okręt wciąż znajdował się w zasięgu potężnego działa.

W chwilę później zostali trafieni w śródkręcie. Jedno z dział na sterburcie wyskoczyło z zamocowań i potoczyło się po pokładzie jak pijany człowiek, miażdżąc wszystko, co znalazło się na jego drodze. Pozostałe armaty zagrały ze zdwojoną siłą, jakby pragnąc pomścić towarzysza, a ponieważ odległość między dwoma adwersarzami zmniejszyła się o połowę w stosunku do tego, co było na początku starcia (a może tylko dlatego, że okazując lęk nieprzyjaciel osłabił istotę swojej konstrukcji), miotane przez nie pociski nie odbijały się już od stalowego zamku z donośnym dzwonieniem, lecz z głuchym, przytłumionym odgłosem, przypominającym dźwięk, jaki wydobywa się z pękniętego dzwonu, na oleście czarnych murach zamku zaś zaczęły pojawiać się rysy i odpryski.



Młodzieniec krzyknął wtedy do rury łączącej mostek z maszynownią, aby ci, którzy pozostali jeszcze na stanowiskach, zaczęli wrzucać w płomień baryłki ze smołą. Bał się, że wydał rozkaz już tylko trupom albo że w ferworze walki nie został zrozumiany, lecz wkrótce potem gęsty cień padł na lśniącą w blasku słońca wodę między nimi a nieprzyjacielem.

Jak głosi starożytna legenda, odziana w łachmany córka rybaka znalazła kiedyś na plaży zakorkowaną butelkę, a otworzywszy ją została królową niemal całego świata. Wydawało się, że w taki sam sposób jakaś elementarna istota, mocna siłą dającego życie ognia, wydostała się na wolność przez wysokie kominy okrętu, buchając kłębami smolistej radości i rosnąc z każdą chwilą w dmącym bez przerwy wietrze.

A wiatr wiał naprawdę mocno. Chwycił ciężki dym w niezliczone dłonie i cisnął go na nieprzyjaciela. Mimo że wkrótce młodzi śmiałkowie przestali cokolwiek widzieć, nie tracąc ani chwili rzucili się do dział i poczęli z jeszcze większym zapałem strzelać do wroga. Od czasu do czasu słyszeli także groźny ryk jego działa, ale nie widzieli rozbłysków ognia ani też nie mogli się zorientować, gdzie padają miotane przez nie pociski.

Jest bardzo możliwe, że w nic nie trafiły i do tej pory krążą dokoła świata w poszukiwaniu celu.

Strzelali tak długo, aż lufy zaczęły świecić jak sztaby złota dopiero co wyjęte z formy. Dym, który do tej pory wydobywał się z kominów gęstymi kłębami, zaczął rzednąć, a ci z dołu krzyknęli przez rurę, że zużyli już cały zapas smoły. Wówczas młodzieniec ze snów rozkazał

przerwać ogień, ludzie zaś, którzy obsługiwali działa, padli na pokład jak nieżywi, nie mając nawet dość sił, żeby prosić o łyk wody.

Czarna chmura znikła powoli, ale nie tak, jak znika mgła, osuszana promieniami słońca, lecz jak dobrze wyszkolona armia, która ustępuje przed silniejszym przeciwnikiem, ale nie cała i nie wszędzie, wykorzystując każdą okazję do zasadki i zadania jeszcze jednego ciosu.

Na próżno wpatrywali się w lśniące fale w poszukiwaniu olbrzyma. Nigdzie nie było ani jego kadłuba, ani zamku, ani działa, ani najmniejszego śladu, który świadczyłby o jego istnieniu.

Powoli i tak ostrożnie, jakby obawiali się jakiegoś niewidzialnego wroga, podpłynęli do miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdował się nieprzyjaciel. Młodzieniec ze snów rozkazał, aby zatrzymano maszyny, a następnie podszedł do burty i spojrzął w dół. Kiedy pozostali ujrzeli wyraz, jaki zagościł na jego twarzy, nawet najodważniejsi z nich nie ośmielili się pójść w jego ślady.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, bez słowa udał się do swojej kabiny i zamknął na głucho drzwi. Wówczas ten, który był jego zastępcą, polecił skierować okręt z powrotem do marmurowej rotundy. Rozkazał także, aby opatrzone rannych, uruchomiono pompy oraz wzięto się za niezbędne naprawy. Ciała poległych zostały na pokładzie, gdyż załoga chciała wyprawić im pogrzeb na otwartym morzu.

## **Część piąta - Śmierć ucznia**

Możliwe, że kanał wcale nie biegł tak prosto, jak im się wydawało, albo że podczas walki stracili

orientację, albo że wszystkie kanały wiły się i skręcały, kiedy nikt na nie patrzył... Bez względu na to, jak przedstawiała się prawda, przez cały dzień płynęli pełną parą (gdyż wiatr zupełnie ustał), tylko po to jednak, by o zmierzchu stwierdzić, że dotarli do zupełnie nieznannej okolicy.

Na noc rzucili kotwicę, z samego rana zaś młodzieniec pełniący w zastępstwie funkcję dowódcy okrętu wezwał do siebie tych, od których mógł oczekiwać najbardziej wartościowych rad, ale oni potrafili zaproponować tylko dwie rzeczy: żeby zawiadomić tego, którego powołano do życia ze snów, albo żeby nadal płynąć naprzód w nadziei, że uda się dotrzeć do otwartego morza i marmurowej rotundy.

Zdecydowali się na to drugie rozwiązanie i płynęli przez cały kolejny dzień, starając się utrzymać prosty kurs, co wcale nie było łatwe, gdyż musieli omijać niezliczone wysepki pojawiające się na ich drodze. Kiedy znowu zapadła noc, ich sytuacja nie poprawiła się ani trochę.

Jednak rankiem trzeciego dnia młodzieniec stworzony ze snów wyłonił się z kabiny i począł

przechadzać się po pokładzie, tak jak czynił to wcześniej, doglądać napraw i pytać o zdrowie tych rannych, którzy czuli się na tyle dobrze, aby zamienić z nim kilka słów. Potem przyszedł do niego jego towarzysz sprawujący do tej pory pieczę nad okrętem oraz ci, którzy mu doradzali, i powiedzieli mu o wszystkim, czego dokonali, po czym zaczęli go wypytywać, jak mogą najszybciej dotrzeć do otwartego morza, żeby godnie pochować zmarłych i wrócić do miasta magów.

On wzniósł na to oczy ku niebu, tak że niektórzy myśleli, że się modli, inni zaś byli pewni, że stara się powściągnąć gniew, jaki w nim wzbudzili, jeszcze inni natomiast uważali, że po prostu szuka łam natchnienia. On jednak tak długo stał wpatrzony w górę, iż wielu spośród jego towarzyszy zmroził strach, tak jak wówczas, kiedy wpatrywał się w zmaconą wodę, i ci poczęli wycofywać się chyłkiem. Wówczas przemówił do nich w te słowa:

- Spójrzcie! Czyż nie widzicie morskich ptaków? Nadlatują zewsząd, kierując się w jedną stronę. Płyńcie w ślad za nimi.

Uczynili to na tyle, na ile pozwalał im kręty bieg kanałów, i jeszcze przed południem ujrzeli, jak wszystkie ptaki opadają gwałtownie ku wodzie, a było ich tak wiele, że białe skrzydła i czarne głowy zdawały się tworzyć gęsty, huczący obłok. Wówczas młodzieniec ze snów polecił

towarzyszom, aby naładowali działo samym prochem i wystrzelili. Spłoszone hukami ptaki odleciały z wielkim krzykiem, w miejscu zaś, w którym się kłębiły, młodzi śmiałkowie dostrzegli unoszącą się na wodzie padlinę. Uznali, że to jakieś lądowe zwierzę, gdyż miało głowę i cztery nogi, ale było większe nawet od największego słońca.

Kiedy zbliżyli się do niego, młodzieniec ze snów kazał spuścić na wodę szalupę. Gdy do niej wsiadał, zgromadzeni na pokładzie dostrzegli za jego pasem sztylet o długim ostrzu, w którym zaśniły promienie słońca. Przez jakiś czas pracował przy padlinie, a kiedy wrócił, niósł ze sobą największą mapę, jaką kiedykolwiek widzieli, narysowaną na nie wyprawionej skórze.

O zmroku dotarli do rotundy, w której zamieszkiwała księżniczka. Nikt nie zmrużył oka czekając na

odejście jej okropnej matki, a kiedy to nastąpiło, wszyscy, którzy mogli się poruszać, zeszli na brzeg. Tam otoczyły ich zewsząd Zbożowe Dziewice, młodzieniec ze snów zaś porwał

w ramiona córkę Nocy i pierwszy ruszył w tany. Żadne z nich do końca życia nie zapomniało tej nocy.

Pierwsza rosa zastała ich pod drzewami w ogrodzie księżniczki. Przez jakiś czas spali słodko, przykryci wonnymi kwiatami, by obudzić się, kiedy cienie masztów stały się najkrótsze.

Wówczas księżniczka pożegnała się z wyspą i poprzysięgła, że nawet gdyby przyszło jej odwiedzić każdy kraj, w którym kiedykolwiek gościła jej matka, to jej stopa nigdy nie dotknie tej ziemi. Taką samą przysięgę złożyły Zbożowe Dziewice. Było ich zbyt wiele, żeby mogły pomieścić się na okręcie, a jednak jakoś im się to udało, tak że pokład zazielenił się od ich sukien i zazłocił od włosów.

W drodze powrotnej do miasta magów spotkało ich mnóstwo przygód. Można by opowiedzieć o tym, jak po stosownej modlitwie wrzucili do morza ciała swoich zmarłych, by najbliższej nocy ujrzeć ich ponownie wśród olinowania, albo o tym, jak kilka Zbożowych Dziewic poślubiło księżąt, którzy polubiwszy życie w zmienionej postaci (i nauczywszy się ludzkiej mowy), budują pałace na liściach lilii wodnych i rzadko kiedy pokazują się zwykłym śmiertelnikom.

Jednak nie czas tu i nie miejsce na relacje o tych zdarzeniach. Wystarczy powiedzieć, że kiedy zbliżyli się do stromego brzegu, na którym wznosiło się miasto magów, dostrzegł ich uczeń, wyglądający swego syna z najwyższej wieży, a kiedy ujrzał żagle poczerniałe od smoły, którą spalono pod kotłami w czasie walki z olbrzymem, pomyślał, iż okręt przywdział żałobę po swym młodym dowódcy, i odebrał sobie życie, skacząc w dół z wielkiej wysokości. Nikt bowiem nie może żyć długo po tym, jak umrą jego marzenia.

## **ROZDZIAŁ XVIII**

### **Zwierciadła**

Czytając tę opowieść spoglądałem od czasu do czasu na Jonasa, lecz mimo że nie spał, ani razu nie dostrzegłem na jego twarzy choćby śladu zrozumienia.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego na widok czarnych żagli uczeń uznał, że jego syn nie żyje -

powiedziałem, zamknawszy książkę. - Przecież okręt, który olbrzym przysyłał po Zbożowe Dziewice, także miał czarne żagle.

- Wiem - odparł Jonas. Nigdy nie słyszałem u niego równie obojętnego tonu.

- Czyżbyś znał rozwiązanie tej zagadki?

Nie odpowiedział. Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu - ja z brązową książką w dłoni, tak bardzo przypominającą mi Theclę i wszystkie wieczory, jakie razem spędziliśmy, on oparty plecami o zimną ścianę, z rękami - tą z krwi i kości, i tą z metalu - leżącymi bezwładnie na podłodze jak

zapomniane przedmioty.

Milczenie przerwał cichy, cieniutki głosik:

- To chyba bardzo stara historia.

Tak bardzo martwiłem się o przyjaciela, że poczułem gniew na dziewczynkę za to, że ośmieliła się odezwać, ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo Jonas wymamrotał:

- Tak, to rzeczywiście bardzo stara historia. Jej bohater zapowiedział swojemu ojcu, królowi, że jeśli wyprawa zakończy się niepowodzeniem, to wróci do Aten pod czarnymi żaglami.

Nie jestem pewien, co miała oznaczać ta uwaga; całkiem możliwe, że mój przyjaciel majaczył, ale ponieważ były to jedne z ostatnich słów, jakie od niego usłyszałem, uznałem za stosowne przytoczyć je tutaj, podobnie jak powtórzyłem całą opowieść, która je poprzedziła i sprowokowała.

Próbowaliśmy we dwójkę nakłonić go, aby powiedział coś jeszcze, on jednak uparcie milczał, więc w końcu daliśmy mu spokój. Pozostałą część dnia spędziłem siedząc przy nim, a kiedy po mniej więcej jednej wachcie dołączył do nas Hethor (zapewne nie starczyło mu konceptu, aby dłużej zabawiać więźniów swymi opowieściami), poprosiłem Lomera i Nicarete, aby wyznaczyli mu miejsce po przeciwnej stronie pomieszczenia.

\* \* \*

Cokolwiek byśmy twierdzili, każdemu z nas zdarza się mieć kłopoty ze snem. Niektórzy prawie wcale nie śpią, innych dręczą nocne koszmary, jeszcze innych - niestety, najmniej licznych - nawiedzają rozkoszne senne marzenia. Są też tacy, którzy kiedyś doświadczali dużych trudności przy zaśnięciu, lecz teraz już się z tego wyleczyli - jakby życie na jawie było jakąś chorobą, czego zresztą nie można do końca wykluczyć.

W moim przypadku sprawa przedstawia się w taki sposób, że zazwyczaj nie zapamiętuję snów (choć miewam je od czasu do czasu, o czym czytelnik, który dotarł do tego miejsca mojej opowieści, zdążył się już wielokrotnie przekonać), i rzadko kiedy budzę się przed świtem. Jednak tej nocy mój sen tak bardzo różnił się od tego wszystkiego, do czego zdążyłem się już przyzwyczaić, że zastanawiam się, czy w ogóle powinienem nazwać go snem. Możliwe, iż był to jakiś zupełnie inny stan, tylko udający sen - coś takiego jak alzabo, które po pożarciu człowieka próbuje się do niego upodobnić.

Jeżeli zjawisko to zostało spowodowane naturalnymi przyczynami, to przypisuję je połączonemu działaniu wyjątkowo niefortunnych okoliczności. Ja, który od małego przywykłem do ciężkiej pracy i aktywnego trybu życia, przez cały dzień byłem pozbawiony jakiegokolwiek ruchu. Opowieść z brązowej książki pobudziła moją wyobraźnię, na co nałożyły się jeszcze wspomnienia o Thecli wywołane widokiem samej książki oraz świadomość, że przebywam w murach Domu Absolutu, o którym tak wiele od niej słyszałem. Chyba jednak najważniejszy był

niepokój o Jonasa, a także przecucie (narastające we mnie przez cały dzień), że osiągnąłem już cel mojej wędrówki, że nigdy nie dotrę do Thraxu, nie odnajdę Dorcas, nie zwrócę Pazura ani nawet nie

zdołam się go pozbyć, że Prastwórca, któremu służył pierwszy właściciel klejnotu, postanowił, iż powinienem umrzeć w taki sam sposób jak więźniowie, umierający na moich oczach w celach Wieży Matachina.

Spałem - o ile w ogóle można nazwać to snem - tylko krótką chwilę. Nagle poczułem, że spadam, i moimi kończynami szarpnął gwałtowny skurcz - odruchowa reakcja ofiary zepchniętej w przepaść. Usiadłem raptownie i otworzyłem oczy, ale ujrzałem tylko nieprzeniknioną ciemność. Słyszałem oddech Jonasa, a wyciągnąwszy rękę przekonałem się, że nadal siedzi oparty o ścianę, tak jak go zostawiłem. Położyłem się więc i ponownie zasnąłem, a raczej próbowałem zasnąć, lecz ogarnął mnie tylko ów niezwykły stan, który nie jest ani snem, ani jawą. Do tej pory przebywanie w nim sprawiało mi nawet przyjemność, ale nie tym razem.

Zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję snu, a jednocześnie wiedziałem, że nie śpię, choć z pewnością nie byłem do końca świadom tego, co się wokół mnie dzieje. Słyszałem przytłumione głosy dobiegające z dziedzińca, przeczuwając, że lada chwila odezwą się dzwony w naszej kaplicy i wstanie nowy dzień. Ponownie szarpnąłem się gwałtownie i usiadłem.

Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam blask zielonego ognia, ale było to tylko złudzenie. Leżałem otulony płaszczem. Odrzuciłem go teraz, a jednocześnie przypomniałem sobie, że znajduję się w przedpokoju Domu Absolutu i że gospoda w Saltus jest daleko stąd, mimo iż Jonas nadal leży obok mnie ze zdrową ręką podłożoną pod głowę. W ciemności dostrzegłem błysk jego oka, choć oddychał jak człowiek pogrążony we śnie. Mnie samemu chciało się spać tak bardzo, że nawet nie próbowałem się do niego odezwać, a poza tym miałem przecucie, że i tak mi nie odpowie.

Zająwszy z powrotem miejsce na pościeli dałem się ogarnąć irytacji spowodowanej niemożnością zaśnięcia. Policzyłem w myślach stado bydła gnane główną ulicą Saltus: sto trzydzieści siedem sztuk. Potem zająłem się żołnierzami, którzy maszerowali od strony Gyll.

Karczmarz zapytał mnie, ilu ich może być, a ja podałem mu pierwszą liczbę, jaka przyszła mi do głowy, lecz do tej pory nie miałem okazji, aby ich dokładnie policzyć. Poza tym karczmarz mógł być szpiegiem, choć równie dobrze mógł nim nie być.

\* \* \*

Mistrz Palaemon, który przekazał nam tyle różnorodnych wiadomości, nigdy nie nauczył nas sztuki zasypiania. Prawdę mówiąc, po całym dniu ciężkiej pracy żaden z uczniów nie miał z tym najmniejszych kłopotów. Przez jakieś pół wachty szaleliśmy jeszcze w naszej sypialni, po czym zasypialiśmy równie głęboko jak mieszkańcy nekropolii i spaliśmy aż do chwili, kiedy mistrz Palaemon zjawiał się w sali i zaganiał nas do czyszczenia posadzek i wynoszenia odpadków.

Nad stołem, na którym brat Aybert oprawia mięso, wiszą noże. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem noży, wszystkie ostrzejsze od miecza mistrza Gurloesa. W rękojeści jednego brakuje nitu, rękojeść drugiego jest lekko osmalona, ponieważ brat Aybert położył go kiedyś zbyt blisko ognia i...

Ponownie się obudziłem, nie wiedząc dlaczego. Obok mnie pogrążony w głębokim śnie pochrapywał

lekko Drotte. Zamknąłem oczy i spróbowałem pójść w jego ślady.

\* \* \*

Trzysta dziewięćdziesiąt stopni z parteru do naszej bursy. Ile jeszcze do pomieszczenia na szczycie wieży, w którym stały działa? Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć dział. Jeden, dwa, trzy wykorzystywane poziomy cel w lochach. Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem skrzydeł na każdym poziomie. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście cel w każdym skrzydle. Jeden, dwa, trzy pręty w okienku w drzwiach mojej celi.

\* \* \*

Wyrwana gwałtownie ze snu poczułam dotkliwie zimno. Obudził mnie odgłos zatraskiwanych drzwi, który dobiegł z korytarza. Mój kochanek, Severian, leżał obok mnie pogrążony w głębokim, chłopięcym śnie. Usiadłam na pryczy, aby zapalić świecę i popatrzeć choć przez chwilę na żywe barwy tej szlachetnie rzeźbionej twarzy. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedzał, przynosił ze sobą iskierkę wolności, ja zaś dmuchałam na nią i tuliłam troskliwie do piersi, ale ona zazwyczaj gasła. Czasem, kiedy tego nie uczyniła, przestawałam na chwilę czuć przygniatający mnie ciężar ziemi i metalu, i wznosiłam się w górę, ku wiatrowi i niebu.

Albo tak sobie przynajmniej wyobrażałam. Nawet jeśli tak nie było, pozostawała mi przynajmniej radość, jaką czerpałam z widoku tej iskierki.

Kiedy wyciągnęłam rękę, świeca znikła, moje oczy zaś oraz skóra na twarzy i ramionach powiedziały mi, że wraz z nią znikła cała cela. Dostrzegłam przyćmione światło, ale nie był to blask świecy trzymanej przez kata stojącego w korytarzu, sączący się do wnętrza celi przez zakratowane okienko w drzwiach. Słabe, lecz wyraźne echo świadczyło o tym, że znalazłam się w pomieszczeniu większym niż sto takich cel. Wrażenie to potwierdzały moje czoło i policzki, które do tej pory bez przerwy sygnalizowały bliskość ścian i sufitu.

Wstałam, wygładziłam suknię, po czym ruszyłam przed siebie jak lunaticzka... Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem kroków, a potem odór stłoczonych ciał i stęchłe powietrze podpowiedziały mi, gdzie jestem. W przedpokoju! Przez chwilę nie mogłam zebrać myśli.

Czyżby Autarcha polecił przenieść mnie tu, kiedy spałam? Czy inni powstrzymają bicze, kiedy mnie zobaczą? Drzwi! Prędko, do drzwi!

Byłam tak bardzo zdezorientowana, że niewiele brakowało, a runęłabym jak długa, nie mogąc sobie poradzić z natłokiem myśli.

Załamałam ręce, ale nawet one były jakies dziwne: lewa wydała mi się znacznie większa i silniejsza, a po chwili takie samo podejrzenie powzięłam wobec prawej.

\* \* \*

Myśli Thecli spłynęły ze mnie jak sen czy też raczej poczęły się błyskawicznie kurczyć, aż wreszcie

niemal zupełnie zniknęły, pozostawiając mnie samego.

Mimo to zdążyłem zapamiętać najważniejsze: usytuowanie tajnego przejścia, którym młodzi arystokraci przedostawali się nocą do przedpokoju z biczami skręconymi z miedzianych włókien.

Mogłem uciec stąd już jutro lub nawet dzisiaj.

- Dokąd poszła ta pani? - odezwał się tuż przy mnie cienki głosik.

Była to ta sama dziewczynka o ciemnych włosach i wielkich oczach. Zapytałem ją, czy rzeczywiście widziała jakąś kobietę.

Wzięła mnie za rękę.

- Tak. Była bardzo wysoka. Strasznie się boję. Tutaj blisko jest okropna rzecz.

- Przecież ty nie boisz się okropnych rzeczy. Nie pamiętasz, jak śmiałaś się z zielonej twarzy?

- To jest coś innego. Zupełnie czarne i sapie w ciemności.

Mała ręka drżała spazmatycznie, a w głosie dziewczynki usłyszałem autentyczne przerażenie.

- Jak wyglądała ta kobieta?

- Nie wiem. Zauważyłam ją tylko dlatego, że była ciemniejsza od cieni, a poznałam, że jest kobietą, po tym, jak się poruszała. Kiedy tu podeszłam, byłeś zupełnie sam.

- Rozumiem, choć wątpię, czy ty kiedykolwiek będziesz mogła powiedzieć to samo -

odparłem. - Teraz wracaj do matki i kładź się spać.

- To pełźnie wzdłuż ściany... - szepnęła, po czym cofnęła rękę i zniknęła, ale jestem pewien, że nie zastosowała się do mojego polecenia. Musiała śledzić Jonasa i mnie, gdyż po powrocie do Domu Absolutu widziałem ją już co najmniej dwa razy. Prawdopodobnie ukrywa się po ciemnych kątach, jedząc resztki ze stołów. (Możliwe, że wracała na posiłki do przedpokoju, ale teraz poleciłem, aby uwolniono wszystkich, którzy byli tam przetrzymywani, mimo iż niektórych trzeba będzie zapewne siłą zmusić do opuszczenia tego miejsca. Kazałem także przyprowadzić do mnie Nicarete. Kiedy niedawno opisywałem, jak doszło do naszego uwięzienia, wszedł

szambelan i poinformował mnie, że stara kobieta już jest i czeka na moje rozkazy).

Jonas leżał tam, gdzie go zostawiłem. Ponownie dostrzegłem w ciemności blask jego otwartych oczu.

- Twierdziłeś, że musisz stąd uciec, jeżeli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach -

zwróciłem się do niego. - Chodźmy więc. Ten, kto wysłał za nami notule - kimkolwiek jest -

postanowił skorzystać z innej broni. Wiem, jak można stąd wyjść.

On jednak nie poruszył się, musiałem więc chwycić go za ramię i podnieść z podłogi. Wiele spośród metalowych części, z jakich składało się jego ciało, zostało zapewne wykonanych z tego białego, zdumiewająco lekkiego stopu, gdyż odniosłem wrażenie, że mój przyjaciel waży nie więcej niż mały chłopiec. Zarówno metal, jak i ciało były pokryte cienką warstwą jakiegoś lepkiego śluzu, a tuż przy ścianie moja stopa natrafiła na sporą kałużę tej samej substancji. Istota, przed którą ostrzegła mnie dziewczynka, minęła nas podczas naszej rozmowy, ale wyglądało na to, że nie zainteresowała się Jonasem.

Tajne drzwi, przez które wchodzili nasi nocni ciemżyciele, znajdowały się całkiem niedaleko, prawie dokładnie naprzeciwko wejścia do przedpokoju. Jak niemal wszystkie tego rodzaju starodawne urządzenia, otwierało się je tajnym hasłem. Szepnąłem to hasło, one zaś stanęły otworem. Ruszyłem naprzód, ciągnąc za sobą nieszczęsnego Jonasa.

Zaraz za drzwiami zaczynały się wąskie, pokryte kurzem i zarośnięte pajęczynami schody, prowadzące spiralnie w dół. Powietrze, choć stęchłe i nieruchome, miało zapach wolności. Mimo dręczącego mnie niepokoju odetchnąłem pełną piersią i niewiele brakowało, żebym roześmiał się na głos.

Na kolejnych podestach znajdowały się liczne drzwi, ale istniała spora szansa, że za nimi natrafimy na któregoś z mieszkańców Domu Absolutu, schody zaś wydawały się bezpieczne, gdyż były zupełnie puste. Zależało mi na tym, aby przed spotkaniem z kimkolwiek znaleźć się jak najdalej od wejścia do przedpokoju.

Pokonawszy około stu stopni stanęliśmy przed drzwiami opatrzonymi szkarłatnym teratoidalnym znakiem, który wzięłem za glif jakiegoś języka sięgającego korzeniami daleko poza granice Urth. W tej samej chwili usłyszałem za nami kroki. Drzwi były pozbawione klamki, ale napałem na nie całym ciężarem ciała, a one, po początkowym oporze, otworzyły się bezszelestnie. Wślizgnąłem się do środka, pociągając za sobą Jonasa, drzwi zaś zamknęły się za nami, nadal nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Komnata, w której się znaleźliśmy, była pogrążona w półmroku, ale w chwilę po naszym wejściu rozbłysło dość silne światło. Kiedy już upewniłem się, że jesteśmy sami, przyjrzałem się uważnie Jonasowi. Jego twarz nadal była zupełnie nieruchoma, tak jak wówczas, kiedy siedział

oparty plecami o ścianę przedpokoju, ale nie była martwa. Przypominała raczej twarz człowieka, który lada chwila powinien przebudzić się z głębokiego snu. Po policzkach płynęły łzy, pozostawiając po sobie wilgotne ślady.

- Wiesz, kim jestem? - zapytałem, a on skinął w milczeniu głową. - Jonas, muszę za wszelką cenę odzyskać Terminust Est. Uciekłem jak ostatni tchórz, ale teraz, kiedy miałem okazję się zastanowić, zrozumiałem, że muszę po niego wrócić. W pochwie jest ukryty list do archonta z Thraxu, a poza tym i tak nie mógłbym rozstać się z moim mieczem. Zrozumiem cię, jeśli będziesz chciał natychmiast stąd uciec. Nie jesteś ze mną w żaden sposób związany. Odniosłem wrażenie, że nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiłem.



- Wiem, gdzie jesteśmy... - szepnęła, a następnie podniósł sztywno rękę i wskazał na coś, co wyglądało jak złożony parawan.

Uradowałem się, słysząc jego głos.

- W takim razie, gdzie jesteśmy? - zapytałem głównie po to, aby ponownie się odezwał.

- Na Urth - odparł, po czym skierował się ku parawanowi. Jego zewnętrzna strona była inkrustowana diamentami i pokryta takimi samymi znakami jak ten, który zauważyłem na drzwiach. Jednak znaki te nie były nawet w połowie tak dziwne jak zachowanie mojego przyjaciela: niepokojąca sztywność kończyn, jaką nie tak dawno zaobserwowałem, zniknęła bez śladu, lecz mimo to nie mogłem powiedzieć, że stał się znowu tym samym Jonasem, którego znałem.

Dopiero wtedy zrozumiałem. Każdemu z nas zdarzyło się obserwować kogoś, kto stracił

rękę, otrzymał zamiast niej protezę i musiał wykonać jakąś czynność wymagającą udziału obu rąk, sztucznej i prawdziwej. W przypadku Jonasa protezą była ręka z krwi i kości. Kiedy to pojąłem, zrozumiałem także to, co usłyszałem od niego wcześniej: że w wyniku katastrofy statku zniszczeniu uległa także jego twarz.

- Oczy... - wykrztusiłem. - Nie mogli naprawić ci oczu, prawda? Dlatego dali ci tę twarz.

Czy on także zginął w wypadku?

Odwrócił się i spojrzał na mnie w taki sposób, iż stało się dla mnie jasne, że zapomniał o mojej obecności.

- Był na Ziemi - odparł. - Zabiliśmy go przypadkiem, podchodząc do lądowania.

Wykorzystałem jego oczy i krtań oraz kilka innych części.

- A więc dlatego mogłeś znieść towarzystwo kata. Jesteś maszyną.

- Wcale nie jesteś gorszy od innych ludzi. Pamiętaj, że w ciągu tych lat, jakie minęły, zanim cię spotkałem, stałem się jednym z was. To ja okazałem się gorszy od ciebie. Ty byś mnie nie opuścił, ale ja opuszczam ciebie. Wreszcie nadarzyła mi się okazja, której poszukiwałem przemierzając wszystkie siedem kontynentów tej planety, ścigając hierodule i naprawiając prymitywne mechanizmy.

Pomyślałem o wszystkim, co spotkało mnie po tym, jak zaniósłem Thecli nóż, i choć wiele z tego, co powiedział, było dla mnie niejasne, rzekłem:

- Idź więc, jeśli to twoja jedyna szansa. Życzę ci powodzenia. Jeżeli kiedykolwiek spotkam Jolentę, powiem jej tylko, jak bardzo ją kiedyś kochałeś.

Jonas potrząsnął głową.

- Naprawdę nic nie rozumiesz? Wrócę po nią, kiedy będę gotowy. Kiedy znowu stanę się sobą.

Następnie wszedł do wnętrza okręgu wyznaczonego przez parawan, a nad jego głową zapłonęło jaskrawe światło.

Cóż za głupota nazywać je zwierciadłami! Mają z nimi tyle wspólnego, co dziecięcy balonik z sięgającym od horyzontu po horyzont firmamentem. Istotnie, odbijają światło, lecz nie wydaje mi się, aby właśnie na tym polegało ich działanie. Tak naprawdę odbijają rzeczywistość, a raczej metafizyczne sedno ukryte pod powierzchnią materialnego świata.

Jonas zasunął za sobą parawan i przeszedł na środek okręgu. Przez czas, jaki jest potrzebny do zmówienia najkrótszej modlitwy, w powietrzu zatańczyło coś jakby płatanina drutów spowita obłokiem metalicznego, świecącego pyłu, a potem wszystko zniknęło i zostałem sam.

## **ROZDZIAŁ XIX**

# Szafy

Zostałem naprawdę sam, po raz pierwszy od chwili, kiedy w wielkim, chylącym się ku upadkowi mieście wszedłem do pokoju w oberży i zobaczyłem wystające spod koca szerokie plecy Baldandersa. Potem był doktor Talos, następnie Agia, Dorcas i Jonas. Przypomniałem sobie, jak widziałem ich tuż przed sobą, kiedy prowadzono nas z Jonasem przez zagajnik kwitnących śliw. Towarzyszyli im ludzie z tresowanymi zwierzętami oraz inni artyści, zmierzający zapewne do tej części ogrodów, w której (jak często opowiadała mi Thecla), odbywają się pokazy i występy pod gołym niebem.

Zacząłem przeszukiwać pokój w nadziei, że znajdę swój miecz. Jednak nie było go tutaj, mnie zaś przysłała do głowy myśl, że w pobliżu przedpokoju - może nawet na tym samym poziomie - musi znajdować się magazyn przeznaczony na rzeczy odebrane więźniom. Schody, którymi tu dotarłem, zaprowadziłyby mnie tylko z powrotem do przedpokoju, w pokoju ze zwierciadlanym parawanem odkryłem jednak jeszcze jedne drzwi, za którymi zaczynał się pogrążony w półmroku korytarz o podłodze wyłożonej grubym dywanem i ścianach zawieszonych obrazami. Założyłem maskę i otuliłem się szczelnie płaszczem, przypuszczając, że choć pretorianie, którzy pojмали nas na skraju ogrodów Domu Absolutu zdawali się nic nie wiedzieć o istnieniu katowskiej konfraterni, to osoby, na jakie mogę natrafić w samym Domu, nie będą aż takimi ignorantami.

Nikt jednak mnie nie zaczepił. Jakiś mężczyzna w pysznych, kolorowych szatach usunął mi się pośpiesznie z drogi, a kilka pięknych kobiet obrzuciło mnie zaciekawionymi spojrzeniami.

Poczułem, jak na widok tych ludzi uśpione wspomnienia Thecli ożywają na chwilę, lecz zanim zdążyły zupełnie się obudzić, dotarłem do kolejnych schodów. Nie były wąskie i kręte, jak te, którymi wraz z Jonasem przedostałem się z przedpokoju do komnaty z lustrzanym parawanem, lecz szerokie i rzeświście oświetlone.

Wspinając się po nich dotarłem do innego korytarza, lecz uznałem że znajduję się wciąż poniżej przedpokoju i ponownie ruszyłem w górę, kiedy nagle dostrzegłem zbiegającą młodą kobietę.

Nasze oczy spotkały się.

Jestem pewien, że w tej króciutkiej chwili przypomniała sobie, tak samo jak ja, że już kiedyś wymieniliśmy spojrzenia. Wciąż jeszcze brzmiały mi w uszach słowa, jakie wypowiedziała głosem podobnym do gruchania gołębicy: „Moja najdroższa siostra”. Nie była to Thea, towarzyska Vodalusa, lecz kobieta niezwykle do niej podobna (i bez wątpienia posługująca się tym samym imieniem), którą kiedyś minąłem na schodach Lazurowego Pałacu. Tak jak teraz schodziła, ja zaś szedłem na górę. Wyglądało na to, że na uroczystości ściągnięto do Domu Absolutu nie tylko artystów, ale także ladacznicę.

Poziom, na którym znajdował się przedpokój, odkryłem wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, gdyż w pewnej chwili po prostu zorientowałem się, że stoję w tym samym miejscu, w którym stali halabardnicy, kiedy rozmawiałem z Nicarete przy srebrnym wózku. Tutaj groziło mi największe niebezpieczeństwo, ruszyłem więc naprzód z zachowaniem wszelkich środków

ostrożności. W ścianie po prawej stronie ciągnął się szereg drzwi o rzeźbionych, drewnianych futrynach. Kiedy przystanąłem, aby im się dokładniej przyjrzeć, przekonałem się, że musiały być zamknięte od wielu lat, gdyż szczeliny między skrzydłem a futryną tak bardzo zarosły kurzem, iż stały się zupełnie niewidoczne. Jedynymi drzwiami w przeciwległej ścianie były ogromne wrota z czarnego dębu, przez które zostaliśmy z Jonasem wciągnięci do środka. Dalej ujrzałem wejście do przedpokoju, za nim zaś szereg takich samych, zamkniętych na głucho drzwi, za którymi zaczynały się kolejne schody. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu stuleci przedpokój rozrósł się tak bardzo, iż teraz zajmował już cały poziom w tej części skrzydła Domu Absolutu.

Gdyby wówczas ktoś się pojawił, z pewnością nie odważyłbym się zatrzymać, ale ponieważ korytarz był pusty, oparłem się na chwilę o słupek podtrzymujący poręcz drugich schodów.

Pamiętałem, że pilnowali mnie dwaj żołnierze, trzeci zaś niósł Terminust Est. Należało przypuszczać, że wówczas, kiedy Jonas i ja byliśmy wpychani do przedpokoju, człowiek ów skierował się w stronę pomieszczenia, gdzie przechowywano broń odebraną więźniom. Niestety, straciłem go z oczu już wtedy, kiedy schodziliśmy po stopniach wykutych w skale, i nawet nie miałem pewności, czy dotarł za nami na dno zagłębienia.

Zdesperowany, zawróciłem do wielkich, czarnych drzwi i otworzyłem je. Do korytarza natychmiast wdarło się wilgotne powietrze, a omszałe gongi rozpoczęły swój koncert. Świat był

pogrążony w ciemności. W trupim blasku fosforyzujących grzybów nie mogłem nawet dostrzec poszarpanych ścian studni, a o tym, gdzie znajduje się jej otwór, świadczył jedynie widoczny w górze krąg usianego gwiazdami nieba.

Zamknąłem drzwi. Ledwo zdążyłem to uczynić, kiedy na schodach, którymi tutaj dotarłem, rozległy się czyjeś kroki. Nie miałem gdzie się schować, nie miałem też żadnych szans na dobiegnięcie do drugich schodów. Po trwającym ułamek chwili namyśle zrezygnowałem z pomysłu, żeby wyślizgnąć się za dębowe wrota, i postanowiłem pozostać tam, gdzie stałem.

Nowo przybyły okazał się pulchnym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim mężczyzną odzianym w liberię. Nawet z tak dużej odległości dostrzegłem bez trudu, że pobladł na mój widok, a następnie pobiegł truchtem w moją stronę.

- Czy mogę w czymś pomóc waszej wielmożności? - zapytał, kłaniając się w pas już od połowy korytarza. - Jestem Odilo, kamerdyner. Widzę, że wielmożny pan wyrusza w poufnej sprawie... od ojca Inire?

- Tak - odparłem. - Ale najpierw muszę odzyskać swój miecz.

Miałem nadzieję, że wie, gdzie ukryto Terminust Est i natychmiast mi go odda, ale on tylko wybałuszył na mnie oczy.

- Przyprawiono mnie tu pod eskortą i powiedziano, że muszę oddać miecz, który jednak zostanie mi zwrócony, abym mógł wykorzystać go w misji zleczonej mi przez ojca Inire.

Pulchny człowieczek potrząsnął głową.

- Zapewniam cię, wielmożny panie, że zostałbym natychmiast poinformowany, gdyby któryś ze służących...

- Miecz zabrał pretorianin.

- Ach, powinienem był się domyślić. Ostatnio wszędzie ich pełno, ale nie sposób się z nimi dogadać. Uciekł nam więzień, jak zapewne wielmożny pan wie.

- O niczym nie wiem.

- Niejaki Beuzec. Podobno nie jest niebezpieczny, ale przyłapano go wraz z jeszcze jednym osobnikiem, kiedy ukrywał się w ogrodach. Tamtego pojmano, Beuzec zaś zdołał umknąć.

Podobno wkrótce go złapią, ale ja nie jestem tego taki pewien. Powiadam ci, wielmożny panie: mieszkam od urodzenia w Domu Absolutu, a i tak nie zdążyłem jeszcze poznać wszystkich jego zakamarków.

- Być może mój miecz jest w jednym z nich. Poszukasz go?

Mężczyzna cofnął się o krok, jakby spodziewał się, że go uderzę.

- Naturalnie, wasza wielmożność, naturalnie! Próbowałem tylko zabawić wielmożnego pana rozmową. Przypuszczam, że może być tam. Jeśli zechcesz pójść ze mną...

Ruszyliśmy ku odległym schodom, a kiedy tam dotarliśmy, zauważyłem, że w pośpiechu ominąłem jedne drzwi: były niskie, wąskie, pomalowane na biało i znajdowały się pod schodami, prawie nie odróżniając się od białego kamienia.

Kamerdyner wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył je. Trójkątne pomieszczenie, do którego prowadziły, okazało się znacznie większe, niż mógłbym przypuszczać. W jego tylnej części znajdowało się coś w rodzaju obszernej antresoli, na którą prowadziła rozklekotana drabina.

Oświetlenie stanowiła taka sama lampa jak te, które wisiały w przedpokoju, tyle tylko, że ta dawała jeszcze mniej blasku.

- Widzisz go, panie? - zapytał tłusciuch. - Zaczekaj, gdzieś tutaj powinna być świeca. Z tej lampy nie ma wielkiego pożytku, a w dodatku półki rzucają głęboki cień.

Właśnie zająłem się nimi. Były zavalone ubraniami, wśród których tu i ówdzie trafiała się para butów, kieszonkowy widelec, piórnik lub zapachowa kulka.

- Kiedy byłem mały, chłopcy pomagający w kuchni często otwierali zamek drutem i buszowali tu do woli. Teraz już tego nie robią, odkąd wstawiłem lepszy zamek, ale obawiam się, że wszystko, co wartościowe, zniknęło dawno temu.

- Co to za miejsce?

- Dawniej była tu szatnia dla petentów. Wiesz, panie: płaszcze, kapelusze, buty, i tak dalej.

Jak to zwykle bywa, nagromadziło się mnóstwo rzeczy szczęśliwców, którzy załatwili wszystko, co chcieli, i z radości zapomnieli czegoś zabrać. To skrzydło zawsze należało do ojca Inire, przypuszczam więc, że było też sporo takich, którzy w ogóle od niego nie wyszli, oraz takich, którzy wyszli, choć nigdy nie wchodzili. - Umilkł na chwilę i rozejrzał się dokoła. - Musiałem dać żołnierzom klucze, kiedy szukali tego Beuzeca, gdyż w przeciwnym razie wyważyliby drzwi.

Przypuszczam, że mogli zostawić tutaj twój miecz, ale jeśli tego nie uczynili, to prawdopodobnie zabrali go do wartowni... To chyba nie ten, jak przypuszczam? - zapytał, wyciągając z kąta zardzewiałą szablę.

- Raczej nie.

- Obawiam się, że nie ma tu innej broni. Wytłumaczę ci, wielmożny panie, jak trafić do wartowni albo jeżeli wolisz, obudzę jednego z giermków i każę mu zaprowadzić cię tam.

Drabina prowadząca na antresolę niebezpiecznie trzeszczała, lecz nie zważając na to wziąłem świecę od kamerdynera i wspiąłem się po jej szczeblach. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby żołnierz tam właśnie położył Terminust Est, ale potrzebowałem kilku chwil spokoju, by zastanowić się nad tym, co powinienem teraz uczynić.

Wchodząc po drabinie usłyszałem jakiś szelest. Pomyślałem, że to szczur lub inny szkodnik, ale gdy wystawiłem głowę nad poziom podłogi, ujrzałem małego człowieczka, którego wcześniej widziałem w towarzystwie Hethora, klęczącego na zakurzonych deskach i wpatrującego się we mnie błagalnie. Rzecz jasna, był to właśnie Beuzec. Skojarzyłem jego imię z twarzą dopiero wtedy, kiedy ją zobaczyłem.

- Coś tam jest, wasza wielmożność?

- Tylko stare szmaty. I szczury.

- Tak myślałem - stwierdził kamerdyner, kiedy zszedłem z drabiny. - Powinienem od czasu do czasu tam zaglądać, ale w moim wieku nie zaleca się wspinaczek po takich niepewnych drabinach. Czy sam udasz się do wartowni, wielmożny panie, czy mam posłać któregoś z chłopców?

- Pójdę sam.

Skinął z aprobatą głową.

- Tak chyba będzie najlepiej. Mogliby nie dać twojego miecza zwykłemu giermkowi albo nawet nie przyznać się, że w ogóle go mają. Jak zapewne wiesz, znajdujesz się teraz w Piwnicy Dobrych Uroków. Jeżeli nie chcesz być niepokojony przez patrole, wejdź na trzecie piętro tymi schodami, pod którymi teraz się znajdujemy, po czym skręć w lewo. Następnie idź przed siebie galerią, a po tysiącu kroków dotrzesz do odkrytego dziedzińca. W ciemności łatwo możesz go przeoczyć, rozglądaj się

więc w poszukiwaniu roślin. Skręć w prawo, a po dwustu krokach dotrzesz do wartowni. Przed drzwiami zawsze stoi strażnik.

Podziękowałem mu i nie czekając, aż upora się z zamknięciem drzwi, pośpieszyłem schodami w górę, po czym skryłem się w korytarzu na pierwszym podejściu i czekałem, aż mnie minie. Kiedy umilkł odgłos jego kroków, zszedłem z powrotem na poziom przedpokoju.

Wydawało mi się, że jeżeli mój miecz naprawdę znalazł się w jakiejś wartowni, to odzyskać go mógłbym jedynie podstępem lub siłą, a najpierw chciałem się upewnić, że na pewno nie ma go w miejscu, z którego mógłbym go zabrać w prostszy sposób. Poza tym nie mogłem wykluczyć, że Beuzec widział Terminust Est podczas ucieczki, i chciałem go o to zapytać.

Jednocześnie nie dawała mi spokoju myśl, że więźniowie odkryli już tajne przejście, którym uciekliśmy wraz z Jonasem, i zaczęli wędrować po całym skrzydle Domu Absolutu. Lada chwila któryś z nich mógł zostać pojmany, a wówczas bez wątpienia rozpoczną się intensywne poszukiwania pozostałych uciekinierów.

Kiedy znalazłem się ponownie przy drzwiach szafy pod schodami, przycisnąłem do nich ucho, mając nadzieję, że usłyszę poruszającego się Beuzeca, jednak ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Zawołałem go po cichu, a kiedy nie uzyskałem odpowiedzi, naparłem na drzwi ramieniem. Nawet nie drgnęły, ja zaś nie chciałem wyważyć ich siłą z obawy, że spowoduję zbyt wiele hałasu. Udało mi się jednak wcisnąć miniaturowy sztylet, który otrzymałem od Vodalusa, w szczelinę przy zamku i odsunąć zatrzask.

Beuzec zniknął. Po krótkich poszukiwaniach odkryłem dziurę w tylnej ścianie szafy, prowadzącą do pustego wnętrza muru. Stąd właśnie wpełzł do szafy, gdzie mógł nareszcie rozprostować kończyny i tam ponownie się ukrył. Plotka głosi, że w takich jak ten zakamarkach Domu Absolutu mieszkają białe wilki, które trafiły tam przed wieloma laty z lasu. Być może Beuzec padł ofiarą któregoś z tych stworzeń, gdyż nigdy już go nie zobaczyłem.

Nie zdecydowałem się pójść za nim. Zamknąłem szafę najlepiej jak potrafiłem, starając się ukryć uszkodzenie zamka. Dopiero wtedy zwróciła moją uwagę symetria korytarza: pośrodku wejście do przedpokoju, po obu stronach szeregi zamkniętych na głucho drzwi, na obu końcach schody. Jeśli to właśnie podziemie zostało przeznaczone specjalnie dla ojca Inire (jak twierdził

kamerdyner i co sugerowałaby nazwa tego miejsca), to chyba właśnie ze względu na swoją zwierciadlaną symetrię. Wynikało z tego, że pod drugimi schodami powinna znajdować się identyczna szafa.

## **ROZDZIAŁ XX**

# Obrazy

Należało się zastanowić, dlaczego Odilo nie zaprowadził mnie tam, ale ja nie traciłem czasu na rozmyślenia, tylko popędziłem korytarzem co sił w nogach. Kiedy dotarłem na miejsce, sprawa stała się jasna: te drzwi zostały wyłamane już dawno temu i to z taką siłą, że tylko dwa fragmenty desek wiszące przy zawiasach świadczyły o tym, iż w tym miejscu kiedyś było coś takiego jak drzwi. Lampa naturalnie zgasała, oddając wewnątrz we władanie ciemności i pająkom.

Odwróciłem się i zdążyłem zrobić dwa kroki, po czym nagle zatrzymałem się wiedziony tym niezwykłym przecuciem, które czasem podpowiada nam, że popełniliśmy błąd, na długo przed tym, zanim zdołamy sobie choć w ogólnych zarysach uświadomić, na czym ów błąd ma polegać.

Jonas i ja trafiliśmy do przedpokoju późnym popołudniem. W nocy młodzi arystokraci pojawili się ze swymi biczami. Rano schwytano Hethora, a w tym samym czasie Beuzec wyrwał się pretorianom, którzy następnie dostali klucze od kamerdynera, by móc przeszukać całe skrzydło.

Kiedy go spotkałem i powiedziałem, że jeden z pretorian zabrał mój miecz, Odilo uznał, że przybyłem do Domu Absolutu za dnia, już po ucieczce Beuzeca.

Tak jednak nie było, a tym samym żołnierz, który niósł Terminust Est, nie mógł schować go do zamkniętej szafy pod schodami.

Wróciłem do tej z wyłamanymi drzwiami. Przyćmione światło sączące się z korytarza pozwoliło mi dostrzec, że kiedyś znajdowały się tu rzędy półek, które następnie zniknęły, aby służyć jakiemuś innemu celowi, pozostawiając wsporniki sterczące bezużytecznie ze ścian.

Nigdzie nie widziałem żadnego leżącego luzem przedmiotu, a poza tym było dla mnie jasne, że nikt nie miałby ochoty brnąć w grubej warstwie kurzu, wśród zwieszających się z sufitu pajęczyn. Może więc... Nawet nie wsuwając głowy do środka sięgnąłem za futrynę i z trudną do opisania radością poczułem, jak moja dłoń zaciska się na znajomej rękojęści.

Znowu stałem się całym człowiekiem, a raczej czymś więcej: czeladnikiem naszej konfraterni. Natychmiast sprawdziłem, czy w kieszonce przy pochwie tkwi list do archonta Thraxu, po czym wyciągnąłem lśniące ostrze, wytarłem je, naoliwiłem i znowu wytarłem, badając kciukiem jego krawędź. Teraz mogłem stawiać czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Moim następnym celem było odszukanie Dorcas. Niestety, nie wiedziałem nic o miejscu pobytu trupy doktora Thalosa, z wyjątkiem tego, że miała wystąpić podczas festynu w jednym z ogrodów. Gdybym teraz wyszedł w noc, otulony fuliginem, stałbym się prawie niewidzialny dla strażników, ale z pewnością nie znalazłbym żadnej pomocy, a po wschodzie słońca zostałbym pojmany równie szybko jak wtedy, kiedy wraz z Jonaszem przekroczyłem granicę terenów należą-

cych do Autarchy. Gdybym natomiast pozostał w Domu Absolutu, to - sądząc po przebiegu mojego spotkania z kamerdynierem - łatwo mógłbym uniknąć wszelkich podejrzeń, a może nawet spotkać kogoś, od kogo uzyskałbym jakieś informacje. Postanowiłem mówić każdemu, kto by o to zapytał, że zostałem zaproszony do udziału w uroczystościach (było całkiem prawdopodobne, iż podczas nich



miała także odbyć się jakaś egzekucja), ale oddaliłem się od przydzielonej mi kwatery i zgubiłem drogę. W ten sposób może uda mi się poznać miejsce pobytu Dorcas i pozostałych.

Obmyślając szczegóły planu wspinałem się po schodach. Na drugim podejściu skręciłem w korytarz, którego uprzednio nie zauważyłem. Był znacznie dłuższy i piękniejszy niż ten wiodący do przedpokoju: na ścianach wisiały ciemne obrazy w złotych ramach, między nimi zaś na piedestałach ustawiono urny, popiersia oraz różne inne, nie znane mi przedmioty. Odległość między drzwiami, które znajdowały się w jego ścianach, wynosiła sto, a nawet więcej kroków, co świadczyło o wielkich rozmiarach ukrytych za nimi pomieszczeń. Wszystkie jednak były zamknięte, a kiedy naciskałem kolejno klamki, aby to sprawdzić, przekonałem się, że zostały wykonane z jakiegoś tajemniczego materiału i z całą pewnością nie z myślą o ludzkich dłoniach.

Kiedy przebyłem jakieś pół mili, ujrzałem z daleka człowieka siedzącego na wysokim stołku (a przynajmniej takie odniosłem wrażenie). Zbliżywszy się nieco przekonałem się, że to, co wziąłem za stołek, jest drabiną o szerokich stopniach, a usadowiony na niej stary mężczyzna zajęty jest czyszczeniem jednego z obrazów.

- Przepraszam... - powiedziałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Czy ja przypadkiem nie znam tego głosu?

Wówczas rozpoznałem go. Był to Rudesind, kurator, ów starzec, którego spotkałem dawno temu, gdy mistrz Gurloes wysłał mnie do biblioteki po książki dla kasztelanki Thecli.

- Kiedy niedawno się widzieliśmy, szukałeś Ultana. Znalazłeś go?

- Tak - odparłem. - Ale to wcale nie było niedawno. Chyba go tym rozzłościłem.

- Przecież wiem, że nie dzisiaj! Pamiętam jednak pejzaż, nad którym pracowałem, nie mogło więc minąć zbyt wiele czasu.

- Ja też go pamiętam - powiedziałem. - Brązowa pustynia odbijająca się w złotej przyłbicy człowieka zakutego w zbroję.

Skinął głową, a jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Począł schodzić z drabiny, trzymając wciąż gąbkę w dłoni.

- Właśnie ten. Chcesz go zobaczyć? Wszedł całkiem nieźle.

- Teraz jesteśmy w innym miejscu, mistrzu. Tamto było w Cytadeli, a tu jest Dom Absolutu.

Zignorował moją uwagę.

- Naprawdę nieźle... Musi gdzieś tu być. Ach, ci starzy artyści... Nikt nie może im dorównać, jeśli chodzi o precyzję rysunku, choć barwy już nieco wyblakły. Możesz mi wierzyć, gdyż znam się na

sztuce. Widziałem wielu szlachciców, a nawet arystokratów, którzy przychodzili, stawali przed jakimś obrazem i wygadywali różne głupoty, mimo że nie mają o tym zielonego pojęcia.

Kto oglądał z bliska każdy centymetr kwadratowy tych malowideł? - Uderzył się w pierś ręką, w której trzymał gąbkę, po czym nachylił się ku mnie i zniżył głos do szeptu, mimo iż w długim korytarzu byliśmy zupełnie sami. - Zdradzę ci tajemnicę, której nie zna nikt prócz mnie: jeden z nich przedstawia moją osobę!

Aby go nie zrazić, odparłem, że chętnie zobaczyłbym to dzieło.

- Szukam go, a kiedy znajdę, powiem ci, gdzie wisi. Oni nie mają o niczym pojęcia, ale ja właśnie dlatego bez przerwy je czyszczę. Mógłbym już dawno przejść na emeryturę, lecz nadal pracuję, najdłużej ze wszystkich - może z wyjątkiem Ultana, ale on o tym nie wie, bo nie może zobaczyć kalendarza!

Zaniósł się długotrwałym, skrzypiącym śmiechem.

- Pomyślałem sobie, że być może będziesz mógł mi pomóc. Niedawno przybyli tutaj artyści, którzy mają wystąpić podczas święta. Czy wiesz, gdzie zostali ulokowani?

- Coś o tym słyszałem - odparł niezbyt pewnie. - Nazywają to Zielonym Pokojem.

- Możesz mnie tam zaprowadzić?

Potrząsnął głową.

- Nie ma tam żadnych obrazów, więc nigdy w nim nie byłem, choć istnieje obraz przedstawiający jego wnętrze. Chodź ze mną, to ci go pokażę.

Pociągnął mnie za płaszcz, a ja poszedłem za nim.

- Wolałbym raczej, abys zaprowadził mnie do kogoś, kto zna drogę.

- Ja także mogę to uczynić. Stary Ultan ma gdzieś w swojej bibliotece mapę. Jego chłopak znajdzie ci ją.

- To nie jest Cytadela - przypomniałem mu ponownie. - A w ogóle, to skąd się tu wzięłeś?

Sprowadzili cię, żebyś oczyścił te obrazy?

- Właśnie, właśnie... - Oparł się na moim ramieniu. - Nie zapominaj, że wszystko ma swoje logiczne wytłumaczenie. Widocznie o to właśnie chodziło. Ojciec Inire zażyczył sobie, bym doprowadził do porządku jego obrazy, więc oto jestem. - Umilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - Zaczekaj, coś tu jest nie tak. Powinienem chyba powiedzieć, że już jako chłopiec odznaczałem się wielkim talentem. Rodzice zachęcali mnie, a ja potrafiłem całymi godzinami nie robić nic innego, tylko rysować. Pamiętam, że kiedyś spędziłem cały dzień wykonując szkice kredą na tylnej ścianie naszego domu.

Pociągnął mnie w lewo, wąskim korytarzem łączącym się pod kątem prostym z tym, którym szliśmy do tej pory. Mimo że gorzej oświetlony (właściwie był pograżony w półmroku) i tak ciasny, że nie było mowy o tym, aby stanąć w odpowiedniej odległości od obrazów, zawieszony był wielkimi płótnami. Niektóre z nich sięgały od podłogi do sufitu, a ich szerokość przekraczała rozpiętość moich ramion. Jednak sądząc po tym, co zdołałem dostrzec, z pewnością nie przedstawiały sobą większej wartości.

Zapytałem Rudesinda, kto kazał mu opowiedzieć mi o jego dzieciństwie.

- Ojciec Inire, ma się rozumieć - odparł, przechyliwszy nieco głowę na bok, by móc spojrzeć mi w twarz. - A ty myślałeś, że kto? - Ponownie ściszył głos. - Powiadają, że to już zdziecinniały staruszek. Był wezyrem na dworach wszystkich autarchów, którzy panowali po Ymarze. A teraz bądź cicho i pozwól mi mówić. Znajdę ci starego Ultana.

Pewnego dnia koło naszego domu przechodził prawdziwy artysta. Moja matka, dumna z moich osiągnięć, pokazała mu kilka rysunków. Artystą tym był sam Fechin, a portret, który wówczas mi namalował, wisi tu po dziś dzień, spoglądając na ciebie moimi brązowymi oczami.

Siedzę przy stole, na którym leżą pędzle i jedna mandarynka. Obiecał, że mi je da w zamian za pozowanie.

- Obawiam się, że nie będę miał teraz czasu, żeby mu się przyjrzeć.

- Ja także zostałem artystą, ale bardzo szybko zająłem się czyszczeniem i odnawianiem dzieł

naprawdę wielkich mistrzów. Dwukrotnie czyściłem własny portret. Powiadam ci, to bardzo dziwne uczucie, kiedy obmywasz własną twarz sprzed wielu, wielu lat. Nieraz myślę sobie, jakby to było wspaniale, gdyby ktoś umył moją, zbierając gąbką osad czasu... Ale zdaje się, że chciałeś zobaczyć Zielony Pokój?

- Owszem - przytaknąłem gorliwie.

- Oto obraz przedstawiający jego wnętrze. Przyjrzyj mu się dobrze, żebyś go rozpoznał, kiedy już się w nim znajdziesz.

Wskazał mi jedno z wielkich malowideł. Wcale nie przedstawiało ono pokoju, tylko fragment ogrodu okolony wysokim żywopłotem, ze stawem pokrytym liliami, nad którym pochylały się potargane wiatrem wierzby. Jakiś człowiek w fantastycznym kostiumie Ilanero grał

na gitarze, najwidoczniej jedynie dla własnej przyjemności. Niskie niebo zasnuwane było burzowymi chmurami.

- Potem możesz pójść do biblioteki, żeby zobaczyć mapę Ultana - powiedział starzec.

Malowidło należało do tych, które, oglądane z bliska, rozpadają się na niezliczone kolorowe punkciki. Cofnąłem się o krok, aby spojrzeć na nie z odpowiedniej perspektywy, potem jeszcze o jeden, i jeszcze...

Po trzecim kroku zorientowałem się, że powinienem być oprzeć się plecami o ścianę korytarza, ale nic takiego nie nastąpiło. Znalazłem się wewnątrz obrazu, który tam wisiał: w ciemnym pokoju wyposażonym w staromodne krzesła o skórzanych obiciach i stoliki o blatach z mahoniu. Rozejrzałem się dokoła, a kiedy odwróciłem się z powrotem w stronę Rudesinda, stary kurator zniknął wraz z korytarzem, w którym przed chwilą z nim stałem. Miałem przed sobą ścianę pokrytą wiekową, spłowiałą tapetą.

Odruchowo wyciągnąłem Terminust Est, lecz w pokoju nie było nikogo, kogo mógłbym uderzyć. Właśnie miałem zamiar podejść do jedynych drzwi, jakie dostrzegłem w pomieszczeniu, kiedy otworzyły się i do pokoju wkroczyła postać odziana w żółtą szatę. Krótkie, siwe włosy były zaczesane do tyłu, a zaokrąglona twarz miała niemal kobiece rysy. Na szyi mężczyzny -

gdyż był to mężczyzna - na delikatnym łańcuszku wisiała znana mi już fiołka w kształcie fallusa.

- Ach - powiedział. - Zastanawiałem się, kto tu wszedł. Witaj, o Śmierci.

- Jestem czeladnik Severian z konfraterni katów - odparłem z największym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć. - Znalazłem się tutaj bez udziału mojej woli i, szczerze mówiąc, byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał mi wyjaśnić, jak właściwie do tego doszło. Kiedy stałem w korytarzu na zewnątrz, pokój ten wydawał się jedynie obrazem, lecz kiedy cofnąłem się o kilka kroków, aby móc lepiej zobaczyć ten, który wisiał na przeciwległej ścianie, wszedłem do tego pomieszczenia. Jaka sztuka mogła tego dokonać?

- Żadna - odparł mężczyzna w żółtej szacie. - Nie wydaje mi się, żeby ukryte drzwi były czymś niezwykłym, a budowniczy tego pokoju znalazł jedynie znakomity sposób, żeby je zamaskować. Pokój jest bardzo płytki, co z pewnością zdażyłeś już zauważyć, a jeśli przyjrzyś się dokładniej, dostrzeżesz bez wątplenia, iż jest jeszcze płytszy, niż ci się wydaje, gdyż te ściany stykają się ze sobą i z sufitem pod kątem większym od prostego, a tania jest dużo niższa od tej, przez którą wszedłeś.

- Rozumiem.

Rzeczywiście, teraz wszystko zrozumiałem. Kalekie pomieszczenie, które moje oczy, tak jak oczy każdego człowieka przywykłe do postrzegania wszystkiego w najprostszej możliwej postaci, wzięty początkowo za zupełnie zwyczajne, teraz objawiło mi się takim, jakim było naprawdę: z nachylonym, trapezoidalnym sufitem i taką samą, tyle że biegnącą lekko w górę, podłogą. Krzesła okazały się tak wąskie, że z pewnością nikt nie zdołałby na nich usiąść, a stoły były szerokości pojedynczych desek.

- Oko łatwo poddaje się złudzeniom, dostrzegając głębię w dwuwymiarowych obrazach -

ciągnął odziany na żółto mężczyzna. - Kiedy nagle napotyka prawdziwą trójwymiarową przestrzeń, umieszczoną w sąsiedztwie wielu obrazów, a w dodatku oświetloną w specjalny sposób, postrzega ją także jako obraz. Twoje pojawienie się tutaj z tym ogromnym mieczem sprawiło, że zamknęła się za tobą fałszywa ściana, aby zatrzymać cię tutaj do chwili, kiedy zostanie podjęta decyzja, co począć z tobą dalej. Chyba nie muszę ci mówić, że po jej drugiej stronie znajduje się obraz, który wydawało ci się, że widzisz.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był bardziej zdumiony.

- Ale skąd ten pokój wiedział, że wyciągnąłem miecz?

- Ta sprawa jest zbyt skomplikowana, żebym potrafił ci ją wyjaśnić... Mogę tylko powiedzieć, że wejście zostało oplecione metalowymi włóknami, które reagują natychmiast, jak tylko inne metale, ich bracia i siostry, pojawiają się w tym pomieszczeniu.

- Czy to twoje dzieło?

- Och, skądże znowu. - Zatoczył ręką koło. - To, co tu widzisz, a także setki innych rzeczy, tworzą tak zwany Drugi Dom. Stanowią dzieło ojca Inire, któremu pierwszy autarcha polecił

stworzyć w murach Domu Absolutu jeszcze jeden, tajny pałac. Ty lub ja, mój synu, bez wątpienia zbudowalibyśmy zwykły apartament, którego pokoje połączone byłyby ze sobą ukrytymi przejściami, on natomiast doszedł do wniosku, że tajny pałac powinien być całkowicie tożsamy z ogólnie dostępnym.

- Ale ty nie jesteś ojcem Inire - powiedziałem. - Teraz wiem, kim jesteś! Poznajesz mnie?

Uniosłem maskę, by mógł zobaczyć moją twarz. Uśmiechnął się.

- Przyszedłeś tylko raz. Domyślałem się, że nie znalazłeś tego, czego szukałeś.

- Tamta dziewczyna dała mi mniej niż kobieta, którą udawała, albo ja po prostu kochałem tamtą bardziej, niż przypuszczałem. Dzisiejszej nocy straciłem przyjaciela, natomiast bez przerwy spotykam starych znajomych. Czy mogę zapytać, w jaki sposób dotarłeś tutaj z Lazurowego Pałacu? Czyżbyś został wezwany z powodu święta? Zdaje mi się, że niedawno zauważyłem jedną z twoich kobiet.

Skinął obojętnie głową. Pochylone lustro wiszące na ścianie dziwnego pokoju pochwyciło jego delikatny profil, a ja domyśliłem się, że ubrany na żółto mężczyzna w rzeczywistości jest androgynem. Ogarnęło mnie współczucie, a także poczucie bezsilności, kiedy wyobraziłem go sobie, otwierającego co noc drzwi przed gośćmi w jego przybytku w Algedonie.

- Tak - powiedział. - Zostanę tutaj na czas trwania uroczystości, po czym odejdę.

Przypomniałem sobie obraz, który stary Rudesind pokazał mi w korytarzu.

- A więc możesz mi wskazać drogę do ogrodu.

Wyczułem, że nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Niewykluczone, że po raz pierwszy od wielu lat. W jego spojrzeniu pojawił się ból, a lewa ręka drgnęła nieznacznie, jakby chciała dotknąć fiołki wiszącej na szyi.

- Słyszałeś o tym... - wymamrotał wreszcie. - Nawet gdybym znał drogę, dlaczego miałbym ci ją wskazać? Wielu pragnęłoby nią uciec, kiedy morska flota zbliży się do lądu.



# Hydromancja

Minęło kilka długich chwil, zanim znaczenie jego słów dotarło do mego umysłu. Kiedy to się stało, poczułem wyraźną woń upieczonego ciała Thecli i odniosłem wrażenie, że słyszę niespokojny szelest liści. Zapomniawszy na chwilę, jak niewiele warte w tym dziwacznym pomieszczeniu są zwykłe środki ostrożności, rozejrzałem się szybko dokoła, aby upewnić się, że nikt nas nie podsłuchuje, po czym stwierdziłem, że bezwiednie (gdyż przed przyznaniem się do związków z Vodalusem chciałem najpierw wy badać androgyna) wyjąłem z sakwy mały, metalowy przedmiot w kształcie sztyletu.

Mój rozmówca uśmiechnął się.

- Podejrzewałem, że to możesz być ty. Oczekuję cię już od wielu dni, wydałem więc polecenie temu starcowi, a także wielu innym, by przyprowadzali do mnie wszystkich obiecujących nieznajomych.

- Zostałem uwięziony w przedpokoju - wyjaśniłem. - Dlatego przybywam tak późno.

- Ale zdołałeś uciec, jak widzę. Wątpię, czy zostałbyś uwolniony, gdyby nie zjawił się tam mój człowiek. Dobrze, że ci się udało, bo nie mamy wiele czasu. Święto potrwa trzy dni, a potem będę musiał odejść... Chodź, pokażę ci drogę do Ogrodu, chociaż wcale nie jestem pewien, czy cię tam wpuszczą.

Otworzył drzwi, przez które wszedł do fałszywego pokoju, a ja dopiero teraz zauważyłem, że wcale nie są prostokątne. Sąsiednie pomieszczenie okazało się niewiele większe od tego, które opuściliśmy, ale przynajmniej było zupełnie normalne i bogato umeblowane.

- Dopiero teraz znalazłeś się we właściwym Tajnym Pałacu - poinformował mnie androgyn.

- Ci, którym udaje się tu dotrzeć, zazwyczaj muszą pokonać bardzo długą i męczącą drogę. A teraz wybac mi na chwilę, gdyż muszę zapoznać się z wiadomością, którą przyniosłeś.

Podszedł do czegoś, co w pierwszej chwili wziąłem za zwykły stolik o szklanym blacie.

Położył na nim metalowy przedmiot, który otrzymałem od Vodalusa, i niemal natychmiast nad stolikiem zapłonęło światło. Mimo że wyteżałem wzrok, jak mogłem, nie byłem w stanie dostrzec jego źródła. Androgyn nasunął nad miniaturowy sztylet coś w rodzaju drugiego, szklanego blatu i sztylet zaczął dosłownie rosnać w oczach. Kiedy był już rozmiarów krótkiego miecza, okazało się, że delikatne nacięcia na jego ostrzu tworzą krągłe, połączone ze sobą litery.

- Cofnij się - powiedział człowiek w żółtej szacie. - Jeżeli nie przeczytałeś tego wcześniej, tym bardziej nie powinieneś uczynić tego teraz.

Postąpiłem zgodnie z poleceniem i przez dłuższą chwilę obserwowałem w milczeniu, jak pochyła się nad przedmiotem dostarczonym przeze mnie z kryjówki Vodalusa. Wreszcie wyprostował się i głęboko westchnął.

- A więc nie ma rady... Musimy prowadzić walkę na obu skrzydłach. Ale to nie twoja sprawa. Czy

widzisz tę szafkę, na której drzwiczkach wyryto scenę przedstawiającą zaćmienie Słońca? Otwórz ją i wyjmij książkę, którą znajdziesz w środku. Możesz położyć ją na tym pulpicie.

Mimo że obawiałem się jakiegoś podstępu, zrobiłem to, o co mnie poprosił. W szafce znajdowała się tylko jedna, ogromna księga - wysoka jak ja i szeroka na co najmniej dwa łokcie -

oprawiona w marszczoną, błękitnozieloną skórę. Wyglądała niemal jak zwłoki zaraz po otwarciu trumny. Schowałem miecz do pochwy, chwyciłem wielki tom obiema rękami i umieściłem go na pulpicie. Androgyn zapytał, czy już kiedyś widziałem tę księgę, a ja zgodnie z prawdą odparłem, że nie.

- Odniosłem wrażenie, że się jej przestraszyłeś, a niosąc ją odwracasz od niej twarz. -

Otworzył księgę, odsłaniając pierwszą stronę pokrytą czerwonym pismem, którego nie potrafiłem odczytać. - To ostrzeżenie dla tych, którzy pragną w ten sposób odnaleźć drogę - poinformował mnie. - Chcesz, abym ci je odczytał?

- Wydawało mi się, że widzę martwego człowieka o moich rysach twarzy - wyjąkałem.

Zamknął księgę i przesunął ręką po okładce.

- Tę skórę wyprawiali rzemieślnicy, których już dawno nie ma na świecie. Linie, jakie możesz dostrzec, jeśli wyteżysz wzrok, to blizny które na grzbietach zwierząt pozostawiły uderzenia bicia. Nie musisz tam iść, jeżeli się boisz.

- Otwórz ją - zażądałem. - Pokaż mi mapę.

- Nie ma żadnej mapy, tylko to - odparł i gwałtownym ruchem ponownie otworzył księgę, lecz tym razem nie na pierwszej stronie.

Na chwilę przestałem cokolwiek widzieć, tak jak dzieje się to ciemną nocą, kiedy oślepi nas blask błyskawicy. Karty księgi wydawały się zrobione z czystego, wypolerowanego do granic możliwości srebra, które wychwytywało każdy, nawet najmniejszy promień światła i wzmacniało go tysiącrotnie.

- Zwierciadła - powiedziałem, ale już w następnej chwili pojąłem, że nie mam racji i że są to te same przedmioty, dla których nie znamy lepszego określenia niż „zwierciadła”, i które niecałą wachtę temu umożliwiły Jonasowi powrót między gwiazdy. - Skąd biorą moc, jeżeli nie są ustawione dokładnie naprzeciwko siebie?

- Weź pod uwagę fakt, że długo znajdowały się w takiej właśnie pozycji, kiedy księga była zamknięta. Pole jest na tyle silne, że będzie mogło utrzymać się przez jakiś czas. Idź, jeśli masz odwagę.

Nie miałem. Wpatrując się w rozświetlone powietrze nad kartami księgi, dostrzegłem tam przedziwną istotę, stanowiącą połączenie kobiety z motylem. Tak jak obserwując górę uwidocznioną



w tle jakiegoś obrazu wiemy doskonale, iż w rzeczywistości jest ona ogromna jak wyspa, tak i ja zrozumiałem natychmiast, że oglądam tę istotę z wielkiej odległości. Jej skrzydła chłostały protonowy wiatr kosmosu, cała Urth zaś mogła być zaledwie jednym z niezliczonych pyłków wprawionych w ruch ich uderzeniami. Nagle ona także mnie zobaczyła, tak jak niedawno androgyn zobaczył powiększone pismo na przesłanym przez Vodalusa przedmiocie, odwróciła się w moją stronę i rozpostarła szeroko skrzydła, abym mógł im się dobrze przyjrzeć. Były na nich namalowane oczy.

Androgyn zatrzasnął z hukiem księgę, jakby to były drzwi.

- Co zobaczyłeś? - zapytał.

Ogarnęła mnie ogromna ulga, że nie muszę już patrzeć na karty przerażającej księgi.

- Dziękuję ci, sieur. Kimkolwiek jesteś, od tej pory masz we mnie oddanego sługę.

Skinął głową.

- Kto wie, może kiedyś przypomnę ci o tym? Ale na pewno nie zapytam powtórnie, co tam widziałeś. Masz, otrzyj sobie czoło.

Wręczył mi czystą chustkę, a ja przesunąłem nią po czole, gdyż wyraźnie czułem, jak ściekają mi po nim krople potu. Kiedy spojrzałem na chustkę, przekonałem się, że jest zbroczona krwią.

- Nie jesteś ranny - powiedział, jakby czytając w moich myślach. - Lekarze nazywają to chyba „krwawym potem”. Zdarza się, że pod wpływem silnego stresu małe naczynia krwionośne pękają i krew wypływa przez pory skóry. Obawiam się, że zostanie ci paskudny siniec.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytałem. - Myślałem, że pokażesz mi mapę. Chcę tylko znaleźć Zielony Pokój, gdzie według starego Rudesinda zakwaterowano artystów. Czy w wiadomości od Vodalusa znajdowało się polecenie, że masz zabić tego, kto ci ją dostarczy?

Sięgnąłem do miecza, ale kiedy zacisnąłem dłoń na jego rękojeści przekonałem się, że jestem zbyt słaby, aby go wyciągnąć.

Androgyn roześmiał się. Początkowo jego śmiech był nawet dość przyjemny dla ucha, jakby kobiecy, a może raczej chłopięcy, lecz wkrótce potem zmienił się w skrzypiący chichot. Na ten dźwięk wspomnienia Thecli poruszyły się we mnie tak gwałtownie, iż przestraszyłem się, że zaraz się obudzą.

- A więc tylko tego pragniesz? - zapytał, kiedy udało mu się zapanować nad wybuchem wesołości. - Poprosiłeś mnie, żebym użyczył ci ognia, abyś mógł zapalić świecę, ja zaś dałem ci całe słońce, w którego blasku boleśnie się poparzyłeś. To moja wina... Być może chciałem zyskać na czasie, choć i tak nie pozwoliłbym ci zapuścić się aż tak daleko, gdybym nie dowiedział się od Vodalusa, że masz w swoim posiadaniu Pazur Łagodziciela. Teraz jest mi naprawdę przykro, lecz nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Dokąd pójdziesz, Severianie, kiedy już odnajdziesz Zielony Pokój?

- Tam, dokąd mnie pošiesz. Jak dobrze wiesz, przysięgłem wierność Vodalusowi.

(W rzeczywistości bałem się go i nie chciałem, aby androgyn doniósł mu o moim nieposłuszeństwie).

- A jeżeli nie mam dla ciebie żadnych poleceń? Czy pozbyłeś się już Pazura?

- Nie miałem okazji.

Nic na to nie odrzekł.

- Udam się do Thraxu - podjąłem, odczekawszy chwilę. - Mam list do tamtejszego archonta.

Podobno może znaleźć dla mnie jakieś zatrudnienie. Chciałbym tam dotrzeć, choćby ze względu na honor mojej konfraterni.

- Znakomicie. Powiedz mi, ale szczerze: jak bardzo kochasz Vodalusa?

Znowu poczułem w dłoniach styliśko topora. Słyszałem, że wspomnienia nikną z czasem; moje nawet nie blakną. Poczułem na twarzy liźnięcia mgły, która tamtej nocy spowijała nekropolię, powróciły też doznania, jakie stały się moim udziałem, gdy otrzymałem od Vodalusa złotą monetę, a potem patrzyłem, jak odchodzi tam, gdzie nie mogłem za nim podążyć.

- Ocaliłem mu kiedyś życie.

- W takim razie oto, co uczynisz: udasz się do Thraxu, tak jak planowałeś, wmawiając wszystkim - w tym także sobie - że pragniesz objąć urząd, który tam na ciebie czeka. Czy zdajesz sobie sprawę, że z posiadaniem Pazura wiąże się poważne ryzyko?

- Owszem. Vodalus ostrzegł mnie, iż gdyby wyszło na jaw, że klejnot znajduje się w naszych rękach, moglibyśmy utracić poparcie ludności.

Androgyn milczał przez chwilę, a następnie powiedział:

- Peleryny przebywają obecnie na północy. Powinieneś zwrócić im Pazur, jeśli tylko nadarzy się okazja.

- To właśnie mam nadzieję uczynić.

- Znakomicie. Musisz zrobić jeszcze jedną rzecz: Autarcha jest teraz tu, w Domu Absolutu, ale na długo przed twoim przybyciem do Thraxu on także znajdzie się na północy, razem ze swoim wojskiem. Jeśli zjawi się w pobliżu miasta, będziesz musiał obmyślić jakiś sposób, aby dostać się do niego i odebrać mu życie.

Zdradził go ton jego głosu. Chciałem paść na kolana, ale on klasnął w dłonie i do pokoju wślizgnął się mały, zgarbiony człowieczek w habicie, z kapturem naciągniętym na głowę.

Autarcha przemówił do niego, lecz byłem tak oszołomiony, że nic nie rozumiałem.

Na całym świecie niewiele jest chyba widoków piękniejszych niż ten, jaki można ujrzeć o świcie, kiedy promienie wschodzącego słońca padają na tysiące wodnych sztyletów wystrzelających z Fontanny Wróżb. Z pewnością nie można nazwać mnie estetą, ale kiedy go ujrzałem, podziałał na mnie jak uzdrawiający balsam. Do tej pory lubię wspominać chwilę, kiedy po wielomilowym marszu tajnymi korytarzami Drugiego Domu zakapturzony służący otworzył

przede mną drzwi, a ja ujrzałem srebrzyste strumienie wypisujące tajemnicze słowa na słonecznym dysku.

- Prosto przed siebie - wymamrotała zgarbiona postać. - Idź ścieżką aż do Bramy Drzew.

Wśród aktorów będziesz zupełnie bezpieczny.

Drzwi zatrzęsły się za mną, a kiedy się obejrzałem, ujrzałem tylko gładkie zbocze porośniętego trawą pagórka.

Niezbyt pewnym krokiem ruszyłem w kierunku fontanny i wkrótce znalazłem się wśród odświeżających strumieni wody. Długo stałem bez ruchu, usiłując odczytać swoją przyszłość wśród roztańczonych kształtów, a następnie począłem grzebać w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym złożyć w ofierze. Pretorianie zabrali mi wszystkie pieniądze, ale przetrząsając zawartość sakwy (składały się na nią: kawałek flaneli, osełka, buteleczka oliwy do smarowania miecza, grzebień oraz książka w brązowej okładce), dostrzegłem monetę, która utknęła na sztorc między kamiennymi płytami tworzącymi ścieżkę. Kiedy ją stamtąd wydobyłem, okazało się, że to asimi, tak bardzo już wytarte, że jedynie z najwyższym trudem dało się rozpoznać wytłoczony na nim wizerunek. Wypowiedziawszy szeptem życzenie cisnąłem je w sam środek fontanny.

Strumień wody porwał pieniążek i uniósł go wysoko, gdzie na chwilę zawisł nieruchomo, lśniąc w promieniach słońca. Potem spadł, a ja zająłem się odczytywaniem kształtów rysowanych przez wodę na tle nieba.

Miecz. To akurat było bardzo proste: dalej będę wykonywał katowskie rzemiosło.

Róża, a pod nią rzeka. Będę kontynuował wędrówkę w górę Gyoll, gdyż tamtędy właśnie wiedzie droga do Thraxu.

Wzburzone fale, ustępujące powoli miejsca falującej łagodnie powierzchni. Morze? Ale przecież nie sposób dotrzeć do morza posuwając się w górę rzeki.

Następnie pojawiły się berło, tron i mnóstwo wież. Zważyłem w prorocze zdolności fontanny, ale kiedy odwracałem się od niej, w ostatniej chwili zobaczyłem jeszcze wieloramienną, rosnącą szybko gwiazdę.

Od chwili powrotu do Domu Absolutu dwukrotnie odwiedziłem Fontannę Wróżb. Raz zjawiłem się o

świecie, idąc tą samą drogą, którą przyszedłem tu podczas mojej pierwszej wizyty, ale nie odważyłem się zadać jej żadnych pytań.

Służący, którzy jak jeden mąż przyznają się do tego, że często rzucają do niej orichalki, kiedy ostatni goście opuszczą już ogrody, równie jednomyślnie twierdzą, jakoby wróżby, które otrzymali, nigdy się nie spełniły. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, gdyż mam jeszcze świeżo w pamięci zielonego człowieka, odstraszonego gapiów przepowiedniami dotyczącymi ich przyszłości. Czy nie może być tak, że moi słudzy, widząc nieciekawą los, jaki ich czeka, po prostu nie chcą przyjąć tego do wiadomości? Pytałem także ministrów, którzy bez wątpienia rzucają chrisos całymi garściami, lecz uzyskałem mętne i wykrętne odpowiedzi.

Bardzo trudno było mi odwrócić się plecami do fontanny oraz jej kuszących, choć tajemniczych przepowiedni i ruszyć w stronę starego słońca. Pojawiło się już w całej okazałości nad horyzontem, ogromne i czerwone niczym twarz olbrzyma. Czarne sylwetki topoli przywiodły mi na pamięć posąg Nocy wznoszący się na szczycie kurhanu na zachodnim brzegu Gyoll, który tak często oglądałem rysujący się wyraźnie na tle zniżającego się ku horyzontowi słońca, kiedy wracaliśmy do Cytadeli z naszych pływackich eskapad.

Nie zdając sobie sprawy, że znajduję się niemal w samym sercu Domu Absolutu, a tym samym daleko od patroli strzegących jego obrzeży, lękałem się, iż lada chwila zostanę zatrzymany i ponownie odprowadzony do przedpokoju, skąd nie byłoby ucieczki, gdyż tajne przejście zostało już z całą pewnością odkryte i zabezpieczone. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

O ile mogłem stwierdzić, byłem jedyną osobą, jaka poruszała się na ogromnym obszarze porośniętym aksamitną trawą i starannie przystrzyżonymi żywopłotami, wśród których pyszniły się różnobarwne trawy i płynęły szemrzące strumyki. Nad ścieżką zwieszały się kielichy lilii znacznie wyższych ode mnie, a ich rozgwieżdżone twarze były pokryte świeżą, nie naruszoną rosą. Dokoła śpiewały słowiki - jedne na wolności, inne zamknięte w złotych klatkach zawieszonych na gałęziach drzew.

W pewnej chwili dostrzegłem przed sobą jeden z poruszających się posągów i na mgnienie oka ogarnęło mnie znane już dobrze przerażenie. Przesunął się przez wypielęgowany trawnik jak olbrzymi człowiek (choć wątpię, czy istoty te mają cokolwiek wspólnego z ludźmi), stąpając w rytmie niesłyszalnej muzyki. Przyznaję, iż ukryłem się w głębokim cieniu i zczekałem, aż mnie minie, zastanawiając się z niepokojem, czy wie o mojej obecności i czy przykłada do niej jakąkolwiek wagę.

Bramę Drzew ujrzałem wtedy, kiedy już niemal straciłem nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdę. Nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Zwykli ogrodnicy przycinają gałęzie krzewów, nadając im pożądany kształt, natomiast ogrodnicy z Domu Absolutu, mając do dyspozycji tylekroć więcej czasu, cierpliwie kierowali wzrostem gałęzi dębów, aż wreszcie każda z nich zaczęła spełniać rolę starannie zaplanowanego architektonicznego detalu, tak że ja, stąpając po pokrytych ziemią dachach największego pałacu na Urth, zobaczyłem nagle po mojej prawej stronie ogromną, zieloną bramę zbudowaną z żywych drzew równie starannie i dokładnie, jak z cegły i kamienia.

Pobiegłem w jej stronę.



# Personifikacje

Zaraz za wysoko sklepionym łukiem Bramy Drzew znalazłem się na rozległej, trawiastej równinie upstrzonej różnokolorowymi namiotami. Niezmaconą ciszę przerwał donośny ryk megathera oraz klekot łańcucha, którym zwierzę było skute. Przez długą chwilę stałem bez ruchu, czekając, aż bestia uspokoi się i ponownie zapadnie w głęboki, podobny do śmierci sen.

Kiedy to nastąpiło, słyszałem już tylko szmer rosy spływającej z liści i wesoły świergot ptaków.

Nastawiwszy ucha wyłowiłem jeszcze jeden odgłos, coś jakby powtarzający się w nieregularnych odstępach świst zakończony słabym uderzeniem. Ponieważ, jak mi się wydawało, dobiegał z bardzo daleka, ruszyłem w jego stronę ścieżką wiodącą między namiotami, lecz okazało się, iż błędnie oszacowałem odległość, gdyż doktor Talos dostrzegł mnie, nim ja zobaczyłem jego.

- Mój przyjacielu! Mój współniku! Wszyscy jeszcze śpią, Dorcas i cała reszta... Tutaj, tutaj!

Świszczący odgłos wydawała jego laska, którą ścinał łebki kwiatów.

- Zjawiasz się w samą porę. W samą porę! Dziś wieczorem wystawiamy nasze przedstawienie i gdybyś nie przybył, musiałbym wynająć kogoś, żeby cię zastąpił. Ogromnie się cieszę, że cię widzę! Jestem ci jeszcze winien trochę pieniędzy, pamiętasz? Nie ma tego wiele, a mówiąc między nami, podejrzewam, że znaczna część jest fałszywa, niemniej jednak dług pozostaje długiem, a ja zawsze zwracam swoje długi.

- Nie przypominam sobie tego, więc istotnie nie może to być duża suma - odparłem. -

Chętnie z niej zrezygnuję, jeśli przekonam się, że Dorcas jest cała i zdrowa, a ty dasz mi coś do zjedzenia i wskażesz miejsce, gdzie mógłbym się trochę przespać.

Ostro zakończony nos doktora opadł na chwilę, aby wyrazić żal.

- Spać możesz dopóty, dopóki nie obudzi cię harmider, natomiast obawiam się, że nie mamy nic do jedzenia. Jak wiesz, Baldanders ma wilczy apetyt. Co prawda marszałek uroczystości obiecał nam coś dostarczyć, lecz wątpię, żeby nastąpiło to wcześniej niż przed samym południem.

- Nie szkodzi. I tak jestem zbyt zmęczony, żeby ucztować, ale gdybyś zechciał wskazać mi jakieś posłanie...

- Co ci się stało w głowę? Zresztą, nieważne, pokryjemy to pudrem. Tędy!

Ruszyłem za nim przez labirynt namiotowych linek w kierunku płóciennej kopuły w kształcie kielicha heliotropu. Przed wejściem dostrzegłem wózek Baldandersa i wreszcie uwierzyłem, że udało mi się odnaleźć moją Dorcas.

Kiedy się obudziłem, poczułem się tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali. Delikatna uroda Dorcas była taka sama jak przedtem. Co prawda Jolenta jak zwykle przyćmiewała ją swoim blaskiem, lecz

miało to tylko taki skutek, że pragnąłem, aby jak najprędzej zostawiła nas samych, abym mógł bez przeszkód rozkoszować się pięknem mojej ukochanej. Mniej więcej wachnę po tym, jak wszyscy się obudziliśmy, wziąłem olbrzyma na stronę i zapytałem, dlaczego zostawił

mnie samego w lesie za Bramą Skruchy.

- Nie byłem z tobą, tylko z doktorem - odparł po namyśle.

- Ja także. Mogliśmy szukać go wspólnie, służąc sobie nawzajem pomocą.

Tym razem wahanie trwało jeszcze dłużej. Czując na swojej twarzy ciężar jego tępego spojrzenia pomyślałem, że dobrze się stało, iż olbrzym nie ma w sobie dość energii i ochoty, żeby się rozgniewać.

- A więc byłeś z nami, kiedy wyszliśmy z miasta? - zapytał wreszcie.

- Oczywiście. Tak samo jak Dorcas i Jolenta.

Znowu się zawahał.

- Czyli jednak cię odnaleźliśmy.

- Nie pamiętasz?

Pokręcił powoli głową, a ja zauważyłem ze zdumieniem, że w jego gęstych, czarnych włosach pojawiły się już nitki siwizny.

- Któregoś ranka obudziłem się, a ty byłeś obok mnie. Szybko odszedłeś.

- To co innego. Wtedy umówiliśmy się na spotkanie.

(Poczułem wyrzuty sumienia, gdyż pamiętałem dokładnie, że nie miałem najmniejszego zamiaru dochować umowy).

- I spotkaliśmy się - stwierdził Baldanders, po czym dodał zauważywszy zapewne, że nie satysfakcjonuje mnie ta odpowiedź: - Dla mnie istnieje tylko doktor Talos.

- Twoja lojalność jest godna podziwu, ale może zauważyłeś, że na mojej obecności zależało mu co najmniej tak samo jak na twojej.

Stwierdziłem, że nie potrafię gniewać się na tego potulnego, łagodnego olbrzyma.

- Zbierzemy pieniądze tutaj, na południu, a potem zaczniemy budować tak jak przedtem, kiedy wszyscy zapomnieli, jak to się robi.

- Teraz jesteśmy na północy. Prawda, przecież wasz dom został zniszczony.

- Spalony - poprawił mnie Baldanders. Wydawało mi się, że w jego oczach widzę szalejące płomienie. - Przykro mi, jeśli ty także popadłeś w nieszczęście. Od dawna myślałem tylko o zamku i mojej pracy.

Zostawiłem go siedzącego na trawie, sam zaś poszedłem zrobić przegląd wyposażenia naszego małego teatru - bynajmniej nie dlatego, żeby to było potrzebne, ani żebym potrafił

dostrzec jakieś braki oprócz tych, które każdemu od razu rzuciłyby się w oczy. Wokół Jolenty zgromadziło się sporo artystów. Doktor Talos odegnał ich, po czym kazał dziewczynie wejść ze sobą do namiotu. Usłyszałem odgłos uderzenia, a po chwili doktor wyłonił się z namiotu, uśmiechnięty, choć wciąż jeszcze rozgniewany.

- To nie jej wina, że tak wygląda - powiedziałem.

- Zanadto się tym pyszni. Wiesz, Severianie, co mi się w tobie podoba? To, że wolisz Dorcas. Właśnie, gdzie ona się podziała? Widziałeś ją po swoim powrocie?

- Ostrzegam pana, doktorze: proszę jej nie bić.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Po prostu nie chcę, żeby się zgubiła.

Po wyrazie jego twarzy poznałem, że mówi prawdę.

- Rozmawialiśmy tylko przez chwilę, a teraz poszła po wodę.

- Dzielna dziewczyna - stwierdził, a widząc moje zdziwione, spojrzenie wyjaśnił: - Ona boi się wody. Z pewnością to zauważyłeś. Jest bardzo czysta, ale myjąc się nie napełnia miski nawet w jednej piątej, a kiedy przechodzimy przez most, ściska Jolentę za rękę i drży na całym ciele.

Właśnie wtedy wróciła Dorcas z dwoma wiadrami wody i nawet jeśli doktor mówił coś jeszcze, to nie usłyszałem z tego ani słowa. Kiedy zobaczyliśmy się rano, zdążyliśmy tylko wymienić uśmiechy i dotknąć się przelotnie niedowierzającymi rękami. Teraz postawiła wiadra na ziemi i podeszła do mnie, pożerając mnie wzrokiem.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała. - Bez ciebie byłam bardzo samotna.

Roześmiałem się na myśl o tym, że ktokolwiek mógłby za mną tęsknić, i uniosłem skraj mego fuliginowego płaszcza.

- Tego ci brakowało?

- Myślisz o śmierci? Czy brakowało mi śmierci? Nie, brakowało mi ciebie. - Złapała mnie za połe płaszcza i pociągnęła w kierunku szpaleru topól tworzących jedną ze ścian Zielonego Pokoju. - Znalazłam ławkę tam, gdzie rosną zioła. Chodź i posiedź chwilę ze mną. Po tylu dniach pozwolą nam chyba być trochę razem, a Jolenta sama znajdzie wodę, którą jej przyniosłam.

Jak tylko oddaliliśmy się trochę od skupiska namiotów, zonglerów podrzucających noże i akrobatów



czyniących to samo z dziećmi, spowiała nas nieprzenikniona cisza ogrodów. Nigdzie chyba nie ma równie wielkiego obszaru zaplanowanego i utrzymywanego wyłącznie z myślą o pięknie, może z wyjątkiem dzikich i niedostępnych terenów będących ogrodami Prastwórca, który wysyła tam niewidzialnych dla nas ogrodników. Przecisnęliśmy się wąskim przejściem między dwoma żywopłotami i znaleźliśmy się w niewielkim zagajniku, którego drzewa obsypane były białymi, aromatycznymi kwiatami. Były to takie same drzewa jak te, przez które ciągnięto mnie i Jonasa, choć tamte posadzono chyba z myślą o ozdobie, te zaś raczej dla ich owoców.

Dorcas urwała gałązkę z kilkoma kwiatami i wpięła ją sobie we włosy.

Z zagajnikiem sąsiadował ogród tak stary, że byłem niemal pewien, iż zapomnieli o nim wszyscy z wyjątkiem pielęgnujących go służących. W oparciu kamiennej ławki wyrzeźbiono niegdyś jakieś głowy, lecz niszczące działanie czasu uczyniło je niemal bezkształtnymi. Tuż obok, na kilku rabatach, rosły kwiaty, między nimi zaś, na czarnej, żyznej ziemi, wonne zioła -

rozmaryn, dzięgiel, mięta bazyliia i ruta.

Płynął tu też niewielki strumyk, z którego zapewne Dorcas czerpała wodę. Wypływał z czegoś, co dawno temu było fontanną, teraz zaś wyglądało jak wielka, przechylona na bok misa, z której woda wylewała się cienką strużką, dostarczając życiodajnej wilgoci okolicznym roślinom. Usiedliśmy na kamiennej ławce. Oparłem o nią miecz, Dorcas zaś zacisnęła dłonie na moich rękach.

- Boję się, Severianie. Dręczą mnie okropne sny.

- Odkąd mnie nie ma?

- Od zawsze.

- Po tym jak spaliśmy obok siebie na polu, powiedziałaś mi, że miałaś dobry sen, pełen tak wielu szczegółów, że prawie nie do odróżnienia od rzeczywistości.

- Nawet jeśli tak było, to już o nim zapomniałam.

Zauważyłem, że Dorcas stara się nie patrzeć na wodę wypływającą ze zniszczonej fontanny.

- Co noc śni mi się, że idę ulicą pełną sklepów. Jestem szczęśliwa, a przynajmniej zadowolona. Mam pieniądze, które mogę wydać, i wiem, co chciałabym kupić. Bez przerwy powtarzam w pamięci listę zakupów, zastanawiając się, gdzie dostanę najlepszy towar po najniż-

szej cenie.

Stopniowo jednak zaczynam zdawać sobie sprawę, że wszyscy dookoła nienawidzą mnie i gardzą mną, ponieważ w ich oczach jestem złym duchem, który przyoblekł przebranie z kobiecego ciała. Wreszcie decyduję się wejść do małego sklepiku prowadzonego przez parę staruszków. Ona siedzi na krześle, zajęta haftowaniem, on zaś rozkłada przede mną towary na ladzie. Słyszę za plecami szelest nici przeciąganej przez materiał.

- Co chcesz u nich kupić? - zapytałem.

- Ubranka. - Dorcas rozsunęła dłonie na jakieś pół piędzi. - Chyba dla lalek. Najlepiej pamiętam małe koszulki z delikatnej wełny. Kiedy wybieram jedną i chcę zapłacić starcowi, okazuje się, że zamiast pieniędzy mam tylko grudki cuchnącego błota.

Mam ochotę krzyknąć, że nie mają racji, że nie jestem złym duchem, za jakiego mnie uważają, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że cokolwiek zrobię, zostanie uznane za ostateczny dowód mojej winy, więc słowa więzną mi w gardle. Najgorsze jest to, że właśnie wtedy przestaję słyszeć szelest nici. - Ponownie chwyciła mnie za rękę i ścisnęła z całej siły, jakby w ten sposób pragnęła dodać wagi swoim słowom. - Wiem, że nikt, kto nie miał takiego snu, nie będzie w stanie mnie zrozumieć, ale to jest okropne. Okropne.

- Może teraz, kiedy jestem z tobą, te sny się skończą...

- A potem znowu zasypiam albo przynajmniej osuwam się w ciemność. Jeśli wówczas się nie obudzę, zjawia się drugi sen. Siedzę w łodzi płynącej przez upiorne jezioro...

- Przynajmniej w tym nie ma żadnej tajemnicy - przerwałem jej. - Płynęłaś taką łodzią z Agią i ze mną. Należała do człowieka imieniem Hildegryn. Z pewnością pamiętasz tę podróż.

Dorcas potrząsnęła głową.

- To inna łódź, znacznie mniejsza od tamtej. Kieruje nią stary człowiek z długim kijem, a ja leżę u jego stóp. Moje ramiona sięgają aż do czarnej wody. Niemal przy samym brzegu wypadam z łodzi, ale starzec tego nie widzi. Tonę, będąc przekonana, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Wkrótce ogarnia mnie ciemność i robi się bardzo zimno. Gdzieś wysoko nade mną słyszę głos kogoś, kogo kocham. Ten głos powtarza moje imię, ale ja nie mogę sobie przypomnieć, do kogo należy.

- To mój głos. Próbuję cię obudzić.

- Być może.

Szrama po uderzeniu biczem, które Dorcas otrzymała w Bramie Skruchy, czerwieniła się na jej policzku jak świeżo wypalone znamię.

Przez jakiś czas siedzieliśmy bez słowa. Słowiki także umilkły, ale za to rozśpiewały się makolągwy. Wśród gałęzi mignęła mi szkarłatno-zielona papuga, przypominająca posłańca w liberii. Wreszcie Dorcas przerwała milczenie:

- Woda to okropna rzecz. Nie powinnam była cię tu przyprowadzać, ale nie znam innego zacisznego miejsca. Szkoda, że nie usiedliśmy na trawie pod drzewami.

- Dlaczego nienawidzisz wody? Moim zdaniem jest piękna.

- Ponieważ ma taką naturę, że zawsze dąży w dół, ku ciemnym miejscom, jak najdalej od słońca.

- Ale potem znowu wznosi się w górę - odparłem. - Wiosenny deszcz składa się z tej samej wody, którą minionej jesieni widzieliśmy płynącą rynsztokami. W każdym razie, tak właśnie uczył nas mistrz Malrubius.

Przez twarz Dorcas przemknął uśmiech jak spadająca gwiazda.

- Dobrze jest w to wierzyć, bez względu na to, czy jest tak naprawdę. Severianie, postąpiłabym głupio mówiąc, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam, gdyż oprócz ciebie nie znam nikogo dobrego. Jednak nawet gdybym spotkała tysiąc dobrych ludzi, ty nadal byłbyś najlepszy. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

- Wiesz przecież, że będę się tobą opiekował bez względu na wszystko.

- Nie to miałam na myśli. To ja chciałam zaproponować ci swoją opiekę. Cóż za głupota, prawda? Nie mam rodziny, nie mam nikogo prócz ciebie, a mimo to wydaje mi się, że mogłabym się tobą opiekować.

- Znasz przecież Jolentę, doktora Talosa i Baldandersa.

- Oni są nikim. Nie wyczuwasz tego, Severianie? Ja też jestem nikim, ale oni znaczą jeszcze mniej ode mnie. Minionej nocy spaliśmy w piątkę w namiocie, a mimo to byłeś w nim zupełnie sam. Powiedziałeś mi kiedyś, że nie masz zbyt bujnej wyobraźni, ale chyba nawet ty to wyczuwasz.

- I właśnie przed tym chcesz mnie chronić? Przed samotnością? Z radością powitam taką opiekę.

- W takim razie będę cię nią otaczała tak długo, jak tylko zdołam. Jednak przede wszystkim pragnę chronić cię przed opinią świata. Czy pamiętasz, co powiedziałam ci o moim śnie?

Wszyscy ludzie na ulicy uważali mnie za jakiegoś odrażającego ducha. Kto wie, czy nie mieli racji.

Drżała jak w febrze, więc przycisnąłem ją mocno do piersi.

- Między innymi właśnie dlatego ten sen sprawia mi tyle bólu. Wiem, że się mylą, choć jednocześnie mają trochę racji. Zły duch jest we mnie, ale razem z mnóstwem innych rzeczy, które są mną w takim samym stopniu, jak ja jestem nimi.

- Nie mogłabyś być złym duchem ani w ogóle czymkolwiek złym.

- Nieprawda - powiedziała poważnie i spojrzała mi w oczy. Jej drobna twarz nigdy nie była równie piękna i równie czysta jak wtedy. - Mogłabym, Severianie. Tak samo jak ty mógłbyś być tym, za kogo cię uważają i kim czasem się stajesz. Pamiętasz, jak zobaczyliśmy płonącą katedrę unoszącą się w niebo? Zaraz potem zauważyliśmy światło wśród drzew i spotkaliśmy doktora Talosa, Baldandersa i Jolentę, przygotowujących się do przedstawienia.

- Trzymałaś mnie wtedy za rękę i rozmawialiśmy o filozofii. Jakże mógłbym o tym zapomnieć?

- A pamiętasz, co powiedział doktor Talos, kiedy wyszliśmy z lasu?

Cofnąłem się myślami do tego wieczoru, który zapadł po dniu, kiedy zgładziłem Agilusa.

Ponownie usłyszałem ryk tłumu, przeraźliwy krzyk Agii i łoskot bębna Baldandersa.

- Powiedział, że teraz wszyscy już się zeszli i że ty jesteś Niewinnością, a ja Śmiercią.

Dorcas skinęła głową.

- Otóż to. Ale ty nie jesteś Śmiercią, bez względu na to, jak często będzie cię tak nazywał.

Nie jesteś Śmiercią tak samo jak nie jest nią rzeźnik, który przez cały dzień podrzyna gardła zwierzętom. Dla mnie jesteś Życiem, młodym mężczyzną imieniem Severian i gdybyś zechciał

założyć inny strój i zostać cieślą albo rybakiem, to nikt nie mógłby cię powstrzymać.

- Nie mam zamiaru opuszczać mojej konfraterni.

- Ale mógłbyś to uczynić. Nawet dzisiaj. Powinieneś o tym pamiętać. Ludzie nie chcą, żeby inni ludzie byli po prostu ludźmi. Nadają im różne nazwy, które są jak skorupy, zamykające człowieka na całe życie. Nie chcę, żeby ciebie też tak zamknięto. Doktor Talos jest najgorszy.

Przede wszystkim, na swój sposób ciągle kłamie...

Umilkła, a ja skorzystałem z okazji, żeby wtrącić:

- Baldanders twierdzi, że nawet jeśli kłamie, to rzadko.

- Powiedziałam: na swój sposób. Baldanders ma rację. Doktor Talos nie kłamie tak jak inni ludzie. Nazywając cię Śmiercią posłużył się...

- Metaforą - podsunąłem jej brakujący wyraz.

- Ale to była niebezpieczna, zła metafora, która miała ugodzić cię tak samo jak kłamstwo.

- Sądzisz więc, że doktor Talos mnie nienawidzi? Odniosłem wrażenie, że jest jedną z nielicznych osób, które okazały mi serce po tym, jak opuściłem Cytadelę. Ty, Jonas - który już odszedł - stara kobieta, którą spotkałem w więzieniu, androgyn w żółtej szacie - nawiasem mówiąc, on także nazwał mnie Śmiercią - i doktor Talos. To bardzo krótka lista.

- Nie wydaje mi się, żeby nienawidził zgodnie z naszym rozumieniem tego słowa - odparła cicho Dorcas. - Albo żeby kochał. On po prostu pragnie manipulować wszystkim, co napotka na swojej drodze i naginać to do swojej woli, a ponieważ burzenie jest znacznie łatwiejsze od budowania, to właśnie robi najczęściej.

- Mimo to Baldanders chyba go kocha - zauważyłem. - Miałem kiedyś okaleczonego psa.

Wydaje mi się, że Baldanders patrzy na doktora w taki sam sposób, w jaki Triskele patrzył na mnie.

- Rozumiem cię, ale wcale tego tak nie odbieram. Czy kiedykolwiek zastanowiłeś się, jak ty wyglądałeś, patrząc na swego psa? Wiesz coś o ich przeszłości?

- Tylko tyle, że mieszkali razem w pobliżu jeziora Diuturna. Tamtejsza ludność podpaliła ich dom, żeby się stamtąd wynieśli.

- Nie przypuszczasz chyba, że doktor Talos może być synem Baldandersa?

Pomysł był tak absurdalny, że wybuchnąłem śmiechem, szczęśliwy, iż w ten sposób udało mi się rozładować napięcie.

- Zwróć uwagę, że w taki właśnie sposób się zachowują - ciągnęła nie zrażona Dorcas. - Jak wolno myślący, zaharowany ojciec i bystry, niestały syn. W każdym razie, tak mi się wydaje.

Dopiero kiedy wstaliśmy z kamiennej ławki i ruszyliśmy w drogę powrotną do Zielonego Pokoju (który w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał obrazu pokazanego mi przez Rudesinda), zaświtała mi niejasna myśl, czy nazywając Dorcas „Niewinnością” doktor Talos nie posłużył się przypadkiem jedną ze swoich metafor.

## **ROZDZIAŁ XXIII**

# Jolenta

O ile stary sad i ogródek z ziołami były tak ciche i opuszczone, że przywiodły mi na myśl Ogród Czasu oraz Valerię o ślicznej twarzy okolonej futrami, to Zielony Pokój kipiał życiem.

Nikt już nie spał i odnosiło się wrażenie, że wszyscy krzyczą. Dzieci wspinały się na drzewa, aby uwolnić zamknięte w klatkach ptaki, rodzice zaś ciskali w nie wszystkim, co nawinęło im się pod rękę. Stawiano namioty nie zważając na trwające przez cały czas próby, w związku z czym byłem świadkiem, jak jedna z płóciennych piramid zawałiła się nagle, odsłaniając stojącego na tylnych kończynach megathera i tancerkę wykonującą piruety na jego czole.

Baldanders zniknął, podobnie jak nasz namiot, ale niemal natychmiast nadbiegł zdyszany doktor Talos i poprowadził nas wśród sztucznych wodospadów, delikatnych balustrad oraz grot wypełnionych szlachetnymi kamieniami do nieckowatego zagłębienia porośniętego starannie przystrzyżoną trawą, gdzie olbrzym budował dla nas scenę, co bacznie obserwowało stadko białych danieli.

Miała to być znacznie obszerniejsza scena niż ta, na której występowałem w pobliżu Muru.

Służba pałacowa dostarczyła więcej desek, gwoździ, narzędzi, farby i płótna, niż mogliśmy wykorzystać. Szczodrość ta obudziła zamiłowanie doktora do przepychu (które nigdy nie spało zbyt głębokim snem), w związku z czym z wypiekami na twarzy to polecał Baldandersowi i mnie wykonanie jakiejś dodatkowej przybudówki, to znów rzucał się na manuskrypt swojej sztuki, dokonując w niej poprawek i uzupełnień.

Olbrzym pełnił funkcję cieśli i choć poruszał się niezmiernie ociężale, to jednak pracował z taką wytrwałością i siłą - potrafił jednym uderzeniem młota wbić kołek grubości mego palca lub kilkoma ciosami siekiery przeciąć belkę, nad którą ja mozoliłbym się co najmniej jedną wachtę -

że był bardziej użyteczny niż dziesięciu niewolników harujących pod razami batoga.

Dorcas odkryła w sobie talent do malowania, co przynajmniej dla mnie stanowiło spore zaskoczenie. Wspólnie ustawialiśmy czarne płyty pijące energię słońca, nie tylko po to, aby móc wieczorem oświetlić scenę, lecz żeby umożliwić działanie projektorów. Urządzenia te potrafią odtworzyć urwisko tysiącmilowej wysokości równie łatwo, jak wnętrze wiejskiej chaty, jednak złudzenie jest kompletne tylko wówczas, jeżeli dokoła panuje całkowita ciemność. Dlatego właśnie dobrze jest wspomóc iluzję zwyczajnymi, malowanymi dekoracjami, które Dorcas tworzyła z wielką wprawą, stojąc po pas wśród gór lub lasów i machając z zapalem pędzlem.

Jolenta i ja byliśmy mniej przydatni. Ja nie potrafiłem malować, a zbyt słabo znałem się na zawiłościach teatralnej profesji, żeby pomóc doktorowi przy ustawianiu dekoracji. Jolenta z kolei miała, jak mi się wydaje, fizyczną awersję do wszelkiej pracy, a już szczególnie tego rodzaju.

Długie, cienkie w kolanach nogi nie były stworzone do tego, by dźwigać coś więcej niż ciężar ciała, a okazałe piersi mogły łatwo zostać zmiażdżone przez belki lub pochłapane farbą. Nie wykazywała także ani trochę zapалу, który pozwalał ludziom zdobywać się nawet na duży wysiłek w celu

osiągnięcia jakiegoś ważnego, wspólnego celu. Dorcas powiedziała, że minionej nocy byłem sam w namiocie, i może miała więcej racji, niż mi się wydawało, ale moim zdaniem Jolenta była jeszcze bardziej samotna ode mnie. Dorcas i ja mieliśmy siebie nawzajem, Baldanders i doktor swoją dziwną przyjaźń, wszyscy zaś spotykaliśmy się na scenie podczas przedstawienia. Jolenta miała tylko siebie. Ona sama była trwającym bez końca przedstawieniem, którego jedynym celem było zyskanie podziwu.

Dotknęła mego ramienia i wskazała wielkimi, szmaragdowymi oczami górną krawędź

naturalnego amfiteatru, w którym, się znajdowaliśmy. Rosło tam kilka kasztanowców o ciemnych koronach rozjaśnionych białymi świecami kwiatów.

Ponieważ nikt na nas nie patrzył, skinąłem głową. W porównaniu z Dorcas Jolenta wydawała się niemal równie wysoka jak Thecla, choć w przeciwieństwie do niej stawiała bardzo drobne kroki. Była wyższa co najmniej o głowę od Dorcas, a w dodatku miała utrefione włosy i pantofle na wysokich obcasach.

- Chcę się rozejrzeć - powiedziała. - Nigdy nie będę miała drugiej takiej okazji.

Było to oczywiste kłamstwo, niemniej jednak udałem, że w nie uwierzyłem.

- Okazja jest obopólna. Tylko dzisiaj Dom Absolutu ma niepowtarzalną szansę obejrzenia ciebie.

Skinęła głową, jakbym powiedział coś oczywistego.

- Potrzebuję kogoś, kogo będą się bali ci, z którymi nie mam ochoty rozmawiać. Myślę o tych wszystkich jarmarcznych artystach i aktorzynach. Kiedy ciebie nie było, tylko Dorcas godziła się chodzić ze mną na spacer, ale jej nikt się nie boi. Czy mógłbyś wyjąć miecz i nieść go na ramieniu?

Postąpiłem zgodnie z jej życzeniem.

- Jeżeli się do kogoś nie uśmiechnę, przepędź go. Rozumiesz?

Pod kasztanowcami rosła trawa znacznie wyższa niż w naturalnym amfiteatrze, ale nie tak sztywna jak paprocie. Ścieżka była wysypana kawałkami kwarcu, w których tu i ówdzie pobłyskiwały okruchy złota.

- Autarcha z pewnością zapłonąłby pożądaniem, gdyby tylko miał okazję mnie ujrzeć.

Myślisz, że przyjdzie na nasze przedstawienie?

Skinąłem głową, aby zrobić jej przyjemność, lecz jednocześnie dodałem:

- Słyszałem, że nawet najpiękniejsze kobiety są mu potrzebne tylko jako doradcy, szpiegdy i dziewczki służebne.

Jolenta zatrzymała się i spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Właśnie o to chodzi. Nie rozumiesz? Potrafię wzbudzić pożądanie każdego mężczyzny, a więc i Jedynego Autarchy, którego sny są naszą rzeczywistością, a wspomnienia naszą historią, bez względu na to, co się stało z jego męskością. Pragnąłeś już kobiet innych niż ja, prawda? Czy bardzo?

Skinąłem głową.

- A więc teraz myślisz, że pożadasz mnie tak samo jak ich. - Odwróciła się i ruszyła przed siebie, utykając lekko, jak to miała w zwyczaju, choć energiczniej niż zwykle, najwidoczniej podekscytowana naszą rozmową. - Ja jednak potrafię podniecić każdego mężczyznę i każdą kobietę. Czy wiesz, że pragną kochać się ze mną nawet te, które nigdy nie zaznały miłości?

Przychodzą po kilka razy na nasze spektakle i posyłają mi smakołyki, kwiaty, szale, woalki oraz haftowane chusteczki wraz z siostrzanymi lub matczynymi liścikami. Chcą mnie bronić przed doktorem, przed jego olbrzymem, przed swoimi mężami, synami i sąsiadami... A mężczyźni!

Baldanders musi wrzucać ich do rzeki.

Zapytałem, czy ma kłopoty z chodzeniem, a kiedy wyszliśmy spomiędzy kasztanowców, zacząłem rozglądać się za jakimś powozem, ale nic takiego nie mogłem nigdzie dostrzec.

- Moje uda ocierają się o siebie, co sprawia mi ból. Dostałam jednak bardzo dobrą maść, a jakiś mężczyzna ofiarował mi dzianeta, ale nie wiem, co się z nim stało. Tak naprawdę czuję się dobrze tylko wtedy, kiedy mogę rozłożyć nogi.

- Mógłbym cię nieść.

Uśmiechnęła się ponownie, pokazując piękne zęby.

- Oboje bylibyśmy zadowoleni, czyż nie tak? Ale obawiam się, że nie wyglądałabym wystarczająco dostojnie. Nie, chyba już lepiej pójdę. Mam tylko nadzieję, że nie trzeba będzie iść zbyt daleko. Nawet gdyby było trzeba, chyba nikt by mnie do tego nie zmusił. Zresztą widzę tu tylko aktorów i cyrkowców. Widocznie ważni ludzie jeszcze śpią albo przygotowują się do wieczornych uroczystości. Ja też będę musiała trochę się przespać.

Usłyszałem szum wody płynącej po kamieniach i skierowałem się w tamtą stronę.

Minęliśmy żywopłot z głogów obsypanych niezliczonymi białymi kwiatami - z daleka wydawał

się barierą nie do przebycia - i naszym oczom ukazała się niewiele szersza od ulicy rzeka, po której pływały łabędzie. Sprawiały wrażenie, jakby zostały wyrzeźbione z lodowych brył. Tuż przy brzegu stał niewielki pawilon, przy którym zacumowano trzy łodzie w kształcie nenufaru.

Wewnątrz były wybite grubym, jedwabnym brokatem, a kiedy wszedłem do jednej z nich, poczułem wyraźną woń perfum.

- Wspaniale - powiedziała Jolenta. - Chyba nikt nie będzie miał nam za złe, jeśli weźmiemy jedną? A nawet jeśli tak, to zaprowadzą mnie przed oblicze jakiejś ważnej osobistości, tak jak w naszej sztuce,



a kiedy ów dostojnik mnie zobaczy, nie pozwoli już mi odejść. Zatrzymam przy sobie doktora Talosa. Jeśli chcesz, ty też możesz zostać. Myślę, że znajdą dla ciebie jakieś zajęcie.

Odparłem, że muszę kontynuować podróż na północ, po czym objąłem ją w talii - była równie smukła jak Dorcas - i wniosłem do łodzi.

Jolenta natychmiast ułożyła się na poduszkach, w miejscu, w którym wygięte ku górze płatki rzucały nieco cienia. Widząc to przypomniałem sobie roześmianą Agię, opowiadającą mi w pełnym słońcu na Schodach Adamniana o kapeluszu z szerokim rondem, który kupi sobie za rok, by chronić twarz przed zdradzieckim działaniem gorących promieni. Agia pod każdym względem była mniej doskonała od Jolenty: niewiele wyższa od Dorcas, o zbyt rozłożystych biodrach i znacznie mniejszych piersiach. Jej lekko skośne, brązowe oczy i wystające kości policzkowe świadczyły raczej o sprycie i uporze niż o namiętności i uległości. Mimo to właśnie Agia, a nie Jolenta, budziła we mnie zdrowe pożądanie. W jej śmiechu często pobrzmiwały złośliwe nuty, niemniej jednak był to prawdziwy śmiech. Żądza wychodziła z niej wszystkimi porami, natomiast Jolenta tylko pożałowała być pożądaną, w związku z czym ani nie pragnąłem pocieszyć jej w samotności (tak jak Valerię), ani nie starałem się znaleźć sposobu wyrażenia miłości, jaką mógłbym do niej czuć (tak jak czułem do Thecli), ani nie chronię jej (tak jak Dorcas). Jedyne, czego naprawdę pragnąłem, to znieważyc ją i zawstydzić, ukarać za nieludzki spokój, napełnić jej oczy łzami i wydzierać jej garściami włosy, aby później spalić je, tak jak pali się włosy trupów, by odstraszyć duchy, które niegdyś mieszkały w martwych teraz ciałach.

Chwaliła się, że czyniła kobiety lesbijkami; niewiele brakowało, a ze mnie uczyniłaby sadystę.

- Czuję, że to mój ostatni występ. Publiczność na pewno zażąda kogoś...

Ziewnęła i przeciągnęła się zmysłowo. Wydawało się niemal pewne, że opięty do granic wytrzymałości trykot zaraz pęknie. Na wszelki wypadek odwróciłem oczy, a kiedy spojrzałem na nią ponownie, już spała.

Na rufie łodzi znajdowało się pojedyncze, długie wiosło. Ująłem je w dłonie, po czym przekonałem się, że pod okrągłym kadłubem Jest jednak tradycyjny kil. Na środku rzeki prąd wodny był tak silny, że nie musiałem wcale wiosłować, a tylko delikatnymi ruchami wiosła pomagałem łodzi pokonywać łagodne zakręty. Tak jak idąc w towarzystwie zakapturzonego sługi przez korytarze, komnaty i podcienia Domu Absolutu mijałem je przez nikogo nie zatrzymywany i nie niepokojony, tak teraz płynąłem z Jolentą bez najmniejszego wysiłku i bez hałasu, sunąc miła za miłą wśród wydawało się nie mających końca ogrodów. Pary, które tu i ówdzie leżały na miękkie trawie pod drzewami albo we wnętrzu altanek i letnich domków, uważały nas zapewne za coś w rodzaju dekoracji, puszczonej z biegiem rzeki dla ich rozrywki, a nawet jeśli ktoś dostrzegł moją głowę wystającą nad kielich sztucznego nenufaru, to z pewnością doszedł do wniosku, że podążam gdzieś w jakichś własnych, ważnych sprawach. Tu i ówdzie na drewnianych ławeczkach siedzieli pogrążeni w medytacjach filozofowie, a czasem mijaliśmy odosobnione zakątki, w których właśnie odbywały się zabawy i przyjęcia, niektóre wybitnie orgiastycznej natury.

Wreszcie zirytował mnie sen Jolenty. Zostawiłem wiosło w spokoju i ukląknę obok niej na poduszkach. Niewinność malująca się na jej twarzy, choć cokolwiek sztuczna, stanowiła dla mnie

wielkie zaskoczenie, gdyż dostrzegłem ją po raz pierwszy. Pocałowałem ją w usta, a wówczas wydało mi się, że na wpół uchylone, wielkie oczy są oczami Agii, rudozłote włosy zaś nabrały w moich oczach niemal brązowego połysku. Zacząłem ją rozbierać. Wydawała się znajdować pod wpływem jakiegoś narkotyku (być może były nim nasączone poduszki) albo też po prostu zmęczył ją długi marsz i ciężar bujnego ciała. Odsłoniłem jej piersi, z których każda niemal dorównywała wielkością głowie, a potem obfite uda, kryjące między sobą coś, co przypominało świeżo wyklute pisklę.

\* \* \*

Po naszym powrocie wszyscy zdawali się wiedzieć, gdzie byliśmy, choć na Baldandersie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Dorcas szlochała w ukryciu, pojawiając się od czasu do czasu z zaczerwienionymi oczami i heroicznym uśmiechem na twarzy, doktor Talos zaś, jak mi się wydaje, był jednocześnie wściekły i zachwycony. Odniosłem wrażenie (które nie opuściło mnie po dziś dzień), że Jolentą nigdy mu się tak naprawdę nie podobała, a mimo to był jedynym mężczyzną na Urth, któremu oddałyby się całkowicie, dobrowolnie i w każdej chwili.

Czas, jaki pozostał do zmierzchu, spędziliśmy przysłuchując się negocjacom, które doktor Talos prowadził z różnymi osobistościami z Domu Absolutu, oraz na próbach. Ponieważ opowiedziałem już wcześniej, jak wygląda inscenizacja sztuki doktora Talosa, przytoczę teraz jej tekst, jednak nie w takiej postaci, w jakiej istniał na mnóstwie kartek i karteluszek, które przez całe popołudnie przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk, a które częstokroć zawierały jedynie najbardziej ogólne wskazówki, mające pomóc nam w improwizacji, a w takiej, w jakiej mógłby zostać zarejestrowany przez jakiegoś pilnego urzędnika (i został, tyle tylko, że przez obdarzonego doskonałą pamięcią demona ukrytego za moimi oczami).

Najpierw jednak muszę opowiedzieć, jak wyglądał teatr. Krawędź Urth przesłoniła już cały czerwony krąg słońca; nad naszymi głowami bezszelestnie przemykały nietoperze o szerokich skrzydłach, a zielony księżyc w pierwszej kwadrze zawisł nad wschodnim horyzontem.

Wyobraźcie sobie małą (najwyżej tysiąc kroków) dolinę, otoczoną łagodnymi wzniesieniami.

Między nimi znajdują się drzwi - niektóre nie szersze od zwykłych drzwi do pokoju, inne potężniejsze od wrót bazyliki. Wszystkie są otwarte, przez wszystkie też wsuwają się macki wilgotnej mgły. Od drzwi aż do niewielkiego proscenium prowadzą ścieżki wyłożone wielkimi, płaskimi kamieniami. Podążają nimi kobiety i mężczyźni w fantastycznych kostiumach i maskach, najczęściej nawiązujących do dawnych czasów, tak że ja, który zaledwie liznałem nieco wiedzy historycznej dzięki wysiłkom Thecli i mistrza Palaemona, byłem w stanie rozpoznać tylko nieliczne. Służący roznoszą tace zastawione kubkami i dzbanami lub uginające się od pieczonych mięs i wonnych słodkości. Przed sceną stoją półkolem lekkie fotele z mahoniu i atłasu, ale wielu widzów woli stać, a podczas całego przedstawienia nieprzerwanie trwa ruch: niektórzy przychodzą, inni zaś odchodzą, czasem wysłuchawszy zaledwie kilku wersów. W gałę-

ziach drzew śpiewają żaby i słowiki, na szczytach wzgórz zaś to pojawiają się, to znów znikają ruchome posągi. We wszystkie postaci wcielili się doktor Talos, Baldanders, Dorcas, Jolenta i ja.

## ROZDZIAŁ XXIV

### Sztuka doktora Talosa: Eschatologia i Genesis

Według jego słów sceniczna adaptacja niektórych fragmentów zaginionej „Księgi Nowego Słońca”.

Osoby dramatu: Posąg Gabriel

P

rorok

Wielki Sen Generalissimus Meschia, Pierwszy Mężczyzna Dwa Demony (w przebraniu) Meschiane,  
Pierwsza Kobieta Inkwizytor Jahi

Jego Pomocnik

Autarcha Anielskie Istoty Hrabina

Nowe Słońce

Jej Służąca Stare Słońce Dwaj Żołnierze Księżyc

*Tylna część sceny jest pogrążona w ciemności. Pojawia się GABRIEL, skąpany w złotym blasku, z kryształową trąbką w dłoni.*

GABRIEL: Pozdrawiam wszystkich. Przybyłem tu po to, żeby wprowadzić was w akcję - w końcu na tym właśnie polega moja rola. Jest noc po ostatnim dniu, która jednocześnie jest nocą przed dniem pierwszym. Stare Słońce zaszło i już nigdy nie pojawi się na niebie. Jutro wszędzie Nowe Słońce, które powitam wraz z moimi braćmi. Tej nocy... Tej nocy nikt nie wie, co się stanie. Wszyscy śpią.

*Rozlegają się ciężkie, powolne kroki. Wchodzi SEN.*

GABRIEL: O, wszechwiedzący! Obroń swego sługę!

SEN: Jemu służysz? W takim razie nie skrzywdzę cię, chyba że on sam poleci mi inaczej.

GABRIEL: Należysz do jego domu? W jaki sposób porozumiewa się z tobą?

SEN: Prawdę mówiąc, w ogóle tego nie robi. Muszę domyślać się, co chce, bym uczynił. .

GABRIEL: Tego właśnie się obawiałem.

SEN: Widziałeś może syna Meschii?

GABRIEL: Czy go widziałem? Ty wielki głupcze, przecież on jeszcze się nie urodził! A czego od niego chcesz?

SEN: Ma tu przybyć i zamieszkać ze mną na mojej ziemi, która leży na wschód od tego ogrodu. Dam mu za żonę jedną z moich córek.

GABRIEL: Coś ci się pomyliło, mój przyjacielu. Spóźniłeś się o pięćdziesiąt milionów lat.

SEN: *{Kiwa tępo głową}*. Gdybyś go spotkał...

*Wchodzą MESCHIA i MESCHIANE, za nimi JAHI. Wszyscy są X nadzy, ale JAHI ma na sobie bogatą biżuterię.*

MESCHIA: Cóż za piękne miejsce! Urocze! Kwiaty, fontanny i posągi... Czyż to nie wspaniałe?

MESCHIANE: *(Nieśmiało)*. Widziałam obłąskawionego tygrysa o kłach dłuższych od mojej dłoni. Jak go nazwiemy?

MESCHIA: Jak będzie chciał. *(Do GABRIELA)* Do kogo należy ten piękny zakątek?

GABRIEL: Do Autarchy.

MESCHIA: Postąpił bardzo łaskawie, pozwalając nam tu zamieszkać.

GABRIEL: Niezupełnie. Ktoś za tobą idzie, przyjacielu. Wiedziałeś o tym?

MESCHIA: *(Nie odwracając się)*. Za tobą też ktoś stoi.

GABRIEL: *(Pokazuje trąbkę, symbol jego urzędu)*. Oczywiście. ON jest za mną!

MESCHIA: I to bardzo blisko. Jeśli chciałbyś zadać w tę trąbę, żeby wezwać pomoc, lepiej zrób to teraz.

GABRIEL: Miło mi, że tak się o mnie troszczysz, ale czas jeszcze nie nadszedł.

*(Złote światło znika, a wraz z nim GABRIEL. SEN stoi bez ruchu, podpierając się kijem).*

MESCHIANE: Rozpalę ogień, a ty lepiej zacznij budować dom. Tutaj chyba często pada.

Widzisz, jaka zielona jest trawa?

MESCHIA: *(Przygląda się SNOWI)*. Ha, to tylko posąg. Nic dziwnego, że się go nie przestraszył.

MESCHIANE: Ale może ożyć. Słyszałam kiedyś o kimś, kto wyrzeźbił sobie w kamieniu syna.

MESCHIA: Kiedyś? Przecież dopiero co się urodziłaś. Wczoraj, jeśli się nie mylę.

MESCHIANE: Wczoraj? Nic nie pamiętam... Jestem jak dziecko, Meschia. Pamiętam tylko, że wyszłam z cienia i zobaczyłam cię rozmawiającego z promieniem słońca.

MESCHIA: To nie był promień słońca, tylko... Szczerze mówiąc, jeszcze nie wymyśliłem dla niego

imienia.

MESCHIANE: Od razu się w tobie zakochałam.

*Wchodzi AUTARCHA.*

AUTARCHA: Kim jesteście?

MESCHIA: A kim ty jesteś, jeśli łaska?

AUTARCHA: Właścicielem tego ogrodu.

*MESCHIA kłania się, a MESCHIANE wykonuje głęboki dworski ukłon, mimo że nie ma sukni, którą mogłaby przytrzymać.*

MESCHIA: Przed chwilą rozmawialiśmy z jednym z twoich sług. Jestem zdumiony, jak bardzo przypominał twoją boską osobę. Może tylko był trochę... trochę...

AUTARCHA: Młodszy?

MESCHIA: Przynajmniej z wyglądu.

AUTARCHA: Cóż, to chyba było nie do uniknięcia. Jestem jak najdalszy od tego, żeby się usprawiedliwiać, ale byłem wówczas bardzo młody i choć lepiej jest zadawać się wyłącznie z kobietami należącymi do bliższych nam sfer, to czasem - co z pewnością zrozumiesz, jeśli kiedykolwiek znalazłeś się w podobnej sytuacji - jakaś służąca lub wiejska dziewczyna, której wystarczy garść srebra lub bela jedwabiu, i która nie zażąda w najmniej odpowiedniej chwili zgładzenia jakiejś rywalki ani posady ambasadora dla męża... W każdym razie, są chwile, kiedy taka właśnie osóbką okazuje się kąskiem nie do pogardzenia.

*(Kiedy AU TARCHA mówił, JAHİ podkradła się od tyłu do MESCHII. Teraz kładzie mu rękę na ramieniu).*

JAHİ: Teraz widzisz, że on, w którym widziałeś boską istotę, z niewzruszoną miną powtarza wszystko, co ci mówiłam. Zaczniemy wszystko od początku, jeszcze zanim wzejdzie Nowe Słońce.

AUTARCHA: Cóż za urocze stworzenie! Jak to się dzieje, moje dziecko, że w twoich oczach widzę gorące ognie, podczas gdy u twojej siostry trudno by się doszukać nawet wygasłej hubki?

JAHİ: Ona nie jest moją siostrą.

AUTARCHA: W takim razie rywalką. Pójdź jednak ze mną. Pozwolę tym dwojgu rozbić tu obóz, ty zaś jeszcze tej nocy założysz piękną suknię, twoje usta wypełnią się winem, a ta piękna sylwetka zaokrągli się nieco po uczcie składającej się ze skowronków faszzerowanych migdałami i figami.

JAHİ: Odejdź, starcze.

AUTARCHA: Co takiego?! Nie wiesz, kim jestem?

JAHİ: Tylko ja jedna to wiem. Jesteś mniej niż duchem, popiołem, poderwanym z ziemi przez podmuch wiatru.

AUTARCHA: Rozumiem, ona jest szalona. Czego od ciebie chce, przyjacielu?

MESCHIA: (*Z ulgą*). A więc nie żywisz do niej urazy? To bardzo szlachetne z twojej strony.

AUTARCHA: Skądże znowu! Wręcz przeciwnie - szalona kochanka może zapewnić nadzwyczaj interesujące przeżycia. Czekam na to z niecierpliwością, możesz mi wierzyć, a niewiele jest rzeczy, o których można to powiedzieć, jeśli widziało się i robiło to wszystko, co ja widziałem i robiłem. Mam nadzieję, że nie gryzie? To znaczy, nie za mocno?

MESCHIANE: Owszem, gryzie, a jej zęby ociekają jadem.

*JAHİ rzuca się na nią z paznokciami. MESCHIANE ucieka i obie znikają za sceną.*

AUTARCHA: Każę moim halabardnikom przeszukać ogród.

MESCHIA: Nie obawiaj się, wkrótce wrócę. Przekonasz się. Tymczasem jestem rad, że na chwilę zostałem z tobą sam na sam, gdyż chciałbym zadać ci kilka pytań.

AUTARCHA: Po szóstej nie udzielam żadnych łask. Musiałem ustanowić to prawo, gdyż inaczej szybko bym oszalał.

MESCHIA: (*Nieco zaskoczony*). Dobrze wiedzieć... Aleja nie chciałem o nic prosić. Chodzi mi tylko o pewną informację, o szczyptę boskiej mądrości.

AUTARCHA: W takim razie mów śmiało. Ostrzegam cię jednak, że będziesz musiał za to zapłacić. Ten szalony anioł ma być mój na całą noc.

*MESCHIA pada na kolana.*

MESCHIA: Jest coś, czego nigdy nie potrafiłem zrozumieć. Dlaczego muszę do ciebie mówić, mimo że ty znasz każdą moją myśl? A oto moje pierwsze pytanie: Czy nie powinienem jednak zgodzić się na propozycję dziewczyny, mimo że pochodzi z rodu, który został przez ciebie wyklęty? Ona bowiem wie, że ja wiem, ja zaś w głębi serca podejrzewam, iż podsuwa mi właściwe rozwiązanie, przypuszczając, że uznam je za błędne i postąpię dokładnie odwrotnie.

AUTARCHA: (*Na stronie*). On także jest szalony. Z powodu moich żółtych szat uważa mnie za boga. (*Do MESCHH*) Odrobina cudzołóstwa jeszcze nigdy nie zaszkodziła żadnemu mężczyźnie

- naturalnie z wyjątkiem przypadków, kiedy popełniał je nie on, lecz jego żona.

*Wchodzą HRABINA i jej SŁUŻĄCA.*

HRABINA: O, mój jedyny panie! Co tutaj robisz?

MESCHIA: Jestem pogrążony w modlitwie, córko. Zdejmij przynajmniej buty, gdyż stąpasz po świętej ziemi.

HRABINA: Panie, kim jest ten głupiec?

AUTARCHA: Szaleńcem, który podróżuje w towarzystwie dwóch kobiet równie szalonych jak on.

HRABINA: A więc przewyższają nas liczebnie, chyba że moja dziewczka też jest przy zdrowych zmysłach.

SŁUŻĄCA: Wielmożna pani...

HRABINA: W co mocno wątpię. Dziś po południu chciała ubrać mnie w zieloną pelerynę i purpurową etolę. Wyglądałabym jak słup udekorowany powojem.

*Rozwścieczony MESCHIA uderza HRABINĘ i powala ją na ziemię. AUTARCHA ucieka, korzystając z okazji.*

MESCHIA: Smarkula! Nie waż się naigrawać ze świętości, kiedy jestem w pobliżu!

SŁUŻĄCA: Kim jesteś, panie?

MESCHIA: Ojcem ludzkości, dziecko. Naprawdę jesteś moim dzieckiem, podobnie jak ona.

SŁUŻĄCA: Mam nadzieję, że jej wybaczysz... i mnie także. Słyszałyśmy, że nie żyjesz.

MESCHIA: Za to nie musisz mnie przeproszać. Bądź co bądź większość ludzi nie żyje. Jak widzisz, ja jednak pojawiłem się raz jeszcze, aby powitać nowy brzask.

SEN: *(Porusza się)*. Przyszliśmy za wcześnie.

MESCHIA: *( Wskazuje go palcem)*. Olbrzym! Olbrzym!

HRABINA: Och! Solange! Kyneburga!

SŁUŻĄCA: Jestem tutaj, wielmożna pani. Mam na imię Lybe.

SEN: Jeszcze za wcześnie na Nowe Słońce.

HRABINA: *(Zaczyna szlochać)*. Zbliża się Nowe Słońce! Wszyscy znikniemy jak sen!

MESCHIA: *(Widząc, że SEN nie przejawia złych zamiarów)*. Jak zły sen, ale to i tak będzie najlepsze, co mogłoby cię spotkać. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

HRABINA: *(Wracając powoli do siebie)*. Nie rozumiem natomiast, w jaki sposób ty, który uważasz

się za tak mądrego, mogłeś wziąć Autarchę za Uniwersalny Umysł?

MESCHIA: Wiem, że w poprzednim akcie stworzenia byłyście moimi córkami. To nie ulega żadnej wątpliwości, ponieważ w tym nie miałem ani jednej.

SEN: Jego syn weźmie za żonę moją córkę. Moja rodzina nie zasłużyła sobie na ten zaszczyt

- jesteśmy skromnymi ludźmi, dziećmi Gei - niemniej jednak będziemy zachwyceni. Zostanę...

Kim zostanę, Meschio? Teściem twojego syna. Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, być może pewnego dnia wraz z żoną odwiedzimy naszą córkę, a ty w tym samym czasie przyjedziesz w odwiedziny do syna. Chyba nie odmówisz nam miejsca przy stole? Ma się rozumieć, będziemy siedzieć na podłodze.

MESCHIA: Skądże znowu. Mój pies już to robi - a raczej robi, kiedy nas zobaczy. *(Do HRABINY)* Czy nie przyszło ci do głowy, że o tym, co ty nazwałaś Uniwersalnym Umysłem, mogę wiedzieć więcej niż Autarcha o sobie? Nie tylko twój Uniwersalny Umysł, ale także wiele potęg mniejszego kalibru przywdziewa ludzkie przebranie. My, którzy służyliśmy za to przebranie, rzadko kiedy zdajemy sobie z tego sprawę. Sami sobie wydajemy się zupełnie zwyczajni, choć w rzeczywistości jesteśmy Demiurgiem, Parakletą lub Nieprzyjacielem.

HRABINA: Zbyt późno posiadałam tę mądrość, skoro i tak muszę odejść wraz ze wschodem Nowego Słońca. Czy minęła już północ?

SŁUŻĄCA: Prawie, wielmożna pani.

HRABINA: *(Wskazując na publiczność)*. A ci dobrzy ludzie... Co się z nimi stanie?

MESCHIA: A co dzieje się z liśćmi, kiedy rok zbliża się ku końcowi i zaczynają wiać silne wiatry?

HRABINA: Gdyby...

*MESCHIA odwraca się i spogląda na wschód, jakby wypatrując pierwszych oznak zbliżającego się świtu.*

HRABINA: Gdyby...

MESCHIA: Gdyby co?

HRABINA: Gdyby w moim ciele znalazł się fragmencik twojego... Odrobina płynu złożonego w moich lędźwiach...

MESCHIA: Gdyby tak się stało, tułałabyś się po Urth znacznie dłużej, skazana na to, że nigdy nie odnajdziesz drogi do domu. Ja jednak nie pójdę z tobą do łoża. Czyżbyś sądziła, że jesteś czymś więcej niż trupem? Zapewniam cię, że nie.

*SŁUŻĄCA mdleje.*



HRABINA: Twierdzisz, że jesteś ojcem wszystkich ludzi. Chyba naprawdę musisz nim być, gdyż zadajesz śmierć wszystkim kobietom.

*Scena pogrąża się w ciemności. Kiedy ponownie zapalają się światła, MESCHIANE i JAHİ leżą obok siebie pod jarzębiną. Za nimi, między wzgórzami, znajdują się drzwi. JAHİ ma rozciętą i opuchniętą wargę, przez co wygląda, jakby się dąsała. Krew kapie jej na brodę.*

MESCHIANE: Znalazłabym w sobie jeszcze dość sił, aby go szukać, gdybym wiedziała, że za mną nie pójdziesz.

JAHİ: Ja czerpię siłę z Dolnego Świata i będę szła za tobą aż na skraj Urth, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pożalujesz jednak, jeśli mnie jeszcze raz uderzysz.

*MESCHIANE podnosi rękę, a JAHİ zasłania twarz.*

MESCHIANE: Kiedy postanowiłyśmy tu odpocząć, twoje nogi trzęsły się bardziej niż moje.

JAHİ: Cierpię bardziej niż ty, ale moc Dolnego Świata pozwoli mi znieść wszystko, nawet to, co jest nie do zniesienia. Poza tym muszę być delikatniejsza od ciebie, bo przecież jestem znacznie ładniejsza.

MESCHIANE: Szczególnie teraz.

JAHİ: Ostrzegam cię po raz drugi i ostatni. Uderz mnie, a spotka cię nieszczęście.

MESCHIANE: W jaki sposób mnie ukarzesz? Wezwiesz Erynie, żeby mnie zniszczyły? Nie obawiam się tego. Gdybyś miała taką moc, zrobiłabyś to już dawno temu.

JAHİ: Zrobię coś o wiele gorszego. Jeśli uderzysz mnie raz jeszcze, zaczniesz znajdować w tym zadowolenie.

*Wchodzą PIERWSZY ŻOŁNIERZ i DRUGI ŻOŁNIERZ, obaj uzbrojeni w piki.*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Popatrz!

DRUGI ŻOŁNIERZ: Nie wstawać, bo posiekam was na kawałki! Idziecie z nami.

MESCHIANE: Na czworakach?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Zaraz odechce ci się mądrzyć!

*Szturcha ją pika. Rozlega się głęboki jęk. tak niski, że prawie niesłyszalny, ale zarazem tak potężny, że scena trzęsie się w posadach.*

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co to było?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Nie mam pojęcia.

JAHİ: Koniec Urth, głupcy. Dalej, możecie ją zabić! To już i tak wasz koniec.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Jak mało wiesz! Dla nas to dopiero początek. Kiedy otrzymaliśmy rozkaz przeszukania ogrodu, polecono nam dawać szczególne baczenie na was dwie. Będziecie warte co najmniej dziesięć chrisos albom kiep.

*Chwyta JAHİ. W tej samej chwili MESCHIANE podrywa się z ziemi i ucieka w ciemność.*

*PIERWSZY ŻOŁNIERZ pędzi za nią.*

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co, próbujesz gryźć?!

*Szamocząc się z JAHİ uderzają na odlew piką.*

JAHİ: Głupcze, ona uciekła!

DRUGI ŻOŁNIERZ: Tym niech się martwi Ivo. Ja mam swojego więźnia, a on pozwolił uciec swojemu. Ruszaj, idziemy do chiliarchy.

JAHİ: Czy nie pokochasz się ze mną, zanim opuścimy to urocze miejsce?

DRUGI ŻOŁNIERZ: Żeby odcięli mi męskość i wepchnęli do gardła? Nigdy w życiu!

JAHİ: Najpierw musieliby ją znaleźć. DRUGI ŻOŁNIERZ: Ejże, co ty sobie myślisz? *(Potrzęsa nią).*

JAHİ: Służysz Urth, która posłała cię po mnie, gdyż sama nie chciała się fatygować. Gdybyś jednak uwolnił mnie choć na chwilę, pokazałabym ci wspaniałe rzeczy.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Widzę je już teraz, za co dziękuję niebiosom.

JAHİ: Mogę uczynić cię bogatym. Dziesięć chrisos nic by wtedy dla ciebie nie znaczyło. Nie zdołam jednak tego zrobić, dopóki mnie trzymasz.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Twoje nogi są dłuższe niż nogi innych kobiet, ale zauważyłem, że nie używasz ich zbyt chętnie. Zdaje się, że masz nawet trudności ze staniem.

JAHİ: Nie mylisz się.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Będę trzymał cię za twój naszyjnik. Łańcuszek wygląda na dość mocny.

Jeżeli ci to wystarczy, pokaż, co potrafisz, a jeśli nie, to od razu ruszaj za mną. Dopóki jesteś ze mną, nie masz co liczyć na więcej swobody.

*JAHİ podnosi obie ręce z wyprostowanymi trzema palcami: serdecznym, środkowym i kciukiem. Przez chwilę panuje całkowita cisza, a potem rozlega się tajemnicza, delikatna muzyka, w powietrzu zaś zaczynają wirować płatki śniegu.*

DRUGI ŻOŁNIERZ: Przestań!

*Łapie ją za rękę i ciągnie w dół. Muzyka milknie, a na głowie DRUGIEGO ŻOŁNIERZA osiada kilka płatków śniegu.*

DRUGI ŻOŁNIERZ: To nie było złoto.

JAHİ: Ale widziałeś, co zrobiłam.

DRUGI ŻOŁNIERZ: W mojej wiosce mieszka stara kobieta, która też potrafi zaklinać pogodę.

Przyznaję, że idzie jej to dużo wolniej niż tobie, ale jest znacznie starsza i słabsza.

JAHİ: Z pewnością nie jest nawet w tysięcznej części tak stara jak ja.

*Wchodzi POSĄG. Porusza się tak, jakby był ślepy.*

JAHİ: A cóż to jest?

DRUGI ŻOŁNIERZ: Jeden z ulubieńców ojca Inire. Nie słyszy cię ani nie potrafi mówić. Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle żyje.

JAHİ: To samo mógłbyś powiedzieć o mnie.

*Kiedy POSĄG przechodzi obok niej, głaszcząc go przelotnie po policzku.*

JAHİ: Mój kochanku, dlaczego mnie nie pozdrowisz?

POSĄG: Eeeej...

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co to ma być? Przecież powiedziałaś, że nie możesz nic zrobić, dopóki cię trzymam!

JAHİ: A oto mój niewolnik. Możesz go pokonać? Dalej, połam swoją pikę na jego szerokiej piersi!

*POSĄG klęka i całuje stopę JAHİ.*

DRUGI ŻOŁNIERZ: Nie, ale mogę przed nim uciec.

*Przerzuca sobie JAHİ przez ramię i ucieka. Otwierają się przed nim drzwi między wzgórzami. Znika za nimi, a one zatrząskują się z hukiem. POSĄG łomocze w nie pięściami, ale bez skutku. Po jego twarzy j spływają łzy. Wreszcie odwraca się i zaczyna rozkopywać ziemię rękami.*

GABRIEL: *(Spoza sceny)*. W taki oto sposób kamienne postaci dochowują wierności minionym dniom. Pozostają samotne na pustyni, długo po ucieczce ostatniego człowieka.

*POSĄG nadal kopie, a scena pogrąża się w ciemności. Kiedy ponownie zapalają się światła, AUTARCHA siedzi na tronie, zupełnie sam na scenie, lecz sylwetki na ekranach po obu jego*

*stronach świadczą o tym, że jest otoczony przez dworzan.*

AUTARCHA: Siedzę tutaj, jakbym był panem stu światów, a tymczasem nie mogę zapanować nawet nad tym jednym. *Zza sceny dobiega odgłos obutych stóp uderzających o ziemię w równym rytmie. Ktoś wydaje rozkaz podniesionym głosem.*

AUTARCHA: Generalissimus!

*Wchodzi PROROK. Ma na sobie kozłą skórę i trzyma laskę, na której uchwycie ktoś niezdarnie wyrzeźbił tajemniczy symbol.*

PROROK: Znaków przeróżnych pojawia się co niemiara. W Incusus urodziło się ciele bez głowy, za to z dwoma pyskami na kolanach. Pewnej kobiecie przyśniło się, że jest w ciąży z psem, ubiegłej nocy ulewa gwiazd spadła z sykiem na południowy lód, a prorocy chodzą i opowiadają o tych dziwach.

AUTARCHA: Ty też jesteś prorokiem.

PROROK: Sam Autarcha widział ich na własne oczy!

AUTARCHA: Mój archiwista, człowiek doskonale znający historię tego miejsca, powiedział mi raz, że kiedyś zabito tutaj ponad stu proroków; niektórych ukamienowano, innych spalono, jeszcze innych rzucono na pożarcie dzikim bestiom albo utopiono. Paru nawet poprzybijano do drzwi, jak uprzykrzone szkodniki. Teraz chciałbym dowiedzieć się od ciebie czegoś o przepowiadanych od dawna przybyciu Nowego Słońca. W jaki sposób to nastąpi i co będzie oznaczać? Mów, bo jeśli nie, to mój archiwista będzie mógł wzbogacić swoją opowieść o jeszcze jeden szczegół!

PROROK: Nie wiem, czy uda mi się ciebie zadowolić, ale spróbuję.

AUTARCHA: A więc nie wiesz?

PROROK: Wiem. Znam cię jednak jako człowieka stąpającego mocno po ziemi, zainteresowanego jedynie sprawami tego świata, który rzadko spogląda wyżej niż na gwiazdy.

AUTARCHA: Od trzydziestu lat uważam to za moją największą zaletę. PROROK: A mimo to nawet ty musisz wiedzieć, że robak pożera serce starego słońca. W samym jego środku materia zapada się w samą siebie, jakby była tam dziura bez dna.

AUTARCHA: Moi astronomowie mówią mi o tym od dawna.

PROROK: Wyobraź sobie jabłko gnijące od środka. Z zewnątrz wydaje się soczyste i zdrowe, aż do chwili, kiedy zgnilizna dotrze do skórki.

AUTARCHA: To porównanie przychodzi do głowy każdemu człowiekowi, który przeżył już ponad połowę życia, a mimo to nadal czuje się rześki i zdrowy.

PROROK: Tyle więc o starym słońcu. Ale co z pożerającym je robakiem? Co o nim wiemy, z

wyjątkiem tego, że zabiera Urth ciepło i światło, a w ostatecznym rozrachunku także życie?

*Zza sceny dobiegają odgłosy walki. Rozlega się okrzyk bólu. a zaraz potem donośny huk, jakby ktoś strącił na ziemi dużą wagę.*

AUTARCHA: Wkrótce dowiemy się, o co chodzi w tym zamieszaniu. Mów dalej, Proroku.

PROROK: Otóż wiemy już, że jest czymś więcej, a mianowicie rozdarciem w naszym wszechświecie, dziurą w jego strukturze, w której obowiązują nie znane nam prawa. Nic z niej nie wychodzi, natomiast wszystko, co tam wpadnie, ginie bez śladu. Mimo to w każdej chwili może się coś pojawić, ponieważ ze wszystkich *rzeczy*, jakie istnieją na świecie, tylko ona jedna nie jest jego niewolnikiem.

*Wchodzi zakrwawiony SEN, popychany pikami przez żołnierzy, którzy pozostają za sceną.*

AUTARCHA: A cóż to za nieszczęśnik?

PROROK: Dowód na to, o czym ci mówiłem. Od dawna panuje przekonanie, że w przyszłości stare słońce umrze, niszcząc przy okazji Urth. Z jej grobu wyłonią się potwory, nowi ludzie, a także Nowe Słońce. Stara Urth rozkwitnie wtedy niczym motyl, który wydostał się z suchego kokonu, i stanie się Nową Urth, zwaną Ushas.

AUTARCHA: Wszystko, co znamy, przestanie istnieć? Ten starożytny pałac, w którym teraz jesteśmy? Ty? Ja?

SEN: Nic nie wiem o tych sprawach, ale słyszałem mądrego człowieka - który już wkrótce będzie ze mną spokrewniony - twierdzącego, że wyjdzie nam to na dobre. Jesteśmy tylko snami, a sny nie mają własnego życia. *(Wyciąga rękę)*. Widzicie? Jestem ranny. Kiedy rana się zablizni, natychmiast zniknie. Czy powinna teraz powiedzieć swymi zakrwawionymi wargami, że jest jej przykro z tego powodu? Próbuję jedynie wyjaśnić to, co powiedział ktoś inny, lecz wydaje mi się, że właśnie to miał na myśli.

*(Zza sceny dobiega bicie dzwonów)*.

AUTARCHA: A cóż to znowu? Proroku, idź zobaczyć, kto i dlaczego urządził to zamieszanie.

*(PROROK wychodzi)*.

SEN: Jestem pewien, że dzwony zaczęły witać Nowe Słońce. Ja sam często to robię.

Zgodnie z naszą tradycją witając gościa ryczymy głośno, walimy się w piersi, a po to, by go uczyć, chwytamy największe głazy i rzucały je w przepaści. Jeżeli mnie uwolnicie, zrobię to jeszcze dziś rano i jestem pewien, że przyłączy się do mnie cała Urth. Nawet góry skoczą do morza, kiedy ujrzą wschodzące Nowe Słońce.

AUTARCHA: Skąd do nas przybyłeś? Powiedz mi, to cię uwolnię.

SEN: No, z mojej ojczyzny, na wschód od raj.

AUTARCHA: A gdzie to jest?

*(SEN wskazuje na wschód).*

AUTARCHA: A gdzie leży raj? W tym samym kierunku? SEN: No... Tutaj jest raj. Jesteśmy w raj

*(Wchodzi GENERALISSIMUS. Zbliża się marszowym krokiem do tronu i salutuje).*

GENERALISSIMUS: Autarcho, zgodnie z twoim rozkazem przeszukaliśmy tereny rozciągające się nad Domem Absolutu. Znaleźliśmy hrabinę Carinę, a ponieważ obrażenia, jakich doznała, okazały się niegroźne, została odprowadzona pod eskortą do swoich apartamentów. Pojmaliśmy także olbrzyma, którego widzisz przed sobą, kobietę obwieszoną biżuterią oraz dwóch kupców.

AUTARCHA: A co z nagim mężczyzną i jego żoną?

GENERALISSIMUS: Przepadli bez śladu.

AUTARCHA: Szukajcie dalej, ale tym razem przyłóżcie się do pracy.

GENERALISSIMUS: *(Salutuje)*. Jak sobie życzysz, panie.

AUTARCHA: I przyślijcie tutaj kobietę w biżuterii.

*SEN próbuje zejść ze sceny, ale powstrzymują go piki. GENERALISSIMUS wyciąga pistolet.*

SEN: Nie jestem wolny?

GENERALISSIMUS: Skądże znowu!

SEN: *(Do Autarchy)*. Powiedziałem ci, gdzie leży mój kraj. Na wschód stąd.

GENERALISSIMUS: Tam jest znacznie więcej niż tylko twój kraj. Znam dobrze te tereny.

AUTARCHA: *(Ze znużeniem)*. Powiedział całą prawdę, jaką znał. Być może jest to jedyna prawda.

SEN: A więc mogę odejść.

AUTARCHA: Myślę, że ten, kogo pragniesz powitać, przybędzie bez względu na to, czy będziesz wolny, czy nie. Istnieje jednak niewielka szansa, że tak się nie stanie, a poza tym istoty takie jak ty w żadnym wypadku nie powinny być wypuszczane na swobodę. Nie możesz odejść ani teraz, ani później.

*SEN ucieka ze sceny, ścigany przez GENERALISSIMUSA. Strzały, krzyki i łomoty. Sylwetki otaczające AUTARCHĘ nikną. Zgiełk narasta, gdyż ponownie rozlega się bicie dzwonów. SEN*

wraca z oparze-*liną* po laserowym promieniu na policzku. AUTARCHA bije go berłem. Po każdym uderzeniu rozlega się eksplozja i tryskają pióropusze iskier. SEN chwyta AUTARCHĘ i zamierza cisnąć nim o ziemię, kiedy zjawiają się dwa DEMONY przebrane za kupców, powalają go i osadzają AUTARCHĘ z powrotem na tronie.

AUTARCHA: Dziękuję wam. Zostaniecie hojnie wynagrodzeni. Porzuciłem już nadzieję, że zostanę uratowany przez moje straże, i widzę, że miałem całkowitą rację. Czy mogę wiedzieć, kim jesteście?

PIERWSZY DEMON: Twoje straże nie żyją. Olbrzym roztrzaskał ich czaszki o ściany i połamał kręgosłupy na kolanie.

DRUGI DEMON: Jesteśmy tylko zwykłymi kupcami. Pojmali nas twoi żołnierze.

AUTARCHA: To oni powinni wziąć się za handel, wy zaś winniście zająć ich miejsce!

Dysponujecie zdumiewającą siłą, zważywszy, że obaj jesteście dość skromnej postury.

PIERWSZY DEMON: (*Kłania się*). Naszą siłę zawdzięczamy władcy, któremu służymy.

DRUGI DEMON: Z pewnością zastanawiasz się, skąd my, dwaj zwykli handlarze niewolników, znaleźliśmy się nocą na twojej ziemi. Otóż przybyliśmy tu, żeby cię ostrzec. Podczas naszych podróży zapuściliśmy się w rozciągające się na północy dżungle i tam, w starożytnej świątyni tak bardzo zrujnowanej i pokrytej roślinnością, że przypomina raczej niewielki zielony pagórek, rozmawialiśmy ze starym szamanem, który przepowiedział, iż już niedługo staniesz twarzą w twarz z wielkim niebezpieczeństwem.

PIERWSZY DEMON: Uzyskawszy tę wiadomość co tchu ruszyliśmy w drogę, aby powiadomić cię, zanim będzie za późno. Jak się okazało, dotarliśmy w ostatniej chwili.

AUTARCHA: Co muszę uczynić?

DRUGI DEMON: Świat, który jest bliski zarówno nam, jak i tobie, krąży wokół słońca od tak dawna, że powrozy trzymające go na uwięzi zmurszały, a gdzieniegdzie stały się już cienkie jak nici.

PIERWSZY DEMON: Kontynenty przypominają stare kobiety, bezpłodne i pozbawione resztek dawnej urody. Zbliża się Nowe Słońce...

AUTARCHA: Wiem!

PIERWSZY DEMON: ...a kiedy przybędzie, ciśnie je do morza jak stoczone przez korniki okręty.

DRUGI DEMON: Spod fal wydobędzie zaś nowe, lśniące złotem, srebrem, żelazem i miedzią, wysadzone diamentami, rubinami i turkusami, pokryte grubą warstwą żyznej gleby, splukiwanej przez tysiąclecia do morza przez płynące bez ustanku rzeki.

PIERWSZY DEMON: Przygotowywana jest nowa rasa, która zaludni te lądy. Ludzkość, którą znasz,

zniknie, tak jak trawa porastająca step niknie pod ostrzem pługa, ustępując miejsca zbożu.

DRUGI DEMON: Ale co by się stało, gdyby przed siewem ziarno zostało spalone? Co wtedy?

Wysoki mężczyzna i szczupła kobieta, których spotkałeś nie tak dawno temu, są właśnie takim ziarnem. Kiedyś można było mieć nadzieję, że uda się zatruć je na polu, lecz ta, którą wysłano, aby tego dokonała, straciła ziarno z oczu wśród martwej trawy i brył ziemi, a za kilka niewinnych sztuczek trafiła w ręce twojego inkwizytora. Mimo to istnieje jeszcze szansa na spalenie ziarna.

AUTARCHA: Pomysł, który mi podsuwacie, przyszedł mi do głowy już dawno temu.

PIERWSZY DEMON I DRUGI DEMON: *(Razem)*. Oczywiście!

AUTARCHA: Ale czy śmierć tych dwojga istotnie powstrzyma przyście Nowego Słońca?

PIERWSZY DEMON: Nie. Naprawdę pragnąłbyś tego? Przecież te nowe ziemie będą twoje.

*Na ekranach pojawiają się porośnięte lasami wzgórza i miasta pnące się ku niebu niezliczonymi wieżami. AUTARCHA odwraca się, przygląda się przez chwilę, po czym wydobywa z kieszeni komunikator.*

AUTARCHA: Oby Nowe Słońce nigdy nie dowiedziało się o tym, co tu robimy... Okręty!

Skierujcie na nas ogień i prowadźcie go tak długo, aż zostanie tylko spalona ziemia!

*DEMONY odchodzą, pojawia się SEN. Z ekranów znikają wzgórza i miasta, ustępując miejsca zwielokrotnionemu obliczu AUTARCHY. Na scenie zapada ciemność.*

*Kiedy ponownie zapalają się światła, na środku sceny za wielkim biurkiem siedzi INKWIZYTOR. Obok stoi jego POMOCNIK w stroju kata i masce na twarzy. Dokoła widać różne przyrządy służące zadawaniu tortur.*

INKWIZYTOR: Bracie, wprowadź kobietę, na której ciąży podejrzenie, że jest wiedźmą.

POMOCNIK: Za drzwiami czeka Hrabina, a ponieważ pochodzi ze szlacheckiego rodu i jest faworytą naszego władcy, proszę cię, abyś zechciał najpierw zająć się jej sprawą.

*Wchodzi HRABINA.*

HRABINA: Słyszałam, co powiedziałeś, a ponieważ przypuszczałam, Inkwizytorze, że nie pozostaniesz głuchy na tę prośbę, ośmieliłam się wejść nie czekając na wezwanie. Czy uważasz to za zuchwałość z mojej strony?

INKWIZYTOR: Bawisz się słowami, Hrabino. Owszem, tak właśnie uważam.

HRABINA: W takim razie mylisz się. Już osiem lat przebywam w Domu Absolutu. Kiedy po raz pierwszy krew popłynęła z moich łędźwi i matka przyprowadziła mnie tutaj, ostrzegła mnie, abym



nigdy nie zbliżała się do twoich apartamentów, gdzie krew płynie bezustannie, nie zważając na fazy księżyca. Postąpiłam zgodnie z jej radą, i oto jestem tu po raz pierwszy, drżąc z lęku.

INKWIZYTOR: Dobrzy ludzie nie mają się czego lękać. Jednak to, co mówisz, potwierdza tylko, że jesteś zuchwałą.

HRABINA: A czy jestem dobra? Czy ty jesteś dobry? A on? Mój spowiednik z pewnością poinformowałby cię, że nie jestem. Czy twój mówi ci to samo? A może za bardzo się boi? Co byś zrobił, gdyby okazało się, że twój pomocnik jest lepszy od ciebie?

POMOCNIK: Nie chciałbym, aby tak było.

HRABINA: Nie jestem zuchwałą, podobnie jak nie jestem tutaj bezpieczna. Tylko strach zmusił mnie, bym zeszła do tych ponurych komnat. Z pewnością wiesz już o nagim mężczyźnie, który mnie uderzył. Czy został schwytany?

INKWIZYTOR: Nie przyprowadzono go tutaj.

HRABINA: Niecałą wachtę temu żołnierze znaleźli mnie w ogrodzie jęczącą z bólu. Moja służąca próbowała mi jakoś pomóc, ale na próżno. Ponieważ bałam się zostać na zewnątrz w ciemności, zanieśli mnie do mojego apartamentu tak zwaną Powietrzną Drogą. Znasz ją?

INKWIZYTOR: Nawet dość dobrze.

HRABINA: W takim razie wiesz, że jest to galeria z mnóstwem okien, przez które światło dociera do sąsiadujących z nią pomieszczeń. W jednym z nich dostrzegłam jakiegoś wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach i wąskiej talii.

INKWIZYTOR: Jest wielu takich mężczyzn.

HRABINA: Też tak pomyślałam. Jednak zaraz po tym ta sama postać pojawiła się w następnym oknie... i jeszcze następnym... Błagałam niosących mnie żołnierzy, żeby zaczęli do niego strzelać, ale oni pomyśleli, że oszalałam, i nie uczynili tego. Dwóch poszło, żeby go pojmać, lecz wrócili z pustymi rękami, a on wciąż przyglądał mi się z kolejnych okien i wydawał się lekko falować.

INKWIZYTOR: Więc uważasz, że był to ten sam człowiek, który cię uderzył?

HRABINA: Gorzej. Boję się, że to nie był on, choć bardzo go przypominał. Poza tym teraz na pewno nie wyrządziłby mi żadnej krzywdy, gdyż odnosiłabym się z szacunkiem do jego szaleństwa. Nie... Tej niezwykłej nocy, kiedy my, zniszczone zimą pozostałości zeszłorocznych zasiewów, dostrzegamy nagle wokół siebie nowe, kielkujące zboże, obawiam się, że był to ktoś inny, o kim nic nie wiemy.

INKWIZYTOR: Jest to całkiem możliwe, ale tutaj go nie znajdziesz, podobnie jak człowieka, który cię uderzył. *(Do POMOCNIKA)*. Wprowadź wiedźmę, bracie.

POMOCNIK: Wszystkie nimi są, choć niektóre bywają gorsze od innych.

*Wychodzi, by po chwili powrócić prowadząc na łańcuchu MESCHIANE.*

INKWIZYTOR: Jesteś oskarżona o rzucenie czaru na siedmiu żołnierzy naszego Autarchy, w wyniku czego odrzucili wiążącą ich przysięgę i zwrócili broń przeciwko swoim towarzyszom oraz oficerom. *(Wstaje i zapala grubą świecę stojącą na biurku.)* Radzę ci, abyś bezzwłocznie przyznała się do winy, a także wyznała, z czyjego rozkazu to zrobiłaś, oraz podała nazwiska tych, którzy nauczyli cię tej sztuki.

MESCHIANE: Żołnierze wiedzieli, że nie zrobiłam nic złego, lecz mimo to obawiali się mnie, więc...

POMOCNIK: Cisza!

INKWIZYTOR: Pod uwagę mogą być brane jedynie te zeznania oskarżonego, które złożył przymuszony perswazją. Mój pomocnik zajmie się tobą.

*Pomocnik chwyta MESCHIANE i przywiązuje ją do jednego z przyrządów.*

HRABINA: Tak niewiele czasu pozostało do końca świata, że nie będę traciła go na przypatrywanie się temu, co z nią robicie. Czy jesteś przyjaciółką nagiego mężczyzny z ogrodu?

Kiedy go odnajdę, powiem mu o twoim losie.

MESCHIANE: O, zrób to! Mam nadzieję, że zjawi się, zanim będzie za późno.

HRABINA: A ja mam nadzieję, że zgodzi się, bym zajęła twoje miejsce. Bez wątpienia nie spełni się żadne z naszych pragnień i już wkrótce obie będziemy jednakowo pogrążone w rozpacz. *(Wychodzi.)*

INKWIZYTOR: Ja także pójdę porozmawiać z tymi, którzy ją uratowali. Przygotuj więźnia, gdyż wkrótce wrócę.

POMOCNIK: Jest jeszcze jedna. Inkwizytorze. Oskarżono ją o podobne występki, choć może nieco mniejszej wagi.

INKWIZYTOR: Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Mógłbym zająć się obiema naraz.

Wprowadź ją.

*POMOCNIK wychodzi, a po chwili wraca z JAHI. INKWIZYTOR grzebie w papierach na biurku.*

INKWIZYTOR: Jesteś oskarżona o rzucenie czaru na siedmiu żołnierzy naszego Autarchy, w wyniku czego odrzucili wiążącą ich przysięgę i zwrócili broń przeciwko swoim towarzyszom oraz oficerom. Radzę ci, abyś bezzwłocznie przyznała się do winy, a także wyznała, z czyjego rozkazu to zrobiłaś,

oraz podała nazwiska tych, którzy nauczyli cię tej sztuki.

JAHİ: (*Wyniośle*). Uczyniłam wszystko, o co mnie oskarżasz, a także dużo więcej. Potęga, której nazwy nie śmiem wymienić, postanowiła zniszczyć to szcurze gniazdo. Kto mnie uczył?

A kto uczy dziecko polegać na ojcu?

POMOCNIK: Matka?

INKWIZYTOR: Nie mam pojęcia. Ją także przygotuj. Wkrótce będę z powrotem. (*Wychodzi*).

MESCHIANE: A więc za ciebie także walczyli? To straszne, że tak wielu musiało umrzeć.

POMOCNIK: (*Przywiązuje JAHİ do urządzenia po drugiej stronie biurka*). Przeczytał jeszcze raz twoje oskarżenie. Kiedy wróci, zwrócę mu na to uwagę - bardzo delikatnie, ma się rozumieć.

JAHİ: Naprawdę rzuciłaś urok na żołnierzy? W takim razie zrób to samo z tym głupcem i każ mu nas uwolnić.

MESCHIANE: Nie znam aż tak silnych zaklęć.

*Wchodzi SEN, popychany ostrzem piki przez PIERWSZEGO ŻOŁNIERZA.*

POMOCNIK: Co to jest?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Więzień, jakiego jeszcze nigdy nie miałeś. Zabił stu ludzi tak łatwo, jakby to były szczenięta. Czy masz wystarczająco duże kajdany, żeby go zakuć?

POMOCNIK: Będę musiał połączyć kilka par, ale dam sobie radę.

SEN: Nie jestem człowiekiem, lecz czymś mniej i więcej zarazem, zrodzony z gliny, z matki Gei, której ulubieńcami są najstraszliwsze bestie. Jeśli wasza władza rozciąga się tylko nad ludźmi, to musicie mnie uwolnić.

JAHİ: My także nie jesteśmy ludźmi. Puśćcie nas!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: (*Śmieje się*). Wiem, wiem. Ani przez chwilę nie miałem co do tego wątpliwości.

MESCHIANE: Ona nie jest kobietą, jeśli o to ci chodzi. Nie dajcie się jej zwieść.

POMOCNIK: (*Zakłada SNOWI kajdany*). Nie damy, możesz być spokojna. Wierz mi, pora magicznych sztuczek już minęła.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Na pewno będziesz się dobrze bawiła, kiedy sobie pójde.

*Poklepuje JAHİ, która pluje na niego.*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Czy byłbyś tak dobry i odwrócił się na chwilę?

POMOCNIK: *(Przygotowuje się do torturowania MESCMIANY)*. Gdybym był tak dobry, pewnego dnia z pewnością zostałbym połamany własnym kołem. Jeżeli jednak mój mistrz zastanie cię tu po powrocie, zaręczam ci, że zgodnie ze swoim życzeniem będziesz leżał obok niej.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ *waha się, a następnie pospiesznie wychodzi, uświadomiwszy sobie, co znaczą słowa POMOCNIKA*.

SEN: Ta kobieta będzie matką mojego zięcia. Nie rób jej krzywdy. *(Napina łańcuchy)*.

JAHI: *(Tłumiąc ziewnięcie)*. Nie spałam całą noc i choć duch we mnie nadal chętny, to ciało domaga się odpoczynku. Czy nie mógłbyś uwinąć się szybciej z nią i zabrać się do mnie?

POMOCNIK: *(Nie patrząc na nią)*. Tutaj nie ma odpoczynku.

JAHI: Naprawdę? Cóż, w takim razie nie będę mogła czuć się jak w domu. *(Ponownie ziewa, a kiedy podnosi rękę, by zasłonić usta, kajdany zsuwają się na ziemię)*.

MESCMIANE: Musisz ją trzymać. Nie wydała jej ziemia, więc żelazo nie ma nad nią żadnej władzy.

POMOCNIK: *(Nie odrywając wzroku od torturowanej MESCMIANE)*. Nie obawiaj się, nie ucieknie.

MESCMIANE: Olbrzymie, czy możesz się uwolnić? Od tego zależą losy świata!

*SEN napina łańcuchy, lecz te nie chcą puścić.*

JAHI: *(Zrzuca pęta)*. Tak! Ja ci odpowiadam, ponieważ w prawdziwym świecie jestem o wiele większa od każdego z was. *(Obchodzi biurko i zagląda przez ramię POMOCNIKOWI)*.

Bardzo interesujące! Może nieco prymitywne, ale interesujące.

*POMOCNIK odwraca się i wytrzeszcza oczy, a ona ucieka, śmiejąc się głośno. POMOCNIK rzuca się w pogoń, lecz po chwili wraca, przygnębiony.*

POMOCNIK: *(Sapiąc)*. Uciekła...

SEN: Tak. Wolna.

MESCMIANE: Teraz odnajdzie Meschię i wszystko zniszczy, tak jak kiedyś.

POMOCNIK: Nie zdajecie sobie sprawy, co to oznacza. Wkrótce wróci mój mistrz. Jestem już trupem.

SEN: Świat też już nie żyje. Powiedziała ci przecież.

MESCHIANE: Kacie, została ci tylko jedna szansa. Posłuchaj mnie uważnie: musisz uwolnić olbrzyma.

POMOCNIK: A on zabije mnie, po czym uwolni ciebie. Zastanowię się nad tym. Przynajmniej byłaby to szybka śmierć.

MESCHIANE: On nienawidzi Jahi, a choć nie jest mądry, z pewnością wie, gdzie jej szukać, a w dodatku dysponuje ogromną siłą. Co więcej, mogę zdradzić ci, co powinieneś uczynić, aby był ci posłuszny. Daj mu klucz do kajdan, po czym przyłóż mi miecz do karku i każ mu przysiąc, że odnajdzie Jahi, wróci tu i sam założy sobie pęta.

*POMOCNIK waha się.*

MESCHIANE: Nie masz nic do stracenia. Twój mistrz nawet nie wie o uwięzieniu olbrzyma, ale jeśli po powrocie nie zastanie tu tamtej kobiety...

POMOCNIK: Dobrze, zrobię to! *(Odpina od pasa klucz).*

SEN: Przysięgam na moją nadzieję, na połączenie poprzez małżeństwo z rodziną człowieka, przez co my, olbrzymy, będziemy mogli zwać się Synami Ojców, że pojмам dla ciebie tego złego ducha, sprowadzę go tutaj, przytrzymam, aby nie mógł już uciec, i ponownie założę sobie kajdany.

POMOCNIK: Czy to była ta przysięga?

MESCHIANE: Tak.

*POMOCNIK rzuca SNOWI klucz, po czym wyciąga miecz i trzyma go nad głową MESCHIANY.*

POMOCNIK: Myślisz, że mu się uda?

MESCHIANE: Musi się udać!

SEN: *(Zdejmuje kajdany).* Złapię ją. Jej ciało staje się coraz słabsze, jak sama powiedziała.

Będzie je chłostać, zmuszając do wysiłku, ale nie wie, że sama chłosta czasem nie wystarczy.

*(Wychodzi).*

POMOCNIK: Muszę znowu się tobą zająć. Mam nadzieję, że sama rozumiesz...

*POMOCNIK torturuje MESCHIANE. która wzywa pomocy.*

POMOCNIK: *(Sotio voce).* Jakaż ona piękna! Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

*Na scenie zapada ciemność. Słyszać tupot stóp biegnącej JAHY. Po pewnym czasie w słabym*

*światle pojawia się SEN pędzący wielkimi susami przez korytarze Domu Absolutu. Na ekranach pojawiają się coraz to nowe rzeźby, obrazy i meble. Nagle spomiędzy nich wylania się JAHI. SEN rzuca się w jej kierunku i zbiega ze sceny. JAHI wchodzi na scenę z lewej strony. Tuż za nią podąża DRUGI DEMON.*

JAHI: Gdzie on się podział? W ogrodach zapadła już ciemność. Ty nie masz prawdziwego ciała, więc czy nie mógłbyś przybrać postaci sowy i odszukać go dla mnie?

DRUGI DEMON: *(Udaje zdumienie)*. Kogo?

JAHI: Meschie! Poczekaj tylko, aż Ojciec dowie się, jak mnie traktowałeś i że przez ciebie nasze wysiłki spełzły na niczym.

DRUGI DEMON: Od kogo ma się tego dowiedzieć? Od ciebie? Przecież to ty opuściłaś Meschie, zwabiona przez tę kobietę. Co mu powiesz? „Uległam pokusie”? Nie robiliśmy tego już tak dawno, że chyba tylko ty i ja pamiętamy jeszcze, co to oznacza, a teraz ty zepsułaś znakomite kłamstwo sprawiając, że stało się prawdą!

JAHI: *(Odwraca się raptownie do niego)*. Ty mały, obrzydliwy szpiclu! Ty paskudny podglądaczu!

DRUGI DEMON: *(Odskakuje)*. Zostaniesz za to zesłana do Krainy Snu, na wschód od Raju.

*Zza sceny dobiega odgłos kroków SNU. JAHI kryje się za klepsydrą, DRUGI DEMON zaś wyczarowuje z powietrza pikę i staje na baczność. Wchodzi SEN.*

SEN: Jak długo już tu stoisz?

DRUGI DEMON: *(Salutuje)*. Jak długo zechcesz, sieur.

SEN: Są jakieś nowiny?

DRUGI DEMON: Co tylko zechcesz, sieur. Olbrzym wielki jak wieża zabił kilku strażników, Autarcha zaś przepadł bez śladu. Tak często przeszukiwaliśmy już ogrody, że gdybyśmy nosili nawet zamiast broni, stokrotki byłyby już wielkości parasoli. Kaczki latają wysoko, podobnie jak ludzkie nadzieje, rzepa udała się jak nigdy dotąd. Jutro będzie piękna pogoda... *(Spogląda znacząco na klepsydrę)*, ...a naga kobieta biega po całym pałacu.

SEN: Co to jest?

DRUGI DEMON: Zegar wodny, sieur. Wiedząc, która godzina, możesz dzięki niemu przekonać się, jak wiele upłynęło wody.

SEN: *(Przygląda się uważnie klepsydrze)*. W moim kraju nie ma nic takiego. Czy te kukielki są poruszane właśnie przez wodę?

DRUGI DEMON: Wszystkie z wyjątkiem tej dużej, sieur.

*JAHl zbiega ze sceny, uciekając przed SNEM, ale zanim zniknie publiczności z oczu, zawraca, przemyka mu między nogami i wbiega ponownie na scenę. Olbrzym zjawia się dopiero po pewnej chwili, dzięki czemu JAHl może ukryć się w kufrze. Tymczasem DRUGI DEMON*

*znika.*

SEN: Hej, stój! (*Przebiega scenę, po czym wraca*). To moja wina, moja! W ogrodzie przechodziła tak blisko mnie, że wystarczyło wyciągnąć ręce, a mógłbym zgnieść ją jak kota...

*jak robaka... jak mysz... jak węża. (Zwraca się do widowni)*. Nie śmieście się ze mnie! Mógłbym zabić was wszystkich! Całą waszą obrzydliwą rasę! Och, doliny wypełniłyby się waszymi białymi kośćmi... Ale teraz już ze mną koniec, a Meschiane, która mi zaufała, jest zgubiona!

*Rozbija klepsydrę. Miedziane części rozsypują się po scenie, leje się woda.*

SEN: Na cóż mi dar mowy prócz tego, że mogę przeklinać sam siebie. Dobra matko wszystkich bestii, odbierz mi go! Stanę się na powrót tym, czym byłem i znowu będę krzychał

bezglóśnie wśród wzgórz. Rozum mi mówi, że rozum daje tylko ból. Och, jakże mądrzy są ci, którzy zapominają i zaraz potem znowu są szczęśliwi.

*Siada na kufrze, w którym ukryta się JAHl, i zakrywa twarz dłońmi. Światło przygasa, a kufer zaczyna trzeszczeć pod jego ciężarem. Kiedy znowu robi się jasno, scena ponownie przedstawia komnatę INKWIZYTORA. MESCHIANE jest poddawana torturom. POMOCNIK*

*kręci kotem, kobieta przeraźliwie krzyczy.*

POMOCNIK: Teraz poczułaś się lepiej, prawda? Mówiłem ci, że tak będzie. Dzięki temu sąsiedzi wiedzą, że nie śpimy. Nie uwierzyłybyś, ale w tym skrzydle znajduje się mnóstwo pustych pomieszczeń. Zostaliśmy tylko mój mistrz i ja. Nadal wykonujemy to, co do nas należy i dzięki temu trwa jeszcze Wspólnota. Chcemy więc, aby wszyscy o tym wiedzieli.

*Wchodzi AUTARCHA w podartych, poplamionych krwią szatach. AUTARCHA: Co to za miejsce? (Siada na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach, podobnie jak niedawno uczynił to SEN).*

POMOCNIK: Jakie miejsce? To przecież Komnata Miłosierdzia, ty łachudro! W jaki sposób zdołałeś tu dotrzeć, skoro nie wiedziałeś, dokąd idziesz?

AUTARCHA: Tej nocy ścigano mnie po całym domu, mogłem więc znaleźć się dokładnie gdziekolwiek. Dajcie mi trochę wina - albo wody, jeśli nie macie wina - i zabarykadujcie drzwi.

POMOCNIK: Mamy tylko krew, a jeśli chodzi o drzwi, to ani myślę ich barykadować, gdyż lada chwila spodziewam się powrotu mistrza.

AUTARCHA: (*Z naciskiem*). Rób, co ci każe!

POMOCNIK: (*Łagodnie*). Za dużo wypiełeś, przyjacielu. Idź sobie.

AUTARCHA: Jestem... Zresztą, jakie to ma znaczenie? Koniec już się zbliża. Nie byłem człowiekiem ani gorszym, ani lepszym od was.

*W oddali słychać kroki zbliżającego się SNU.*

POMOCNIK: Nie udało mu się! Wiedziałem, że tak będzie.

MESCHIANE: Właśnie, że mu się udało! W przeciwnym razie nie wróciłby tak szybko. Może jeszcze uda się uratować świat!

AUTARCHA: O czym ty mówisz?

*Wchodzi SEN. Jego błagania o szaleństwo zostały spełnione, lecz mimo to ciągnie za sobą JAHI. POMOCNIK podbiega z kajdanami.*

MESCHIANE: Ktoś musi ją trzymać, bo w przeciwnym razie znowu ucieknie.

*POMOCNIK oplątuje SEN łańcuchami i zatrzaskuje zamki, po czym unieruchamia jego ramiona w taki sposób, że olbrzym trzyma JAHI w objęciach. SEN wzmacnia uścisk.*

POMOCNIK: On ją zabije! Puszczaj, ty góro mięsa!

*POMOCNIK chwyta metalowy pręt i zaczyna okładać nim SEN, który wydaje potworny ryk, próbuje go złapać i pozwala nieprzytomnej JAHI osunąć się na ziemię. POMOCNIK łapie ją za nogę, po czym ciągnie w kierunku AUTARCHY.*

POMOCNIK: Dobra, ty też się nadasz.

*Błyskawicznie pęta AUTARCHĘ w taki sposób, że jedna jego ręka jest zaciśnięta na przegubie JAHI, po czym dalej torturuje MESCHIANE. Za jego plecami SEN uwalnia się z łańcuchów.*

## **ROZDZIAŁ XXV**



# Bitwa z hierodulami

Mimo iż przedstawienie odbywało się na otwartym powietrzu, gdzie dźwięki łatwo rozplývają się w bezkresnych przestrzeniach nieba, wyraźnie usłyszałem hałas, z jakim Baldanders wyswobadzał się z więzów. Słyszałem także rozmowy dobiegające z widowni. Jedna dotyczyła samego przedstawienia (dowiedziałem się z niej o zawartych w nim aluzjach, których istnienia nie podejrzewałem nie tylko ja, ale zapewne także doktor Talos), druga zaś jakiejś sprawy sądowej, w której Autarcha - zdaniem jakiegoś człowieka mówiącego z arysto-kratycznym akcentem - z całą pewnością podejmie błędną decyzję. Wykonując kolejny obrót skrzypiącym kołem odważyłem się rzucić ukradkowe spojrzenie na tych, którzy przybyli nas oglądać.

Zajętych było nie więcej niż dziesięć miejsc siedzących, ale wiele wysokich postaci stało z lewej i prawej strony widowni, a także za nią. Dostrzegłem kilka kobiet w sukniach bardzo podobnych do tych, jakie swego czasu widziałem w Lazurowym Pałacu: z głębokimi dekolcami i suto marszczonymi spódnicami, często składającymi-się niemal z samych koronek. Kobiety miały proste fryzury, lecz przystrojone kwiatami, klejnotami lub jaskrawymi, fosforyzującymi larwami.

Jednak zdecydowaną większość widzów stanowili mężczyźni, a z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej. Niektórzy byli równie wysocy jak Vodalus albo nawet wyżsi od niego. Stali owinięci szczelnie płaszczami, jakby lękali się podmuchów ciepłego, wiosennego wiatru. Nie mogłem dostrzec ich twarzy, ukrytych pod obszernymi skrzydlatymi kapeluszami.

Kajdany Baldandersa upadły z łoskotem na scenę, a Dorcas krzyknęła przeraźliwie na znak, że olbrzym jest już wolny. Odwróciłem się gwałtownie, po czym złapałem najbliższą pochodnię i zacząłem się cofać, zasłaniając się nią przed nim jak tarczą.

Baldanders znakomicie odgrywał rolę szaleńca. Zmierzwione włosy zsunęły mu się na oczy, które jednak płonęły tak dziko, że bez trudu mogłem je dostrzec. Z ust kapłała mu ślina, spod warg wyłoniły się wielkie, pożółkłe zęby, a ramiona co najmniej dwa razy dłuższe od moich wysunęły się w moją stronę.

Tym jednak, co naprawdę mnie przeraziło - a przyznaję, że byłem przerażony i żałowałem, że zamiast pochodni nie ściskam w dłoni rękojeści Terminus Est - był wyraz jego twarzy ukryty pod maską pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Widziałem go tak, jak się czasem widzi ciemną wodę pod cienką warstwą świeżego lodu. Baldanders nie posiadał się z zachwytu, że może robić to, co właśnie robi, a stojąc z nim twarzą w twarz uświadomiłem sobie po raz pierwszy, iż nie tyle udaje szaleńca na scenie, co raczej normalnego, skromnego człowieka poza nią. Przyszło mi wówczas do głowy pytanie, jak wielki miał wpływ na treść sztuki, choć prawda mogła wyglądać również w ten sposób, że doktor Talos po prostu znał i rozumiał swego pacjenta znacznie lepiej niż ja.

Rzecz jasna, nie zamierzaliśmy przerazić dworzan Autarchy tak, jak czyniliśmy to z prostymi ludźmi. Scena miała zakończyć się w ten sposób, że Baldanders wyrwie mi pochodnię i uda, że łamie mi kark. On jednak tego nie uczynił. Nie wiem, czy jego prawdziwa wściekłość dorównywała udawanej czy też może rozgniewała go nasza publiczność. Przypuszczalnie i jedno, i drugie.

Olbrzym wyszarpnął mi pochodnię z ręki, a następnie rzucił się ku widzom, wymachując płonącym drzewcem i rozsiewając dokoła snopy iskier. Instynktownie schyliłem się po leżący u moich stóp miecz, którym niedawno groziłem Dorcas, ale kiedy się wyprostowałem, Baldanders znajdował się już wśród widzów. Pochodnia zgasła, więc posługiwał się nią jak maczugą.

Ktoś strzelił z pistoletu. Pocisk zapalił kostium olbrzyma, lecz nie dosięgnął ciała. Kilku arystokratów obnażyło miecze, a ktoś - nie byłem w stanie stwierdzić, kto - użył najrzadziej spotykanej broni, to znaczy snu. Przypominał ciężki, smolisty dym, lecz poruszał się znacznie szybciej i w okamgnieniu spowił Baldandersa od stóp do głów. Odniosłem wrażenie, jakby olbrzym znalazł się w samym środku czegoś, co było przeszłością, a jednocześnie nigdy się nie zdarzyło: z ciemnego obłoku wychynęła jakaś siwowłosa kobieta, w powietrzu pojawiła się na chwilę rybacka łódź, a lodowaty wiatr ugasił płomień pożerający kostium.

Lecz wizje, które pozbawiają żołnierzy ochoty do walki i czynią ich bezbronnymi wobec nieprzyjaciela, nie wywarły na Baldandersie najmniejszego wrażenia. Nadal kroczył naprzód, torując sobie drogę uderzeniami maczugi.

Tuż przed tym, jak rzuciłem się do ucieczki (gdyż szybko doszedłem do wniosku, iż nie pozostaje mi nic innego, jak oddalić się z miejsca bezsensownej walki), zobaczyłem, jak kilka postaci zrzuca kapelusze oraz ukryte do tej pory w głębokim cieniu twarze. Spod nich -

wydawały się zrobione z równie niematerialnej substancji jak notule - wyłoniły się potworności, jakich istnienia nigdy bym nie podejrzewał: okrągłe usta, pełne ostrych niczym szpilki zębów, oczy złożone z tysiąca mniejszych oczu, stłoczonych jak łuski na szyszce, szczęki przypominające szczypcę. Maszkary te pozostały w mojej pamięci, podobnie jak wszystko, co kiedykolwiek widziałem, i mogłem je potem jeszcze wiele razy oglądać w najciemniejszych mrokach nocy. Zawsze cieszę się, zwracając wzrok ku gwiazdom lub przesączonym księżycowym blaskiem obłokom, że dostrzegłem wówczas tylko kilka postaci, stojących najbliżej oświetlonej sceny.

Powiedziałem już, że uciekłem, ale niewiele brakowało, żebym drogo zapłacił za tych kilka chwil, jakie straciłem na podniesienie Terminus Est i obserwację szaleńczego ataku Baldandersa.

Kiedy odwróciłem się, aby złapać Dorcas za rękę i odprowadzić ją w bezpieczne miejsce, już jej nie było.

Dopiero wtedy zbiegłem ze sceny. W gruncie rzeczy nie myślałem o tym, by uciec przed wściekłością Baldandersa, pretorianami Autarchy (których należało spodziewać się lada chwila) czy kakogenami z widowni, lecz o tym, żeby odnaleźć Dorcas. Biegając przed siebie i wykrzykując głośno jej imię mijałem kolejne fontanny, sadzawki i studnie ciągnącego się w nieskończoność ogrodu, aż wreszcie, niemal bez tchu w piersi i na uginających się nogach, zwolniłem kroku.

Nie jestem w stanie opisać żalu, jaki wówczas mnie ogarnął. Nie byłem w stanie znieść myśli o tym, że odnalazłem Dorcas tylko po to, by ją utracić. Kobiety wierzą - albo przynajmniej często udają, że wierzą - iż czułość, jaką im okazujemy, bierze się z pożądania, i że kochamy je tylko dopóty, dopóki ich nie zdobędziemy, potem zaś, zaspokojeni (albo raczej wyczerpani), odtrącamy je jak niepotrzebne sprzęty. Choć pogląd ten może wydawać się słuszny, to nie ma w nim i ani odrobiny prawdy. Kiedy

jesteśmy naładowani podnieceniem, potrafimy udawać wielką czułość w nadziei, że podniecenie to zostanie zaspokojone. Jednocześnie nigdy tak często jak wtedy nie traktujemy kobiet brutalnie i z pogardą, dążąc jedynie do zadośćuczynienia własnym żądzom. Wędrując przez pogrążone w ciemności ogrody nie odczuwałem wobec Dorcas fizycznego pożądania (mimo iż po raz ostatni cieszyłem się jej ciałem, kiedy spaliśmy w fortecy dimarchów, w pobliżu Okrutnego Pola), ponieważ kilkakrotnie dałem upust swej męskości w łodzi, z Jolentą. Mimo to, gdybym znalazł Dorcas, obsypałbym jej twarz pocałunkami, natomiast wobec Jolenty, której do tej pory raczej nie lubiłem, czułem jedynie coś w rodzaju na wpół obojętnej sympatii.

Nie spotkałem jednak żadnej z nich. Nie ujrzałem także ani żołnierzy, ani ludzi, których mieliśmy bawić. Wynikało z tego, że obchody urządzono jedynie w ściśle określonej części ogrodów, a ja znalazłem się daleko poza nią. Nawet teraz nie jestem pewien, jak wielki obszar zajmuje Dom Absolutu. Istnieją co prawda mapy, ale są niekompletne, a w dodatku często zawierają sprzeczne informacje. Jeżeli natomiast chodzi o Drugi Pałac, to nigdy nie było i nadal nie ma żadnych map przedstawiających przebieg jego korytarzy, a sam ojciec Inire wspominał mi przy kilku okazjach, iż nawet on zdążył już zapomnieć o wielu jego tajemnicach. Wędrując jego wąskimi korytarzami nigdy nie natrafiłem na białe wilki, znalazłem natomiast schody prowadzące do rozległych pomieszczeń ukrytych pod korytem rzeki oraz włazy, za którymi zaczynają się nieprzebyte lasy. (Niektóre z tych wejść można odnaleźć także z zewnątrz, gdyż są ukryte w zrujnowanych, porośniętych chwastami, marmurowych stelach). Kiedy zamykałem za sobą te włazy, wracając niechętnie do świata wypełnionego sztucznym, przesyconym wonią rozkładu powietrzem, często zastanawiałem się, czy któreś z tajemnych przejść nie prowadzi do Cytadeli. Stary Ultan wspominał kiedyś, że jego biblioteka sięga aż do Domu Absolutu, czy nie można więc powiedzieć, że Dom w Absolutu sięga do jego biblioteki? Niektóre rejony Drugiego Pałacu przypominają ślepe korytarze, w których szukałem Triskele. Całkiem możliwe, iż są to właśnie te korytarze, choć jeśli tak jest naprawdę, to podjąłem wówczas znacznie większe ryzyko, niż mogłem przypuszczać.

Niezależnie od tego, jak wiele wspólnego z rzeczywistością mają moje spekulacje, wtedy kiedy działały się opisywane przeze mnie wydarzenia, nie zaprzętałem sobie nimi głowy. Z całą naiwnością przypuszczałem, że granice Domu Absolutu - które przebiegają zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, sięgając znacznie dalej, niż komukolwiek mogłoby się wydawać - są ściśle określone i że albo lada chwila je minę, albo już to uczyniłem.

Szedłem przez całą noc, kierując się na północ. Aby zająć czymś myśli odtwarzałem w pamięci swoje życie, a więc robiłem to, czego zawsze tak bardzo starałem się uniknąć przed zaśnięciem. Znowu Drotte, Roche i ja pływaliśmy w zbiorniku z wodą pod Wieżą Dzwonów; znowu zabrałem Josephinie lalkę, a podłożyłem żywą żabę; znowu chwyciłem drzewce topora, który rozplątałby głowę wielkiemu Vodalusowi; znowu ujrzałem szkarłatną strużkę sączącą się pod drzwiami celi Thecli, pochylającego się nade mną mistrza Malrubiusa, Jonasa niknącego w nieskończoność rozciągającej się między wymiarami; znowu bawiłem się kamykami na dziedzińcu w pobliżu wyłomu w murze.

Jeszcze długo po tym, jak minąłem ostatnią ozdobną balustradę, obawiałem się spotkania z żołnierzami Autarchy. Jednak w miarę upływu czasu, kiedy nawet z daleka nie dostrzegłem choćby najmniejszego patrolu, zacząłem myśleć o nich z coraz większą pogardą, przypuszczając, że ich

nieskuteczność bierze się z ogólnego nieporządku panującego we Wspólnocie. Byłem coraz bardziej pewien, że Vodalus rozprawi się z nimi niezależnie od tego, czy postanowię mu w tym pomóc; ba, mógłby dokonać tego nawet teraz, w tej chwili, gdyby tylko uderzył.

A jednak androgyn w żółtej szacie, który znał hasło podane mi przez Vodalusa i najwyraźniej oczekiwał od niego wiadomości, był na pewno autarchą, zwierzchnikiem żołnierzy, a także całej Wspólnoty - naturalnie, o ile założymy, że Wspólnota jako taka w ogóle uznaje czyjekolwiek zwierzchnictwo. Thecla widywała go dość często, a jej wspomnienia stały się teraz częścią mnie, podobnie jak ona sama. Jeżeli Vodalus już zwyciężył, to dlaczego pozostaje w ukryciu? A może działał na polecenie i za zgodą Autarchy? W takim razie, jak wytłumaczyć fakt, że Vodalus wyrażał się o nim tak, jakby Autarchą był jego sługą? Próbowałem wmówić sobie, że wszystko, co wydarzyło się w pokoju za obrazem, było tylko snem, ale wiedziałem, że to nieprawda. W dodatku zniknął metalowy przedmiot, który otrzymałem od Vodalusa.

Tym sposobem przypominałem sobie o Pazurze, który sam Autarchą polecił mi zwrócić kapłankom zwanym Pelerynami. Wyjąłem go z buta. Świecił łagodnym blaskiem, nie tak intensywnym jak w kopalni, ani też nie tak przyćmionym jak wówczas, kiedy wraz z Jonasem obserwowałem go w przedpokoju. Chociaż leżał na mojej dłoni, wydawało mi się, że jest ogromnym jeziorem błękitnej wody, czystszej niż ta w zbiorniku pod Wieżą Dzwonów i dużo czystszej niż Gyoll. Mógłbym się w niej zanurzyć, choć nie wiedzieć czemu nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż aby to zrobić, musiałbym wznieść się w górę. Myśl ta była jednocześnie uspokajająca i budząca niepokój, więc pośpiesznie schowałem klejnot i ruszyłem w dalszą drogę.

\* \* \*

Świt zastał mnie na wąskiej ścieżce wijącej się przez las jeszcze bardziej dostojny od tego, jaki zaczynał się tuż za Murem Nessus. Co prawda brakowało tutaj wielkich paproci, ale z pni potężnych drzew zwieszały się grube pnącza, przypominające obsypane kwiatami, zielone zasłony. W gałęziach śpiewały nieznane mi ptaki, a raz udało mi się dostrzec małpę, która właściwie mogłaby być niskim, rudobrodym człowiekiem odzianym w skórę, gdyby nie to, że miała czworo ramion. Kiedy już nie byłem w stanie iść dalej, znalazłem między sterczącymi z ziemi korzeniami suche, dobrze osłonięte miejsce i położyłem się tam, owinięty szczelnie płaszczem.

Często musiałem gonić za snem jak za najtrudniej uchwytaną z chimer, pół legendą i pół

powietrzem. Tym razem jednak to on dopadł mnie z nienacka. Ledwo zdążyłem zamknąć oczy, kiedy ponownie ujrzałem przed sobą ogarniętego szaleństwem olbrzyma. Tym razem miałem w ręku Terminus Est, który jednak wydawał się cienki i kruchy jak suchy kij. Zamiast na scenie staliśmy na wąskiej skalnej półce. Po jednej stronie płonęły pochodnie wielkiej armii, po drugiej otwierała się przepaść, na której dnie znajdowało się lazurowe jezioro, jednocześnie podobne i niepodobne do tego, jakie ujrzałem we wnętrzu Pazura. Baldanders podniósł swoją pochodnię, a ja zamieniłem się w małą figurkę, którą widziałem pod powierzchnią morza. Byłem pewien, że ogromne kobiety nie mogą być daleko. Maczuga opadła ze straszliwą siłą.

\* \* \*

Kiedy się obudziłem, było już popołudnie, a po mojej piersi maszerowały kolorowe mrówki, które widocznie uznały, że tędy będzie im najbliżej. Po jeszcze dwóch lub trzech wachtach spędzonych na wędrówce przez piękny, lecz skazany na zagładę las, dotarłem do szerszej ścieżki, a po kolejnej wachcie, kiedy cienie zaczęły się już wyraźnie wydłużać, przystanąłem i wciągnąłem głęboko powietrze w płuca. Tak, to na pewno był zapach dymu. Kiszki skręcały mi się z głodu, więc ruszyłem szybko naprzód.

## **ROZDZIAŁ XXVI**

# Rozstanie

W miejscu, w którym moja ścieżka krzyżowała się z inną, przy małym ognisku siedziało czworo ludzi. Najpierw rozpoznałem Jolentę, której uroda sprawiła, że niewielka polana przypominała raj. W chwilę potem zauważyła mnie Dorcas i podbiegła, aby mnie ucałować, ja zaś dostrzegłem lisią twarz doktora Talosa wychylającą się zza szerokich pleców Baldandersa.

Olbrzym, z którego rozpoznaniem powinienem był mieć najmniej kłopotów, zmienił się niewyobrażalnie. Głowę miał owiniętą brudnymi bandażami, a zamiast obszarpanego czarnego płaszcza, w którym zawsze paradował, miał na ramionach kleistą maź przypominającą barwę glinę i cuchnącą stęchlizną.

- Wspaniale, że jesteś! - zawołał doktor Talos. - Niepokoił się o ciebie.

Baldanders wykonał nieznaczny ruch głową mający oznaczać, że w rzeczywistości niepokoiła się tylko Dorcas. Mogłem się tego domyślić bez jego pomocy.

- Uciekłem - poinformowałem go. - Tak samo jak Dorcas. Dziwne, że was nie zabito.

- Niewiele brakowało - odparł doktor, kiwając głową.

Jolenta wzruszyła ramionami, lecz w jej wykonaniu ten prosty gest przeistoczył się w coś w rodzaju ceremonii.

- Ja też uciekłam. - Ujęła w dłonie swoje wielkie piersi. - Czy nie sądzisz jednak, że nie jestem stworzona do biegania? I tak zresztą prawie od razu wpadłam na jakiegoś arystokratę, który powiedział, że nie muszę nigdzie uciekać, ponieważ on mnie obroni. Potem jednak zjawili się kawalerzyści na wspaniałych rumakach - chciałabym, żeby kiedyś zaprzęgnięto takie do mojego powozu - a z nimi wysoki urzędnik, jeden z tych, co to nie zwracają uwagi na kobiety.

Miałam nadzieję, że zostanę zaprowadzona przed oblicze Autarchy - którego oczy są jaśniejsze od gwiazd - tak jak to się prawie stało na scenie. Niestety, żołnierze kazali odejść arystokracie, po czym odstawili mnie z powrotem do teatru, gdzie byli już oni. - Wskazała ruchem głowy doktora Talosa i Baldandersa. - Doktor opatrywał mu rany. Żołnierze najpierw chcieli nas zabić - choć jestem pewna, że mnie darowaliby życie - ale potem wypuścili nas i tak oto trafiliśmy tutaj.

- Znaleźliśmy Dorcas o świcie - uzupełnił jej relację doktor Talos. - A raczej ona znalazła nas. Ruszyliśmy pomału w kierunku gór. Pomału, gdyż choć taki chory, tylko Baldanders ma dość siły, aby nieść bagaże, a chociaż większość rzeczy pozostawiliśmy w ogrodzie Domu Absolutu, to zostało i tak całkiem sporo.

Powiedziałem, iż jestem zdumiony, widząc Baldandersa jedynie chorego, gdyż byłem pewien, że już nie żyje.

- Doktor Talos zdołał go powstrzymać - wyjaśniła Dorcas. - Czy nie tak, doktorze? Dzięki temu został pojmany. Dziwne, że nie zabito ich obu.

- Jednak jak widzisz, obaj żyjemy - stwierdził doktor z uśmiechem. - A choć wyglądamy nieszczęśliwie, to nareszcie jesteśmy bogaci. Baldanders, pokaż Severianowi nasze pieniądze.

Olbrzym z trudem zmienił pozycję i wydobył nabitą skórzaną sakiewkę. Przez chwilę spoglądał na doktora, jakby oczekując jakichś dodatkowych poleceń, a następnie wysypał na dłoń mnóstwo świeżo wybitych chrisos.

Doktor Talos wziął w palce jedną z monet i podniósł ją tak, by padły na nią promienie słońca.

- Jak myślisz, ile czasu wieśniak znad jeziora Diuturna będzie gotów pracować przy wznoszeniu ścian naszego domu, żeby dostać ten pieniążek?

- Co najmniej rok.

- Dwa lata! Dzień w dzień, latem i zimą, bez względu na pogodę, naturalnie pod warunkiem, że co jakiś czas będziemy wypłacać mu część należności w miedzi, co też uczynimy. Zatrudnimy pięćdziesięciu takich ludzi.

- Jeżeli będą chcieli pracować - odezwał się Baldanders swoim dudniącym głosem.

Rudowłosa doktor podskoczył jak ukłuty nożem.

- Oczywiście, że będą chcieli! Możesz mi wierzyć, od poprzedniego razu zdążyłem już nauczyć się tego i owego.

- Przypuszczam, że część tych pieniędzy należy do mnie oraz do tych dwóch kobiet - wtrąciłem się.

Doktor Talos natychmiast się uspokoił.

- Naturalnie, byłbym zapomniiał. One dostały już swój udział. Połowa tego, co widzisz, jest twoja. Bądź co bądź, bez ciebie na pewno byśmy tego nie zarobili.

Wyjął pieniądze z dłoni olbrzyma i zaczął układać na ziemi w dwa stosiki.

Odniosłem wrażenie, że jego uwaga odnosi się tylko do mego udziału w sztuce, ale Dorcas, która chyba wyczuła, iż kryje się za tym coś jeszcze, zapytała:

- Co pan ma na myśli, doktorze?

Na lisiej twarzy doktora Talosa pojawił się uśmiech.

- Severian ma wysoko postawionych przyjaciół. Muszę przyznać, iż podejrzewałem to od samego początku. Kat przemierzający kraj od miasta do miasta niczym jakiś włóczęga, to trochę za dużo nawet dla Baldandersa, a ja lubię czasem myśleć, że jestem od niego trochę bystrzejszy.

- Nawet jeśli rzeczywiście mam takich przyjaciół, to nic o nich nie wiem - odparłem.

Stosiki były już równe. Doktor przesunął jeden w moją stronę, drugi zaś w kierunku olbrzyma.

- Kiedy znalazłem cię w łóżu z Baldandersem, w pierwszej chwili pomyślałem, że wysłano cię w charakterze ostrzeżenia, żebym zrezygnował z zamiaru wystawienia mojej sztuki. Jak zapewne sam zauważyłeś, pod wieloma względami - przynajmniej pozornie - traktuje ona cokolwiek krytycznie osobę Autarchy.

- Cokolwiek! - prychnęła z przekąsem Jolenta.

- Jednak potem doszedłem do wniosku, że wysyłanie z Cytadeli kata tylko po to, by napędzić stracha dwóm wędrowcom, nie miałoby najmniejszego sensu. Jeszcze później uświadomiłem sobie, iż wystawiając sztukę, zapewniamy ci znakomity kamuflaż. Mało kto byłby gotów podejrzewać sługę Autarchy o bratanie się z lada aktorami. Dlatego stworzyłem dodatkowo postać Pomocnika, aby lepiej uzasadnić twoją obecność na scenie.

- Nie wiedziałem o tym.

- Naturalnie. Nie chciałem przecież dopuścić do tego, żebyś stracił do nas zaufanie. Kiedy wczoraj zaczęliśmy przygotowywać scenę, zjawił się wysoki urzędnik z Domu Absolutu i zapytał, czy wchodzisz w skład naszej trupy oraz czy jesteś gdzieś w pobliżu. Właśnie wtedy uznałeś za stosowne oddalić się z Jolentą, ja jednak odpowiedziałem twierdząco na oba pytania.

On wówczas zapytał, jak duży jest twój udział w przedstawieniu, a kiedy mu powiedziałem, poinformował mnie, że polecono mu zapłacić nam z góry za występ. Okazało się to dla nas bardzo szczęśliwym rozwiązaniem, gdyż wątpię, czy po popisach tego niezrównoważonego osiłka udałoby nam się uzyskać choćby złamane asimi.

Chyba po raz pierwszy zauważyłem wtedy, że Baldandersowi sprawiły przykrość docinki jego lekarza. Zadał sobie trud, żeby odwrócić się do nas plecami, mimo że z pewnością musiał

okupić to dodatkowym bólem.

Dorcas powiedziała mi, że kiedy spałem w namiocie doktora Talosa, byłem tam zupełnie sam. Teraz wyczułem, że olbrzym myśli tak samo. W tej chwili był na polanie tylko on oraz kilka małych zwierzątek, czasem zabawnych, ale ostatnio coraz częściej nużących.

- On już zapłacił za swoją porywczosć - powiedziałem. - Widzę, że jest mocno poparzony.

Doktor skinął głową.

- I tak miał sporo szczęścia. Hierodule zmniejszyły moc swoich promieni, gdyż nie chciały go zabijać, a tylko powstrzymać. Żyje dzięki ich łasce i wkrótce się zregeneruje.

- To znaczy wykuruje? - zapytała Dorcas. - Życzę mu tego. Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi go żal.



- Masz litościwe serce, może nawet zbyt litościwe. Baldanders wciąż jeszcze rośnie, a rosące dzieci błyskawicznie powracają do zdrowia.

- Rośnie? - zdziwiłem się. - Przecież ma już siwe włosy.

Doktor roześmiał się.

- A więc widocznie siwieje rosnać. - Poderwał się z ziemi i otrzepał spodnie. - Drodzy przyjaciele, dotarliśmy do miejsca, w którym jak mawiają poeci, każdy musi skierować się ku swemu przeznaczeniu. Zatrzymaliśmy się tutaj, Severianie, nie tylko dlatego, że byliśmy znużeni, ale także dlatego, że tu właśnie rozdzielają się drogi prowadzące do Thraxu, dokąd ty zmierzasz, i nad jezioro Diuturna, gdzie my pragniemy dotrzeć. Nie chciałem minąć tego punktu -

ostatniego, w którym mogliśmy się spotkać - zanim nie podzieliłem się z tobą zarobkiem. Teraz jednak mamy już to za sobą. Czy poinformujesz swych dobroczyńców z Domu Absolutu, że rozliczyłem się z tobą jak należy?

Stosik chrisos leżał wciąż przede mną na ziemi.

- Tutaj jest sto razy więcej, niż kiedykolwiek spodziewałem się otrzymać - odparłem. -

Oczywiście, powiem im to.

Zgarnąłem monety i wrzuciłem je do sakwy.

Dorcas i Jolenta wymieniły szybkie spojrzenia.

- Idę do Thraxu z Severianem, jeżeli on właśnie tam zmierza - oświadczyła Dorcas.

Jolenta wysunęła rękę w kierunku doktora, najwyraźniej oczekując, że ten pomoże jej wstać.

- Baldanders i ja będziemy szli tylko we dwóch, a tej nocy nie zatrzymamy się nawet na chwilę - powiedział doktor Talos. - Będzie nam bardzo brakować was wszystkich, lecz czas rozstania już nadszedł. Dorcas, moje dziecko, ciesz się niezmiernie, że będziesz miała obrońcę. -

(Ręka Jolenty spoczywała już na jego udzie). - Chodź, Baldanders. Musimy ruszać.

Olbrzym dźwignął się z ziemi, a choć nawet nie jęknął, bez trudu dostrzegłem, jak wiele kosztowało go to cierpienia. Jego bandaże były przesączone potem i krwią.

- Baldanders i ja musimy porozmawiać przez chwilę na osobności - oznajmiłem. - Czy mogę was prosić, żebyście wszyscy odeszli na jakieś sto kroków?

Kobiety natychmiast zastosowały się do mego życzenia - Dorcas ruszyła przed siebie jedną ścieżką, Jolentą zaś drugą - natomiast doktor Talos pozostał w miejscu, w związku z czym musiałem powtórzyć prośbę.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy także odszedł? To nie ma żadnego sensu. Baldanders powtórzy mi wszystko, jak tylko do mnie wróci. Jolenta! Zbliź się, moja droga.

- Zrobiła to, o co ją poprosiłem.

- Owszem, tyle tylko, że wybrała niewłaściwą drogę, a ja nie mogę na to pozwolić. Jolenta!

- Doktorze, chcę tylko pomóc twojemu przyjacielowi albo niewolnikowi, kimkolwiek jest.

Niespodziewanie spod grubej warstwy bandażu wydobył się basowy głos Baldandersa:

- Jestem jego panem.

- Otóż to - powiedział doktor, po czym podniósł z ziemi stosik pieniędzy, który popchnął w stronę olbrzyma i włożył mu go do kieszeni.

Kiedy Jolenta przykuśtykała do nas, po jej policzkach płynęły ciurkiem łzy.

- Doktorze, czy mogę iść z tobą?

- Oczywiście, że nie - odparł lodowatym tonem, jakby była dzieckiem, które poprosiło o drugi kawałek ciasta. Jolenta osunęła się na ziemię u jego stóp.

Podniosłem wzrok na olbrzyma.

- Baldanders, myślę, że mogę ci pomóc. Nie tak dawno temu pomogłem mojemu przyjacielowi, który doznał równie poważnych obrażeń, co ty teraz. Nie zrobię jednak tego, dopóki doktor Talos i Jolenta będą się przyglądać. Czy pójdiesz ze mną kawałek ścieżką prowadzącą z powrotem do Domu Absolutu?

Olbrzym powoli pokręcił głową.

- On zna lekarstwo, które mu proponujesz - roześmiał się doktor. - Osobiście aplikował je wielu ludziom, ale sam zbyt wysoko ceni swoje życie.

- Proponuję mu właśnie życie, nie śmierć.

Doktor uniósł brwi.

- Doprawdy? A gdzie teraz jest twój przyjaciel?

Baldanders zacisnął dłonie na uchwytych wózka załadowanego bagażami.

- Czy słyszałeś kiedyś o Łagodzicielu? - zapytałem go.

- To było dawno temu - odparł. - Teraz nie ma już żadnego znaczenia.

Ruszył przed siebie tą ścieżką, której nie wybrała Dorcas. Doktor Talos, z Jolantą uczeponą jego

ramienia, zrobił kilka kroków w tym samym kierunku, po czym zatrzymał się.

- Severianie, z tego, co mi opowiadałeś, wynika, że strzegłeś już wielu więźniów. Czy zająłbyś się tą istotą, gdyby Baldanders dał ci jeszcze jedno chrisos, i zatrzymałbyś ją tak długo, aż oddalimy się na znaczną odległość?

Wciąż jeszcze nie mogłem dojść do siebie myśląc o bólu olbrzyma i mojej porażce, lecz zdołałem na tyle wziąć się w garść, aby odpowiedzieć:

- Jako członek konfraterni mogę przyjmować takie polecenia jedynie od przedstawicieli legalnych władz.

- W takim razie zabijemy ją, jak tylko znikniemy wam z oczu.

- To jest sprawa wyłącznie między tobą i nią - odparłem, po czym ruszyłem za Dorcas.

Ledwo jednak ją dogoniłem, kiedy oboje usłyszeliśmy przeraźliwe krzyki Jolenty. Dorcas złapała mnie za rękę i zapytała, co oznaczają te odgłosy, ja zaś powiedziałem jej o groźbie doktora.

- I pozwoliłeś jej iść?

- Nie sądziłem, że mówi poważnie.

Natychmiast zawróciliśmy, lecz zanim zrobiliśmy dziesięć kroków, krzyki umilkły i zapadła cisza tak głęboka, że słyszeliśmy nawet szelest spadających liści. Pobiegliśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy, choć podejrzewałem, że nasz pośpiech nie ma już najmniejszego sensu, i prawdę mówiąc biegłem tylko dlatego, że Dorcas czułaby się zawiedziona, gdybym tego nie uczynił.

Okazało się jednak, że nie miałem racji. Kiedy minęliśmy zakręt, ujrzeliśmy ją pędzącą ku nam z rękami skrzyżowanymi na piersiach, co miało zapobiec ich kołysaniu. Wspaniałe, rudozłote włosy opadły jej w nieładzie na oczy, a cienka koszula z organzyny wisiała na niej w strzępach. Zemdląła natychmiast, jak tylko padła w objęcia Dorcas.

- Pobili ją, niegodziwcy!

- Przed chwilą obawialiśmy się, że ją zamordują - zwróciłem jej uwagę, po czym obejrzałem sińce na grzbiecie pięknej kobiety. - Przypuszczam, że te ślady zostawiła laska doktora Talosa.

Powinna być mu wdzięczna, że nie kazał zająć się nią Baldandersowi.

- Ale co teraz zrobimy?

- Spróbujemy tego. - Wyjąłem z buta Pazur Łagodziciela i pokazałem jej. - Pamiętasz, co znaleźliśmy w mojej sakwie? Powiedziałaś wtedy, że to nie jest prawdziwy klejnot. Okazało się jednak, że nim jest, i że czasem pomaga leczyć rany. Chciałem użyć go na Baldandersie, lecz on się nie zgodził.

Przez chwilę potrzymałem Pazur nad głową Jolenty, a następnie przesunąłem go nad sińcami na jej

plecach, lecz nie zapłonął jaśniejszym blaskiem, a ona nie poczuła się ani odrobinę lepiej.

- Nie działa - stwierdziłem. - Będę musiał ją nieść.

- Przerzuć ją sobie przez ramię, bo inaczej trzymałbyś ją tam, gdzie ją najbardziej boli.

Dorcas wzięła ode mnie Terminus Est, ja zaś postąpiłem zgodnie z jej radą. Jolenta okazała się niemal tak ciężka jak mężczyzna. Minęło sporo czasu, który upłynął nam na powolnej wędrówce pod zielonym baldachimem liści, zanim otworzyła oczy. Jednak nawet po odzyskaniu przytomności nie była w stanie samodzielnie iść, stać, a nawet zaczesać do tyłu wspaniałych włosów, aby odsłonić doskonały owal mokrej od łez twarzy.

- Doktor nie pozwolił mi iść ze sobą - powiedziała.

Dorcas skinęła głową.

- Na to wygląda.

Powiedziała to takim tonem, jakby rozmawiała z kimś znacznie młodszym od siebie.

- Zginę bez niego.

Zapytałem, dlaczego tak myśli, ale Jolenta tylko potrząsnęła głową.

- Czy mogę pójść z tobą, Severianie? - odezwała się po dłuższej chwili. - Nie mam pieniędzy. Baldanders zabrał wszystko, co dostałam od doktora. - Zerknęła z ukosa na Dorcas. -

Ona dostała dużo więcej, chyba tyle samo co ty.

- Severian wie o tym - poinformowała ją Dorcas. - Wie też, że moje pieniądze należą do niego i może zrobić z nimi, co tylko zechce.

Postanowiłem zmienić temat.

- Myślę, iż obie powinniście zdawać sobie sprawę, że moja droga może nie wieść bezpośrednio do Thraxu. Wszystko zależy od tego, czy zdołam ustalić miejsce pobytu kobiet zwanych Pelerynami.

Jolenta spojrzała na mnie tak, jakbym był szalony.

- Słyszałam, że one krążą po całym świecie. Poza tym, nie przyjmują mężczyzn w swoje szeregi.

- Nie chcę się do nich przyłączyć, tylko je odnaleźć. Według najnowszych informacji, jakie do mnie dotarły, skierowały się właśnie na północ, ale będę musiał spotkać się z nimi nawet wówczas, gdyby oznaczało to konieczność zawrócenia na południe.

- Idę tam, dokąd i ty idziesz - oświadczyła stanowczo Dorcas. - Choćby nie do Thraxu.

- A ja nigdzie nie idę - powiedziała Jolenta, wzdychając głęboko.

Jak tylko okazało się, że nie musimy jej podtrzymywać, Dorcas i ja wysforowaliśmy się nieco naprzód. Po pewnym czasie obejrzałem się, aby sprawdzić, jak sobie radzi, i ku swemu zdumieniu zobaczyłem kogoś zupełnie innego od wyniosłej piękności, która towarzyszyła doktorowi Talosowi. Tamta trzymała się prosto i miała hardo podniesioną głowę, a jej oczy błyszczały jak brylanty, ta zaś szła zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

\* \* \*

- O czym rozmawiałeś z doktorem i olbrzymem? - zapytała Dorcas.

- Już ci powiedziałem.

- W pewnej chwili odezwałeś się tak głośno, że cię usłyszałam. Zapytałeś: „Czy słyszałeś kiedyś o Łagodzicielu?” Nie mogłam jednak odgadnąć, czy sam nigdy o nim nie słyszałeś, czy tylko chciałeś się dowiedzieć, co jeden z nich wie na ten temat.

- Słyszałem bardzo niewiele, właściwie nic. Widziałem wizerunki jego osoby, lecz tak bardzo różnią się między sobą, że z pewnością nie mogą przedstawiać tego samego człowieka.

- Są jeszcze legendy.

- Większość z nich jest po prostu głupia. Szkoda, że nie ma z nami Jonasa. Zająłby się Jolenta, a poza tym na pewno wiedziałby dużo o Łagodzicielu. Jonas to ten człowiek, którego spotkaliśmy u wejścia do Bramy Skruchy. Jechał na kłaczy. Przez pewien czas był moim dobrym przyjacielem.

- A gdzie jest teraz?

- Pytał już mnie o to doktor Talos. Nie wiem i nie chcę o tym mówić. Jeżeli koniecznie musisz rozmawiać, to lepiej opowiedz mi trochę o Łagodzicielu.

Bez wątpienia zabrzmiało to głupio, ale jak tylko wymieniłem to imię, w lesie zapadła ciężka, głucha cisza. Szmer słabego wiatru głaszczącego najwyższe gałęzie drzew przypominał

westchnienia ciężko chorego człowieka, a bladozielone, spragnione słońca liście wyglądały jak twarze głodnych dzieci.

- Nikt nie wie o nim zbyt wiele, a ja chyba jeszcze mniej od ciebie - zaczęła Dorcas. - Nie pamiętam nawet, od kogo usłyszałam to, co wiem. W każdym razie, niektórzy twierdzą, że był

zaledwie chłopcem, inni znowu, że nie był nawet człowiekiem ani też kakogenem, tylko ucieleśnioną na nasz użytek myślą jakiejś trudnej do wyobrażenia istoty, dla której rzeczywistość znaczy tyle co papierowy teatrzyk cieni. Podobno kiedyś dotknął jedną ręką umierającej kobiety, drugą zaś ujął gwiazdę, łącząc w ten sposób na wieki ludzkość z wszechświatem i wszechświat z ludzkością. Potrafił zniknąć i pojawiać się wówczas, gdy wszyscy myśleli, że nie żyje, czasem nawet po tym, jak został pochowany. Można było spotkać go pod postacią zwierzęcia przemawiającego ludzkim

głosem, a jakiejś pobożnej kobiecie objawił się kiedyś jako krzak róży.

Przypomniałem sobie uroczystość nadania mi godności czeladnika.

- Świętej Katarzynie, podczas jej egzekucji.

- Jest też wiele innych, bardziej ponurych legend.

- Opowiedz mi je.

- Boję się ich - odparła Dorcas. - Poza tym prawie nic nie pamiętam. Czy w twojej brązowej książce nie ma żadnej wzmianki na jego temat?

Natychmiast to sprawdziłem. Okazało się, że była, ale ponieważ miałbym trudności z czytaniem podczas marszu, schowałem książkę do sakwy i postanowiłem przeczytać ten rozdział, kiedy zatrzymamy się na odpoczynek.

## **ROZDZIAŁ XXVII**

# W kierunku Thraxu

Aż do zmroku podążaliśmy ścieżką przez gęsty las. Mniej więcej wachnię po zapadnięciu ciemności dotarliśmy do brzegu rzeki znacznie mniejszej od Gyoll i szybciej od niej płynącej, gdzie w blasku księżyca ujrzelśmy po drugiej stronie pola falującej trzciny cukrowej. Jolenta już od dłuższego czasu popłakiwała ze zmęczenia, więc Dorcas i ja uznaliśmy, że wszystkim nam należy się odpoczynek. Początkowo obawiałem się, że nie będziemy mieli z czego zrobić ogniska, gdyż nigdy nie ośmieliłbym się użyć Terminus Est do rąbania drewna, leżące zaś na ziemi gałęzie były albo przesiąknięte wilgocią, albo już tak zgniłe, że rozpadały się przy lada dotknięciu, lecz na szczęście na samym brzegu znaleźliśmy mnóstwo wysuszonych przez wiatr i słońce patyków.

Ułożyliśmy z nich sporą stertę, kiedy przypomniałem sobie, że nie mam już metalowego przedmiotu otrzymanego od Vodalusa - został w rękach Autarchy, który (nie miałem co do tego żadnych wątpliwości), był także tym „wysokim urzędnikiem z domu Absolutu”, od którego doktor Talos otrzymał sakiewkę pełną złotych chrisos. Na szczęście w bagażach Dorcas znalazły się krzemień, krzesiwo i hubka, dzięki czemu już wkrótce siedzieliśmy przy trzaskającym ogniu.

Jolenta bała się dzikich bestii, głucha na moje wyjaśnienia, że jest mało prawdopodobne, aby żołnierze pozwolili żyć jakimś niebezpiecznym zwierzętom w lesie łączącym się bezpośrednio z ogrodami Domu Absolutu. Aby ją uspokoić, wsadziłem w ognisko trzy grube kije, aby w razie niebezpieczeństwa chwycić je i posłużyć się nimi jak pochodniami.

Żadne bestie jednak się nie zjawily, natomiast dym odstraszył komary, dzięki czemu mogliśmy wygodnie położyć się na wznak i obserwować iskry ulatujące w nocne niebo. Znacznie wyżej od czasu do czasu przemykały światła ślizgaczy niosących na swych pokładach ministrów i generałów Autarchy. Dorcas i ja zastanawialiśmy się, co sobie mogli pomyśleć, jeśli akurat spojrzeli w dół i ujrzeni maleńką, szkarłatną gwiazdkę naszego ogniska. Doszliśmy do wniosku, że chyba dziwią się nam co najmniej tak samo jak my im, próbując dociec, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy i dlaczego. Potem Dorcas zaśpiewała mi piosenkę o dziewczynie, która spaceruje wiosną po lesie i tęskni za swoimi przyjaciółmi, ubiegłorocznymi liśćmi.

Jolenta wybrała miejsce między ogniskiem a brzegiem rzeki - przypuszczalnie dlatego, że tam czuła się najbezpieczniej. Dorcas i ja leżeliśmy po drugiej stronie ognia, nie tylko dlatego, że chcieliśmy znaleźć się poza zasięgiem jej wzroku, jednocześnie nie oddalając się zbyt, ale przede wszystkim z powodu niemiłych skojarzeń, jakie budziły u Dorcas odgłosy płynącej wody.

- Zupełnie jak robak - powiedziała. - Albo jak wielki wąż, który co prawda akurat nie jest głodny, ale wie, gdzie jesteśmy i prędzej czy później na pewno zjawi się, by nas pożreć. Czy ty nie boisz się węży, Severianie?

Thecla bardzo się ich bała. Poczulem w sobie drgnięcie jej strachu i skinąłem głową.

- Słyszałam, że w gorących lasach północy autarchą wszystkich węży jest Uroboros, brat Abai i że myśliwym, którzy natrafili na jego kryjówkę, wydaje się, że znaleźli tunel prowadzący pod dnem oceanu. Zagłębiając się w niego, w rzeczywistości wchodzi mu do ust i niczego nie podejrzewając

podążają w głąb gardła, tak że są już trupami, choć wydaje im się, że jeszcze żyją.

Z kolei inni twierdzą, że Uroboros to tylko ogromna rzeka wpadająca do swych własnych źródeł albo sam ocean, który pożera żyjące w nim istoty.

Opowiadając o tym Dorcas przysuwała się coraz bliżej, aż wreszcie objąłem ją i mocno przygarnąłem do piersi. Wiedziałem, że chce się ze mną kochać, chociaż nie mieliśmy żadnej pewności, czy Jolenta zasnęła już po drugiej stronie ogniska. Od czasu do czasu przez jej obfite ciało przebiegało drżenie, upodabniając ją na chwilę do ponętnego węża. Dorcas uniosła ku mnie swą małą, niewinną twarz, a ja pocałowałem ją, czując, jak przyciska się do mnie, pełna pożądania.

- Tak mi zimno... - szepnęła.

Była naga, choć nie zauważyłem, kiedy zdjęła ubranie. Kiedy otuliłem ją płaszczem, odniosłem wrażenie, że jej skóra, rozgrzana żarem buchającym od ognia, niemal parzy. Drobne dłonie wsunęły się pod moje ubranie i zaczęły mnie delikatnie pieścić.

- Jaki wspaniały... - szepnęła ponownie. - Jaki gładki... - A potem zapytała jak dziecko (mimo że przecież nie był to nasz pierwszy raz): - Czy nie będę za mała?

\* \* \*

Kiedy się obudziłem, księżyc (trudno było uwierzyć, że jest to ten sam księżyc, który prowadził mnie przez ogrody Domu Absolutu) został już prawie połknięty przez wędrujący niestrudzenie ku górze zachodni horyzont. Jego szmaragdowy blask padał ukosem na rzekę, sprawiając, że każda, nawet najdrobniejsza zmarszczka na wodzie rzucała czarny cień niczym groźna fala.

Bez żadnego wyraźnego powodu ogarnął mnie niepokój. Obawy Jolenty przestały mi się wydawać takie zabawne, szybko więc zerwałem się z miejsca, a upewniwszy się, że zarówno ona, jak i Dorcas są zdrowe i całe, nazbierałem nieco drewna i podsyciłem dogasający ogień.

Nagle przypomniałem sobie słowa Jonasa, który ostrzegwał mnie, że notule są bardzo często wysyłane nocą, a zaraz potem zacząłem rozmyślać o tajemniczym stworzeniu żyjącym w przedpokoju Domu Absolutu. W górze przelatywały nocne ptaki - nie tylko sowy, których mnóstwo gnieździło się w zrujnowanych wieżach Cytadeli, a które było łatwo rozpoznać po okrągłych głowach i szerokich, poruszających się bezszelestnie skrzydłach - ale także zupełnie inne, o rozdwojonych ogonach. Część z nich opadała ku rzece i piła w locie, chwytając otwartymi dziobami krople wody. Od czasu do czasu z drzewa na drzewo przelatywały największe ćmy, jakie kiedykolwiek widziałem. Ich pokryte rysunkami skrzydła miały długość męskiego ramienia. Ćmy rozmawiały między sobą niemal jak ludzie, tyle tylko, że bardzo wysokimi, prawie niesłyszalnymi głosami.

Kiedy dorzuciłem patyków do ognia, upewniłem się, że mój miecz leży tam, gdzie go położyłem, i popatrzyłem przez chwilę na niewinną twarz pogrążonej we śnie Dorcas, po czym ułożyłem się ponownie na swoim miejscu i obserwując ptaki podróżujące między konstelacjami zapuściłem się w krainę wspomnień. Kraina ta - wszystko jedno, czy akurat przyjazna mi czy też wroga - nigdy się



przede mną całkowicie nie zamyka.

Pragnąłem odtworzyć w pamięci obchody Dnia Świętej Katarzyny, które odbyły się w rok po tym, jak zostałem kapitanem uczniów, ale zanim ponownie ujrzałem rozpoczynające się przygotowania, niewyraźny jeszcze obraz przesłoniły inne, nieproszone wspomnienia, tłoczące się bez ładu i składu. Podniosłem do ust kubek wina ukradzionego w kuchni, ale on nagle zamienił się w pierś obficie broczącą ciepłym mlekiem. Była to pierś mojej matki, mnie zaś ogarnęła ogromna radość, że wreszcie będę mógł jej dotknąć po tylu bezowocnych wysiłkach.

Wyciągnąłem ręce, a gdybym tylko był w stanie, podniósłbym także oczy, by na nią spojrzeć.

Tak, to na pewno była moja matka, ponieważ dzieci trafiające do konfraterni nigdy nie są kar-mione pierśią. A więc szarość wypełniająca obrzeże mego pola widzenia to były ściany celi, skąd wkrótce zostanie zabrana, aby doświadczać cierpień zadawanych przez aparat lub naszyjnik Allowina. Chciałem ją jakoś przytrzymać, zaznaczyć tę chwilę, tak by móc wrócić do niej za każdym razem, kiedy przyjdzie mi ochota, lecz moja matka nagle rozplynęła się jak mgła, ustępująca przy najłżejszym nawet podmuchu wiatru.

Znowu byłem dzieckiem... dziewczynką... Theclą. Stałam we wspaniałej komnacie z lustrami zamiast okien - lustrami, które nie tylko odbijały obrazy, ale także oświetlały całe pomieszczenie. Otaczały mnie piękne, mniej lub bardziej rozebrane kobiety, wszystkie znacznie wyższe ode mnie. Powietrze było gęste od zapachu perfum. Szukałam tu kogoś, lecz spoglądając na wymalowane twarze kobiet, tak piękne, że aż doskonałe, zaczęłam wątpić, czy rozpoznam tę, którą pragnęłam znaleźć. Po moich policzkach popłynęły łzy. Podbiegły do mnie trzy kobiety, a ja zobaczyłam, jak ich oczy maleją do rozmiarów odległych gwiazd, nad ustami zaś wyrastają półprzezroczyste, delikatne skrzydła.

- Severianie...

Usiadłem raptownie, nie bardzo wiedząc, kiedy wspomnienia przeistoczyły się w sen. Głos był słodki, chociaż bardzo niski, a ja, zdając sobie doskonale sprawę, że już go kiedyś słyszałem, nie potrafiłem przypomnieć sobie, gdzie ani kiedy to było. Księżyc skrył się już niemal całkowicie za zachodnim horyzontem, a ognisko ponownie przygasło. Dorcas odrzuciła przykrycie i leżała zupełnie naga pod kopułą nocnego nieba. Widząc jej jasne ciało, jeszcze bledsze w zielonkawym blasku księżycy (z wyjątkiem miejsc, gdzie padało na nie rubinowe światło żarzących się głowni), poczułem tak wielkie pożądanie, jakiego nie dane mi było zaznać nigdy w życiu - ani wtedy, kiedy ścisnąłem Agię na Schodach Adamniana, ani wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Jolentę na scenie, ani nawet wtedy, kiedy pędziłem co sił w nogach do celi Thecli. Jednak obiektem mego pożądania wcale nie była Dorcas. Kochałem się z nią zaledwie kilka chwil temu, a choć wierzyłem, iż darzy mnie prawdziwym uczuciem, to przypuszczałem jednak, że oddała mi się tak chętnie wyłącznie dlatego, że podejrzewała mnie o igraszki z Jolentą przed wczorajszym spektaklem oraz że była niemal pewna, iż teraz Jolenta obserwuje nas ze swego miejsca po drugiej stronie ogniska.

Nie pożądałem także pochrapującej lekko Jolenty. Pragnąłem obu tych kobiet naraz, a także Thecli, bezimiennej dziewczyny udającej ją w Lazurowym Pałacu, jej przyjaciółki, która wcieliła się w postać Thei, oraz Agii, Valerii, Morweny i tysiąca innych kobiet. Wspominałem wiedźmy, ich szaleństwo i dzikie tańce, jakie urządzały na Starym Dziedzińcu w strugach deszczu, wspominałem

też chłodny, dziewiczy urok odzianych na czerwono Peleryn.

- Severianie...

To nie był sen. Ptaki, drzemiące na gałęziach pobliskich drzew, zatrzepotały skrzydłami.

Obnażyłem Terminus Est i zbliżyłem go do ognia, aby płomień odbił się w jego ostrzu, dzięki czemu ten, kto wypowiedział moje imię, mógł zobaczyć z daleka, że jestem uzbrojony.

Ponownie zapadła cisza, chyba nawet jeszcze głębsza niż ta, jaka panowała w nocy.

Czekałem, rozglądając się uważnie dokoła w poszukiwaniu tajemniczej osoby, choć jednocześnie zdawałem sobie sprawę, iż byłoby lepiej, gdybym wyglądał na kogoś, kto wie, z której strony zbliża się zagrożenie. Dorcas poruszyła się i jęknęła cicho, lecz nie obudziła się, podobnie jak Jolenta. Do moich uszu docierał jedynie szelest liści poruszanych porannym wiatrem, trzask dogasającego ogniska i chlupot wody.

- Gdzie jesteś? - zapytałem szeptem, lecz nie uzyskałem odpowiedzi. W rzece rzuciła się ryba.

- Severianie...

Choć bardzo niski, głos należał z pewnością do kobiety. Odniosłem wrażenie, że drży z żądy i podniecenia. Nie schowałem jednak miecza, gdyż przypomniałem sobie Agię.

- Piaszczysta łacha...

Mimo iż podejrzewałem, że to tylko podstęp, który miał skłonić mnie do odwrócenia się plecami do ściany lasu, pozwoliłem moim oczom przesunąć się po rzece. W odległości mniej więcej dwustu kroków od naszego obozowiska dostrzegłem szeroką łachę piasku.

- Chodź do mnie.

A więc to nie był podstęp - lub przynajmniej nie taki, jakiego się obawiałem. Głos rzeczywiście dobiegał od strony rzeki.

- Chodź, proszę... Kiedy tam stoisz, nie słyszę twojego głosu.

- Nic nie mówiłem - odparłem, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Nadal stałem, niezdecydowany, lękając się zostawić Dorcas i Jolentę bez opieki.

- Proszę... Kiedy promienie słońca padną na wodę, będę musiała zniknąć. To być może nasza jedyna szansa.

W okolicy łachy rzeka była znacznie szersza, a ja mogłem dojść suchą stopą niemal na sam jej środek. Po mojej lewej stronie koryto się zwężało, po prawej zaś miałem głęboki basen szerokości około dwudziestu kroków, z którego woda wypływała szybko, lecz bez żadnych widocznych zaburzeń ani zawirowań. Stałem na piasku opierając się obiema rękami na rękojeści miecza.

- Jestem - powiedziałem głośno. - Gdzie mam cię szukać? Czy teraz mnie słyszysz?

Trzy ryby wyskoczyły jednocześnie nad wodę, a potem jeszcze raz, pokrywając jej powierzchnię mnóstwem koncentrycznych, przecinających się kręgów. Tuż obok mojej nogi przesunął się brązowy wąż, gruby jak moje przedramię, ze złotymi i czarnymi plamami na skórze, podniósł na chwilę głowę, zasyczał cicho, po czym zsunął się do wody i odpłynął, falując dostojnie.

- Nie lękaj się. Spójrz na mnie. Przekonaj się, że nie chcę wyrządzić ci krzywdy.

Woda przybrała jeszcze bardziej intensywny, zielony kolor. Na jej powierzchni pojawiło się tysiące szmaragdowych, wijących się macek, potem zaś szybko rosnący jasny okrąg o średnicy jakichś trzech kroków.

Zrozumiałem, co to jest, dopiero wówczas, kiedy znalazł się tuż przy powierzchni - a i to tylko dlatego, że otworzył oczy. Spod wody spoglądała na mnie kobieta tak wielka, że Baldanders przy niej wyglądał jak zabawka. Miała szkarłatne oczy, a usta tak mocno purpurowe, iż w pierwszej chwili wziąłem je za coś zupełnie innego. Spomiędzy nich wyłaniały się niezliczone, ostro zakończone zęby. Okalające twarz macki były włosami kobiety.

- Przybyłam tu po ciebie, Severianie - powiedziała. - Nie, to nie jest sen.

## **ROZDZIAŁ XXVIII**

# Odaliski Abaii

- Kiedyś śniłem o was - odparłem.

Pod wodą widziałem jej ogromne, nagie ciało.

- Śledziłyśmy olbrzyma i dzięki temu znalazłyśmy ciebie. Niestety, szybko straciłyśmy cię z oczu, kiedy się rozdzieliliście. Myślałeś wówczas, że cię nienawidzimy, nie podejrzewając nawet, jak bardzo jesteś kochany. Morza całego świata zakołysały się z żalu po tobie, a fale roniły słone łzy i ogarnięte rozpaczą rzucały się na skały.

- Czego chcesz ode mnie?

- Tylko miłości. Tylko twojej miłości.

Na powierzchni wody pojawiła się jej prawa ręka i spoczęła tam, niczym tratwa zbudowana z pięciu białych pni. Była to ręka prawdziwej olbrzymki; na czubku każdego palca bez trudu mogła zmieścić się mapa całego jej królestwa.

- Czyż nie jestem piękna? Gdzie mógłbyś ujrzeć skórę jaśniejszą od mojej albo bardziej czerwone usta?

- Twój widok zapiera dech w piersiach - odparłem zgodnie z prawdą. - Czy mogę jednak zapytać, dlaczego śledziłyście Baldandersa? I dlaczego nie zaczęłyście śledzić mnie, choć wnioskuję, iż bardzo wam na tym zależało?

- Obserwujemy go, ponieważ wciąż rośnie. Pod tym względem przypomina zarówno nas, jak i naszego ojca-męża, Abaię. Kiedy ziemia nie będzie już mogła go unieść, zamieszka w wodzie.

Ty jednak możesz uczynić to już teraz, jeśli tylko zechcesz. Pozwolimy ci oddychać tam równie łatwo, jak czynisz to w tej chwili, a kiedy zechcesz, pozwolimy ci wrócić na ląd, po koronę, która ci się należy. Ta rzeka, Cephissus, łączy się z Gyoll, która z kolei wpada do morza. Będziesz mógł jeździć na grzbiecie delfina nad ciągnącymi się bez końca koralowymi polami. Moje siostry i ja pokażemy ci zbudowane przed wiekami miasta, gdzie przez wiele pokoleń żyli i rozmnażali się ludzie tacy jak ty, o których już zapomnieliście.

- Nie czeka na mnie żadna korona - powiedziałem. - Bierzesz mnie za kogoś innego.

- Wszystkie będziemy twoje, w szkarłatnych i białych ogrodach, wśród płasających ryb.

Mówiąc to odchyliła do tyłu wielką głowę, tak że jej twarz znalazła się równoległe do powierzchni wody. Wkrótce potem ujrzałem białą szyję i wielkie piersi o krwistoczerwonych sutkach, które wystawały z wody, pozwalając pieścić się drobnym falom. Kilka oddechów później jej czterdziestołokciowej długości ciało leżało przede mną w całej okazałości.

Wy, którzy to czytacie, być może nie będziecie w stanie zrozumieć, jak mogło pociągać mnie coś tak

potwornie wielkiego. Prawda przedstawia się jednak w ten sposób, że pragnąłem jej uwierzyć i pójść za nią równie mocno, jak tonący pragnie nabrać powietrza w płuca. Gdybym do końca zaufał jej słowom, z pewnością wskoczyłbym do wody, zapominając o całym świecie.

- Owszem, czeka, choć ty jeszcze nic o tym nie wiesz. Czy przypuszczasz, że my, które pluszczemy się w tak wielu wodach - nawet między gwiazdami - jesteśmy ograniczone tylko do jednego czasu? Widziałyśmy już, kim byłeś i kim się staniesz. Zaledwie wczoraj leżałeś w mojej dłoni, a ja wyniosłam cię nad gęste od roślin wody Gyoll, ratując ci życie.

- Daj mi moc oddychania wodą i pozwól mi sprawdzić ją po drugiej stronie łąchy - zażądałem. - Pójdę z tobą, jeśli przekonam się, że mówisz prawdę.

Obserwowałem, jak poruszają się jej wielkie usta. Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak głośno musiała mówić pod wodą, skoro słyszałem ją bez żadnego trudu, ale kiedy się odezwała, kilka ryb ponownie wyskoczyło nad powierzchnię.

- To nie jest takie proste. Najpierw musisz mi zaufać, choćby na krótką chwilę. Chodź.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja w tej samej chwili usłyszałem, przerażony głos Dorcas wołającej o pomoc.

Odwróciłem się w stronę ogniska, lecz myślę, że gdyby olbrzymka zaczęła, poszedłbym za nią. Ona jednak tego nie uczyniła. Woda podniosła się w rzece z ogłuszającym rykiem i runęła na mnie z furją. Poczujęm się tak, jakby wylano mi na głowę całe jezioro. Kiedy potop minął, znalazłem się na brzegu, całkowicie przemoczony, poturbowany i bez miecza. W odległości pięćdziesięciu kroków ode mnie olbrzymka wyłoniła się z wody. Jej ciało natychmiast obwisło, grożąc połamaniem ukrytym pod nim kościom, a włosy przestały się poruszać, spływając po plecach aż do mokrego piasku. Nagle z ogromnych nozdrzy buchnęła krew, mieszając się z wodą.

Uciekłem, a kiedy dotarłem do obozowiska, olbrzymka zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie zamierający powoli wir w wymieszanej z mułem wodzie.

Twarz Dorcas była śmiertelnie blada.

- Co to było? - wyszeptała drżącymi wargami. - Gdzie byłeś?

- A więc ty także ją widziałaś. Bałem się już, że...

- Jakie to okropne! - Rzuciła mi się w ramiona i przytuliła mocno. - Okropne!

- Ale chyba nie dlatego krzyczałaś, prawda? Mogłaś zobaczyć ją stąd dopiero wtedy, kiedy wyłoniła się z wody.

Dorcas wskazała bez słowa na Jolentę leżącą po drugiej stronie ogniska. Ziemia wokół niej była przesiąknięta krwią.

Na lewym przedramieniu Jolenty, w pobliżu przegubu, znajdowały się dwa wąskie nacięcia długości mojego kciuka. Dotknąłem ich Pazurem, lecz krew nie chciała zakrzepnąć.

Opatrzyliśmy więc rany bandażami sporządzonymi naprędce ze skromnego zapasu garderoby Dorcas, ja zaś zagotowałem w rondlu wodę, do której wrzuciłem igłę i nitkę, po czym zaszyłem oba nacięcia. Przez cały czas Jolenta była półprzytomna; zdarzało się, że otwierała oczy, ale zaraz po tym je zamykała, jej spojrzenie zaś świadczyło o tym, że nie poznawała ani mnie, ani Dorcas. Odezwała się tylko jeden jedyny raz:

- Widzisz teraz, że ten, którego czciłeś jak bóstwo, z niewzruszoną twarzą doradzi ci to samo, co słyszałeś ode mnie. Zaczniemy wszystko od początku, jeszcze zanim wzejdzie Nowe Słońce.

Wówczas nie skojarzyłem sobie, że jest to fragment jej roli.

Kiedy rana przestała krwawić, przenieśliśmy Jolentę w inne miejsce i obmyliśmy ją z krwi.

Zaraz potem wróciłem tam, gdzie rzuciła mnie wzburzona woda, a po krótkich poszukiwaniach udało mi się odnaleźć Terminus Est. Był tak głęboko zagrzebany w piasku, że sterczała tylko końcówka rękojeści.

Czyszcząc i smarując ostrze oliwą zastanawiałem się wspólnie z Dorcas, co powinniśmy uczynić. Opowiedziałem jej sen, jaki przyśnił mi się ostatniej nocy przed spotkaniem z Baldandersem i doktorem Talosem, potem zaś zrelacjonowałem niedawną rozmowę z olbrzymką.

- Myślisz, że ona jeszcze tam jest? Może tylko ukryła się na samym dnie, tak by nie było jej widać z brzegu?

Potrząsałem głową.

- Wątpię. Chyba coś jej się stało, kiedy próbowała rzucić się na mnie, a sądząc po bladości jej cery raczej nie mogłaby przebywać w dzień w rzece płytszej niż Gyoll. Jednak nawet gdyby tam była, nie dostrzegłbym jej, gdyż woda jest bardzo zmacona.

Dorcas - która nigdy nie wyglądała bardziej uroczo niż w tej chwili, siedząc na ziemi z podkuloną nogą i brodą opartą na kolanie - milczała przez jakiś czas, obserwując obłoki nad wschodnim horyzontem, rozpalone od środka tajemniczą, powracającą co dnia nadzieją na nadejście świtu.

- Chyba bardzo cię pragnęła - powiedziała wreszcie.

- Dlatego, że usiłowała wyjść z wody? Zapewne kiedyś żyła na łodzi, tak jak my wszyscy, i po prostu zapomniała na chwilę, iż nie ma już dla niej powrotu.

- Ale przedtem musiała płynąć pod prąd brudną Gyoll i tą wąską, płytką rzeką. Z pewnością miała nadzieję porwać cię podczas przeprawy, ale przekonała się, że nie może pokonać piaszczystej łąchy, i dlatego ściągnęła cię na brzeg. Dla kogoś przyzwyczajonego do pływania wśród gwiazd nie była to z pewnością przyjemna podróż.

- Wierzysz jej więc?

- Kiedy odszedłeś, pozostawiając mnie z doktorem Talosem, wielokrotnie słyszałam od niego i od Jolenty, że jestem okropnie naiwna wierząc w opowieści ludzi spotkanych po drodze, w historyjki Baldandersa, a nawet w to, co oni sami mi mówią. Mimo to sądzę, iż nawet łgarze mówią prawdę częściej niż kłamstwa. Przecież tak jest łatwiej! Po co miałyby twierdzić, że ocaliła ci życie, gdyby to była nieprawda? Albo że pływa między gwiazdami? Widzę jednak, że coś cię niepokoi. Opowiesz mi o tym?

Nie chciałem relacjonować ze szczegółami mojego spotkania z Autarchą, powiedziałem więc tylko:

- Niedawno widziałem w jakiejś książce ilustrację przedstawiającą istotę, która żyje w przestrzeni między słońcami. Miała skrzydła, ale nie takie jak ptak, tylko nieskończenie wielkie płachty czarnego materiału, i odpychała się nimi od blasku gwiazd.

Dorcas spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

- Czy ta ilustracja jest w twojej brązowej książce?

- Nie, w innej. Nie wziąłem jej ze sobą.

- To przypomina mi, że chcieliśmy sprawdzić, co twoja książka może nam powiedzieć o Łagodzicielu. Masz ją jeszcze?

Miałem i wydobyłem ją z sakwy. Była cała wilgotna po mojej kąpieli, otworzyłem więc ją i położyłem w miejscu, gdzie docierały promienie słońca, a lekki wietrzyk odwracał kartki.

Rozmawiając z Dorcas spoglądałem na kolejne wizerunki mężczyzn, kobiet i potworów, dzięki czemu pozostały w mojej pamięci aż po dziś dzień. Od czasu do czasu pojedyncze słowa lub nawet całe wyrażenia zdawały się wyskakiwać z kart, kiedy promienie stojącego nisko na niebie słońca załśniły szczególnie mocno w błyszczącym atramencie. „Bezlitosny wojownik...”,

„...klarowna żółć...”, „Działo się to w dawnych czasach, kiedy świat był młody”. „Piekło nie ma granic ani też nie jest w żaden sposób określone, gdyż istnieje tylko tam, gdzie my jesteśmy, a gdzie my jesteśmy, tam musi być Piekło”.

- Nie chcesz teraz czytać? - zapytała Dorcas.

- Nie. Chcę usłyszeć, co się stało z Jolentą.

- Naprawdę nie wiem. Spałam, a śniło mi się... to, co zawsze. Weszłam do sklepu z zabawkami. Na półkach tłoczyło się mnóstwo lalek, pośrodku zaś znajdowała się studnia, na której cembrowinie też siedziały lalki. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że moje dziecko jest jeszcze za małe, by bawić się lalkami, ale one były takie śliczne, a ja od dawna nie miałam żadnej lalki, postanowiłam więc kupić sobie jedną i zachować dla dziecka. Wybrałam najładniejszą -

jedną z tych, które siedziały na studni - ale kiedy sprzedawca podał mi ją, zobaczyłam, że to Jolenta i

wypuściłam ją z rąk. Spadała bardzo długo ku jakiejś ciemnej wodzie. Potem obudziłam się i oczywiście spojrzałam na nią, żeby się przekonać, czy nic jej nie jest...

- I zobaczyłaś, że krwawi?

Dorcas skinęła głową. Promienie słońca zaśniły w jej złotych włosach.

- Zawołałam więc ciebie, dwa razy, a potem zobaczyłam cię przy tej łasze piasku obok tej okropnej rzeczy, która wyłoniła się z wody.

- Nie musisz się już niczego bać - powiedziałem. - Jolenta została ugryziona przez jakieś zwierzę, to zupełnie oczywiste. Nie mam pojęcia, co to za zwierzę, ale sądząc po rozmiarach ukąszenia, było raczej niewielkie. Nie powinniśmy obawiać się go bardziej niż innych małych zwierząt o ostrych zębach i paskudnym charakterze.

- Pamiętam, jak kiedyś opowiadano mi o żyjących na północy nietoperzach, które odżywiają się ludzką krwią. Straszono mnie nimi, kiedy byłam dzieckiem. Kilka lat później do naszego domu dostał się zwykły nietoperz. Został zabity, a ja zapytałam ojca, czy to był ten pijący krew i czy takie stworzenia naprawdę istnieją. Powiedział, że istnieją i żyją na dalekiej północy, w gorących, wilgotnych lasach rosnących w samym sercu świata. Nocami kłają śpiących ludzi lub pasące się bydło, ich ślina zaś jest tak trująca, że rany w ogóle nie chcą się goić. - Umilkła na chwilę i spojrzała na wierzchołki drzew. - Ojciec powiedział także, że miasto od początku swego istnienia przesuwa się coraz bardziej na północ i że prędzej czy później dotrze do obszarów zamieszkałych przez te nietoperze, które osiedlą się wówczas w opuszczonych budynkach.

Mieszkańcy Domu Absolutu już teraz muszą mieć z nimi spore problemy, a my przecież jeszcze się na dobre nie oddaliliśmy od niego.

- Głęboko współczuję Autarsze - powiedziałem. - Po raz pierwszy słyszę cię mówiącą tak wiele o przeszłości. Czy pamiętasz już swego ojca i dom, w którym zabito nietoperza?

Podniosła się z ziemi, lecz choć starała się nadrabiać miną, widziałem, że cała drży z lęku.

- Każdego ranka, po przebudzeniu się z kolejnego snu, pamiętam coraz więcej. Severianie, musimy już iść. Jolenta na pewno będzie bardzo osłabiona. Potrzebuje jedzenia i czystej wody do picia. Nie możemy tutaj zostać.

Ja sam byłem potwornie głodny. Schowałem książkę do sakwy i wsunąłem do pochwy świeżo naoliwione ostrze Terminus Est, Dorcas zaś zarzuciła sobie na ramię niewielki tobolek z dobytkiem.

Zaraz potem ruszyliśmy w drogę, przeprawiwszy się przez rzekę powyżej piaszczystej łachy.

Jolenta była tak słaba, że musieliśmy podtrzymywać ją z obu stron. Jej twarz przypominała nieruchomą maskę, a choć odzyskała już przytomność, to prawie się nie odzywała. Dopiero teraz zauważyłem, że ma bardzo wąskie wargi, dolna zaś utraciła całą sprężystość i opada bezsilnie, odsłaniając nie tylko zęby, ale nawet posiniałe dziąsła. Odniosłem wrażenie, że całe jej ciało, wczoraj takie obfite, stopiło się jak wosk. Jeszcze niedawno wyglądała przy Dorcas jak rozwinięta



kobieta przy dziecku, teraz zaś można ją było porównać do schyłku lata, podczas gdy Dorcas uosabiała wiosenną świeżość.

Idąc wąską, piaszczystą ścieżką graniczącą po obu stronach z polami trzciny cukrowej, rozmyślałem bez końca o tym, jak bardzo jej pożałowałem, choć znaliśmy się przecież tak krótko.

Moja pamięć - tak doskonała i nieomylna, bardziej odurzająca od najsilniejszego narkotyku -

podsuwała mi obraz, jaki ujrzałem wówczas, gdy nocą wyszliśmy z Dorcas zza kępy drzew i ujrzeliśmy na łące jasno oświetloną scenę doktora Talosa. Jakże dziwiłem się nazajutrz, kiedy wyruszyliśmy w drogę, że za dnia Jolenta jest równie piękna jak nocą, w blasku płonących pochodni.

Miłość i pożądanie są podobno jedynie dalekimi krewnymi. Przekonałem się o tym, prowadząc Jolentę uczeptioną mojej szyi, ale teraz uważam, że prawda wygląda nieco inaczej.

Wydaje mi się, iż miłość była zaledwie ciemniejszą stroną kobiecego ideału, jaki pielęgnowałem w sobie śniąc o Valerii, Thecli, Agii, Dorcas, Jolencie, a nawet o towarzyszcze Vodalusa o twarzy w kształcie serca i głosie gołębicy, która potem okazała się przyrodnią siostrą Thecli, kasztelanką Theą. Podczas wędrowki między dwiema ścianami trzciny cukrowej, kiedy opadło ze mnie całe pożądanie i spoglądałem na Jolentę już tylko ze współczuciem, przekonałem się, iż choć jeszcze niedawno wydawało mi się, że zależy mi wyłącznie na jej natarczywym, zaróżowionym ciele i pozornie niezgrabnych, a przecież tak pociągających ruchach, to jednak ją kocham.

## **ROZDZIAŁ XXIX**

# Pasterz

Przez większą część poranka szliśmy ścieżką prowadzącą przez pole trzciny, nikogo po drodze nie spotykając. O ile mogłem się zorientować, Jolencie ani nie przybyło sił, ani nie ubyło.

Jeśli chodzi o mnie, to głód, zmęczenie i bezlitosne promienie słońca zaczęły powoli dawać mi się we znaki, bo zerkając kątem oka na Jolentę kilka razy odniosłem wrażenie, że obok mnie idzie jakaś inna kobieta, którą znam, lecz akurat w tej chwili nie potrafię zidentyfikować. Kiedy jednak odwracałem głowę, aby lepiej się jej przyjrzeć, owo ulotne wrażenie zniknęło bez śladu.

Szliśmy w niemal całkowitym milczeniu. Po raz pierwszy od chwili, kiedy odebrałem Terminus Est z rąk mistrza Palaemona, miecz wydał mi się niezmiernie ciężki. Na ramieniu, na którym go oparłem, utworzyła się otwarta rana.

Uciąłem dla każdego po kawałku trzciny. Potem czyniłem to jeszcze wielokrotnie, abyśmy mogli przynajmniej częściowo zaspokoić pragnienie słodkim sokiem. W związku z tym musieliśmy się często zatrzymywać, gdyż Jolenta nie była w stanie iść bez naszej pomocy, a idąc nie mogła poradzić sobie z trziną. Muszę przyznać, że czułem się trochę dziwnie patrząc na te wspaniałe nogi o smukłych łydkach i bujnych udach, które okazały się tak bardzo bezużyteczne.

Jeszcze tego samego dnia dotarliśmy do skraju pola i wyszliśmy na prawdziwe pampasy, rozciągające się wokół nas niczym morze trawy. Gdzieś tam rosły drzewa, lecz było ich tak niewiele, że stojąc pod jednym widziało się najwyżej dwa lub trzy inne. Do każdego z nich przywiązano rzemieniami z surowej skóry jakieś drapieżne zwierzę z przednimi łapami rozłożonymi szeroko jak ramiona. W większości były to często spotykane na tych obszarach cętkowane tygrysy, lecz dostrzegłem także kilka troxów o niemal ludzkich włosach oraz zębiaste smilodony. Najczęściej pozostały z nich już tylko kości, ale kilka jeszcze żyło i wydawało odgłosy, które w opinii wielu ludzi odstraszały inne drapieżniki, zniechęcając je do napadania na bydło.

Właśnie to bydło stanowiło dla nas większe zagrożenie, niż jakiegokolwiek drapieżne koty.

Byk stojący na czele stada jest gotów zaatakować wszystko, co pojawi się w zasięgu jego wzroku, dlatego też omijaliśmy każde stado szerokim łukiem, starając się w miarę możliwości iść nie z wiatrem, lecz pod wiatr. Dorcas musiała wtedy samodzielnie podtrzymywać Jolentę, gdyż ja szedłem z przodu, bliżej zwierząt. Raz byłem nawet zmuszony odskoczyć tuż przed nacierają-

cym bykiem i odciąć mu łeb. Nazbieraliśmy wtedy suchej trawy, rozpaliliśmy ognisko i upiekliśmy jego mięso.

Przy innej okazji wydobyłem Pazur Łagodziciela, a wówczas szarżujący czarny byk natychmiast złagodniał, podszedł do mnie i pokornie polizał mnie po ręce. Wsadziłem mu na grzbiet Jolentę i Dorcas, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Musiałem jednak pamiętać, aby iść przed nim, tak by widział błękitny blask Pazura.

Do kolejnego drzewa - jednego z ostatnich, jakie widzieliśmy - był przywiązany żywy smilodon. Obawiałem się, że spłoszy byka, ale on nawet nie zaryczał, tylko wpatrywał się we mnie wielkimi,

żółtymi oczami przypominającymi oczy gołębia. Czując w ustach opuchnięty z pragnienia język podszedłem do niego i przeciąłem krępujące go pęta. Myślałem, że mnie zaatakuje, lecz drapieżny kot był już tak bardzo osłabiony, że osunął się na ziemię, a ja, nie mogąc dać mu ani odrobiny wody, odwróciłem się i odszedłem.

Krótko po południu dostrzegłem krążącego nad nami sępa. Mówi się, że te ptaki potrafią z daleka wyczuć śmierć, a ja pamiętałem, że kiedyś, gdy czeladnicy przez kilka dni mieli tyle pracy, że prawie nie wychodzili z komnaty przesłuchań, my, uczniowie, musieliśmy rzucać kamieniami w nieruchome sylwetki siedzące ze stulonymi skrzydłami na zrujnowanym murze, w obawie, że ich obecność jeszcze bardziej pogorszy i tak już nie najlepszą reputację Cytadeli.

Jednak myśl o tym, iż Jolenta miałaby niedługo umrzeć, była dla mnie tak odrażająca, że gdybym miał pod ręką łuk, z pewnością spróbowałbym ustrzelić wielkie ptaszydło.

Po pewnym czasie dołączyły do niego dwa mniejsze; po jaskrawym upierzeniu głów, widocznym nawet z tak dużej odległości, zidentyfikowałem je jako katartydy, wobec czego pierwszy, o trzykrotnie większej rozpiętości skrzydeł, musiał być górskim teratornisem, jednym z tych, które podobno atakują wspinaczy, raniąc im twarze szponami i spychając ich w przepaść uderzeniami skrzydeł. Od czasu do czasu, kiedy tamte dwa zanadto się zbliżyły, odganiał je od siebie. Do naszych uszu docierał wówczas jego ochrypły, przeraźliwy wrzask. W pewnej chwili, ulegając jakiejś makabrycznej zachciance, dałem im znak, by do nas dołączyły. Wszystkie trzy natychmiast zniżyły lot, ale ja obnażyłem miecz i odegnałem je, po czym zaprzestałem niemądrych żartów.

Kiedy zachodni horyzont sięgnął już prawie tarczy słońca, dotarliśmy do niskiej chaty zbudowanej w całości z torfu. Przed wejściem siedział na ławce żyłasty mężczyzna w skórzanych spodniach, popijając matę i udając, że obserwuje z zainteresowaniem pyszniące się soczystymi barwami obłoki. W rzeczywistości z pewnością dostrzegł nas znacznie wcześniej, nim my jego, gdyż był nieduży i brązowy, i siedział obok niedużego, brązowego domu, podczas gdy nasze sylwetki rysowały się wyraźnie na tle nieba.

Na jego widok schowałem pośpiesznie Pazur, mimo że nie byłem pewien, co zrobi byk, kiedy błękitny blask klejnotu zniknie sprzed jego oczu. Nic nie zrobił, tylko dalej szedł spokojnie z dwiema kobietami na grzbiecie. Kiedy dotarliśmy do chaty, pomogłem dziewczętom zejść na ziemię, zwierzę zaś podniosło pysk, wciągnęło badawczo powietrze, po czym spojrzało na mnie jednym okiem. Wskazałem na falujące morze traw, dając do zrozumienia, że już go nie potrzebuję. Chyba dopiero wtedy zauważył, iż moja ręka jest pusta, gdyż natychmiast zawrócił i potruchtał z powrotem.

Pasterz wyjął z ust koniec cynowej rurki zanurzonej w dzbanie.

- To był wół - powiedział.

Skinałem głową.

- Pożyczyliśmy go sobie, żeby poniośł na grzbiecie tę chorą kobietę. Czy należy do ciebie?

Mieliśmy nadzieję, że nie weźmiesz nam tego za złe, a poza tym nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy.

- Oczywiście. - Pasterz machnął z lekceważeniem ręką. - Powiedziałem to tylko dlatego, że kiedy zobaczyłem was z daleka, wydawało mi się, że to byk. Moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś. - Uraczył nas opowieścią o tym, jak bardzo były dobre. - Ale to jednak jest wół - zakończył.

Tym razem oboje z Dorcas skinęliśmy głowami.

- Widzicie, jak to jest, kiedy człowiek się starzeje. Byłbym gotów pocałować ostrze tego nożyka - mówiąc to poklepał ręką ramię sterczącą zza jego szerokiego pasa - i przysięgłbym na słońce, że zauważyłem coś między jego nogami, ale przecież nikt nie jeździ po pampasach na byku. Czasem robi to tylko czerwona pantera, ale wtedy trzyma się mocno pazurami, a i tak zdarza się, że musi przypłacić życiem taką przejażdżkę. Tak, to na pewno było opuszczone wymię, które ten wół odziedziczył po swojej matce.

Odparłem, że pochodzę z miasta i niewiele wiem na temat bydła.

- Ja wiem jeszcze mniej od ciebie - powiedział pasterz, pociągnąwszy przez rurkę kolejny łyk matę. - Tutaj wszyscy są ignorantami, a w dodatku eklektykami. Wiesz, kto to są eklektycy?

To ludzie, którzy nic nie wiedzą. Jak można się czegokolwiek dowiedzieć, mając takich sąsiadów?

- Czy pozwolisz nam wprowadzić tę kobietę do chaty, żeby mogła się położyć? - zapytała Dorcas. - Obawiam się, że ona umiera.

- Powiedziałem wam, że nic nie wiem. Powinnaś zapytać tego człowieka, który potrafi prowadzić wołu, a może byka, tak jakby to był pies.

- Ale on nie może jej pomóc, tylko ty!

Pasterz mrugnął do mnie porozumiewawczo, co miało chyba oznaczać, iż uzyskał

potwierdzenie swoich przypuszczeń, że to ja okiełznałem byka, nie zaś Dorcas.

- Bardzo mi przykro z powodu waszej przyjaciółki, która jak widzę, musiała kiedyś być piękną kobietą. Tak się jednak składa, że ja także mam przyjaciela, który właśnie teraz leży w tej chacie. Obawiacie się, że ona umrze, ja natomiast wiem, że jego na pewno to spotka i chciałbym pozwolić mu odejść w spokoju.

- Doskonale cię rozumiemy, ale możesz nam wierzyć, że nie chcemy mu przeszkadzać. Kto wie, może nawet uda nam się mu pomóc?

Pasterz przeniósł spojrzenie ze mnie na Dorcas, a potem znowu na mnie.

- Dziwni z was ludzie... Ale co ja właściwie wiem? Na pewno nie więcej od tych głupich eklektyków. Wchodźcie, ale zachowujcie się cicho i pamiętajcie, że jesteście moimi gośćmi.

Wstał, po czym otworzył drzwi, które były tak niskie, że musiałem prawie zgiąć się wpół, aby wejść do środka. W chacie znajdowało się tylko jedno pomieszczenie, ciemne i cuchnące dymem. Na sienniku przed paleniskiem leżał mężczyzna młodszy ode mnie i, jak mi się wydawało, znacznie wyższy od gospodarza. Miał równie brązową skórę, ale nie było w niej chyba ani odrobiny krwi, gdyż jego czoło i policzki wyglądały tak, jakby zostały posmarowane błotem. Nigdzie nie mogłem dostrzec drugiego posłania, rozpostarliśmy więc na klepisku poszarpany płaszcz Dorcas i ułożyliśmy na nim Jolentę. Otworzyła na chwilę oczy, lecz miała zupełnie nieprzytomne spojrzenie, a żywa niegdyś zieleń oczu zbladła jak sprany łachman, który leżał zbyt długo na słońcu.

Gospodarz pokręcił głową, po czym szepnął:

- Nie pociągnie dłużej niż ten ignorant Manahen. Może nawet umrze pierwsza.

- Ona potrzebuje wody - powiedziała również szeptem Dorcas.

- Jest z tyłu, w beczce. Zaraz przyniosę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, wydobyłem z ukrycia Pazur. Tym razem rozbłysł tak intensywnym blaskiem, iż zacząłem się obawiać, czy błękitnozielone promienie nie wydostaną się na zewnątrz przez szczeliny w ścianach chaty. Młody człowiek leżący na sienniku nabrał

głęboko w płuca powietrza, po czym wypuścił je z donośnym westchnieniem. Pośpiesznie schowałem Pazur.

- Nie pomógł jej - zauważyła Dorcas.

- Może lepiej podziela woda. Utraciła mnóstwo krwi.

Dorcas wyciągnęła rękę i pogładziła Jolentę po włosach. Zaczęły wypadać, tak jak wypadają włosy starych kobiet oraz ludzi mających wysoką gorączkę. Mimo panującego w chacie półmroku dorzełem bez trudu gęste pasma, które przywarły do wilgotnej dłoni Dorcas.

- Ona chyba zawsze była chora - szepnęła Dorcas. - Już wtedy, kiedy ją poznałam. Doktor Talos dawał jej coś, po czym czuła się lepiej, ale teraz kazał jej iść precz, mszcząc się za to, że była tak wymagająca.

- Nie wydaje mi się, żeby celowo ukarał ją aż tak surowo.

- Ani mnie. Posłuchaj, Severianie, on i Baldanders z pewnością niebawem się zatrzymają, aby wystawić sztukę i szpiegować. Być może uda nam się ich odnaleźć.

- Szpiegować? - Byłem tak zdumiony, że nawet nie starałem się tego ukryć.

- Zawsze wydawało mi się, że podróżują nie tylko po to, by zdobyć pieniądze, ale także po to, żeby mieć oko na wszystko, co dzieje się na świecie. Kiedyś doktor Talos powiedział mi to wprost, choć nigdy nie udało mi się odkryć, na czym bardziej im zależy.

Wrócił pasterz, niosąc tykwę wypełnioną wodą. Uniosłem Jolentę do pozycji siedzącej, a Dorcas przysunęła jej naczynie do ust. Woda polała się na wymiętą koszulę Jolenty, ale trochę trafiło także do gardła kobiety. Kiedy pasterz ponownie napełnił tykwę, Jolenta była już w stanie samodzielnie przełykać.

Zapytałem naszego gospodarza, czy wie, gdzie leży jezioro Diuturna.

- Jestem zwykłym ignorantem - odparł. - Nigdy nie podróżowałem tak daleko. Mówiono mi, że to gdzieś tam. - Wyciągnął rękę. - Na północ i na zachód stąd. Chcecie tam iść?

Skinąłem głową.

- W takim razie będziecie musieli przebyć złe miejsce. Może nawet wiele złych miejsc, ale kamienne miasto będzie pierwszym z nich.

- A więc gdzieś w pobliżu jest miasto?

- Owszem, tyle tylko, że bez ludzi. Eklektycy mieszkający w jego pobliżu twierdzą, że miasto przesuwa się, tak że każdy musi przez nie przejść, bez względu na to, dokąd zmierza. -

Roześmiał się cicho, lecz natychmiast spowaźniał. - To nieprawda. Miasto ma jednak inną, szczególną cechę: wciąż masz je przed sobą, chociaż wydaje ci się, że lada chwila z niego wyjdiesz. Rozumiesz? Wydaje mi się, że nie.

Przypomniałem sobie Ogrody Botaniczne i skinąłem głową.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Idąc na północ i na zachód i tak musielibyście na nie trafić. Wcale nie musiałyby się przesuwać. Niektórzy widzą w nim tylko rozpadające się ściany, ale podobno są i tacy, którzy znajdują wielkie skarby. Wielu przynosi stamtąd dziwne opowieści, wielu także nigdy nie wraca.

Przypuszczam, że żadna z tych kobiet nie jest dziewicą?

Dorcas prychnęła, a ja potrząsałem głową.

- To dobrze, bo to one najczęściej nie wracają. Spróbujcie przejść przez miasto za dnia, mając rano słońce za prawym ramieniem, a wieczorem z przodu, z lewej strony. Jeśli jednak zastanie was noc, nie zatrzymujcie się ani nigdzie nie skręcajcie, tylko kierujcie się wprost na gwiazdozbiór Ihuaiwulu.

Otwierałem już usta, by zadać kolejne pytanie, kiedy nagle umierający mężczyzna otworzył

oczy i usiadł na posłaniu. Koc zsunął się z jego ciała, a ja ujrzałem przesiąknięty krwią bandaż spowijający jego pierś. Mężczyzna wybałuszył na mnie oczy i coś krzyknął. W następnej chwili poczułem na gardle nóż pasterza.

- Nie obawiaj się, nie zrobi ci krzywdy - powiedział pasterz. Posługiwał się tym samym dialektem,

co młody człowiek, ale rozumiałem go znacznie lepiej, ponieważ mówił wolno i wyraźnie. - Chyba nawet nie wie, kim jesteś.

- Powiadam ci, ojcze, to nowy liktor z Thraxu. Posłano po niego, a heraldzi ogłaszali już, że się zbliża. Zabij go! Zabij go, bo jeśli tego nie zrobisz, to on zgładzi wszystkich, którzy jeszcze żyją!

Zdumiało mnie, że wspomniał o Thraksie, od którego dzielił mnie jeszcze szmat drogi.

Chciałem go o to zapytać i sądzę, że udałoby mi się jakoś dogadać zarówno z nim, jak i z jego ojcem, lecz Dorcas uderzyła pasterza w głowę pustą tykwą. Był to słaby, kobiecy cios, wywołujący słaby ból, ale żadnego poważnego efektu. Niski mężczyzna zamachnął się na nią swoim nożem o zakrzywionym ostrzu, lecz ja chwyciłem go za ramię, złamałem je, a potem to samo uczyniłem z nożem. Jego syn, Manahen, próbował podnieść się z siennika, ale nawet jeżeli Pazur przywrócił mu życie, to na pewno nie zdążył wrócić sił, gdyż Dorcas bez trudu pchnęła go z powrotem na posłanie.

- Teraz umrzemy z głodu! - jęknął pasterz. Sądząc po grymasie, jaki pojawił się na jego brązowej twarzy, musiał mocno się starać, żeby nie zacząć krzyczeć z bólu.

- Pielęgnowałeś syna, a teraz on będzie pielęgnował ciebie, jak tylko odzyska siły, co nastąpi już niedługo. Co mu się właściwie stało?

Obaj milczeli jak zakłęci.

Nastawiłem złamaną kość i usztywniłem ramię, po czym spożyliśmy z Dorcas posiłek i przespaliśmy noc przed chatą, uprzedziwszy ojca i syna, że zabijemy ich, jeśli Jolencie stanie się jakaś krzywda. Rano, kiedy jeszcze spali, dotknąłem Pazurem złamanego ramienia. W pobliżu chaty pał się dorodny wierzchowiec. Dosiadłszy go zdołałem schwytać jeszcze jednego dla Dorcas i Jolenty. Prowadząc go w stronę chaty spostrzegłem, że jej ściany pokryły się świeżą zielenią.

## **ROZDZIAŁ XXX**

# Ponownie Borsuk

Pomimo tego, co usłyszałem od pasterza, miałem nadzieję, że znajdziemy się w osadzie podobnej do Saltus, gdzie będzie pod dostatkiem czystej wody, a kilka aes zapewni nam pożywienie i nocny odpoczynek. Tymczasem naszym oczom ukazało się coś, co z trudem można było uznać nawet za resztki miasta. Między popękkanymi kamiennymi płytami, tworzącymi niegdyś chodniki, rosła gęsta trawa, a tu i ówdzie leżały pozostałości kolumn, przypominające pnie drzew powalone jakimś nieprawdopodobnie silnym wiatrem. Kilka z nich przetrwało w pozycji pionowej i teraz lśniły oślepiającą bielą w promieniach słońca. Gdzeniegdzie wygrzewały się jaszczurki o jasnych, błyszczących oczach i gruzłowatych grzbietach. Budynki zamieniły się w niewysokie pagórki pokryte trawą, która wyrosła na glebie naniesionej podmuchami wiatru.

Nie widziałem powodu, dla którego mielibyśmy zbaczać z ustalonej trasy, więc w dalszym ciągu podążaliśmy na północny zachód, od czasu do czasu poganiając nasze wierzchowce.

Dopiero tutaj po raz pierwszy dostrzegłem czekające na nas góry; co prawda były zaledwie wąską, niebieską kreską na horyzoncie, niemniej jednak istniały, podobnie jak istnieli ogarnięci szaleństwem klienci z trzeciego poziomu lochów, chociaż nigdy nie opuszczali ani swojego korytarza, ani nawet cel. Gdzieś w tych górach leżało jezioro Diuturna, podobnie jak Thrax. Z

tego, co wiedziałem, wynikało, że między ich szczytami i przepaściami wędrowały także Peleryny, niosąc pomoc żołnierzom, którzy odnieśli rany w nie mającej końca wojnie z Ascianami. Tysiące ludzi straciło już życie, walcząc o trudno dostępne przełęcze i doliny.

Tymczasem jednak znajdowaliśmy się w mieście, gdzie panowała martwa cisza, jeśli nie liczyć chrapliwego pokrzykiwania kruków. Woda, którą zabraliśmy w skórzanych bukłakach z chaty pasterza, prawie się skończyła. Jolenta znowu wyraźnie osłabła i ani dla mnie, ani dla Dorcas nie ulegało wątpliwości, że umrze, jeśli nie uda nam się przed zachodem słońca znaleźć więcej wody. Kiedy czerwona tarcza zaczęła kryć się za horyzontem, dotarliśmy do zniszczonego ołtarza, w którego zagłębieniu zebrano się nieco deszczówki. Woda była brudna i cuchnąca, lecz mimo to pozwoliliśmy Jolencie wypić kilka łyków, które natychmiast wymiotowała. Wkrótce potem na niebie pojawił się księżyc, a jego zielonkawy blask zastąpił światło słońca.

Gdybyśmy wówczas natrafili na rozpalone przez kogoś ognisko, należałoby to uznać za niesłychany cud. To, co ujrzałyśmy, było w pewnym sensie jeszcze bardziej zaskakujące, choć mniej tajemnicze. W pewnej chwili Dorcas wyciągnęła rękę w lewo, a kiedy spojrzałem w tamtą stronę, dostrzegłem - tak mi się przynajmniej wydawało - meteor.

- To spadająca gwiazda - powiedziałem. - Nigdy nie widziałaś czegoś takiego? Czasem pojawiają się jedna za drugą.

- Nie! Przecież to budynek, nie widzisz? Jest czarniejszy od nieba. Ma płaski dach, na którym ktoś próbuje rozniecić ogień.

Chciałem już jej powiedzieć, że dała się ponieść wyobraźni, kiedy nagle tam, gdzie padły iskry, pojawił się czerwony punkcik nie większy od łebka szpilki, a zaraz potem wypełzły z niego języki



ognia.

Budynek znajdował się niedaleko od nas, ale na dotarcie do niego potrzebowaliśmy sporo czasu, gdyż musieliśmy pokonać wiele zdradliwych nierówności terenu. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na miejscu, płomienie buchały już wysoko, rzucając migotliwy blask na trzy przycupnięte wokół nich postaci.

- Potrzebujemy waszej pomocy! - zawołałem. - Ta kobieta umiera.

Cała trójka podniosła głowy, a skrzeczący, kobiecy głos zapytał:

- Kto to mówi? Słyszę cię, ale nie widzę. Kim jesteś?

- Jestem tutaj - odparłem, zsunąwszy z głowy kaptur i rozchyliwszy fuliginowy płaszcz. - Po waszej lewej stronie. Mam czarne ubranie, dlatego mnie nie widać.

- Rzeczywiście. A kto umiera? Widzę jakieś złote włosy... Nie mamy lekarza, ale za to znajdzie się trochę wina. Schody są z tyłu.

Poprowadziłem zwierzęta za róg budynku. Księżyc skrył się za kamiennymi ścianami, pozostawiając nas w całkowitej ciemności, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności niemal od razu natrafiłem na nierówne schody, ułożone prawdopodobnie z resztek rozpadających się budowli. Uwiązałem wierzchowce, po czym wziąłem Jolentę na ręce i ruszyłem w górę po schodach, poprzedzany przez Dorcas, która miała badać drogę i uprzedzać mnie o ewentualnych niebezpieczeństwach.

Kiedy dotarliśmy na dach, okazało się, że wcale nie jest płaski; spadek był na tyle duży, że obawiałem się, iż lada chwila stracę równowagę i zsunę się po stromiźnie. Twarda, nierówna powierzchnia została chyba wykonana z dachówek - jedna z nich, zapewne od dawna już obluzowana, zjechała z hurgotem na skraj dachu, by zaraz potem roztrzaskać się na resztkach kamiennego chodnika.

\* \* \*

Kiedy byłem jeszcze uczniem - w dodatku zbyt młodym, aby liczyć na otrzymanie jakiegoś poważniejszego zadania - dostałem kiedyś list, który miałem zanieść do wieży zamieszkaanej przez wiedźmy, a znajdującej się po drugiej stronie Starego Dziedzińca. (Dużo później dowiedziałem się, że nie bez przyczyny posyłano tam jedynie małych chłopców, którzy nie osiągnęli jeszcze pełnej dojrzałości). Teraz, kiedy wiem już, jak wielkie przerażenie budziła nasza własna wieża, nie tylko w ludziach z najbliższych dzielnic Nessus, lecz także w mieszkańcach samej Cytadeli, mój ówczesny strach wydaje mi się śmieszny i naiwny, choć dla chłopaczka, jakim wtedy byłem, stanowił coś bardzo realnego. Słyszałem przecież okropne opowieści powtarzane przez starszych uczniów i widziałem na własne oczy, jak chłopcom dużo odważniejszym ode mnie trzęsą się ze strachu nogi. W tej najbardziej posępnej z niezliczonych wież Cytadeli nocą płonęły światła o przedziwnych barwach. Przeraźliwe krzyki docierające przez okrągłe okienka do naszej bursy nie wydobywały się z podziemi, tak jak u nas, lecz z najwyższych pięter. Wiedzieliśmy, że to krzyczą same wiedźmy, nie zaś ich klienci, gdyż tych po prostu nie miały. Poza tym, we wrzaskach tych nie było ani szaleństwa,

ani cierpienia.

Kazano mi umyć ręce, abym nie pobrudził koperty i kiedy szedłem przez dziedziniec starannie wybierając drogę między zamrożonymi kałużami czułem, jakie mam wilgotne dłonie i widziałem ich zaczerwienioną skórę. Wyobrażałem sobie, że zostanę przyjęty przez jakąś niezwykle dostojną wiedźmę, która najpierw zmiążdży mnie pogardliwym spojrzeniem za to, że ośmieliłem się podać list takimi czerwonymi rękami, a potem ukarze mnie w jakiś odrażający sposób i odeśle do mistrza Malrubiusa.

Byłem wtedy naprawdę bardzo mały, gdyż musiałem podskoczyć, aby dosięgnąć kołatki. Do dziś czuję pod stopami szeroki, głęboko wyżłobiony próg Wiedźmińca.

- Słucham?

Twarz, która się pojawiła, nie znajdowała się wcale wyżej od mojej. Należała do tych natychmiast rzucających się w oczy twarzy, które pozostają na długo w pamięci, ponieważ będąc piękne, są również naznaczone piętnem choroby. Wiedźma, do której należała, wydała mi się wówczas niezmiernie stara, przypuszczam więc, że miała około dwudziestu lat. Była jednak niska, a w dodatku poruszała się zgięta niemal wpół, tak jak czynią bardzo wiekowe osoby. Jej urocza, pozbawiona kropli krwi twarz, przypominała maskę wyrzeźbioną z kości słoniowej przez jakiegoś znakomitego artystę.

Bez słowa podałem list.

- Chodź ze mną - powiedziała.

Najbardziej obawiałem się, że usłyszę te właśnie słowa, a teraz, kiedy już zostały wypowiedziane, wydały mi się równie nieuchronne jak następstwo pór roku.

Wszedłem do wieży zupełnie innej niż ta, jaką znałem. Nasza była przytłaczająco solidna, zbudowana z metalowych płyt tak ciasno dopasowanych, że ich krawędzie stopiły się ze sobą, tworząc jednolitą powierzchnię. W Wiedźmińcu mało rzeczy sprawiało wrażenie solidnych, a jeszcze mniej takimi było. Znacznie później mistrz Palaemon wyjaśnił mi, że Wiedźminiec jest dużo starszy od pozostałych części Cytadeli, i że został wzniesiony w czasach, gdy każda budowla stanowiła imitację ludzkiego ciała, to znaczy składała się ze stalowego szkieletu pokrytego znacznie mniej trwałymi substancjami. Z biegiem stuleci szkielet uległ korozji, a całość trzymała się wyłącznie dzięki niezliczonym naprawom dokonywanym przez kolejne pokolenia. Ogromne pokoje miały ściany nie grubsze od draperii, żadna podłoga nie była pozioma, żadne schody proste, a każda poręcz, jakiej dotknąłem, sprawiała wrażenie, iż lada chwila rozsypie się w rękę. Ściany pokrywały białe, zielone i fioletowe malowidła, umeblowanie zaś określiłbym jako co najwyżej skromne. Powietrze wydawało się chłodniejsze niż na zewnątrz.

Po pokonaniu wielu krętych schodów oraz trzeszczących drabin połączonych ze sobą jeszcze świeżymi pnączami dotarłem przed oblicze starej kobiety siedzącej w jedynym fotelu, jaki zobaczyłem w tej wieży. Kobieta wpatrywała się w coś w rodzaju stołu, na którym pod grubym szkłem znajdowała się plastyczna mapa jakiegoś terenu, zamieszкана przez maleńkie, bezwłose

zwierzęta. Wręczyłem jej list i zostałem natychmiast wyprowadzony z pokoju, nie wcześniej jednak, nim stara kobieta przyjrzała mi się dokładnie. Jej twarz, podobnie jak twarz starej-młodej wiedźmy, która otworzyła mi drzwi, na zawsze pozostała w mojej pamięci.

\* \* \*

Opowiadam o tym wszystkim, gdyż położywszy Jolentę na dachu obok ogniska odniosłem wrażenie, że znam obie kobiety. Naturalnie było to niemożliwe: ta, której wręczyłem list, z pewnością od dawna już nie żyła, młodsza natomiast (o ile nie umarła na toczącą ją chorobę), musiała zmienić się nie do poznania, podobnie jak ja. A jednak twarze, które zwróciły się ku mnie, były twarzami zapamiętanymi przeze mnie z dzieciństwa. Może na świecie są tylko dwie wiedźmy, które wciąż od nowa rodzą się i umierają?

- Co jej się stało? - zapytała młodsza kobieta. Dorcas i ja wyjaśniliśmy jej najlepiej jak potrafiliśmy.

Jeszcze nim skończyliśmy naszą relację, starsza kobieta uniosła nieco głowę Jolenty i wlała jej do ust trochę wina.

- Zaszkoziłoby jej, gdyby było mocne, ale to w trzech czwartych czysta woda -

powiedziała. - Jeżeli naprawdę nie chcecie, aby umarła, to macie sporo szczęścia, że trafiliście właśnie na nas. Nie wiem tylko, czy mogę to samo powiedzieć o niej.

Podziękowałem staruszce, a następnie zapytałem, gdzie podziła się trzecia postać, którą widzieliśmy przy ognisku.

Stara kobieta spojrzała na mnie, po czym westchnęła i ponownie skoncentrowała uwagę na Jolencie.

- Jesteśmy tu tylko my dwie - odparła młodsza. - Widziałeś jeszcze kogoś?

- I to bardzo wyraźnie. Twoja babka, jeśli rzeczywiście nią jest, odezwała się do mnie, a ty i tamta osoba podniosłyście głowy, by zaraz je opuścić.

- To Cumaeana.

Słyszałem już wcześniej to imię, ale przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, a z nieruchomej twarzy młodszej kobiety nie byłem w stanie nic wyczytać.

- Wizjonerka - uzupełniła Dorcas. - A kim ty jesteś?

- Jej uczennicą. Nazywam się Merryn. Możliwe, iż ma to jakieś znaczenie, że was troje dostrzegło przy ognisku także troje ludzi, podczas gdy my, badać tylko we dwie, ujrzaliśmy najpierw także tylko dwoje.

Spojrzała na Cumaeaną, jakby oczekując od niej potwierdzenia, a potem z powrotem na nas.

- Jestem pewien, że widziałem trzecią postać, większą od was - powiedziałem.

- To niezwykła noc. Czasem zdarza się, że ci, którzy unoszą się w ciemności na skrzydłach wiatru, przybierają na chwilę ludzką postać. Pozostaje tylko pytanie, w jakim celu ktoś taki miałby ci się pokazywać.

Jej ciemne oczy i doskonale spokojna twarz wywarły na mnie tak ogromne wrażenie, że może nawet bym jej uwierzył, gdyby nie Dorcas, która wykonała głową prawie niedostrzegalny ruch, sugerując, iż trzecia, tajemnicza osoba, mogła ukryć się po drugiej stronie dachu, za jego szczytem.

- Będzie żyła - oznajmiła Cumaeana, nie odrywając wzroku od twarzy Jolenty. - Chociaż chyba tego nie chce.

- Mieliśmy szczęście, że choć jesteście tylko dwie, to zostało wam jeszcze tak dużo wina - powiedziałem.

Stara kobieta nie chwyciła przynęty.

- Rzeczywiście - odparła po prostu. - Wy na pewno, a może i ona.

Merryn wzięła do ręki kij i podsunęła płonące szczapy bliżej środka ogniska.

- Śmierć nie istnieje - oznajmiła.

Roześmiałem się, chyba przede wszystkim dlatego, że przestałem już tak bardzo martwić się o Jolentę.

- Moi bracia z konfraterni myślą inaczej.

- Twoi bracia mylą się.

- Doktorze... - szepnęła Jolenta. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od rana.

- Nie potrzebujesz już doktora - poinformowała ją Merryn. - Masz tu kogoś lepszego.

- Ona szuka swojego kochanka - mruknęła Cumaeana.

- A więc nie jest nim ten człowiek w fuliginie, matko? Ja także od początku myślałam, że ona wybrałaby kochanka szlachetniejszego rodu.

- To tylko kat. Jej trzeba kogoś gorszego.

Merryn skinęła głową, po czym zwróciła się do nas:

- Właściwie nie powinno się jej teraz ruszać, lecz musimy prosić was, byście przenieśli się gdzieś dalej. Niedaleko stąd bez trudu znajdziecie mnóstwo miejsc lepiej nadających się na obóz, a tutaj groziłoby wam poważne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo śmierci? - zapytałem. - Przed chwilą sama powiedziałaś mi, że śmierć nie istnieje. Uwierzyłem ci, czego więc mam się lękać? A gdybym ci nie uwierzył, dlaczego miałbym zrobić to teraz?

Mimo to wstałem z miejsca. Cumaeana podniosła na mnie wzrok.

- Ona ma rację - zaskrzeczała. - Co prawda nic nie wie i tylko powtarza to, czego się nauczyła, jak papuga zamknięta w klatce, ale ma rację. Śmierć jest niczym i właśnie z tego powodu należy się jej lękać. Czy istnieje coś, co może budzić większy strach?

Ponownie wybuchnąłem śmiechem.

- Nie jestem w stanie dyskutować z kimś tak mądrym jak ty. Odejdziemy, skoro tego chcecie, ale tylko dlatego, że nam pomogliście.

Cumaeana zaczekała, aż wezmę Jolentę na ręce, po czym odezwała się:

- Wcale tego nie chcę. Moja uczennica wciąż jeszcze uważa, że świat jest planszą, na której ona może ustawiać figury wedle własnego uznania. Wielcy Magowie okazali się na tyle łaskawi, by zaliczyć mnie do swego wąskiego grona, lecz szybko utraciłabym to zaszczytne miejsce, gdybym zapomniała o tym, że ludzie tacy jak my są jedynie małymi rybkami, które muszą posłusznie ulegać silnym prądom, gdyż w przeciwnym razie szybko tracą siły i zginą, niczego nie osiągnąwszy. Owiń tę biedną istotę swoim płaszczem i połóż ją przy ogniu. Zajmę się ponownie jej raną, kiedy Urth zwróci się twarzą ku słońcu.

Stałem niezdecydowany, nie wiedząc, czy powinniśmy odejść, czy też zostać. Cumaeana miała chyba jak najlepsze intencje, lecz metafora, jakiej użyła, obudziła we mnie niemiłe wspomnienia związane z olbrzymką. Wpatrując się w jej twarz zacząłem nagle wątpić, czy naprawdę jest taka stara. Oczami wyobraźni ponownie ujrzałem okropne oblicza kakogenów, którzy zrzucili maski, kiedy Baldanders ruszył do ataku.

- Zawstydzasz mnie, matko - odezwała się Merryn. - Czy mam go zawołać?

- Na pewno nas słyszał. Przyjdzie bez twego wołania.

Miała rację. Do moich uszu dotarł odgłos ostrożnych kroków dobiegający z za szczytu dachu.

- Widzę, że się zaniepokoiłeś. Może położyłbyś tę kobietę przy ogniu, tak jak ci proponowałam, żebyś w razie potrzeby mógł wyciągnąć miecz i wystąpić w jej obronie?

Zapewniam cię jednak, że nie będzie takiej potrzeby.

Jeszcze zanim skończyła mówić, ujrzałem na tle nocnego nieba wysoki kapelusz, wielką głowę i szerokie ramiona. Położyłem Jolentę na dachu i wyjąłem Terminus Est z pochwy.

- Nie trudź się, młody człowieku - rozległ się głęboki głos. - Pokazałbym się wcześniej, aby odnowić naszą znajomość, ale nie wiedziałem, jakie będzie życzenie kasztelanki. Mój pan, i twój także,

przesyła ci pozdrowienia.

Był to Hildegryn.

## **ROZDZIAŁ XXXI**

# Oczyszczenie

- Możesz poinformować swego pana, że przekazałem jego wiadomość - powiedziałem.

Hildegryn uśmiechnął się.

- A otrzymałeś jakąś odpowiedź, szlachetny panie? O ile pamiętasz, przybywam z najgłębszych otchłani niewiedzy.

- Nie - odparłem. - Żadnej.

- Za to ja mam coś do przekazania - odezwała się niespodziewanie Dorcas. - Pewien człowiek, którego spotkałem w ogrodach Domu Absolutu, powiedział mi, że spotkam kogoś, kto przedstawi się właśnie w taki sposób. Oto, co mam mu przekazać: „Kiedy liście wyrosną, las ruszy na północ”.

Hildegryn z namysłem podrapał się po nosie.

- Cały las? Czy tak właśnie powiedział?

- Kazał mi zapamiętać te słowa, które przed chwilą powtórzyłam i nic więcej.

- Dlaczego zataiłaś to przede mną? - zapytałem.

- Odkąd spotkaliśmy się na skrzyżowaniu ścieżek, właściwie nie miałam okazji porozmawiać z tobą w cztery oczy, a poza tym wydawało mi się, że z tą sprawą mogą wiązać się jakieś niebezpieczeństwa i nie chciałam narażać cię na nie. To był ten sam człowiek, który dał

pieniądze doktorowi. Wiem o tym, gdyż przysłuchiwałam się ich rozmowie. Potem powiedział mi, że jest twoim przyjacielem i kazał zapamiętać to zdanie.

- Zapewne polecił ci też, żebyś mi je powtórzyła?

Dorcas pokręciła głową.

Recht Hildegryna zabrzmiał tak, jakby wydobywał się spod ziemi.

- Teraz chyba nie ma to już żadnego znaczenia, prawda? Wiadomość została dostarczona, a jeśli o mnie chodzi, to powiem wam w sekrecie, że nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nastąpiło to trochę później. Na szczęście wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, może z wyjątkiem tej chorej dziewczyny, ale ona chyba nas nie słyszy, a nawet jeśli słyszy, to z pewnością nie rozumie, o czym mówimy. Jak ona się nazywa? Tam, po drugiej stronie dachu, nie słyszałem was zbyt dobrze.

- To dlatego, że nie wymieniłem jej imienia - odparłem. - Nazywa się Jolenta.

Wymawiając jej imię spojrzałem na nią i przekonałem się, że już nie jest Jolentą. W niczym nie przypominała pięknej kobiety, w której zakochał się Jonas.

- I powiadasz, że ugryzł ją nietoperz? Ostatnio robią się coraz bardziej zuchwałe.

Spojrzałem na niego ostro, a on dodał pośpiesznie:

- Tak, widziałem ją już wcześniej, młody panie, podobnie jak ciebie i małą Dorcas. Chyba nie przypuszczałeś, że pozwolę tobie i tamtej dziewczce jakby nigdy nic opuścić Ogrody Botaniczne po tym, jak dowiedziałem się od ciebie, że masz zamiar udać się na północ, lecz najpierw stoczyć pojedynek z oficerem septentrionów? Widziałem, jak walczyłeś i widziałem, jak skróciłeś o głowę tego nieszczęśnika. Nawiasem mówiąc, to ja pomogłem go schwytać, gdyż podejrzewałem, że naprawdę może mieć coś wspólnego z Domem Absolutu, potem zaś stałem za plecami ludzi podziwiających wasze występy na scenie. Straciłem cię z oczu dopiero nazajutrz, po tym zamieszaniu w bramie. Tak więc widziałem ciebie i widziałem ją, choć muszę przyznać, że jeśli o nią chodzi, to zostały tylko włosy, ale nawet one wyglądają gorzej niż przedtem.

- Czy mam im powiedzieć, matko? - zapytała Merryn, spoglądając na Cumaeanę.

Stara kobieta skinęła głową.

- Jeśli dasz sobie radę, moje dziecko.

- Rzucono na nią urok, dzięki któremu stała się piękna. Teraz jednak jego działanie słabnie, ponieważ utraciła mnóstwo krwi i jest wycieńczona. Do rana nie pozostanie po nim nawet ślad.

Dorcas cofnęła się gwałtownie.

- Czary!

- Nie ma czegoś takiego jak czary. Jest tylko wiedza, bardziej lub mniej ukryta.

Hildegryn przyglądał się Jolencie w zamyśleniu.

- Nie przypuszczałem, że można aż tak bardzo zmienić czyjś wygląd. To może nam się przydać...  
Twoja pani potrafi zrobić coś takiego?

- Potrafiłaby znacznie więcej, gdyby tylko zechciała.

- Ale jak to możliwe? - szepnęła Dorcas.

- Do jej krwi dodano substancje uzyskane z gruczołów różnych zwierząt, dzięki czemu miała szczupłą kibić, piersi jak melony, i tak dalej. Możliwe, iż właśnie w ten sposób wydłużono także jej nogi. Odświeżające napary odmłodziły jej twarz, zęby zostały oczyszczone, niektóre zaś spiłowane i pokryte sztucznymi koronkami. Jedna z nich już wypadła, jak widzicie.

Przefarbowano także jej włosy i dodano im gęstości, wplatając między nie jedwabne nici. Z kolei w wielu innych miejscach usunięto sporo włosów i przynajmniej to pozostanie już bez zmian. Co najważniejsze, obiecano jej wieczną urodę, a w takie obietnice każda kobieta wierzy jak dziecko, jej wiara zaś umocniła także waszą.



- Czy już nic nie można dla niej zrobić? - zapytała Dorcas.

- Ja za mało jeszcze potrafię, Cumaeana zaś podejmuje się takich zadań jedynie w chwilach wielkiej potrzeby.

- Ale ona będzie żyła?

- Tak jak słyszeliście: owszem, choć z pewnością wolałaby umrzeć.

Hildegryn odchrząknął głośno, po czym splunął poza krawędź dachu.

- A więc załatwione. Zrobiliśmy dla niej, co mogliśmy i nic więcej nie da się już wymyślić.

Proponuję więc, żebyśmy zajęli się swoimi sprawami. Jak powiedziałaś, Cumaeano, dobrze się stało, że doszło do naszego spotkania. Mam teraz wiadomość, na którą czekałem, tych dwoje zaś jest przyjaciółmi Suzerena Liści, podobnie jak ja. Ten szlachetny młodzian pomoże mi rozprawić się z Apu-Punchau, co napełni moją duszę radością, jeśli wziąć pod uwagę, że moi dwaj towarzysze zostali bez życia na drodze. Co więc powstrzymuje nas przed tym, żebyśmy ruszyli naprzód?

- Nic - odparła cicho Cumaeana. - Gwiazda już wschodzi.

- Czy nie powinniśmy wiedzieć, co zamierzasz, jeżeli mamy ci w tym pomóc? - zapytała Dorcas.

- Chcę przywrócić przeszłość - odparł Hildegryn podniosłym tonem. - Pragnę ponownie zanurzyć się w czasach wielkości dawnej Urth. Tutaj, gdzie teraz siedzimy, żył kiedyś pewien człowiek dysponujący wiedzą, która teraz mogłaby nam się przydać. Pragnę go przywołać.

Będzie to szczytowe osiągnięcie w mojej karierze, jeśli wolno mi się tak wyrazić, która już i tak w pewnych kręgach wywołuje wielki podziw i zainteresowanie.

- Chcesz otworzyć grobowiec? - zapytałem. - Przecież nawet z pomocą alzabo nie...

Cumaeana wyciągnęła rękę i pogładziła Jolentę po czole.

- To był raczej jego dom niż grobowiec - wyjaśniła mi.

- Od czasu do czasu wyświadczałem tej oto kasztelance jakąś przysługę - ciągnął Hildegryn. -

Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, aż wreszcie pomyślałem sobie, że pora wyrównać rachunki. Ma się rozumieć, wspomniałem o swoim małym planie Władcy Lasu, on zaś wyraził na niego zgodę i oto tu jestem.

- Wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że Cumaeana służy ojcu Inire - zauważyłem.

- Ale spłaca swoje długi - odparł Hildegryn, nie mrugnawszy nawet okiem. - Podobnie jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie. Poza tym nie trzeba być mądrą kobietą, aby wiedzieć, że warto mieć paru przyjaciół po drugiej stronie, choćby na wypadek, gdyby właśnie tamta strona zwyciężyła.

- Kim był ów Apu-Punchau i dlaczego ten dom jeszcze stoi, podczas gdy wszystkie inne już dawno legły w gruzach? - zapytała Dorcas, spoglądając na Cumaeanę.

Stara kobieta jednak milczała, natomiast odezwała się Merryn:

- Trudno nazwać to legendą, gdyż nawet najwięksi uczeni nie pamiętają już tej historii.

Matka wyjaśniła nam, że jego imię znaczy tyle co Głowa Dnia. Bardzo dawno temu zjawił się wśród mieszkających tu ludzi i nauczył ich wielu cudownych rzeczy. Często znikał, ale zawsze wracał. Kiedyś jednak nie wrócił, a wtedy najeźdźcy zrównali miasto z ziemią. Teraz pojawi się znowu, po raz ostatni.

- Bez żadnych czarów?

Cumaeana podniosła głowę i spojrzała na Dorcas oczami płonącymi jak gwiazdy.

- Słowa są jedynie symbolami. Merryn stara się traktować magię i czary tak jakby nie istniały... więc nie istnieją. Gdybyś jednak to, co tu uczynimy, pragnęła nazwać czarami, to istniałyby one tak długo, jak długo byśmy je czyniły. W przeszłości, w bardzo odległym kraju, istniały dwa cesarstwa oddzielone od siebie górami. Jedno ubierało swoich żołnierzy na żółto, drugie zaś na zielono. Przez sto pokoleń walczyły zaciekle ze sobą... Ale widzę, że twój towarzysz zna tę opowieść.

- A w sto pierwszym pokoleniu zjawił się pewien pustelnik i doradził cesarzowi dowodzącemu żółtą armią, by ubrał swoich ludzi na zielono, władcy zielonych zaś, aby kazał

swoim ludziom założyć żółte stroje. Mimo to walki toczyły się nadal. W mojej sakwie spoczywa książka zatytułowana „Cuda Urth i Nieba”. Ta opowieść znajduje się na jej kartach.

- Jest to najmądrzejsza ze wszystkich książek napisanych przez człowieka, choć niewielu znajdzie się takich, którzy potrafią odnieść dzięki niej jakiś pożytek - powiedziała Cumaeana. -

Dziecko, wyjaśnij temu młodzieńcowi, który kiedyś będzie mędrcom, co zamierzamy uczynić dzisiejszej nocy.

Młoda wiedźma skinęła głową.

- Cały czas istnieje jednocześnie - tak brzmi prawda ukryta w legendach powtarzanych przez mędrców. Gdyby przyszłość jeszcze nie istniała, to w jaki sposób moglibyśmy ku niej podążać?

Gdyby przeszłość już nie istniała, w jaki sposób moglibyśmy zostawiać ją za sobą? Pograżony we śnie umysł dostaje się we władanie czasu i dlatego właśnie tak często słyszymy wtedy głosy zmarłych lub dowiadujemy się o wydarzeniach, które dopiero mają nastąpić. Ci, którzy - tak jak matka - nauczyli się osiągać ten sam stan na jawie, żyją otoczeni przeszłością i przyszłością, odbierając je razem jako trwającą całą wieczność chwilę.

Noc była prawie bezwietrzna. Zauważyłem, że nawet te słabe podmuchy, jakie pojawiały się od czasu do czasu, teraz zupełnie ustały. Zapadła tak głęboka cisza, że kiedy Dorcas przerwała ją, to jej

słowa, choć wypowiedziane cichym głosem, zabrzmiały z siłą spiżowego dzwonu:

- Czy to właśnie ma uczynić kobieta, którą nazywacie Cumaeaną? Wprowadzi się w ów stan, po czym, przemawiając głosami umarłych, powie temu człowiekowi wszystko, co on chce wiedzieć?

- To jej się nie uda. Jest bardzo stara, lecz miasto, w którym się teraz znajdujemy, uległo zniszczeniu na długo przed tym, jak przyszła na świat. Otacza ją tylko jej własny czas, gdyż nic więcej nie byłoby w stanie zrozumieć. Musimy wykorzystać umysł, który istniał już wówczas, kiedy miasto było całe.

- Czy jest na świecie ktoś aż tak stary?

Cumaeana potrząsnęła głową.

- Na świecie? Nie. Taki umysł istnieje, choć zupełnie gdzie indziej. Spójrz, moje dziecko, tam, nad obłoki. Ta czerwona gwiazda nazywa się Rybie Usta, a na jej jedynej ocalałej planecie mieszka starożytna, nadzwyczaj mądra istota. Merryn, weź mnie za rękę, a ty, Borsuku, za drugą.

Kacie, podaj rękę Hildegrinowi, drugą zaś zaciśnij na dłoni swojej chorej przyjaciółki. Twoja dziewczyna musi stanąć między nią a Merryn... Teraz jesteśmy połączeni: mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej.

- I jeśli mamy coś zrobić, róbmy to szybko! - burknął Hildegrin. - Nadciąga burza.

- Na pewno zdążymy. Teraz muszę wykorzystać umysły was wszystkich, choć z tej chorej kobiety nie będzie zbyt wiele pożytku. Za chwilę poczujecie, jak kieruję waszymi myślami. Nie opierajcie się, tylko postępujcie zgodnie z moją wolą.

Stara kobieta (o ile rzeczywiście była kobietą), wypuściła na chwilę rękę Merryn, sięgnęła pod ubranie i wyciągnęła coś w rodzaju pręta. Był niewiele dłuższy od sztyletu, mnie jednak wydawało się, że jego końce rozmywają się w ciemności, jakby nie mieścił się w moim polu widzenia. Cumaeana otworzyła usta. Myślałem, że chce wziąć pręt w zęby, ona jednak go połknęła. W chwilę później dostrzegłem go ponownie, świecący przytłumionym szkarłatem w jej gardle.

- Zamknijcie wszyscy oczy... Jest tu kobieta, której nie znam, wysokiego rodu... nieważne, kacie, już ją znam. Nie cofaj dłoni... Niech nikt z was nie cofa dłoni...

Wiedziałem, co to znaczy dzielić swój umysł z innymi, gdyż zaznałem tego uczucia podczas uczt wydanej przez Vodalusa. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Nie ujrzałem Cumaeany takiej, jaką widziałem do tej pory, nie objawiła mi się także w młodszym wcieleniu.

Poczułem raczej, że jej myśli otaczają moje, tak jak bąbel niewidzialnej wody otacza rybę pływającą w kulistym, szklanym naczyniu. Była ze mną Thecla, lecz nie mogłem jej dostrzec, zupełnie jakby stała za mną, a ja czułem jedynie dotknięcie jej ręki na ramieniu i oddech na szyi.

Potem znikła, a wraz z nią wszystko. Moje myśli uleciały w ciemność i rozproszyły się między ruinami.

Kiedy odzyskałem przytomność, przekonałem się, że leżę na dachu przy ognisku. W ustach miałem pełno spienionej śliny zmieszanej z krwią, gdyż pogryzłem sobie dotkliwie język i wargi.

Moje nogi były zbyt słabe, żebym mógł na nich stanąć, ale udało mi się usiąść.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że zostałem sam. Dach, na którym siedziałem, był twardy i solidny, natomiast ludzie wydawali mi się na pół przezroczyści, jak duchy. Po mojej prawej stronie leżał na wznak Hildegrin; bez trudu wsunąłem rękę do jego piersi i poczułem serce, trzepoczące niczym ćma, która pragnie wyrwać się na wolność. Najmniej wyraźnie widziałem Jolentę, jednak udało mi się dostrzec, że uczyniono jej znacznie więcej, niż przypuszczała Merryn: pod skórą znajdowały się druty i metalowe wzmocnienia. Potem spojrzałem na siebie, na swoje nogi i stopy i zobaczyłem błękitny blask Pazura sączący się przez but. Wyciągnąłem po niego rękę, ale nie miałem nawet tyle sił, żeby zacisnąć na nim palce i wydobyć go stamtąd.

Dorcias zdawała się pogrążona we śnie. Na ustach nie miała piany i wyglądała znacznie solidniej niż Hildegrin. Merryn przypominała małą, ubraną na czarno lalkę, tak wiotką, że Dorcas sprawiała przy niej wrażenie niemal tęgiej. Teraz, kiedy żadna myśl nie ożywiała twarzy młodej wiedźmy, przekonałem się, iż w rzeczywistości nie jest to twarz, lecz pergamin naciągnięty na gołe kości.

Tak jak podejrzewałem, Cumaeana wcale nie była kobietą, ale nie przypominała także żadnej z okropnych istot, jakie ujrzałem w ogrodach Domu Absolutu. Wokół jarzącego się słabo prętu owinęło się coś, co w pierwszej chwili uznałem za węża. Nie mogłem jednak nigdzie dopatrzeć się głowy, mimo że każdy z rysunków na grzbiecie przedstawiał twarz, której oczy zdawały się świecić ekstatycznym blaskiem.

Wkrótce potem obudziła się Dorcas.

- Co się z nami stało? - zapytała.

Hildegrin jęknął i poruszył się lekko.

- Myślę, że spoglądamy teraz na siebie ze znacznie większej perspektywy niż do tej pory.

Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Mimo że groźne chmury nie przyniosły ze sobą wiatru, ulicami przesuwwały się kłęby pyłu.

Wyglądało to tak, jakby niezliczone chmury maleńkich owadów, zamieszkujących szczeliny między kamiennymi płytami, zostały zwabione blaskiem księżyca i teraz odbywały swoje nocne gody. Nie wydawały żadnych odgłosów, w ich poruszeniach zaś nie sposób było dopatrzeć się jakiegokolwiek regularności, ale po pewnym czasie podzieliły się na gęste roje, wędrujące to w jedną, to w drugą stronę, by wreszcie opaść na potrzaskany chodnik. Odniosłem wrażenie, iż każdy z owadów czyni wszystko, aby znaleźć się jak najbliżej środka roju.

- One żyją - stwierdziłem.

- Są martwe - szepnęła Dorcas.

Miała rację. Owady, jeszcze przed chwilą tak bardzo aktywne, teraz ułożyły się w kształty przypominające odarte ze skóry i ciała klatki piersiowe oraz nagie czaszki, błyszczące zielonkawo w świetle księżyca. Między szkieletami przemykały jak zjawy aelurodony, wielkie, nie nazwane stworzenia żyjące w głębinach jaskiń, a także jeszcze inne, wszystkie bardziej niematerialne od nas, obserwujących je z dachu.

Potem bestie zaczęły znikać, zmarli zaś podnieśli się z ziemi i zabrali do odbudowywania miasta. Kamienie znowu stawały na kamieniach, a na nowo wzniesionych ścianach pojawiały się stropowe belki, wskrzeszone cudownym sposobem z popiołów. Ludzie, którzy początkowo przypominali ożywione trupy, w miarę postępu prac odzyskiwali siły, by wkrótce przeistoczyć się w krzywonogich siłaczy, bez najmniejszego trudu przenoszących na barkach cyklopowe głazy. Niebawem miasto stanęło przed nami jak nowe, my zaś czekaliśmy, co będzie dalej.

Nocną ciszę rozdarł łoskot bębnow; słysząc ich dźwięk domyśliłem się, że po raz pierwszy zagrały wtedy, kiedy wokół miasta rósł potężny las, gdyż taki głos mogły wydać jedynie ogromne, wydrążone pnie obciążone skórą. Ulicą przeszedł zupełnie nagi szaman z ogoloną głową. Jego ciało pokrywały znaki nie znanego mi pisma, tak ekspresyjne jednak, iż samym swoim wyglądem zdawały się przekazywać ukryte za nimi znaczenie.

Za nim szli rzędem tancerze. Było ich około setki, a każdy trzymał ręce na głowie poprzednika. Twarze mieli zwrócone ku górze, w związku z czym zacząłem się zastanawiać (i nie przestałem po dziś dzień), czy w swoim tańcu nie starali się naśladować węża o tysiącu oczu, którego zwaliśmy Cumaeaną. Powoli przemierzali ulicę, skręcając to w lewo, to w prawo, aż wreszcie dotarli do drzwi domu, z którego dachu ich obserwowaliśmy. Rozległ się huk jak od uderzenia gromu i kamienna płyta odchyliła się na potężnych zawiasach. Zapachniało mirrą i różami.

Z wnętrza budynku na spotkanie tancerzy wyszedł jakiś mężczyzna. Moje zaskoczenie nie byłoby większe nawet wtedy, gdyby miał sto rąk albo niósł głowę pod pachą. Jego twarz znałem od dzieciństwa, gdyż to ona właśnie została wyrzeźbiona w brązie w grobowcu, służącym mi niegdyś za miejsce zabaw. Na ramionach miał mnóstwo złotych bransolet wysadzanych hiacyntami, opalami, topazami i migocącymi brylantami. Idąc niespiesznie równym krokiem dotarł do środka procesji, po czym nagle zatrzymał się, zwrócił twarz do nas i uniósł obie ręce.

Patrzył wprost na nas, a ja zrozumiałem, że spośród setek zgromadzonych ludzi tak naprawdę widzi tylko nas.

Byłem tak pochłonięty tym, co działo się na dole, że nie zauważyłem, kiedy Hildegryn zszedł

z dachu. Teraz pojawił się między tancerzami, przemknął między nimi - o ile można tak powiedzieć o równie potężnie zbudowanym człowieku - dopadł Apu-Punchau i zamknął go w żelaznym uścisku.

Doprawdy nie wiem, jak opisać to, co nastąpiło potem. Wydarzenia, jakie się rozegrały na ulicy,

przypominały nieco to, czego byłem świadkiem w domku z żółtego drewna w Ogrodach Botanicznych, tyle tylko, że były o wiele dziwniejsze. Wówczas, w Ogrodach, wiedziałem przynajmniej, że kobieta, jej brat oraz dzikus znajdują się pod wpływem zaklęcia. Teraz z kolei wydawało się, że jakieś czary spłynęły na mnie, Hildegrina i Dorcas. Jestem całkowicie pewien, że tancerze nie widzieli Hildegrina, lecz mimo to zdawali sobie sprawę z jego obecności, gdyż pokrzykiwali gniewnie i siekli powietrze nabijanymi kamieniami pałkami.

Widział go natomiast Apu-Punchau, tak jak nas wszystkich na dachu i jak Isangoma widział

mnie i Agię w Ogrodach Botanicznych. Mimo to odniosłem wrażenie, iż to, co ujrzał przed sobą, musiało wydać mu się równie niezwykle, jak mnie Cumaeaną pod swoją prawdziwą postacią.

Tymczasem Hildegrin trzymał go w żelaznym uścisku, lecz nie mógł go obezwładnić, Apu-Punchau zaś walczył ze wszystkich sił, ale nie był w stanie się uwolnić. Hildegrin spojrzał w moją stronę i krzyknął, bym przyszedł mu z pomocą.

Nie wiem, dlaczego go posłuchałem, bo przecież nie chciałem już służyć ani Vodalusowi, ani jego sprawie. Przypuszczam, iż przyczyną mogło być utrzymujące się jeszcze działanie alzabo lub też wspomnienie o tym, jak przewoził Dorcas i mnie przez Ptasie Jezioro.

Usiłowałem przedrzeć się między krzywonogimi ludźmi, lecz jeden z nich trafił mnie pałką w skroń. Ogluszony padłem na kolana, a kiedy wstałem, w tłumie wrzeszczących i podskakujących tancerzy nie mogłem dostrzec Apu-Punchau. Ujrzałem natomiast dwóch Hildegrinów: jeden z nich wziął się ze mną za bary, drugi walczył z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Ogarnięty szałem odtrąciłem pierwszego i rzuciłem się na pomoc drugiemu.

- Severianie!

\* \* \*

Obudziły mnie krople deszczu padające mi na twarz - wielkie, zimne, krople, kłuszące jak grad. Nad pampasami przetoczył się grzmot. Przez chwilę wydawało mi się, że oślepiłem, ale zaraz potem upiorny blask błyskawicy wydobyl z ciemności rozfalowane morze traw i rozsypane bezładnie kamienie.

- Severianie!

Rozpoznałem głos Dorcas. Spróbowałem wstać, ale kiedy podparłem się ręką, natrafiłem na leżący w błocie materiał. Był to długi, wąski pas jedwabiu ozdobiony chwastami.

- Severianie!

W tym krzyku wyraźnie usłyszałem przerażenie.

- Tutaj! - zawołałem. - Tutaj jestem!

W blasku kolejnej błyskawicy ujrzałem budynek i Dorcas stojącą na jego dachu. Wstałem, okrążyłem

budowlę i dotarłem do schodów. Nasze wierzchowce zniknęły, podobnie jak wiedźmy. Samotna Dorcas pochylała się na dachu nad ciałem Jolenty. Jeszcze jedna błyskawica wydobyła z ciemności martwą twarz kelnerki, która obsługiwała doktora Talosa, Baldandersa i mnie w kawiarence w Nessus. Była całkowicie odarta z piękna. W ostatecznym rozrachunku pozostaje nam jedynie miłość. Naszym największym grzechem jest to, że potrafimy być tylko tym, kim jesteśmy.

Tutaj ponownie przerywam swą opowieść, przeprowadziwszy cię, czytelniku, z miasta do miasta: z małej, górniczej osady Saltus do zdewastowanego kamiennego grodu, którego nazwa przepadła bez śladu gdzieś w zawierusze dziejów. Saltus stanowiło dla mnie pierwszy przystanek w podróży przez świat rozciągający się poza Niezniszczalnym Miastem, kamienny gród zaś był

ostatnim przystankiem przed górami, które dostrzegłem na horyzoncie. Trasa mojej wędrówki miała teraz przez długi czas prowadzić wśród ich poszarpanych szczytów i bezdennych przepaści.

Tutaj przerywam. Jeżeli nie zechcesz pójść ze mną dalej, czytelniku, nie będę miał ci tego za złe, gdyż niełatwa to droga.

# DODATEK

## Stosunki społeczne we Wspólnocie

Jednym z najtrudniejszych zadań, z jakimi przychodzi borykać się tłumaczowi, jest takie oddanie wszelkich spraw związanych z hierarchią społeczną, aby stały się one dla czytelników jak najłatwiejsze do pojęcia. W przypadku „Księgi Nowego Słońca” brak jakichkolwiek materiałów porównawczych czynił to zadanie podwójnie trudnym. Pragnę teraz zaprezentować drobny szkic dotyczący tego problemu.

O ile można ustalić na podstawie rękopisów, społeczeństwo Wspólnoty dzieliło się na siedem podstawowych grup, z których przynajmniej jedna wydaje się całkowicie zamknięta.

Mężczyzna lub kobieta musieli urodzić się arystokratami, a urodziwszy się, pozostawali nimi do końca życia. Nawet jeżeli istniało wewnętrzne zróżnicowanie tej warstwy, to w rękopisach nie ma na ten temat żadnej wzmianki. Należące do owej grupy kobiety noszą tytuł kasztelanki, mężczyźni zaś określa się na wiele różnych sposobów. Poza granicami miasta, któremu na użytek czytelników nadałem nazwę Nessus, ludzie ci zajmują się administracją i organizacją codziennego życia społeczeństwa. Dziedziczne dążenie do władzy zdaje się pozostawać w rażącej sprzeczności z duchem Wspólnoty i chyba w wystarczający sposób tłumaczy liczne napięcia występujące na linii arystokracja - autarchia. Mimo to trudno sobie wyobrazić, aby w tamtych warunkach władze lokalne mogły być lepiej zorganizowane. Demokracja bez wątpienia przeistoczyłaby się w nie kończące się targi, powstanie zaś biurokracji opartej na mianowaniu urzędników staje się możliwe dopiero wówczas, gdy istnieje znaczna grupa wykształconych, lecz niezbyt zamożnych ludzi gotowych objąć niższe stanowiska. Tak czy inaczej, autarchowie bez wątpienia zdawali sobie sprawę, że całkowite utożsamianie się z klasą rządzącą oznaczałoby dla nich pewny koniec. Spośród postaci występujących w rękopisach do arystokracji zaliczają się bez wątpienia Thecla, Thea oraz Vodalus.

Zbrojna szlachta przypomina arystokrację, choć na nieco mniejszą skalę. Wbrew swojej nazwie ta grupa społeczna bynajmniej nie zmonopolizowała najważniejszych stanowisk w armii.

Ich rolę można porównać do tej, jaką pełnili samurajowie w feudalnej Japonii. Ze szlachty wywodzą się Lomer, Nicarete, Racho i Yaleria.

Optymaci zdają się mniej lub bardziej zamożnymi kupcami. Spośród wszystkich siedmiu grup oni najrzadziej są wymieniani w rękopisach, mimo że wiele wskazuje na to, iż Dorcas należała kiedyś właśnie do tej warstwy.

Najliczniejszą grupą w każdym społeczeństwie jest pospólstwo. Tworzą je ludzie zadowoleni ze swego losu, niewiele wiedzący, ponieważ brakuje środków na ich wykształcenie, mający za złe arystokratom ich arogancję i otaczający wielką czcią Autarchę (który wydaje się stanowić ich apoteozę). Do tej klasy społecznej należą Jolenta, Hildegrin, mieszkańcy Saltus, oraz mnóstwo innych postaci przewijających się przez karty rękopisów.

Otoczenie Autarchy - który nie ufa arystokratom, zapewne nie bez powodu - stanowią dworzanie.



Tworzą oni jego administrację oraz są doradcami zarówno w sprawach cywilnych, jak i wojskowych. Prawdopodobnie wywodzą się z pospólstwa i warto zwrócić uwagę, że wysoko sobie cenią zdobyte wykształcenie. (Porównajmy to z pogardą, z jaką odnosi się do nich Thecla). Do dworzan możemy zaliczyć Severiana, a także pozostałych mieszkańców Cytadeli - z wyjątkiem starego Ultana.

Duchowni stanowią niemal równie wielką zagadkę jak bóg, któremu służą. Jest to ponad wszelką wątpliwość bóstwo związane ściśle ze słońcem, lecz nie apollinijskie. (Ponieważ Łagodzieciel otrzymuje Pazur, nasuwa się łatwe skojarzenie z orłem Jowisza, ale może ono być zbyt proste, a przez to fałszywe). Podobnie jak współczesny nam kler rzymskokatolicki, należą do przeróżnych zakonów, ale nie wydają się podlegać żadnej centralnej władzy. Pomimo ich oczywistego monoteizmu chwilami nie sposób nie dostrzec podobieństw z hinduizmem.

Peleryny, odgrywające w rękopisach rolę większą niż jakiekolwiek inne religijne zgromadzenie, stanowią grupę kapłanek, którym towarzyszy (co należy uznać za zrozumiałe, zważywszy na czas i miejsce akcji) silnie uzbrojony oddział mężczyzn, prawdopodobnie służących.

Wreszcie kakogenowie reprezentują - i tutaj musimy oprzeć się już niemal wyłącznie na domysłach - obcy element (obcy w najbardziej uniwersalnym znaczeniu tego słowa), z jakim mamy do czynienia w każdym znanym nam społeczeństwie. Ponieważ określa się ich jedną, wspólną nazwą, należy przypuszczać, iż pospólstwo odnosi się do nich z lękiem albo przynajmniej nienawiścią. Z kolei ich obecność w Domu Absolutu zdaje się świadczyć o tym, że, choć z oporami, są jednak akceptowani na dworze. Mimo iż społeczeństwo w czasach Severiana uważało ich za homogeniczną grupę, z pewnością bardzo różnili się między sobą. Kakogenami są z pewnością ojciec Inire oraz Cumaean.

Honorificum, które oddałem słowem „sieur”, przysługiwało wyłącznie przedstawicielom klas wyższych, choć było często używane także przez ludzi należących do nizin społecznych. Z

kolei „dobrodziej” oznaczał przede wszystkim gospodarza lub właściciela domu.

## **Pieniądze, miary i czas**

Mimo usilnych starań nie zdołałem określić dokładnych wartości monet wymienionych w rękopisie „Księgi Nowego Słońca”. Nie będąc niczego pewnym, postanowiłem użyć słowa

„chrisos” dla określenia kawałka złota z wybitym profilem autarchy. Choć bez wątplenia istniało wiele ich rodzajów, różniących się wagą i czystością, z tekstu wynika, że wszystkie miały zbliżoną wartość.

Jeszcze bardziej zróżnicowanym srebrnym monetom używanym w tamtych czasach, nadałem wspólną nazwę „asimi”.

Duże mosiężne monety (sądząc z informacji zawartych w rękopisach były one najbardziej popularnym środkiem płatniczym wśród pospólstwa) nazwałem „orichalkami”.

Z kolei rozmaite mosiężne, brązowe i miedziane pieniążki, bite nie przez rząd centralny, lecz przez

władze lokalne i przeznaczone tylko do lokalnego obiegu, otrzymały nazwę „aes”. Za jedno aes można było kupić jajko, za orichalka - wynająć na cały dzień robotnika, za asimi - kupić piękny płaszcz w sam raz dla optymata, za chrisos - dobrego wierzchowca.

Należy pamiętać o tym, że jednostki miar występujące w „Księdze Nowego Słońca” nie stanowią ujednoliconego systemu i w żaden sposób nie wynikają jedne z drugich. „Mila” oznacza odległość rzędu pięciu kilometrów i jest używana dla określenia odległości między osiedlami, a także wewnątrz wielkich miast, takich jak Nessus.

Piędź to odległość między wyciągniętym kciukiem a czubkiem wskazującego palca - około dwudziestu centymetrów. Z kolei łańcuch równa się długości łańcucha składającego się ze stu ogniw, po jednej piędzi każda, czyli w sumie około dwustu metrów.

Krok to rzeczywiście krok, czyli siedemdziesiąt pięć centymetrów. Najpowszechniej używaną jednostkę długości, wyznaczoną przez odległość między łokciem dorosłego mężczyzny a czubkiem jego najdłuższego palca (około 50 centymetrów), nazwałem, jakżeby inaczej, łokciem. (Zwracam uwagę, że pracując nad przekładem starałem się wyszukiwać w miarę współczesne odpowiedniki, które pozwolą czytelnikowi na łatwe zrozumienie tekstu).

W rękopisach występuje bardzo niewiele wyrazów określających czas. Można odnieść wrażenie, iż poczucie czasu autora, jak również społeczeństwa, do którego należał, uległo dość istotnym zmianom spowodowanym częstymi kontaktami z istotami, które na własnej skórze doświadczyły skutków einsteinowskiego paradoksu. Tam gdzie takie wyrazy jednak się pojawiają, „chiliada” oznacza tysiąc lat, „wiek” - okres, jaki upłynął między wyczerpaniem naturalnych zasobów dwóch surowców (na przykład siarki i cynku), „miesiąc” równa się dwudziestu ośmiu dniom, „tydzień” zaś jest dokładnym odpowiednikiem naszego tygodnia: to jedna czwarta miesiąca, czyli siedem dni. „Wachta” trwa tyle, co jedna zmiana straży - dziesiątą część nocy, a więc w przybliżeniu godzinę i piętnaście minut.